

299

LISTY Z KRAKOWA.

NAPISAŁ

JÓZEF KREMER.

744575

TOM DRUGI.

DZIEJE ARTYSTYCZNEJ FANTAZJI.

Część pierwsza.



Nakładem księgarni pod firmą Józefa Zawadzkiego w Wilnie.

NAUMBURG.
1869.

1000904575



111



T-323962 / T.2, Cz. 1

Wojewódzka Biblioteka Publ.
Nr T-480451
LUBLIN
* Im. H. Łopacińskiego *

111.852:7.01

Доволено цензурою. С. Петербургъ. 22 Марта 1869го года.



/t.2

18.01:159.94:7.01

1-7/1213

LIST XI.

Fantazyja i bliższy jej rozbiór.

Wstęp. — Wspomnienia przeszłości nie są samém przypomnieniem. — Fantazyja posagiem ducha ludzkiego. — Fantazyja, mądrość, cnota. — Fantazyja i rzeczywistość. — Fantazyja, jako czynność duchowa, wszystkim ludziom spólna. — Fantazyja strojąca rzeczywistość, ale takowa fantazyja nie jest jeszcze fantazyją artystyczną. — Warunki, aby być mistrzem i powołanie mistrza. — Walka mistrza z trudnością techniczną. — Henryk Statler. — Jeżeli treść dzieła będzie pierwiej w myśli poczęta niż forma, wtedy nie zrodzi się dzieło sztuki. — Rzeczywistość mogąca być treścią dla sztuki. — Allegoryja nie jest dziełem prawdziwej fantazyji. — Chwila natchnienia jest chwilą rodzenia ideału. — Zdanie Platona.

(Dwanaście lat później.)

Młodości porannej wspomnienie, to zielnik stary, bo w niem wszystko przechowane z dawnych lat; — co serce niegdyś ukochało, co szczęsna podała chwila, lub przygoda ciemna w tęsknej rodziła godzinie, toć spoczywa wszystko oznaczone w duszy głębi to listkiem róży, to gałązką cyprysową, to ułomkiem wawrzynu lub fijołkiem cichym. A zmarły róże jak miłości młode, zbladły zawczesne tryumfy młodzieńcze jak wawrzynu

listki; a uczucia wonne duszy zżółkły jak fijołek biedny i umilkły w piersiach pogrzebione żywcem; dochowwały się same jedne pamiątki cyprysowe — owe niezabudki młodych łez.

Młodości lata — one rajske ogrody strojne kwiatów rodem, pojone niebios rosą, — one dziś głuchym, rozłożystym cmentarzem; wśród jesiennęj szarugi życia, na grobie czarodziejskięj ułudy, wśród mroźnego świata tchu, stanęła posągiem troska blada. One radošne kwiaty wszystkie oddały niby dusze swoje; — a te ich dusze uniosły się w górę i dziś przyświecają nam gwiazd ogrodem; więc też człowiek, w tęsknocie swojej, tak chętnie okiem w gwiazdach tonie i powierza im serca bolešci i łamania swoje; a gwiazdy, cichą stopką po niebie chodząc, słuchają tych żalów jego, w serce chore pociechą świecą i płonącą drózką swoją na niebios przestrzeni wodzą pielgrzyma po zamroczonej ścieżce ziemskiego żywota.

Świecą w chore serce gwiazdki niebiańskie, rozjaśniając ciemne ducha tęsknice! Więc — patrz! w miejscę zmarłych miłosci róż, laurów zawodnych, a wonnych ogrodów marzeń, zapłoną w sercu firmamentem światła, których nie przyćmią nigdy ziemskie burze, ani przygasażą wichry jesienne żywota. Poznasz, że jedynie co doczesne umarło — co zacne, wiekuiste, uniosłeś z sobą po wszystkiek twój wiek.

Tak, komu zacnego ojca ušmiech był jutrznią ducha a nieskażona cnota wzorem, kto jego błogosławną modlitwę wziął posągiem w świat; z kim za dziecięcych lat matka, miłosci pełna, prawiała o kochaniu ludzi, o bojaźni Bożęj, o zmarłych braciszkach, co dziś już aniołkami proszą za pacholątkiem pozostałym na ziemi,

by było dobre i pobożne; kogo wypiastowały zacność i święty obyczaj domowy — ten zaiste nie będzie samotnym na świecie, bo nieśmiertelna jest puścizna miłości rodzinnej i cnoty ojcowskiego domu. Choć mu nie jedno w sercu zgaśnie, choć mu życie zbiednieje, a nie jedno uczucie lodem zajdzie, nie będzie, samotnym na świecie. W chwilach szarych, cikliwych cofnie się w siebie, zamknie się w sercu własnym, jakby w przenajświętszej świątynicy istoty swojej; w cichocie uroczystej, sam na sam z Bogiem będąc, tajemniczej treści ducha swojego da posłuchanie, — i pojawi mu się postać ojca, co napoi pociechą i posili otuchą w sobie; — i stanie przed nim matka i pochwali i przytuli i scałuje boleści trud ze znękanego czoła. A te postacie ich, wolne i swobodne od ziemskiej niemocy, odziane będą nieskończonym niebiańskim wdziękiem, i wstaną z martwych najdroższe młodości kwiaty, a wszystkie jej radośne obrazy wypłyną z przepaścistych duszy głębin; zbudują się znowu stare ściany ojcowskiego domu, i znowu zahuczą ochotą wesołą towarzysze z chłopięcych lat; a roztoczą się barwą tęczową malowane wizerunki gajów, łąk, potoków, onych świadków dawnych młodzieńczych marzeń. A te wszystkie obrazy, te wszystkie postacie, ochuchane czarodziejskim urokiem, zabrzmia światłem i cieniem, barwą i harmonią, jakby z innego świata wysłanniki. Wszak w chwilach takowych i to nawet życie rzeczywiste, obecne nam, co tak ubogie, tak puste, co nie dostało przyrzeczeniom szczęścia, co nie dotrzymało słowa młodości nadziejom, i to nawet życie zrzuci z siebie żebracze szaty i uśmiechem, jakby czarnoksiężniczka w bajce, okaże ci w głębokim podziemnym szybie górskim gorejące skarby i klejnoty błyszczące,

listki; a uczucia wonne duszy zżółkły jak fijołek biedny i umilkły w piersiach pogrzebione żywcem; dochowały się same jedne pamiątki cyprysowe — owe niezabudki młodych łez.

Młodości lata — one rajske ogrody strojne kwiatów rodem, pojone niebios rosą, — one dziś głuchym, rozłożystym cmentarzem; wśród jesiennęj szarugi życia, na grobie czarodziejskiej ułudy, wśród mroźnego świata tchu, stanęła posągiem troska blada. One radośne kwiaty wszystkie oddały niby dusze swoje; — a te ich dusze uniosły się w górę i dziś przyświecają nam gwiazd ogrodem; więc też człowiek, w tęsknocie swojej, tak chętnie okiem w gwiazdach tonie i powierza im serca boleści i łamania swoje; a gwiazdy, cichą stopką po niebie chodząc, słuchają tych żalów jego, w serce chore pociechą świecą i płonącą dróżką swoją na niebios przestrzeni wodzą pielgrzyma po zamroczonej ścieżce ziemskiego żywota.

Świecą w chore serce gwiazdki niebiańskie, rozjaśniając ciemne ducha tęsknice! Więc — patrz! w miejscu zmarłych miłości róż, laurów zawodnych, a wonnych ogrodów marzeń, zapłoną w sercu firmamentem światła, których nie przyćmią nigdy ziemskie burze, ani przegaszą wichry jesiennie żywota. Poznasz, że jedynie co doczesne umarło — co zacne, wiekuiste, uniosłeś z sobą po wszystkich twój wiek.

Tak, komu zacnego ojca uśmiech był jutrznią ducha a nieskażona cnota wzorem, kto jego błogosławną modlitwę wziął posągiem w świat; z kim za dziecięcych lat matka, miłości pełna, prawiała o kochaniu ludzi, o bojaźni Bożej, o zmarłych braciszkach, co dziś już aniołkami proszą za pacholątkiem pozostałym na ziemi,

by było dobre i pobożne; kogo wypiastowały zacność i święty obyczaj domowy — ten zaiste nie będzie samotnym na świecie, bo nieśmiertelna jest puścizna miłości rodzinnej i cnoty ojcowskiego domu. Choć mu nie jedno w sercu zgaśnie, choć mu życie zbiednieje, a nie jedno uczucie lodem zajdzie, nie będzie, samotnym na świecie. W chwilach szarych, ckliwych cofnie się w siebie, zamknie się w sercu własném, jakby w przenajświętszej świątynicy istoty swojej; w cichocie uroczystej, sam na sam z Bogiem będąc, tajemniczej treści ducha swojego da posłuchanie, — i pojawi mu się postać ojca, co napoi pociechą i posili otuchą w sobie; — i stanie przed nim matka i pochwali i przytuli i scałuje boleści trud ze znękanego czoła. A te postacie ich, wolne i swobodne od ziemskiej niemocy, odziane będą nieskończonym niebiańskim wdziękiem, i wstaną z martwych najdroższe młodości kwiaty, a wszystkie jej radośne obrazy wypłyną z przepaścistych duszy głębin; zbudują się znowu stare ściany ojcowskiego domu, i znowu zahuczą ochotę wesołą towarzysze z chłopięcych lat; a roztoczą się barwą tęczową malowane wizerunki gajów, łąk, potoków, onych świadków dawnych młodzieńczych marzeń. A te wszystkie obrazy, te wszystkie postacie, ochuchane czarodziejskim urokiem, zabrzmią światłem i cieniem, barwą i harmonią, jakby z innego świata wysłanniki. Wszak w chwilach takowych i to nawet życie rzeczywiste, obecne nam, co tak ubogie, tak puste, co nie dostało przyrzeczeniom szczęścia, co nie dotrzymało słowa młodości nadziejom, i to nawet życie zrzuci z siebie żebracze szaty i uśmiechem, jakby czarnoksiężniczka w bajce, okaże ci w głębokim podziemnym szybie górskim gorejące skarby i klejnoty błyszczące,

których się dobierzesz, bylebyś je w imie Boże zaklął miłością i zacną a niestrudzoną nigdy pracą. I tak pogodzisz się ze światem.

Lecz powiedz, skąd tym dawno zmarłym postaciom ten wdzięk nadziemski i ta uroda jakby od aniołów pożyczona? skąd im ta wieczna młodość, co nigdy nie starzeje choć się zjawia w najgłębszej życia twojego jesieni? skąd tym obrazom ta czarodziejska barwa, co nie spłowiła, nie przygasła, choć one tak długie lata przeleżały w otchłani pamięci twojej? Wszak gdy wzrokiem serca obaczysz twojej matki wizerunek święty i to jej ostatnie pożegnalne spójrzenie, co utonęło na zawsze wiekuistości promieniem w duszy twojej, już i sam siebie widzieć będziesz w ówczesnej młodocianej, prawie pacholęcej postaci; tak to dawno, tak bardzo dawno od owej boleści pełnej a uroczystej chwili. Wszak i grono szkolnych towarzyszy od tak wielu lat przebrzmiało gdzieś echem po świecie; — ten spoczął w małej jeszcze trumience, tamtego znów wysoko podrzucił świecisty los; ów przepadł gdzieś w młaku; owemu znowu dawno na skon „zadzwończy konie kopytami a wojacy ostrogami — a wypła oczy wrona z dalekich stron.“ (Stara pieśń).

Pytasz skąd te dziwy? — pytaj się własnych piersi twoich; wszak to ty sam te obrazy odziałeś pięknnością, ty sam w nie tchnąłeś anielskie wdzięki poczęte we własnym duchu twoim. Tyś własnemi oczarowany czary. Ot patrz, w cichój istocie duszy naszej składa zewnętrzny świat wizerunki swoje, wmykają się w nią tłumne postacie, zrodzone w rzeczywistości ziemskiej; więc też nie dziw, że te postacie a obrazy tak są niby prozai-czne, powszednie, bez barwy, blasku i dźwięku; one tam

gdzieś na dnie ciemnej otchłani duszy leżą zapomniane, przyprószone. Gdy atoli życie uderzy w nas brzemieniem swoim, gdy urazi dawne, bolejące jeszcze rany, lub gdy dźwięki radośne świata rozbudzą dawne, onemiałe w sercu wesela; wtedy odpowiednie im wizerunki zadygocą w sobie, wtedy duch nawróci ku sobie i wstępuje w głąbie swojego wnętrza; wtedy on zajaśnieje płomieniem jakby z nieba spadłym, a owe wizerunki i postacie zapomniane, przyćmione, jakby na kryształowych szklach malowane figury latarni magicznej, przepromienione teraz poświęcą czarodziejską ducha twojego, zjawią się zewnątrz ciebie i przesuwając się będą po przed oczy istoty twojej wiekuistej; będziesz je widział pływające we falach nieskończonej, niebiańskiej piękności. Tak jest, to twoja własna sprawa; te uroki, jakby z nad gwiazd zrodzone, to duch twój własny, który się z nich do siebie samego uśmiecha niebiańskim obliczem; on to we własnych zrodzeniach swoich tak się rozmiłował rzewnie i siebie w nich uwielbił i do nich serdecznie się zamodlił. Nie pytaj przeto już skąd przyszła tym postaciom owa piękność nadświatna, skąd one tak anielskie, tak przeczystego uroku — oto, w duszy twojej rzewnie i uroczyście. Te przeto wszystkie obrazy są jedynie naczyniem ducha twojego, jego szatą widomą, mową niebian przetłómaczoną na język ziemski.

Przecież potęga duchowa, która dokonywa tych cudów, która zdoła nadać nieskończoności ciało, nie jest samém tylko przypominaniem, nie jest ona jałową wyobraźnią, umiejącą jedynie cucić kopie wierne, dagerotypy niewolnicze, choć zwietrzałe, przedmiotów zewnętrznych; tą potęgą, odziewającą, wiekuistość we formy doczesne jest — *fantazyja*.

Widzisz przeto że fantazyja będzie w człowieku ogniskiem piękności wszelkiej. Jeżeli tedy powyżej rozprawiałem z tobą raczej o sztuce samej przez się, teraz rozsunąć ją jeszcze wypada ze stanowiska mistrza, zbadać bliżej tajemnice zrodzenia się jej w duchu człowieka. Jak atoli tam rzecz sama często niewoliła nas do mówienia o mistrzu, tak niechaj ci nie będzie dziwno, że teraz znowu tu i ówdzie znajdziesz dotknięte prawdy, roztoczone już w poprzednich listach. Co tedy sobie jeszcze teraz powiemy, będzie w części istotnie nowym przedmiotem, a w części rozwojem bliższym dawniejszej treści lub nowém jej powiązaniem. A nie pomału nas też wszystkich obchodzi rzecz o fantazyi, bo przecież każdy z nas wziął ją choć w pewnej mierze udziałem.

Wszak z tego, cośmy sobie już dziś rzekli, zgodzisz się że fantazyja nie jest jedynie ową drwiącą czarodziejską królową panującą w panstwie zaklętém złocistych ułud sennych, która pieścąc się a igrając z biednym ziemskim synem, jakby z dzieciąciem płaczącem, podaje mu zrazu zabawki błyskotne, świecidełka i fraszki figlarne, a później upaja gusłami, usypia w brylantowych pałacach, a kołysząc śpiącego w wonnym kielichu kwiatów otacza chórem rusałek cudownych, co, urzekając uśmiechem miłośnym, śpiewają mu pieśni o szczęściu niewypowiedzianém i muzyki falami unoszą po nad padoły trosk i kłopotów, aby po krótkim czynieniu obudzić niebożę wśród pustek jałowych zwyczajnego życia, wśród bied i zawodów. Nie, zaiste, fantazyja ma inne, wyższe jeszcze znaczenie.

Patrz — w Syxtyńskiej kaplicy Rzymu, w téj kaplicy Wiary i piękności cudów, choć kopciem znieważone,

płoną w nigdy niewygasłym majestacie myśli Michała-Anioła. Rzekłbyś, że tytaniczny geniusz jego zbuntował się i zgruchotał ciasne szranki ludzkiej siły, że powstał w groźnym zuchwalstwie swojej potęgi, że nie barwą, nie pędem, ale gromem wywołał te dzieła swoje na podziw wszystkim pokoleniom a na chwałę ludzkiego imienia. Gdy na ścianie ów Sąd Ostateczny mroźnym ścina pulse duszy twojej i zagląda strachem w głębinę serca, gdy z niego grzmi wołanie oniej pieśni straszliwej:

Quantus tremor est futurus.

Quando judex est venturus.

Cuncta stricte discussurus!

Po wyżej pełnego zgrozy sądu tego, na wysokim stropie roztoczone są obrazy Księgi Rodzaju, a występuje tam jeden z nich co każdemu, który go raz obaczył, zostanie w duszy na życie całe. — Już jakby uczyniony był „rozdział między światłością a ciemnością“ już stał się zaranek natury, i, jak orlęta młode, już wykluły się z zamętu materji światy a brzmiała weselem harmonia sfer; ziemia nowo zrodzona drgała z radości, że była zrodzoną i ustroiła się świątecznie w płaszcz swoich puszczy, kwiatów, łąk, woni i barw, i śpiewała uwielbienie Ojcu a wtórowały jej piorunne mórż organy; a wszelkie żyjące odetchnęło już życiem młodem i cieszyło się że było wezwane na gody natury. Wśród powszechniej radości atoli sam jeden człowiek omdlały głuchą niemocą legł na jałowej skale, najuboższy ze wszystkich jestestw stworzonych. W tém od ostatnich biegunów wszech światów zagrzmiały wichry Boże; zatrzęsły się wiekuiste przestrzenie, ich nieskończoność znikła, tuż przed Adamem unosi się Bóg; — Pan

owiany szatą wszechmocności, pod jęj rąbek tuli się aniołów grono — wysłańcy opatrznej miłości jego; — Adam w niedoli dźwiga ociężałą błagalną rękę ku ojcu. Pan dotyka się jęj palcem; gromem błyskawicznym zadygotał duch człowieka — iskra wiekuistości wstąpiła w praojca ludzkiego rodu.

Tę to chwilę ujął nieśmiertelny mistrz a dzieło jego świadczy, iż w nim samym buchnęła spotęgowanym płomieniem owa iskra Boża. Ten płomień, dany z nieba ludzkiemu rodowi posagiem, przechodzi już z pokolenia na pokolenie i przepływa świata dzieje.

Gore w człowieku iskra nieskończonej prawdy. Stąd dana mu wiedzy potęga, by poznał prawdę w wszechistnieniu; dana mu wola by żył wedle ustawy wiekuistej, dana mu jest moc, by tworzył istnienie wedle wiekuistej prawdy. Niechaj tedy człowiek, ile sił swoich, iści tę wiekuistość; niechaj duchem swoim ogarnia świat i w nim się przegląda.

W Bogu wiedza, wola, moc są nieskończone, są więc w jedności; w Bogu wiedza jest wolą, wola jest mocą. Lecz w duchu stworzonym, wiedza a wola, wola a moc różne od siebie są. Stąd ów wiekuisty płomień rozczepia się w człowieku na trzy różnobarwne promienie, lubo wszystkie trzy pochodzą od jednego światłości stoku. Tak w człowieku po wszystkie wieki prze i robi pragnienie dosłużenia się ciężkim trudem wyższej a wyższej mądrości; w nim pracuje nieukojona tęsknota nastroszenie woli swojej do harmonii nieskończonej która wszechświatami władnie. Stąd to łamanie się i pasowanie jego z sobą, by nie był dźwiękiem fałszywym w hymnie wszechduchów stworzonych, by nie był pysznym aniołem, odstępcą od Bożego zakonu, aby się

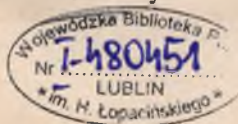
uczynił jego wyrazem, jego żywem słowem dorabiając się coraz wyższej zacności. Nakoniec człowiek dokonuje zadania swojego stwarzając znikomą ręką uwidomioną postać wiekuistości przebywającej w sercu jego; a tak w dziele własnem oczyma, uszyna swojego ciała widzi i słyszy nieskończoność. Tęj twórczości sprawą, dziełem jest piękność a jój poczęciem w mistrzu jest — fantazyja.

Stąd mądrość, zacność, piękność, tak różne od siebie obliczem, są jednej niebiańskiej matki córy (*).

Bóg stwarza nie dla siebie ale z miłości dla jestestw stworzonych; człowiek tworzy, bo nie może nie tworzyć, twórczość jest mu daną; on tworząc wykonywa zakon który był przed nim; on tworzy nie dla ubocznego celu jakiegoś, ale dla tego że jest człowiekiem, by nieskończoność własną ujrzał w dziele swoim. Fantazyja przeto nie jest przypominaniem żywcem przedmiotów rzeczywistych i marném ich naśladowaniem; ona nie jest wyrobnicą płochą błyskotek; ona z nieskończoności człowieka ma swoje pochodzenie i dla tego właśnie świeci iskrą Bożą we wszystkich ludziach i po wszystkie wieki. Przeto też ten Boży pierwiastek żarem płonie w potędze a uroku cudownym fantazyi.

Fantazyja, jakby stulona w pączku, śpi i marzy w sercu; gdy zaś na nią przyjdzie godzina, już rozsądzi pączek korny, urośnie, wzniesie się majestatem wszechwładnym. Ona rozpina loty swoje od bieguna do bieguna, mierzy niebiańskie przestrzenie niemające granic, mija gwiazdy, wywołuje z końnicy Historji zapadłe

(*) Poznanie, wola i pierwiastek bezwzględny tkwiący w duchu człowieka. Wykład Filozofii T. II. str. 231 i następną.



dawno ludy, podsłuchuje oddech przyszłych stóleciów kroczących przez dzieje świata i słyszy radości robaczka kłującego się na listku. Fantazyja, ta pani Natury, jest mistrza służebnicą.

Zrazu czarnoksiężka fantazyji moc stroi wdziękiem ową rzeczywistość powszedniego żywota; ona to magiczném światłem ochuchała nam wspomnienia z dawnych lat; ona to z promieni i barw, z woni i muzyki utkała im szaty niebiańskie; — wszak to ona, co, rozkochana w rzeczach stworzonych, codziennie nam zakrywa ich biedotki i ułomności ziemskie a wymyśla im powaby i uroki. Fantazyja patrzy na dzieła natury sercem matki, co nie spostrzega tego, czem jęj dziecię istic jest, ale widzi jedynie to czego dusza jęj gorącym pragnieniem wymodlić rada. Bo natura jest państwem ułomności i niedostatków; tu wszystko, co jest, zostaje w zależności od innych również tak zawisłych jestestw; tu żadne jestestwo nie stoi o sobie, ale ma warunki bytu i rozwoju swojego zewnątrz siebie. O ile więc każde zdoła być odpowiedniém wyrażeniem myśli, więc ciałem idei swojej, toć zawisło od zewnętrznych wypadków; piękność jest w naturze tylko przypadkiem szczęśliwym, ślepym trafem, i dla tego piękność najwyższa nie jest zjawieniem ze świata rzeczy przyrodzonych.

Tu przypadkowość, to jęctwo zawisłości, cięży pierworodną kłątą na jestestwach Natury, bo daje się we znaki ich ułomnościom a w końcu nasyła im śmierć. Przyłoż ucho duszy twojej do tajemniczego państwa przyrody a usłyszysz gwary zrodzenia i skonu: bój wrogich mocy, i pasowanie się nienawiści, i miłośne tęsknoty, jęki rozpaczy i gwałtów tryumfy. W tęg

walce nie jedno zamrze jeszcze w zawiązku, inne przepada śmiercią za nim się wzmoże i rozkwitnie w sobie; a te biedne doczesności dzieci, które przebędą ten trud twardy i przeżyją tę ciężką walkę o byt swój, wychodzą z niej spaczone, zwichnięte, pełne śladów doznanych krzywd. Te więc fantazyja bierze w objęcie serdecznój miłości, tuli je do siebie, by je wyleczyć, odchowac, by odchuchać w nich tę piękność, którą miały w odwiecznój idei, zanim idea ta spadła w sidła materialnego świata; fantazyja je pieści i mili, by je uczynić na podobieństwo modły świecącej w duchu naszym.

Widzisz one róże — owa ostatnia, owa sama jedna przeżyła w ogrodzie swoje siostry starsze; ona nie roz tuliła jeszcze namiotku wonnych liści swoich, a już umiera bo ją skrzywdziły słotne jesieni chłody, bo ją przycisnął chwast i nie dał napoić się rosą i niebios promieniem; a serce jój, co miało być gniazdkiem gieniuszków miłości, toczy robak. Fantazyja, litując się niebogięj, odrodziła ją w przepyszną panią kwiatów i godło gorących uczuć kochanków, uczciła ją pieśnią i przypięła do piersi młodej dziewczyny by na jój sercu skonała — i znajdzie się muzyk co jój w skonaniu wdzięczną przyśpiewa melodyą (Flotów, Marta). Patrz na tę niewiastę — i ona była różą w ogrodzie piękności ziemskich; na tych zgasyłych dziś ustach igrały niegdyś miłości uśmiechy; z tych ześlonych oczu, przed laty, jakby gwiazdami swojemi, poglądało niebo; ona dziś pozostała samotna wśród chwastów i cierni życia; niedostatek, troska, szarugi świata, znieważyły jój postać uroczą i sponiewierały tę szlachetność rysów — a może i robak własnej winy gnieździ się w sercu, Lecz fantazyja po przez ślady krzywd i obelg wzrokiem ducha dowidzi

w niej natury arcydzieła, i płoszy wady i wywołuje do życia dawno umarłe uroki i zgasłe na zawsze wdzięki. — Tak fantazyja, sama się radując swoim dziełem, zapomina o sromie i przebacza winy!

Stań na mogile, przez stare wieki usypanej; natura, nie znękana nigdy robotnicą, roztoczy do koła u stóp twoich widoki haftowane cudem barw. Wysyłasz jak sokoły myśli twoje w świat szeroki — w świat daleki; rozpuszczasz je po błoniach w kwiaty szytych, po górach hardych, po skałach, po obłokach, po dolinach; puszczasz je na zwiady w tajne lasów mroki i przejrzyste rzek pałace; a zewsząd, zdala i zbliż, wracają do ciebie uskrzydłone myśli twoje niosąc pragnienia i chęci, którym nie podoła nawet ten rajski świata obraz. Tak radbyś, aby to niebo, co dziś jakoś nie swoje, spójrzało na ziemię jasności powodzią i rozbudziło wszystkie dźwięki farb i cieniów i światła; żał ci że ów pagór, tak ubogi a jałowy, nie ubrany wiankiem dębów starych; temu potokowi życzysz wód bujniejszych, zuchwalszych; i znów uważasz u siebie jakby to onym skałom pięknie było w szacie odwiecznych bluszczów; i znów w myśli wycinasz sobie bory i otwierasz w nich okno, by owo dumające zamczysko stare, co, choć zapomniane dawno od ludzi, choć w rozsypaniu, tak jest harde i wspaniałe, mogło swobodnie patrzeć na mogiłę, a w nocnej ciszy posyłać jej westchnienia swoje.

Otóż, co jeno obaczysz w rzeczywistości poczesnej, już fantazyją ubierasz, krasisz i w duszy doprawiasz, bo duch tęskni w tobie, by siebie ujrzał choć w ułomnych rzeczach, a tak rozszerzył w nieskończoności istotę swoją. Fantazyja jest podobna miłości. Samolubstwo odwraca się od wszystkiego i patrzy samo w siebie, —

dla tego też tak biedne, tak litości godne. Miłość zaś nie tracąc siebie, przecież w drugim samą siebie widzi, a tak, nie tracąc na głębi swojej treści, zyskuje na jej obszarze. I dla tego też właśnie każdy z nas o tyle uboższy, o ile nienawidzi, a o tyle bogatszy, o ile kocha. Nienawiść odgranicza się od świata ciasnotą serca swojego, przez co sama się czyni ograniczoną; miłość nie wie co granica; ona się rozlewa w nieskończoność, ona, tak jak i fantazyja, jest córą nadobłoczných światów.

Strzeżmy tedy pilnie świętego ognia fantazyi, co gore w piersiach naszych; strzeżmy go od nawalnic namiętności grubych, od wichrów zmysłowej natury naszój; zachowajmy ten najdroższy żywota skarb w jak najpóźniejsze lata.

Jeżeli atoli chcesz by fantazyja, by ten pociechy zdroj wśród skwarów świata nie wysechł w tobie, jak wysycha strumień w piaskach śpiekłej pustyni; jeśli chcesz by na zawsze był krynicą czystą, bogatą, co wyzdrowia, co uleczka niemoce duchowe i koi boleści rany, podsycaj go całą serca twojego potęgą. Miej oko i słuch rozswarty, świeży, na ten szeroki boży świat, na te wszystkie powawy, co w nim świecąc i grając przemykają się to orszakiem żałobnym, to weselną drużyną; uchwycić, obejmij siłą zmysłów młodą, ostrą, wszystkie kształty te, przeniknij je wskrós, nie przepuść choćby nawet drobnostce pozornój; „patrz się na ten świat wesoło, bystro, rzesko, jakeś nań patrzył za chłopięcych lat,“ (*) gdy ani cętka na skrzydełku motylém, ani świergot niedostłyszany na wysokim dębnie, ani mrówka

(*) Vischer Aesthetik §. 385.

w trawce, ani szczerbka na szabli, ani wonny dech fijołka, nie uszły sto-uchój, sto-okiej baczości, wiecznie nastrojonój, ciekawój a czujnej; a przede wszystkim kochaj tę naturę, kochaj ten świat i ludzi, zrzuć z serca zbroję lodową; roztwórz szeroko, na oścież piersi twoje; niechaj ci świat cały i wszystko, czém cię chwila obdarzy, zagra na strunach duszy twojój; niechaj ci nic nie będzie obojętném, cudzém; bierz wszystko gorąco sobie do serca, - a choć cię nie miną rany bolesne, toć znów najdziesz miłość, co je ukoj, uzdrowi. Tchnij, całym żarem kochania twojego, uczucia swoje we wszystkie przedmioty; niechaj ci w nich własne twoje serce zapuka; i nie pożałujesz, bo im więcej im dasz, tém więcej od nich odbierzesz; co nieme, toć przemówi do ciebie własną mową twoją; co martwo, żyć będzie ciepłem życia twojego, będzie czuło i cieszyło się i smuciło po twojemu. Ty znajdziesz siebie w świecie całym jako w ulubienicy swojój; dusza ci się rozszerzy jak kaplica pańska cudów pełna, i cały się świat w niej pomieści; zamieszkają w niej wszystkie dziwy jego, ale rozpięknione, ale w świątecznej, uroczystej postaci.

Zaiste tak bogatym na duchu, tak szerokiego, głębokiego oddechu zdoła być każdy z nas; więc wynieśmy te skarby z pożaru płonących nadziei młodych, jako opiekuńcze bogi domowe, a nie będzie nam się cniło, choćby na pogorzeliśku smętném wszystkich rojeń najdroższych i ulud młodości naszój. Ale biada temu, kto te bogactwa w sobie przemarnił, kto je przepuścił w jałowiznie chęci i pragnień swoich, żądzą skalanych; jego serce wysuszone i skurczone nie zazna już nigdy, czém życie się stroi, czém się goją blizny duszy; lichy syn lichego czasu sam nie wie jak ubogi, nie wie że

jest opuszczonym sierotą na ziemi. Niechaj zwraca ochoty swoje za fetyszem wieku, lecz niechaj nie zasiada do rady, gdy mowa o godach nieśmiertelnych ducha.

Zważmy atoli czyli ta fantazyja, nam wszystkim spólna, powszechna, jest już całą fantazyją, całą oną potęgą, daną człowiekowi przy zrodzeniach świata? Czyli to ukochanie przedmiotów doczesnych, to ich strojenie, milenie, pięknienie, wystarczy by duch w nich na prawdę siebie obaczył? Czyli ta fantazyja już zdolna utworzyć artystyczną piękność i czyli ona już nas czyni rzeczywiście mistrzem?

Może powiastka o upadłym aniele stanie nam za odpowiedź.

Świat młody kwitnął jeszcze pierwszą wiosną natury i liczył dopiero na dni życie swoje świeże; ziemia nie zaznała jeszcze ni boleści ni cierpienia; wina nie rozpięła jeszcze ciemnej opony między niebem a człowiekiem, a niebo to bliższe było ziemi niż później, gdy wśród ludzi powstała paląca rozpacz i zbrodnia ponura. Wtedy śmiertelni bez lęku wpatrywali się jeszcze w aniołów co, przelatując po nad doliną doczesnego żywota, wiekuistości spójrzaniem poglądali na ziemskie dzieci i pływali w promieniach bożych jak igrają pyłki w jasnościach słońca.

Otóż, jeden z Aniołów, niosący od Pana posłannictwo, zbliżał się połotem ku ziemi i z wysokości swoich obaczył najcudowniejszą z cór przyrody całej. Z lekka się kołysząc na tęczowych skrzydłach, spuszczał się zwolna by się nasycić tęp czarodziejskiem widziadłem, a światłopióre loty jego, drgając dreszczem różkoszy, zaszumiały radością i sypały niby rosę jasnych iskier

tłumy. Te ognie niebiańskie, ten szum skrzydeł przejęły trwogą dziewicę i spłoszyły w głębokie cienie gaju. Lecz obraz jej piękności pozostał już na zawsze w myśli anioła. Stąd, dniem unosił się niewidzialny nad swoim kochaniem i przyświecał dumaniom i tęsknotom dziewczym, a nocą, gdy rozum w senném omdleniu tlił tylko przygasłą jasnością, a mroczna poświata otuliła duszę kochanki, anioł stwarzał jej czarodziejskie światy marzeń, które, zaledwie co poczęte, gasły w chwili, by się znów odrodzić w cudowniejsze kształty. To jej z kolei zajaśniał promienną postacią od Pana użyczoną, odziany światłości szatą; to okrywał się ciemnym obłokiem; tak naprzemiennie roztwierały się jej niebiańskie rozkosze i rozpływały zawodną nadzieją. A widma niebiańskie, we śnie widziane, śpiewały i na jawie cudowną muzyką w duszy dziewicy, a rozebrała ją nieskończona, bezdenna tęsknica; aż oczyniona nieznaną potęgą, której już podołać nie mogła, uchwycona mrozem i żarem rokoszy wezwwała rozpaczając naniebno kochanka, by się jej na jawie okazał. Cherubin na stropie gwiazdzistym składa płomienisty wieniec od nieba mu dany, zwija promienne skrzydła wiekuistej chwały, a odziany urokiem najwyższym, który mogą przenieść oczy śmiertelne, staje przed ulubienicą.

W pożarach uściśnienia spłynęła miłość anioła i dziewicy, a jeden płomień palił w oczach obojga kochanków, a jeden płomień stopił dwa serca tak dalekie od siebie ojcowizną swoją. Upływały dni, upływały lata w morzu rokoszy najwyższej, na którą się tylko miłość zdobyć może. A Cherubin, dumny swoim kochaniem, bogactwa świata składał u stop miłośnicy swojej i stroił ją w brylanty, co świecą, jakby żrenice, w ciemnej nocy

przepaści głębokich, i zdobił ją w perły, co uwięzione w skorupie, zakłete na dnie oceanów, kędy nie dochodzi słońca poświata; lekkim jakby myśl polotem przebywał lądy i wody i powietrze, by zdobić ziemskie kochanie swoje. Tak upływały dni, upływały lata w morzu najwyższej roskoszy. Wśród atoli szczęścia i błogiego wesela, wśród rajskiej uciechy i zachwytu dusz, padały niekiedy na anioła, jakby zły sen, chwile ciemne żalości i cierpien i niewypowiedzianej tęsknoty. Owe stroje pożyczone od lądów, od wód, od słońca, nie mogły zastąpić u kochanki niebiańskiego rodu; wszystkie skarby natury nie zdołały zatulić znamion tutecznego pochodzenia. Anioła trwogą ziębiła myśl, że ulubienica jego jest tylko doczesności kwiatem, że on, wiekuistości syn, światowém kochaniem oddał się śmiertelnej dziewicy. W tych chwilach przyszłość zakrywała się jakby dymem czeluści piekielnych, obsłaniając mu Niebiosą — otwartą ojczyznę jego.

Razu pewnego dziewica, jakby echem wspomnień, rozbudziła w sobie obrazy onych czarownych marzeń sennych, w których niegdys jój Chérubin pojawił się w nieprzyćmionej światłości niebiańskiej, w jaką się odziewa, gdy służy Panu na wysokościach Jego majestatu. Więc rzewną prośbą, więc z najgłębszych toni duszy błagała, by ziścił one sny cudów, by znowu z postaci jego płynęły światłości strumienie, jak płyną z kwiatów wonie rajskie, by tebnał na nią ducha swojego, by i ona stała się duchem jemu podobnym. A Cherubin, zdjęty miłością bez granic, uniósł się pragnieniem, by ją z sobą zrównał, by się z kochanką podzielił wiekuistością swoją i ją wyzwolił od skonu. Rozpromienił się tedy jaśnią, zaświecił gorejącą wiekui-

stości pięknoscią; tryskały światła niby słońca z postaci anielskiej, oblicze jego zapłonęło miłości i niebios urokiem, i tak otulił objęciem kochankę. Ale zaledwie dotknął się olsnionęj, drzącej dziewicy, już żar ziemskich ogniów ochłonał ulubienię ziemską. A ona wśród walki skonu ucałowała raz jeszcze czoło jego. Z wdzięków cudownych, z natury arcydzieła, pozostała jedynie garść ciemnego prochu. Ucałowanie jęj ostatnie wypaliło na czole Anioła piętno grzechu — bo on utonął w ziemskich urokach. On na wieki z nieba wygnańcem; zgasła na wieki jego pięknosc nieskończona — a wieniec promienny jego chwały pozostał na zawsze na stropie gwiazdzistym.

Rozumiem, iż może bez naciągania samowolnego mogę tę powiastkę zastosować do owego naszego pytania (*).

Otoż człowiek, rozkochany w pięknosci rzeczywistego świata, jęj się w zupełności oddając, daremnie ją stroi w skarby fantazyi, daremnie ją pieści miłością; on zawsze i zawsze będzie tym aniołem upadłym, który w przedmiocie doczesnym nigdy nie obaczy ducha swojego, nigdy się w nim nie przejrzy, nigdy go do siebie nie podniesie i z sobą nie zrówna. A będzie tęsknił w objęciu wdzięków tutecznych, on, wiekuistości syn; gdy zaś zapragnie tchnąć ducha swojego w te kwiaty śmiertelne, spali je tchem swoim; one umrą w jego objęciu, one nie wytrzymają tchu wieczności, a duch za

(*) W tęg powiastce poszedłem za T. Moore'm; odważyłem się atoli dwa jego odrębne poemata zlać w jedną powieść, a tak nie tylko skróciłem, ale nadto ośmieliłem się popaczyć ich pięknosc stosując rzecz do mojego celu i opowiadając ją po swojemu.

zapomnienie siebie straci gwiazdzisty wieniec istoty swojej nieskończonej.

Zaiste, przedmioty materialne, choćby najwyższego uroku, są przecież dziećmi z tego świata, są tylko względnie piękne, bo są oddane na łaskę bezokiego przypadku, który, jak wiemy, gospodarzy w świecie rzeczywistości. Niechaj tedy człowiek zdoła, stroi i umaja te ziemskie powąsania, niechaj w tym kochaniu swoim posiedzie niewyczerpane szczęśliwości zdroje; ale niechaj zarazem pomni, że te istoty, w rzeczywistości zrodzone, nie napoją, nie ukoją jego tęsknoty, której się cni i przykrzy bez kształtów wprost z ducha zrodzonych; bo w tych dopiero sobie zupełnie obaczyć zdoła. Przedmioty rzeczywiste, jakieśmy powiedzieli, są ułomkami tylko; one nawzajem trzymają się na uwięzi, a miłość serca najgorętsza nie wykupi, nie wyblaga ich z jęstwa tego; w nich przeto nie zdoła się zwierciadlić duch, bo on nie zna zawisłości tej.

Uważmy iż to właśnie ta fantazyja, spólna nam wszystkim, którą my już to wszędzie fantazyja *powszechną* zwać będziemy, jest tą mocą strojącą, miłą jestestwa z tego świata; ona przeto nie wystarczy, ona tedy nie jest jeszcze fantazyją w najwyższej potędze, nie jest jeszcze fantazyją *artystyczną*. Ona, choć tak bogatym skarbem w posagu nam danym na życie całe, choć bywa geniuszem pocieszającym w opuszczeniu i sieroctwie ziemskim, nie uczyni nas jeszcze mistrzem, bo ona sama jest jeszcze ziemianką. Ta fantazyja powszechna, która się wszystkim, choć w nierównej mierze, udziałem dostała, daremnie sili się i roztacza skrzydła swoje; wszak te skrzydła jej są obciążone biedą i ułomnością; ona zaledwie wznosi się na turnie, na Alp szczyty, gore-

jące dopiero piérwszym piękności świtem, ale niemo-
 cna by się wzbiła nad ziemię i aby uleciała w wysokości
 nadgwiazdne, kędy nie dochodzą żale tutecznego świata,
 kędy nie słyhać westchnień, i walki i pasowania się
 doczesnego żywota; ona nie mocna uderzyć w głębie
 idealnych światów, by ztamtąd sprowadzić niebiankę
 wśród ludzi. A choć duch odzieje te ziemskie przed-
 mioty czarodziejską szatą, toć przecież one będą tylko
 przyswojone jego dzieci, nie staną się nigdy krwią, ko-
 ścią z krwi i kości jego. Uważ, iż ta fantazyja powszechna,
 już tém samém, że piękność umiła, stroi przedmioty
 z rzeczywistości wzięte, już iście je odmienia, prze-
 twarza, jest tedy już i twórczą; ale ta jój twórczość nie
 jest jeszcze twórczością prawdziwą; jój utwory nie będą
 jeszcze zupełnie wolne od niedostatków rzeczywistości
 i natury, bo ta fantazyja sama jest jakby dziełem rze-
 czywistości powszedniej, sama nie jest wolną od jój
 niedostatków. Aby duchowa wiekuista istota przejrzała
 się w zmysłowych przedmiotach, niechaj wskrós będzie
 twórczą; stwarzanie strojów, zdobiących wdzięków nie-
 wystarczy; niechaj tedy postaci będą całe w duchu
 poczęte; a wtedy przyzna się do nich bogini piękności,
 a ty staniesz się świętym sztuki pomazańcem, uwień-
 czonym mistrza koroną. Ta fantazyja powszechna, jak
 obaczymy w listach następnych, wyjawi się jako fan-
 tazyja ludu, gminu; ona tedy dostarczy mistrzom wie-
 szczowej osnowy, którą ich fantazyja artystyczna prze-
 tworzy na prawdziwe dzieła sztuki. (*)

(*) Ob. obszerniejszy wywód o fantazyi powszechnej i arty-
 stycznej w Estetyce Vichera §. 379 i następne; jest to dzieło
 z którego często w tych Listach korzystałem. a godne by było
 poleczone czytelnikom młodym.

Jeżeli zaś ta fantazyja zwyczajna, *powszechna*, co przecież jest tak czarodziejską, tak lubą malowniczą zło-
cistych marzeń naszych, tak bogatą w pociechy i rado-
ści, nie zdoła jednak jeszcze być fantazyją *artystyczną*,
jeżeli ona nie zdoła jeszcze wybrańków swoich wy-
święcić na kapłanów sztuki pięknej, cóż dopiero rzec o
tój szarej czeladzi, która, mając się za natchnioną, woła :
„est deus in nobis“ choć w niej i ta nawet zwyczajna
powszechna fantazyja tleje zaledwie mdłą iskierką? Ów
rozumie że trocha brzęku i dźwięku w rymach, szczypta
imaginacyi, lada koncepcik, trocha czułości a dużo za-
rozumienia, dają prawo do wieńca poety; ów znowu
robi wiersze, cacka go tedy admiracyą rodzina, a kółko
przyjaciół z jego parafii raduje się wieszczem swojego
chowu; a jeżeli sentymentalnością rymowaną zdobył
sobie jakieś serduszko, i tak nie bardzo warowne, albo
popisze bez składu i ładu niestworzone rzeczy, co mu
przez głowę przejdą, nazywając to fantastycznością
genialną, wtedy już mizdrzy się sam do siebie i jest
pewien że dojdzie Parnasu na wielką radość Homera i
Sofoklesa, którzy tam już na niego u drzwi czekają.
Ów znów drugi, że się podlił wierszami przelotnym,
spaczonym wyobrażeniom, że sobie wylokaił wziętość
chwilową, radby ukryć pod laurem poety znieważone
czoło. Tamtem znów cieszy się że wierszami swojemi
poruszył serca zacne i poczciwe, że pieśń jego rozlegała
się po świątnicy duchowój czytelników; stąd wierzy że
jest wszechwładnym prorokiem, a nie chce baczyć, że
te głębokie boleści, radości i bez niego rzewną mu-
zyką już od dawna żyły i w tych żyjących ciepłych
sercach, i żyły po grobach, a zapomina tego, że on
tylko podszył liche wiersze swoje pod tę nutę świętą,

wspaniałą i uroczystą, a tak sztuczka zdobył upodobanie przechodnie publiczności swojej.

Przepuść mi jaskrawość tych uwag kilku, ale trudno być obojętnym, patrząc ile zdolności młodych u nas umiera na wierszowanie, które weale inaczej mogłyby służyć społeczności. Wszak tych niewydarzeńców powiększej części podrzuca chętką dania sobie dyspensy od trudu nauki, lub innej jakiej ucziwej pracy w życiu, a zjednania przecież sobie imienia bez mozołu. Kto atoli tak opojony własną miłością a prózną pochwałką nie obliczył się z sobą, zmądrzeje po szkodzie i pozna że życie młode przegrał w rymy; doczeka się tedy śmierci za życia i tej pociechy, że był na własnym pogrzebie. Jeżeli tedy kogo z młodych opadnie ochota do wierszowania i poezyi, niechajże ją uważa za ospę, za kur, odrę lub inną chorobę dziecięcą, którą trzeba odbyć za młodu jak pierwsze kochanie; ale umrzeć na te słabostki — nie uchodzi.

Zaiste fantazyja, o której mówiłem, nie stanowi jeszcze twórczości, mistrza, zaprzeczyć jednak trudno, iż ona i mieni się w każdym człowieku właściwą sobie barwą, i jest różną w ludziach wedle różnego stopnia swojej potęgi. Chętnie się też zgodzisz ze mną, iż w kim ta fantazyja wzmoże się całą głębią swoją, już niekiedy zagrzmie wszystkim akordem swoich strun i uniesie ducha prawie na pogranicze artystycznej twórczości; zabraknie mu może jeszcze tylko jednego uderzenia jej skrzydeł, by go przenieść w ojczyznę mistrzów piękności. Uważ nadto, iż nie ma mistrza bez tej fantazyi powszechniej, wszystkim nam wspólnej, że i on się nie obejdzie bez czynników a pierwiastków, które są

jéj warunkiem. Mistrz nie byłby tem, czém jest, bez onéj bacznéj czujności na naturę i życie, bez onéj tklivości gorącój, przybierającój do serca tak głęboko i namiętnie wszystko, co tylko świat w koło porusza. Nigdy nie będzie z ciebie mistrz jeżeli Natura, ludzie, świat zatrzęsły się w koło serdeczną radością a w sercu twojem nie ocknęło się Hosanna brzmiałem weselem. Nie będzie mistrzem, kogo do żywego nigdy nie przejęły piękące cierpienia, „kto nigdy nie przepłakał długich samotnych nocy“ (Göthe), i żarem boleści nie wytopił z siebie żuzelicy ziemskiej. Nie będziesz mistrzem bez wyobraźni potężnej, co silnym, ostrym konturem, zarzającym kolorytem nie wznowi mu rzeczywistości obrazów. Te wszystkie moce będą równie i mistrzowi w służbę oddane, a będą atoli w nim kipiały i robiły daleko wyższém tętmem niż w nas powszednich ludziach.

Ale nie tutaj jeszcze koniec istoty mistrza.

Mistrz, na mocy potęgi danéj mu łaską, z otchłani duchowych na jaw zmysłowy wywołuje postaci, wiekuistości człowieka zwiastuny. Ciała ich, choć okiem doczesném widziane, choć uchem doczesném słyszane, nie są z tego świata. One, lubo stają na nizinach tutecznego żywota, wiodą ród swój z nadświatnej krainy; ułomność, skon, jęctwo materji, tracą tutaj prawo swoje, a starta ich jest moc. Jeżeli ową powszechną fantazyą stać jedynie na to, oby otulić jestestwa zdobiącą szatą duchową, fantazyja mistrza ubiera wolne córy duchowe szatą doczesną, ciałem, by były widziane na ziemi. Tak przeto te szaty, te ciała, te powłoki ducha, same są czystém przezroczem, tchem duchowym, przez który świeci nieskończoność w ja-

snym majestacie swoim. Te ciała są tylko przyborem czasowym; rzekłbyś, że chwila jeszcze, a przybory te spadną i niebianka uleci oczom śmiertelnym.

Patrz, dziewica, przeczysta w sercu i niewinności rajskiej, rozraduje się w duchu, gdy na nią przyjdzie nieznane jeszcze miłości przeczucie — ona zapłonie rumieńcem; lecz te róże na licu dziewiczym nie są przecież wstydlivości ziemskiej oznaką, bo one nie z ciała się rodzą, one są ducha wykwitem. Tak i ciało, w które mistrz ubiera treść swoją, nie jest ciałem zmysłowym, ale tylko duchem widzialnym. Te postaci, to splot promieni, woni, uczuć, barw, tonów i światła. W nich niebo i ziemia obchodzą zrękowiny swoje. Tutaj doczesność ziemską zwlokła z siebie ciężkie śmiertelności ciało, a tak, przerodzona w niebiankę godną ulubieńca, rzuca się w objęcie jego. W tych dopiero postaciach doprawdy duch się przejrzy, w nich siebie znajdzie i powita równieccę swoją.

I stanęły te postaci przed okiem ludzi, goście ze świata ideałów; uroczyście i świętecznie patrzą się na nas z podnoża swojego; a spojrzenie ich tak tkliwe, tak miłości pełne, iż przenika do dna duszy naszój; a radbyś je ująć uściśnieniem rzewności nieskończonej, ale braknie ci „śmiałej odwagi, bo jakby urzeczony tym cichym spokojnym majestatem ich, staniesz nieporuszony“ (Schiller). Umilkną też wrzawy światowe, oniemieją w koło gwary i hałasy jarmarczne powszedniego życia, i w około umilkną zwady uczuć w pierśiach ludzkich, a dawno w nich zapadłe wyroczenie ożyją i odezwą się prorocstwem o wszystkiem co wielkie, zacne i wiekuiste. I w koło ucichną wrzawy światowe i gwary i hałasy; w milczeniu uroczystym,

głębokiem, dosłyszysz w tych postaciach marmurowych oddech niebiańskiego żywota, dosłyszysz, jak w nich tętni sercem nieskończoność. Co się zrodziło w jednej chwili, staje się dziedzictwem, drogą puścizną dla późnych pokoleń następných wieków.

Tak mistrz jest królem duchów a kapłanem, co ślubem miłości wiąże ducha i materyą. W jego dziele treść i forma, myśl i obraz, dusze i ciało w jedno ści są, nawzajem się przenikają i są stopione w jedną całość. Ta jedność dwóch światów nie jest zewnętrznym spojem. Obie strony nie są dobierane w czasie. One powstają jednem uderzeniem ducha, jednym gromem, one razem się rodzą, razem żyją, razem umierają. Obie strony mają się jako potęga dwóch odwrotnych biegunów elektrycznych; nie ma jednej bez drugiej; gdy się wzmogą, jednoczą się spólnym płomieniem. U mistrza treść jest już formą, a forma już jest treścią; on, gdy myśli, obrazuje, a obrazowanie jest myśleniem jego. U mistrza ciało jest tylko uwidomieniem ducha, a duch istnąc uwidamia się ciałem. I to jest fantazyja, twórca, artystyczna; ta fantazyja jest mistrza żywotem. A pyta cie skąd mu ta potęga? Ona mu łaską przyszła; jest to wielka jego wygrana, w chwili gdy się na świat ro dził. On jest szczęśliwym niebios wybrańcém.

Są chwile, gdy świat wydaje się jako olbrzymi dom roboczy, w którym mrówcze krzątanie i prace i trudy ku temu wyłącznie się mają, aby każdy, o ile tam może, opatrzył jakoś codzienne potrzeby swoje, i, jeżeli się uda, aby wydarł jeszcze na losie jakieś osobne dogódki dla siebie. Rzekłbyś, że w takich czasach jest zaiste obawa, aby człowiek na prawdę nie ugrzązł w tém życiu duszném i ekliwém, aby mu się

samemu kiedyś może nie sprzykrzyły te zabiegi, i aby mu się nie zmierziły i to życie własne i ten świat stęchły i czezy. Jednak, wierzaj mi, nie ma strachu! I najprozaiczniejszy człek, i w tak zaśniedziałym czasie, ma swoje marzenia, co choć we śnie odwiedzają biedaka. Śpiącego otacza ród swawoluy gnomków i geniuszków i barwi mu życie senne, i szepce i śpiewa mu tak dziwne powiastki, że choćgo wstyd na jawie przyznać się do nich, i choć nawet jakoś niemi pogardza i płoszy je ważnemi sprawami giełdy, kursów, akcyi, dywidendy i t. d., owe piosenki i rusałki i gnomki brzęczą mu przez sen i burczą mu na jawie, jakby muszki złociste około uszu, i brzęczą w duszy. A zbierają się znowu natrętki na nocne odwiedziny i stroją niewczesne żarte i figle. Otóż, zważ, ci figlarze i próżniacy, gdy się bardzo zagęszczą, wyprzedzają rzeczy świetne i pełne grozy; wtedy one są zapowiedzią, iż nastaje czas, w którym światu mistrze się zrodzą, co zetrą pleśń ze życia i poruszą zastałe serca i dusze ludzi.

Znasz te ciche, święte nocy, gdy natura obchodzi uroczyste nabożeństwa swoje; gdy księżyc poświęca drzącą marzy po dolinach i wzgórzach kwiatem i ziołem szytych i zagląda srebrnym spójrzeniem w tajne głębie boru, świeci krzyżem na domach Pańskich, mruga na szczytach grodów starych; gdy brylantem zapalając okienko pod strzechą niską, drzy w rosy kropelce na lisciu zawieszonej. Doliny i góry, drzewa i jeziora, przybytki Boże i mieszkania ludzi, otulone tajemniczą fantazyą nocy, zasnęły i marzą, stając się jakby własnym widmem swoim, a tłumy skoczne iskier srebrnych płasają w potoku; więc i on śni o

kąpiących się w nim rusalkach cudnych i przez sen coś mruczy; przez sen też całują się rozkochane kwiaty. Lekkie, rozwiewne obłoki, co niewiedzieć skąd przyszły i dokąd uchodzą, gadają śpiącej ziemi bajeczki czarodziejskie, a ona zapomina o troskach i znojach dziennych — i śpi. W tych nocach cichych sama natura jest artystą i chuchem poezji odziewa świat, by zanie przyjął posłannicę z piękności krainy, co, jakby kochania dreszcz, przelatuje śpiące życie. W tych nocach świętych Venus-Urania zstępuje na ziemię. Żaden z ludzi powszednich nie ujrzał nigdy przychodniej zwiastuny; nikt z nich nie dotrzymałby obliczu niebianki. O jej nawiedzinach szepce tylko wieść, co z pokolenia na pokolenia falami spływa, krzepiąc jej wiarą i otuchą. A zwiastuna niebiańska z cicha i niewidzialnie wstępuje do komnaty, kędy dopiero co gość młody, mający odbyć pielgrzymkę przez życie, płaczem i kwileniem powitał pierwszą chwilę ziemskich trudów. Matkę po pracach boleści ukołysały snem łzy rozkoszy i szczęścia uśmiechy. Posłannica ze świata Fantazyi stanęła nad kolebką niemowlęcia i położyła mu na czole jedną z swoich gwiazd; po tej gwiazdzie go pozna, gdy kiedyś ją złoży nieskalaną, nieprzyćmioną u stóp wiekuistego tronu, dokonawszy zanie swojego posłannictwa na Ziemi.

I gore gwiazda na dziecięcym czole, a gore wróżbą przyszłych cierpień i przyszłej chwały, a nikt z ludzi nie dostrzega tego nieskończoności znamienia; jedna tylko matka, czuwając nad kolebką długie tęskne noce, niekiedy obaczy jasność na skroniach dziecięcia swojego; bo miłość matki, to także gwiazda Boża; ta miłość także nieskończona i bez granic; a więc serce

matki miewa chwile, gdy błysnie jasnowiedzeniem i magią przeczucia. Dla tego gwiazda Boża w sercu matki poznała gwiazdę Bożą na dziecięcym czole.

Wyrosło dziecię w pacholę — huczy i szaleje radością z innemi po łączkach i krzewach. Lecz gdy się wyhasa, wyhuka, znów czegoś dumające i smętne; w głowie coś mu ciśnie i boli, a gdy samo jedno z daleka od zabaw hałaśnych chowa się w zacisze, wtedy nawiedzają je niekiedy jakieś śliczne i grzeczne chłopięta skrzydlate a tak miłe i cudne, jak te dzieci niebiańskie na obrazie w kaplicy; i podają mu złociste jabłuszka, i obrazki świeciste, i wianuszki pachnące, i z nim się bawią i prawią powiastki tak ciekawe i cudne, że już chłopczyzna i na łączce, i w ogrodzie i w szkole, i w domu myśli i marzy o tych ładnych i maluchnych przyjaciółach swoich. Nikomu też o nich nie powiada, choć nie wie gdzie mieszkają i skąd przychodzą, a czasem nawet siadają mu na łóżeczku i coraz śliczniejsze opowiadają powiastki i pieczą go i całują, póki nie uspią.

Chłopczyzna wykwitnął młodzieńcem; on marzy o czarodziejskich latach dziecięctwa swojego, a tak mu czegoś ciężko na sercu, tak ciasno na tym świecie, że mu dusza zaszła tęsknotą; pragnie puścić się wędrownym obłokiem, co płynie po niebie i pożeglować gdzieś daleko. W piersiach mu duszno, parno, w nich roje słońce radeby na świat się rodzić; w duszy coś mu śpiewa, i gra i płacze, coś się rusza jakoby ożyły w nich nuty do przyszłych tryumfów, do hymnów na przyszłe dzieje ludzkie; ale jemu tak ciężko i tęskno w sercu! Mozół młodego życia, nauk trudy, powołanie przyszłe, co olbrzymem pełnym grozy staje przed nim

i napomina i przestrzega, nie zdołają spłoszyć jakichś postaci dziwnych, co choć nigdy niewidziane, przecież znane od dzieciństwa, to nurzą się w głębi duszy jego, to znów wyświecają się na jawie kształtem czarodziejskim. Mozoly, trudy, grozy żywota nie zdołają ostudzić kipiącego waru serca i zagłuszyć w niem tych rozmów cichych, a przecież tak głośnych a wymownych, co szepcą językiem nowym, przecież tak jasnym i rzewnym. On sam siebie nie poznaje; jakby oczyniony, urzeczony obcą mu siłą, przeczuwa że już sam do siebie nie należy; on nie swój, a coś mu gada że go obca posiadzie potęga, której przemódz nie zdoła, której się nie obroni. On choć nie wie, co go czeka, oczekuje jednak sam stanowczej chwili, to z jakimś tajemniczym lękiem a trwogą, to znów z radością i przeczuciem tryumfu. „On dziwaczy“ mówią jedni, „to marzyciel“ mówią drudzy, a matka myśli o światłości widzianej niegdyś w kolebce, i biedzi się i troszczy, bo jęj syn chory. Miotany jakby strachem i niepokojem miłości, stroni od gwaru ludzi, od zamieci i kurzawy codziennego życia; spina się po szczytach obłocznych turni co z wysokości podniebnych patrzą w gwiazdy, nie słyszą wrzawy kłopotnej i bitki o chleb powszedni. Tu bliżej Nieba radby odetchnąć — ot tak, całém, pełném sercem! Radby skąpać ducha w powodzi oddechów natury, w jęj światłach i barwach przeczyszcanych. Pragnie zwierzyć się przyrodzie, wypowiedać się jęj ze swojej tęsknoty bolesnej, ze swojej dumy zuchwałej i z lęków trwożliwych; on u natury spodziewa się utulenia niepokojów i ochłody dla serca trawionego żarem.

Turnia skalna samotna, wzniesiona nad świat;

w koło cisza głęboka, natura się modli, powiew wieczności ucałował świat. W koło majaczą gorzkie tchy, roją się lotne mgły; a tchy i mgliste ziewy jakby westchnienia ziemskie spływają z farbami Nieba, co je maluje wieczną purpurą, ogniem zachodu i błękitem nieskończonej przestrzeni; a te barwy natury spłoty widziadło, co jest jakby powietrznym zjawiskiem, jakby niewieścią postacią. A postać po imieniu go wita i pozdrawia, jako piękności wybrańca. „Rzuć“ woła „rzuć, coś polubił ziemskim Kochaniem a pójdź „za moim zakonem; sięj siębą kwiatów nieśmiertelnych, co zacne i wielkie na świecie! Tobie dane „władztwo nad sercami, tobie oddana natura w posługi, tobie roztworzą się przeszłości groby, zrozumiesz mowę ludów, co od lat tysięcy zasnęły w całunie historii; tobie dana wyrocznia przyszłych pokoleń, które dopiero zrodzić się mają; słuchać cię będą „głazy, technij a ożyją. Posłuszne ci będą światłości „i cienie, barwy i tony, rozwiążę ci usta byś wie „szczył światu. Co tajemnica dla dumającej myśli, toć „serce odgadnie, gdy w swych głębiach zadygoce od „ciebie wezwane. Lecz bądź prawdy kapłanem, bo „co ty uczysz, będzie uczzone, choćby od dawna było „w zelzeniu. Za dotknięciem twojem w proch się „rozsypią skłamane wieńce, a kłamstwo potępione przez „ciebie nie zazna już pokoju; pokutować będzie przez „wieki w twoich marmurach, w pieśniach twoich, a zło „czyńca niby upiór gnany będzie przez scenę dramatu twojego, sobie na karę, ludziom na ohydę i „wstręt. Bo tobie oddane są w rękę szale, byś ważył „i sądził.“

Słońce spojrzało raz jeszcze na naturę i oblało

potopem złotego rumieńca świat, — a świat zabrzmiał niby arfa Eolska pod nieskończoności tchem. Z nizin mieszkań ludzkich słysząc dzwon kościołka wołający na nabożeństwo.

Zaiste, mistrz staje się mistrzem przez łaskę, jest to los szczęścia wygrany z urny ludzkich doli.

Zważ, dziw przejmuję ludzi, gdy w naczynku kryształicznej wody, pod potęgą li promieni i ciepła wystrzeli świat zielony. Zrazu widzisz jakąś bezkształtną powłokę, tkanę martwą, lecz gdy ją ujmiesz szkłem drobnowidza, państwo roślinne roztoczy się w cuda tysiąca nocy i jednej. Obaczysz znagła okolicę pełną wdzięków i rozkoszy; tu wiją się jakby na żarty krzewy i kwiaty misterne, tam powiewają śmigłe drzewka o formach fantastycznych; ondzie ciągną ciemne bory, puszcze nieprzebyte, straszliwe; gdybyś ich nie mógł zatopić jedną wody kropelką; oto wglądasz w ojczyznę figlarną chichocących gnomków co tu hulają, niedójrzone okiem ludzkim. Skąd się wziął, pytasz, ten światek, co sobie niby drwi z naszych ziemskich widoków? czyli posiewem jego chuch powietrzny, promień słoneczny i niebiańskie lazury? Patrz znów w przepaści najgłębsze nocnego nieba. Widzisz tam w onej bezdeni ciemnej, nie ludnej w gwiazdy, ów samotny, lekki, lotny dymek, co jakby dech natury bieli się marą? — to zawiązek przyszłych światów, powiada umiejętność; ten dech lekki zetnie się kiedyś w planetę, może nawet w słońce, może nawet w cały system ciał niebiańskich; to ziarno w tym ogrodzie bożym stanie się pączkiem, kwiatem pod ciepłem i światłem miłości nieskończonej. Tak, kędy, rzucisz bacznością natrafisz na tajemnice zrodzeń; zewsząd na ciebie patrzą się

sfinxowe zagadki i pytają o tworzenia święte misterye. Czyliż nas tedy mniej obchodzą te tajemnice rozwijających się światów w duchu mistrza, te misterye rodzenia się słońce, firmamentów całych w piersiach śmiertelnego człowieka?

Zaiste, warto podpatrzeć te otchłanie, w których robi i pracuje duch, warto i podsłuchać boleści i tryumfów jego. Zanim atoli wstąpimy do tej przenaświętszej świątnicy piękności, zechciej baczyc na prawdy już powyżej wspomniane. Wszak mistrz ma treść swoją wcielić w dzieła swoje, wszak ta treść duchowa i ciało, w które się ona przyodziwca, winny razem się zrodzić; treść a ciało powstają razem wywołane do istnienia błyskawicznym gromem ducha twojego.

Widzisz przeto już że mistrz winien sam mieć treść w duchu bogatą i głęboką, aby również treść pełną ciężkiej wagi mógł przelać w dzieło piękności; — niechaj tedy duch jego będzie jednego odlewu, niechaj myśl jego będzie spotęgowaną całym zasobem wiedzy i nczuć, niechaj umie rozmówić się z duchami natury, niechaj cała przyroda roztworzy mu serce swoje, niechaj on przejrzy wskrós sprawy codzienne ludzkie i dzieje świata. Naród płytki, człek płonny z biedną myślą a głuchém sercem, nieuk, nie będzie mistrzem; dzieła jego przeminą, jak one jednoroczne kwiaty, co, wychuchawszy z siebie wonny dech, nie wytrzymają burz i zamieci zimowej w ludzkich dziejach i pójdą jakby liść suchy wiatrom na poniewierkę. Niechaj mistrz panuje obszernym dzielnicom w rzeczywistości, niechaj umie duchem zanurzyć się w prawdach wiekuistych, co nie konają nigdy; bo jeżeli się zakocha w jakiejś treści skłamanej, co jedynie żyła życiem

przypadkowém, zmyśloném, w jednym rychło przemijającym ustępie czasu, — wtedy ta treść będzie jako kochanka którą umarłą z grobu wywołał; on tchem ożywym, najgorętszym uściskiem nie zdoła zbudzić jęj serca pukania, on sam przy nięj skrzepnie śmiertelnym mrozem.

Powtóre, mistrz winien przelać treść duchową w ciało, ale ciało to jest przecież własnością ślepych potęg natury; tēm ciałem jest materyą, owa dzika, ciężka, gruba osnowa zmysłowego świata, a mistrz ma ją przeistoczyć na szatę dla tēj treści ducha, na owo przezrocze czyste, w którém promień będzie nieskończoność wiekuistém światłem swojego majestatu; ta szata, to ciało materyalne na być tym lekkim, lotnym przyborem, w którým się zjawia gość z nadgwiadnej dziedziny.

Tutaj, przeto, rozpoczyna się dla mistrza mocowanie się na zabój, walka o życie z materyą surową nieużytą a zazdrośną i duchowi wrogą. Kto pragnie wygrywać pieśni z innego świata na sercach ludzkich, kto chce duchom władać i stać się ich panem, winien wprzód poddać w jęctwo swoje materyą i uczynić ją posłuszną skinieniom swoim i rozkazywać jęj jako mistrz. Naucz się istoty tych potęg upornych, zawziętych. Umięj obchodzić się z marmurem, byś przemógł jego dumny hart; wiedz jako rozkazywać barwom, światłu i ceniom, przestrzeni i tonom, byś je miał na zawołanie, jako czarnoksiężnik ma na zawołanie demony swoje. Naucz się własnego języka twojego, naucz się jego sumienia, jego serca, podpatrz jego tajemnice; poznaj się z czarami jego potęgi, co w nim żyją zakłęte; umięj z niego wskrzesić pioruny i burze, płacze

i muzyki anielskie, jeżeli chcesz by ci mowa twoja zagrała i zaśpiewała pod piórem, jeżeli chcesz, by ci była talizmanem do potęg, do uczuć, co śpią nieznaane w topielach piersi naszych! Tak jest, naucz się języka twojego, naucz się jego sumienia; ale pamiętaj, że tu głowa, że tu rozum nie wystarczy; przyłoż serce do serca twojej mowy, bo tak jedynie uczujesz jej tętno tajemnicze, pokochaj ją z duszy jeżeli chcesz być od niej kochanym. Jeżeli ta mowa twoja nie będzie ci potulną, jeżeli nie będzie powolną twoim myśлом i uczuciom, nadaremnie będziesz przysięgał, że ją kochasz, — nikt ci nie uwierzy!

Słowem, zanim się pokusisz być mistrzem, umiej wprzód być technikiem, zanim urościsz sobie prawo do posłuszeństwa materyi i do jej służby, wprzód sam bądź jej sługą, polecaj się jej pilnością niezmordowaną, nie folguj sobie w pracy, zjednaj ją sobie wytrwałością niesprzykrzoną; bądź jej poddańcem byś się stał jej władzcą; — bo zważ, ten świat zmysłowy ma przecież własne prawodawstwo, które uznaje, któremu hołduje a obojętny jest dla praw duchowych człowieka. Jeżeli tedy człowiek zechce, by materya stała się wyrażeniem jego duszy, winien opłacić jej potulność krwawym trudem, sileniem się, wprawą, cierpliwością bez granic. Jeżeli materyą hardo pominiessz, ona się nad tobą mścić będzie za lekceważenie; tyś nie uznał jej potęgi, ona twojej nie uzna, a wtedy daremne będą twoje zrodzenia duchowe; te piękności, wypiastrwane w głębi piersi twoich, gdy wystąpią z tajników wewnętrznych, rozbiją się, zgruchocą o tę materyą, którąś poniewierał; ona cię odepchnie od siebie z urąganiem a wyśmiechem. Przyszły mistrz niechaj oswoi się z

każdą wiadomością, z każdą wprawą i zręcznością mechaniczną, z wszystkiem, co tylko ze sztuką jego w związku zostaje; niechaj nie ominie żadnego pośredniego szczebla w kształceniu swoim; niedouczenie się stworzy jedynie partactwo, a w najszczęśliwszym razie wyda lubownictwo, amatorstwo, co nawet mimo świetnego talentu nie będzie przecież nigdy mistrzowsstwem (*). Człowiek w tej ziemskiej gospodzie swojej niczego nie dokona bez biedzenia się i mozołu. Po tym świecie naszym nie przeszedł jeszcze nikt, choćby najświetniejszy gieniusz, któryby się chwałę swojej dokupił bez znoju i silenia się a łamania z sobą, tudzież z osnową którą sobie podbił hartowną pracą. Ludzie widzą tylko sam świetny laur na skroniach mistrza wielkiego, którego postać olbrzymia wgląda w późne pokolenia jako strażnica przyświecająca im na wędrówce przez życie, a którego chwała idzie na cześć jego wieku i narodu; ale już dawno ktoś powiedział że mistrz ma laur ten tylko dla ludzi, dla świata, dla siebie zaś zachowuje tajną, niedostrzeżoną od ludzi,

(*) Przykładem i wzorem światnym w tej mierze jest młodociany Krakowianin *Henryk Statler*; on od wczesnego dziecięctwa łamał się z techniczną stroną swojej sztuki rzeźbiarskiej i pracą wieloletnią, wytrwałą przewycięzał upor materji; a dziś, gdy przemógł one wszystkie trudności, już rozwija swobodnie skrzydła swojego natchnienia unosząc się do ideału piękności. Dziś, mężowie sławy szerokiej jak świat, bo *Kornelius* i *Overbeck* piszą o tym młodzieńcu dwudziesto-letnim, że dzieła jego mogłyby być zaszczytem dojrzałego i ukończonego znakomitego artysty, i wrożą mu najświetniejszą przyszłość. A tak *H. Statler*, krom gieniuszowi swojemu, zawdzięcza usilnej pracy swojej że dzieła jego rosą jemu na chwałę a miastu rodzinnemu i krajowi całemu na chlubę wielką.

koronę z passiflory, wieniec skrycie przebytych boleści i trudów. Zaiste ten smętny wieniec z kwiatów cierpień, mistrz bierze z sobą do trumny; on go razem z ową gwiazdą, odebraną przy urodzeniu, złoży u stop wiekuistości tronu, dokonawszy zacie posłannictwa swojego na ziemi.

Mistrz tedy przemógłszy ślepa, głuchoniemą materyą, już nią gospodarzy wedle woli swojej, a tak zdoła z niej uczynić formę, postać odpowiednią treści duchowej.

Lecz przypuśćmy że np. mistrz-rzeźbiarz umie już obchodzić się z marmurem, że już gład potulny mięknie kornie pod uderzeniem dłuta, jakaż postać, śpiąca jeszcze w bezkształtnym bałwanie opoki, ma z niego wyskoczyć na jaw? — czy Gracye, czyli Mojżesz Michała Anioła, czyli Boga-Rodzica? — Toć zależy, powiadasz, od treści, którą ma przelać w tę postać a formę. — To prawda! Zważ atoli że jeżeli już będzie treść poczęta w tajnikach duszy, i jeżeli z tą treścią nie zrodziła się zarazem odpowiednia jej forma, postać czyli obraz, mający być wyrażeniem, zewnętrznem, bo wcieleniem tej treści, już wtedy dzieło będzie spaczony w zawiązku swoim. W razie takowym treść dzieła przyszłego, właśnie dla tego iż zrodziła się bez ciała, jest myślą gołą, jest dziełem rozumu i refleksyi zimnej, a tém samym nie będzie bynajmniej wolnej fantazyi kwiatem, więc nie będzie i dziełem artystycznem. Choć później dla treści takowej przybierzesz zewnętrzną formę, ciało, wyrażenie, przecież obie te strony, bo wewnętrzna i zewnętrzna, bo duch i ciało, bo treść i forma nigdy już nie spłyną w jedność doskonałą, a zespolenie ich nie będzie ślubem, w którym niebo i ziemia spłynęły gorącą miło-

ścią; będzie to związek naciągany, będzie to skojarzenie dokonane mocą gwałtu i przymusu, a dzieło będzie skręcone i pozali się jękiem jakby struny zerwanój.

Przecież o tój jedności koniecznój wspomniałem powyżej, gdym rzekł, że treść a jój uobrazowanie, to jest forma, winny się począć jednym i tym samym gromem w głębinach duchowych, że u prawdziwego mistrza myśli są obrazem, a obrazowanie u niego jest myśleniem; ale o tём wszystkiём jeszcze później mówić będę, bo ta jedność obu stron stanowi właśnie istotę dzieła sztuki; nie zawadzi tedy wyłożyć ja najdokładnziej.

Tutaj zaś wyraźnie już widać, iż gdy rodzenie się treści nie powinno się odbywać przed poczęciem formy i ciała dla tój treści, zatem też pierwsze potrącenie twórczości mistrza nie powinno pójść od ducha jego, ale od zewnętrznego, rzeczywistego świata. Zjawiska tego świata same przez się już są formą, uwidomieniem pewnój myśli i treści w nich zamkniętój. Jeżeli tedy te zjawiska uderzą, mistrza, a staną się zarodem dzieła sztuki, już go natchną; on je chwyci i w jednój chwili przeistoczy po swojemu, da im treść i formę, a dzieło piękności urodzi się światu. Ale o tём obszernie jeszcze pomówimy, tutaj rzućmy tylko wprzód okiem na ten rzeczywisty świat, o którym wspominamy. Jakoż cała rzeczywistość otacza nas do koła oceanem bijącym falą nieskończonych zjawisk. Zrazu potęgi natury tu odgrywają ten dziwny a magiczny dramat swój i występują na scenę całym orszakiem widziadeł to lubych i wdziecznego uśmiechu, to straszliwych i groźnych; to przyroda piastuje człowieka jakby matka tkliwa, i karmi go i kołysze i pieści i bawi; to znów nasyła

na niego tytany wrogie, nieubłagane, co głuche na jęki, na cierpienia, na płacze ludzkie, dławią i dręczą i męczą. A człowiek to zwija się boleścią za dotknięciem tych ślepek demonów, to uspiiony rokoszą w ich objęciu marzy i śni o szczęściu rajskiem, niezamąconém nigdy. Pogoń wzrokiem znów w świat duchowy — tu historia zasiadła wysoko nad ludzkim rodem, a na stolicy opocznej, wyniesionej po nad lat tysiące, nad państwa i ludy, w cichym majestacie patrzy się na przepływające pokolenia i zapisuje mocowanie się narodów i stóleciów i ich służby w sprawie ucłowieczenia człowieka; i znów domaga się liczby od bohaterów dziejowych naszego rodu, tych robotników swoich, i nie policza im na rzecz pańszczyzny, odrobionej wiekuistemu Panu, wszystkich, choćby najświetniejszych dzieł, które nie poszły na chwałę ich posłannictwa, a świata na zdrowie duchowe i moc. Tu się odbywają „sądy ostateczne“ uad światem.

Albo, gdy z tych wysokości zawrotnych spuścisz oko w nizkie padoły powszedniego życia, już, byłeś miał oczy ku widzeniu a uszy ku słuchaniu, ockną się koło ciebie, wprawdzie nie światogłóne, nie grzmiące przez stólecia, nie mniej jednak zajmujące dramaty codziennej historii człowieka. Te tragedye, te komedye, choć odegrane w rodzinném zaciszu, przy ognisku domowem, staną się dla mistrza głęboką jak morze, nigdy nieprzebraną, wciąż się odradzającą ośnową, co rozrzewni i wzniesie radością, i znów rozkwili wszystkie uczucia duszy naszej. Wszak każda rodzina, każde serce ma swoją biografią, swój tajny żywot, co, będąc małym jój światem, poda też cały świat bogatěj treści prawdziwemu mistrzowi. Któż zdoła zliczyć te głębokie i

wysokie tony, te mrozy a upały, te tęsknoty i nadzieje, uciechy i smutki ponure, zgrozy i miłości, te uczucia, to mętne i skalane, to czyste i anielskie, te trwogi, radości, co w ciągu życia na przemiany miotają, pieszczą, szarpią i usypiają to biedne serce człowieka, zanim nie spocznie na zawsze, jakby w kolebce, w cichym grobie swoim. Bądź wieszczem tych wewnętrznych a tajnych dziejów piersi naszych, a zaśpiewasz poematem ogromnym, cudownym; każdy jego ustęp będzie jako rozstopne rzewne adagio lub allegro hoże.

Nie ma co, podobno, wspominać ci o innych jeszcze osnowach; natracę tu jeszcze tylko jedną, a zaiste najwyższą, bo wrażenia a uczucia religijne, co tak proste i naiwne, jak paciorek poranny z ust dziecięcia, a tak głębokie, jak najgłębsze mądrości słowo, tak łagodne i miękkie jak tchnienie wieczornego powiewu, co unosi fiołków woń, a tak potężne jak owe moce, co obracają wszechświatów bieguny i słońca i gwiazdy.

Słowem wszystko, co się w Naturze, wszystko co się w duchu święci, co tylko porusza serce człowieka, rozkłada się nieprzeliczoną ciżbą przedmiotów przed obliczem artysty; a każdy z tych przedmiotów może potrafić fantazyą do czynu, rozplomić w niej stwarzania potęgę. Duch mistrza patrzy się na świat, jako na własną wewnętrzną treść, rozłożoną w przestrzeni, a rodzącą się w czasie. Świat ten jest jakby uwidomioną symboliką własnego wnętrza artysty. Jeżeli przeto z tych tłumów zjawisk jeden przedmiot spotężnieje i uderzy fantazyą mistrza, już zatrząsie nią do dna; odgłos uderzenia rozlegnie się po przybytkach duchowych, jakby grzmotne wołania archanioła, i z głębokiego snu przebudzi uspioną w nim treść, właśnie

temu przedmiotowi odpowiednią. Lecz ziemski przedmiot ten zarazem uchwycony przez wiekuiste potęgę ducha, zanurzony w jego tajnicach świątych, zmiera śmiercią, a ogarniony żarem duchowych mocy wypala z siebie co doczesne; tak przetopiony, przeistoczony fantazyą staje się promiennym ciałem owęj treści razem z nim poczętęj. Jest to przemienienie rzeczy skończonej na dzieło duchowe piękności, co teraz na podziw ludziom występuje w świat.

Takowe przeto są zrodzenia sztuki pięknej; o nich jeszcze ponizęj obszernie wspomnimy. Chciéj tylko pamiętać, że istotnie pierwsze potrącenie idzie od zewnętrznego przedmiotu; pamiętaj, co stara wschodnia wieść niesie o „onej muszli biednej, niby śpiącej w ciemnych wód topielach.“ Ona daleko od światłości barw niebiańskich, przykuta do skalnego oceanu dna; lecz gdy się szalem rozhukają mórz przepaści, i z zewnątrz ziarnko piasku wpadnie do maluchnego przybytku jéj, i podrażni ją z lekka, już ze snu rozbudzi się muszla śpiąca, i sili się biedna i mocuje z nié, aż je odzieje osnową kosztowną swojego żywota. Tak, co było tylko ziarnkiem piasku, występuje na świat z tajnic wnętrza przemienione w perłę drogą — co w ciemnicy zrodzone, świeci teraz we wszech niebios barwy. Podobnie niechaj mistrz, wieszcz, osnowę bezkształtną, surową, którą mu narzuci świat, odzieje ducha promieniem, przemieni na perłę kosztowną, którą zaświecić ma w koronie piękności niepokalanéj. Jeżeli zaś odwrotnie dzieć się będzie, jeżeli do treści już w nas rozwiniętej zechcemy dobierać formy, jeżeli będziemy chodzili po świecie, by od rzeczywistości wyprosić, wykwestować jakieś ciało dla duszy, którą mamy już gotową, na

podoręczu, — wtedy, jakieśmy rzekli, obie strony nigdy nie stopią się w jedną całość; nie stworzy się tutaj bynajmniej dzieło piękności, ale się skleci jakaś sztukowana łatanina, robota samėj zimnej reflexyi, a choćby nawet dowcipu; jak to jawnie pokazują owe biedne poemata mękami wyciśnione ze samego mozgu, którym atoli nie przyświecał ani jeden promień natchnienia. W takowych razach treść owa, właśnie dla tego, iż nie ma ciała, będzie wprost myślą, abstrakcją, czémś ogólném, a wtłoczona przeto we formę, w obraz, uczyni z nich również abstrakcją, zabije ich życie, zetrze z nich wszelką indywidualność, zamieni je na ogólnik czyży i głuchy w sobie. Dobitym przykładem jest tu allegorya; w której wyraźnie widać, że treść a forma, że dusza a ciało bynajmniej się nie trzymają siebie. To ciało, będąc ogólném, bez indywidualności, mogłoby wielce wygodnie obejść się bez tój treści, którą mu narzuconó, i stać się gospodą dla innej jakiejś osnovy, nie mającej gdzie się podziać. Oto np. ta figura skrzydlata ma znaczyć niby los szczęścia, niby Fortunę, ale onaby mogła równém prawem wyobrażać chwile ulotne, miłość, westchnienia, uciechę, sen, tony, sławę; bo to wszystko jakieś skrzydlate, płoche, ulotne. Wszak figury geometryczne właśnie dla swojej istoty ogólnej, abstrakcyjnej, beztreściwej, od wieków są sławne z cierpliwości swojej; to istne gospody przy gościńcu, kto tylko chciał w nich się mieścić. Koło, kwadrat, a mianowicie trójkąt, tak od ludów pradziadowych jak i za naszych czasów, mianowicie gdy o jakieś sekreta chodziło, były używane za godła, za symbole różnych a różnych znaczeń; a te biedne figury

poddawały się różnym konceptom z bezprzykładną rezygnacją.

I na wzajem, ta treść rozumowa, którąś samowolnie wcisnął w to ciało, mogłaby się zupełnie bez niego obejść, i siedzieć komorą w innej jakiejś formie; a im treść będzie ogólniejsza i mniej ocechowana, tem łatwiej jej przyjdzie znaleźć dla siebie łupinę, a jeżeli już stanie się czystą myślą, prawdziwie abstrakcyjną, wtedy może się zupełnie obejść bez obrazu i ciała. Wszak umiejętność w najściślejszem znaczeniu, właśnie w prostej, bezbarwnej, najprozaiczniejszej prozie znajdzie najwłaściwsze wyrażenie swoje; boć umiejętność takowa ma tylko sprawę z myślami samemi. Tutaj fantazyja zupełnie bez kredytu.

Jeżeli tedy w dzielnicy piękności wprzód w myśli wykończymy treść, duszę naszego dzieła, a potem dopiero ją odziejemy jakimś ciałem, już wtedy nie spodziewajmy się żadnych związków ścisłych obu stron, rozlecą się lada kiedy. Treść owa może mieć ten sam przypadek, który się przytrafił duszy Hermotymusa. — Co to Hermotymus? — Ba, jest to stara historia, bo się wydarzyła, jakoś temu dwa tysiące sto lat z górą. Hermotymus był to filozof, ale wcale niesobliwy. Przecież zebrało mu się na imię w historii, bo był nauczycielem wielkiego Anaxagoresa, który materyalistom swojego czasu wprost rzucił w oczy prawdę, że to nie materya, że to nie żadne atomy budują świat, ale że wszechrzeczami rządzi rozum wiekuisty, czego mu, mówiąc między nami, jeszcze nie jeden z dzisiejszych badaczy przyrody zapomnieć nie może. Otoż, co do

tego Hermotymusa rzecz się tak ma. Ciało i dusza nie były u niego wcale zbyt silnie połączone. Dusza jego, jak czysta abstrakcja, mogła wedle zechcenia zwlec z siebie ciało, zostawić ją jako kapotę w izbie, a samu puszczać się na przechadzki i bałamucić się po świecie jak się jój żywnie podobało. Nie odmawiał sobie też Hermotymus tój przyjemności, zwłaszcza w czasach gdy zachodziły jakieś nieporozumienia między nim a piękniejszą połowicą jego istoty. Bo trzeba ci wiedzieć, że nasz filozof miał żonę; co mu właśnie było na zgubę. Jakoż posłuchaj. Pani Hermotymusowa od dawna krzywo się patrzyła na te absentowania się swojego małżonka. Więc pewnego razu, gdy po nader żwawej sprzeczce domowej, dusza Hermotymusa, pragnąc dystrakcyi, wyprawiła się na jakiś dalszy spacer, jójmość u siebie uchwaliła położyć koniec tój konduicie mężowskiej i wypłatać mu figła, coby raz na zawsze popamiętał. Zatem, jak weźmie płakać, krzyczeć, desperować, aż na ten lament zbiegły się sąsiady, przyjacioły i komoszki; nuż im pokazywać ciało martwe najukochańszego męża, mówiąc, że z nienacka umarł zostawiwszy wdowę w nieutuloném nieszczęściu. Skończyło się na tём, iż przyjacioły i sąsiady i komoszki, życząc serdecznie pofolgować biedaczce i usunąć z jój oczu widok tak żałośny, czém prędzej zawinęły sie około pogrzebu, i co tehu wedle ówczesnego zwyczaju spaliły ciało. Zgadnąć nie trudno wcale, jak się zafrasował biedny Hermotymus, gdy wróciwszy z owęj wycieczki zmiarkował despekt, jaki mu wyrządziła małżonka; w końcu jednak sobie wyperswadował, bo pomyślał, że sobie przecież gdzieś dobierze jakieś ciało, coby było jako tako prawie na niego, a nadto wiedział, iż w naj-

gorszym razie, gdyby się uparł, mógłby i zupełnie obejść się bez ciała. — Więc... i t. d. i t. d.

Chciój tylko zważyć jeszcze mimochodem, że gdy myśli abstrakcyjne znajdują najwłaściwszy sobie wyraz w prozie bez postaci bez przenośni żadnych, zatem też znać, że myślenie filozoficzne, abstrakcyjne, myślące bez obrazów, przeszkadza fantazyi, niby myślącej w obrazach.

Baczmyż dalej, że lubo pierwsze potrącenie pochodzi od zewnętrznego przedmiotu, toć jednak dzieło piękności, wywołane tém potrąceniem z ducha artysty, będzie różne wedle różnego nastrojenia jego fantazyi. Ten sam przedmiot błysnie jednemu jakby zwierciadłem magicznem i pokaże mu postaci i metamorfozę obrazów, opowiadających dzieje życia ludzkiego, a tak poda osnowę do romansu; drugiemu tenże przedmiot znów wskrzesi chóry geniuszków, co w głębi duszy zaintonują cichą, niedosłyszaną od świata muzykę, a będą mu śpiewać i grać i nie dadzą pokoju, dopóki nie zaklnie tych tajemniczych śpiewaków i graików w nuty, w owe hieroglify tonów; ten sam przedmiot znowu w trzecim zapali barwą i światłem, niby dźwiękami ducha, figury i oblicza misterne, a będą świecić, mienić się i ruszać, i wzdychać i nawiedzać go w dnie i w nocy, a upominać się i żalić, aż ich nie ubierze w malowane ciała, z któremiby już było każdemu z nich do twarzy.

Prawda; że nie każdy przedmiot jest równej potęgi, by wzniecił ochotę i twórczą siłę w mistrzu, zwłaszcza jeżeli nie jest samowolnie obrany, ale podjęty na polecenie i żądanie; i to też prawda, że nie w każdej

chwili mistrz jest równego nastrojenia, że niekiedy wyda się gnuśnym i beczynnym; przecież wiemy, że właśnie mistrz prawdziwy tém okaże dzielność swoją, iż z każdego przedmiotu, byleby był stosownym dla rodzaju sztuki jego, stworzy dzieło, mające na sobie mistrzostwa znamię.

Pozwól zatrzymać się nieco jeszcze przy owęj tajemnicy zrodzeń dzieła piękności, dotkniętych właśnie już powyżej. Naprzód zważ przedmiot sam. On stanął w obec mistrza tak, jak go podała żywcem rzeczywistość; on tedy jeszcze siecią misterną, utkaną przez demonów natury, trzymany jest w jęctwie ziemskim; na nim ułomkowość i niedostatki tuteczne wycisnęły piętno swojego panowania. Wszak przedmiot ten ma treść, on też ma formę, postać, którą się ta treść wyjawia; ale tak treść ta, jak i ta forma jego nie odpowiadają warunkom piękności; a to właśnie dla tego, iż ta treść i ta forma należą jeszcze do rzeczywistego świata, który sam tak jest niedoskonałym i tak biednym w sobie. Dla tego jeżeli ma wystąpić na świat jako wyobraźnik nieskończonej treści duchowej, ludziom na podziw i cześć, winien wytopić z siebie zuzelice ziemskich niedostatków, winien przez śmierć swoją wyzwolić się z pod służby ślepookich mocy przyrody, a skonaniem ziemskim odrodzić się wolnym piękności synem; tak dopiero przedmiot ten napelni się treścią nieskończoną, którą się w duchu mistrza zrodzi, a zarazem odzieje się nową, świetlistą postacią.

Z drugieij strony staje mistrz; on sam w życiu codzienném również trzymany jest w jęctwie potęg doczesnych; tysiące niewidzialnych nitek wiąże go magicznym splotem ze światem tutecznym i z całą ułomną rzeczy-

wistością. Stąd też jeżeli on ma przedmiot ów przetopić, przeistoczyć i nadać mu treść wiekiustą, niechaj w tych chwilach twórczych wprzód sam siebie przeistoczy i wytopi z duszy swojej ułomność i biedy powszednie; niechaj sam wprzód roznieci w sobie wiekiustości ognie, niechaj w nim zamrze, skona człowiek powszedni, doczesny; a gdy w tych chwilach uroczystych porzuci ten świat, z którym się spoufalił, w którym się zakochał, wtedy obejmie go powiew innych nadziemskich światów, i wstąpi w niego dech twórczy, i uświęci na piękności proroka. Gdy przeto wybiję godzina rodzenia, gdy gość nadziemski ma nawiedzić głębin duchowe mistrza, a potęgą obcą, a przecież swoją, posiąść całą istotę jego, już serce zadrży w sobie, jak gdyby mu ginąć przychodziło; trwogi mrowie przejmują duszę, jakby się jej już na skonanie miało; lęki mrozą, gorączki palą. W gałęziach liści coś gada, w koło coś szepce. To duch już kroczy. Zawiało jakoby telnienie od gwiazd. Po jednej targają się nitki, co wiążą życie z doczesnością lubą, poufałą; otoczenie powszednie, ukochane znikło; w koło kłębią się obłoki, wiją mgły; w koło wszystko utonęło; obłok promienny pokrył ów przedmiot; przedmiot zniknął — skonał. Mistrz traci siebie; on sam na sam z duchem pozostał; rozebrały go strachy i niewymowne rozkosze; bo w nim kona człek powszedni, codzienny; — przytomność siebie zgasła. Niby wichry wywrotne uderzyły skrzydłem; rzekłbyś, iż się zerwały w piersiach burze i łomoty, że grają organy oceanów, a gromy biją jakby fale potopu. Dusza mistrza roztworzyła się na oścież; on patrzy się w jej bezdna; w duszy jasności świecą, w niej gwarno, ludno — ożyła milionem życia. Ciągną

gromadnie postaci, płynnie cizba za cizbą, garną się tłumy nieprzeliczone widziadeł. Kto to? — to widma, to cienie jestestw, co kiedyś, bardzo dawno istniały w świecie, z którymi niegdyś mistrz spotykał się w żywocie, w przeszłości; jestestwa te dawno przebrzmiały, umarły, ale ich wizerunki wenknęły się w duszę jego, ułożyły po grobach zapomnienia; tam zaczajone spoczęły pochowane. A dusza mistrza głęboka, szeroka rozłogiem jak morze; w jej głębinach niby cementarz — grób przy grobie; ale teraz groby się ruszają, niby żyją, rozsypuje się, pęka na nich ziemia; ciągnie, kroczy tłum widziadeł, świat postaci; są to niby dusze zmarłych niegdyś jestestw, co teraz przerodzone świecą barwą, tonem, pięknnością nadziemską; to nie są wierne wizerunki onych jestestw, niegdyś spotkanych, one są zrodzone twórczością ducha; to istne wiekuistości mieszkańce. Przesuwają się orszakiem te smętne, płacziwe, owe wesole i radośne, tamte znów otulone ponurym majestatem. A szybciej, chyżej przelatują około oczu mistrza te tłumy innego świata; to mącą się z sobą i splatają, to znów się rozstępują i uciekają od siebie; a coraz śpieszniej, gwałtowniej pędzą i wirują zawrotnym kołowrotem to dzikie, chichotne zapusty, to znów pochody grobowe, a przyswieca im jakby pożarem jasna nieskończoności luna. Ale już szary ranek zaświtał w duszy, kur pierwszy raz zapiał, przytomność siebie bieleje już wschodem na niebie myśli; mistrz, już na pół obecny sobie, błyskawicznym przegłędem przebiega te postaci; one stanęły, zatrzymały się na rozkazanie mistrza; on ujmuje je w szranki ładu; on czyni wybór z tłumy widziadeł mocą budzącego się rozumu; blednieją nie wybrane,

jeszcze czekają, jeszcze chwilka, ale już pełna przytomność myśli purpurą zarania zapaliła dzień gorejący w duchu; wszystko znikło, owe postaci wybrane same pozostały; inne wróciły do grobów swoich. Występuje na jaw obraz owego przedmiotu, co był niegdyś rzeczywistym, a ten obraz jego promieni pięknnością, bo jego pierwiastkami są owe postaci wybrane z tłumu; — on się stał *idealem*.

Te chwile rodzenia są przeto stanem obłąkania, stanem zachwycenia, wieszczego szału; w nim mistrz traci siebie unosząc się po nad świat doczesny, bo tu sprawa z wiekuistością, żyjącą w piersiach człowieka, a ideał, w tym stanie zrodzony, jest tój wiekuistości świadectwem a najwyższem naprężeniem i spotęgowaniem własnego jego ducha.

Przedmiot, wzięty żywcem z rzeczywistości, ma, jak wiemy, treść i formę niedoskonałą. Otóż w stanie zachwyty rodzi się nowa treść, bo czysto duchowa, a zarazem nowa, bo duchowa, forma i postać dla tój treści. W chwili owego wrzekomego obłąkania powstają w toniach duchowych, jak wiemy, tłumy postaci promieniejących pięknnością; one, choć tak różne między sobą, są atoli wszystkie skutkiem potrącenia, idącego od przedmiotu owego, a tēm samēm są z nim wszystkie w pewnym związku magicznym; przedmiot ten jest ich niby spólnym kontrapunktem. Przecież te postaci już się zrodziły jakby z duszą swoją, z nową treścią, a treścią duchową, nieskończoną, i toć właśnie jest przyczyną iż one świecą tak nadziemskim wdziękiem. Wdzieliśmy atoli równie, iż nie wszystkie te obrazy wchodzą do przyszłego dzieła sztuki, że mistrz następnie kombinuje je, rozłącza wiąże, czyni wybor mię-

dzy niemi, a tak wybrane postaci będą właśnie najwyższej piękności obrazy i ciała, zawierające w sobie treść najwyższą.

Z tego wynika iż stan natchnienia wieszczego rozdziela się niby na dwie epoki. W pierwszej panuje zachwylenie, bezprzytomność zupełna twórczości; są to chwile, w których nowe a ciągle nowe obrazy występują dzikim zamętem z głębin duszy; jest to stan niby bierny, a przecież tak ogromnej dzielności duchowej. Poczém rozpoczyna się druga epoka tego zachwytu wieszca, bo rozpoczynają się te chwile, w których duch jego wybiera a przebiera w tych postaciach, które mu się pojawiają w głębiach jego; ta czynność atoli właśnie jest dowodem, że przytomność wraca mistrzowi, że zaczyna być świadom siebie, bo odróżniając obrazy między sobą, odróżnia też siebie samego od tych przemykających się obrazów. Mówimy że przytomność, że świadomość wraca, a zatem że teraz nastąpił stan duszy pośredni, z którym duch jest już na poły świadomy siebie, a na poły jeszcze bezprzytomny, bierny, bo poddający się jeszcze potędze twórczej, która w nim robi i tworzy. Bo zważ, gdyby duch w tych chwilach był w zupełności siebie świadom i rozumowo sobie przytomny, jużby nie miał tych widzeń, jużby nie widział tych obrazów i uroczych postaci; i na wzajem, gdyby jeszcze trwał w całej pełni swojej poetycki szal epoki pierwszej, toby duch nie był jeszcze zdolny czynić wyboru między obrazami. Widzisz tedy iż ta chwila wyboru jest stanem przejścia, w której wraca przytomność; ów rozsądek waży się ze znikającym już zwolna zachwytem twórczym, w którym obie strony duchowe są równe sobie co do potęgi. Ta druga epoka jest

przeto dramatem, w którym duch sam jest widzem i sam autorem.

Lecz „obok tych wybrańców szczęśliwych manii „jest inna, która także odstępuje od powszedniego żywota; lecz już nie do kapitolium ludzkiej czci, ale do „tarpejskiej skały prowadzi; tu nie potęga jasna, nie „aniół w światłość odziany zstępuje z góry, by zamie- „szkał w duszy człowieka na miejsce powszedniego „rozsądku; tu z nocnych, przepaściowych głębin lęgnie „się demon zły, co okrywa skrzydłem ciemnym duszę „i ęmi rozsądek i wzrok. Wtedy umiera w duchu czło- „wiek z tego świata, czekając póki go nie zbudzi z „martwych łaska Boża, lub ostateczne wołanie archa- „niola — jest to bezdenne nieszczęście choroby umy- „słowój“ (*).

Zachwyty bezprzytomny, obłąkanie mistrza jest najwyższem południem fantazyi, jej potęgą rzetelną. Bez tego zachwyty nie ma mistrza. Techniczność, wprawa, choć są koniecznym warunkiem w sztuce, same jedne uczynią cię jedynie majstrem ale nie mistrzem, a w najszczęśliwszym razie świetnym wykonawcą obcych dzieł, może jeszcze wirtuozem, który olśni społeczny świat, ale dla najbliższych potomków zaledwie w tradycyi żyć będzie, — zamrze w zapomnieniu.

Chciój posłuchać jak Plato maluje zachwycenie; przyznasz iż to jest iście sędzia właściwy; wszak on i tu bierze rzeczy po swojemu; więc z całą głębią spekulacyjną wiąże natchnienie z nieskończonością, z nieśmiertelną istotą ducha człowieka. „Wierzajcie, powiada, „wierzajcie, najzacniejsze dobro płynie z zachwycenia

(*) Wykład filozofii, §. 446.

„szału. Wszak Delfów prorokinie i kapłanki Dodony,
 „wróżąc w sprawach publicznych, darzyły Helladę zba-
 „wieniem w twardych potrzebach. A kto czcią i mo-
 „dlitwą zwracał ku bogom serce, ten widzeniem wie-
 „szczeniem przezierał tajemnic opone i doznawał w wróż-
 „bie przeczucia ratunku i przemożenia ciężkiej niemocy.
 „Inne znów jest obłąkanie i zachwyty nasłany od wie-
 „lomocnych muz. Lecz zachwyty ten a szal promieni
 „jedynie w duszy niewinności nieskalanej i świętością
 „uczczoną; on w niej rozpala hymny święte, uroczy-
 „ste, i wyzywa do pieśni na chwałę pradziadowych
 „lat, a tak wsławiając stare wieki sieje dzielność
 „późnych pokoleń. Kto zaś bez tego szału Muz stanie
 „w świętym Poezyi przybytku, zuchwale mniemając, iż
 „samą sztuczością może wieszczem zostać, tego śpiew
 „omdleje, gdy obok niego uderzy pieniem ów Muz ob-
 „łąkaniec... Bogowie nasyłają natchnienie owe na
 „uszcęśliwienie człowieka. Toć okazać zdołam ba-
 „dając Boską istotę, i istotę ludzkiej duszy, bo macie
 „naprzód o tém wiedzieć, że dusza ludzka jest nie-
 „śmiertelna“ i t. d. (Phaedrus).

LIST XII.

Fantazyja i bliższy jej rozbiór.

(*Ciąg dalszy.*)

Kompozycya. — Natchnienie i kompozycya i w innych dziełach duchowych człowieka. — Ogólne zasady estetycznej kompozycyi. — Kompozycya charakterów, przykłady z Korzeniowskiego, Rzewuskiego, Kraszewskiego i Chodźki. — Dalsze uwagi nad kompozycją. — Powód częstych wad w kompozycyi i przykłady z malarstwa i muzyki. — Improwizacya. — Deotyma. —

Talent i gieniusz. — Powołanie gieniuszu. — Stosunek jego do świata. — Rozmaitość fantazyi artystycznej. — Stąd podział jej. — Treść listów następnych.

Rzekłem, że wypadkiem zachwycenia, natchnienia a zarazem świadomego siebie rozumu jest ideał. Póki w duszy burzą kołyszą się fale, obraz idealny na nich się łamie w tysiące jasnych promieni; gdy się rozkołysane fale ustoją, już na cichém krystaliczném zwierciadle naszego wnętrza unosi się obraz duchowy — ideał. Lecz o ideale rozprawiłem ci zaiste już do syta, bo dawniej wypowiedziałem czém on jest sam w sobie (VII); w liście zaś poprzednim (XI) przypatrzyliśmy się jak ideał rodzi się w duszy mistrza, a teraz zapytamy,

cóż mistrz dalej poczyną z ideałem już w nim zrodzonym? Ideał ma się przeistoczyć na dzieło sztuki, owe widziadło promieniste duchowe ma się stać ciałem! Widzisz przeto, iż tutaj nowe metamorfozy, nowe przemienienia się zrodzą, zanim ten cichy olimp bogów, żyjący dopiero w piersiach mistrza, odzieje się materią, stanie wśród ludzi i przemówi ich językiem, zanim będzie przemożona ta otchłań głęboka, szeroka, rozdzielająca świat duchowy a doczesny.

Jeżeli przygasisz te wszystkie świeczki, co ci rozjaśniają żywot zewnętrzny i przygłuszysz gwary hałaśne a gadatliwe wrzawy jego, jeżeli przymrużysz ziemskie zmysły twoje, a cofnąwszy się w siebie nawrócisz duszy źrenice ku onemu idealnemu obrazowi, co płynie po przezroczach bezdennych ducha twojego; zda ci się z razu, iż ten obraz i wzór widzisz w każdym odcieniu, że on żywy, że tylko co nie przemówi do ciebie, że ci tylko kopiować ową modłę wewnętrzną, a dzieło już gotowe, od stóp do głów ukończone, w całym uroku a wdzięku niebiańskim wystąpi w obec świata a poruszy najgłębsze tony ludzkich serc. Lecz zabierz-no się do wykonania, a obaczysz, jak cię zawiodą otuchy twoje; poznasz, że ten obraz idealny nie wystarczy; on ci się rysuje tylko ogólnym, bardzo ogólnym konturem, okaże się być widmem uroczem, rozpląnnem, przejrzystem; a choć je rozświecisz poświatą księżycową twojej wyobraźni, nie dowidzisz w niem przecież szczegółów; one będą niepewne, niby zachuchane, zamglone i nie dostoją ci w pracy twojej, gdy je przyjdzie przetłumaczyć na świat materji. Stąd nowe pole chwały a pracy dla mistrza. Choć i tu nie obejdzie się bez potęgi twórczej a siły natchnienia, toć jednak rozważa głęboka i bacność

rozumowa będą teraz głównymi pomocnikami jego. Mistrz przeto zajmie się teraz uzupełnieniem niedostatków idealnego obrazu, silnie poprowadzi zarysy, a głównie zrodzi brakujące szczegóły i części i połączy je harmonijną jednością. To stwarzanie szczegółów i łączenie ich w jedną harmonię, to zradzanie i składanie części w jedną całość jest *kompozycją* (*).

Zwykle mówimy o kompozycji, gdy rozprawiamy o dziełach sztuki a zwłaszcza o muzyce; ale po prawdzie wszędzie, gdzie tylko chodzi o dzieło duchowe, winno się znaleźć natchnienie szczęśliwe i kompozycya, choć w dziedzinie umiejętności ideał i kompozycya mają inne znaczenie niż w dzielnicy sztuk pięknych. Człowiek pasuje się i biedzi, by przełamać zadanie przeznaczone mu na ziemi; ale prace jego i mozoły odbywają się zwykle w szarym mroku codziennego żywota i wloką się, jak ich tam stać, już raz na zawsze utartą koleją. Jak atoli się niekiedy zdarza, że w ciemnej izbie, w śród grubiej nocy jakieś światło fosforyczne zajaśnieje na chwilkę w oczach i niby błyskawicą rozświeci komnatę całą i wszystkie w koło przedmioty, tak też niekiedy szczęśliwszym ludziom, w szczęśliwszych chwilach, coś w duchu strzeli jasnością, łyśnie nadziemskim światłem; wtedy znienacka mignie się przed oczy prawda dawno śledzona, a rozwiązana jest nagle tajemnicza zagadka, o którą rozbijały się trudy myśli i nuże długiej twardej pracy. W tych jasnych chwilach natchnienia staje przed oczyma wzór, ideał, który, jakby gwiazdą przewodnią, zaprowadzi już do celu wieloletnich pragnień.

(*) Porów. Estetykę Vichera II. 2. na którym to dziele często wspierałem się w tej książce mojej, a które godne by je polecić młodym czytelnikom.

Przecież i tutaj ten wzór wewnętrzny, co zaświecił przed oczyma duszy w godzinie natchnienia, jest również tylko obrazem ogólnie skreślonym, niepewnym i rozplynionym, i on wyzywa do trudu a pasowania i wymaga, by wprzód jego części szczegółowe stworzyć i złożyć w jedną całość, zanim będzie gotów wystąpić w świat.

Patrz na tę maszynę wymyśloną z taką bystrością misterną; ona jest tryumfem mechaniki, ona wyłącza tłumy pracowników, oddaje się w korne jęctwo ludzkiemu rodowi; a hucząc, sapiąc, dysząc jako coś żywego służy celom duchowym i ucłowieczeniu człowieka. Jakoż główna myśl tej maszyny, ogólna jej modła stanęła od razu w chwili natchnienia przed duszą szczęśliwego wynalazcy; lecz on nie mało się napracował, nakombinował zanim ją „skombinował“, zanim wymyślił wszystkie jej części i szczegóły, zanim te wszystkie kawałki żelaza krótkie i długie, okrągłe i rogate, proste i krzywe, gładkie i zębate złożyły się w jedną całość i ożyły tchnieniem myśli, zanim ten potwór o siłach tytana, uparty i zuchwały, zażegnany mistrza słowem, poddał się w pokorze skinieniu jego.

Gruba noc nierozumu przygniatała ludzki ród, ponury zabobon, próżnia czeza przygłuszała świat, nikt nie słyszał proroctwa, co wróżyło z dalekich zamorskich stron; a przylatywały na skrzydłach wichrowych z ostatniego zachodu jakieś dziwne głosy, a niewidome zwiastuny przyływały na obłokach żaglowych i na grzmotach łamiących się fal; wszak te fale oceanów same przynosiły skądś brzegom stariej Europy jakieś gałązki dziwne, niewidziane jeszcze, jakby nadziei wróżby zielone, niby wieści bajeczne o krajach cudów. Nikt nie dosłyszał, żadne oko nie dopatrzyło się ducha przysz-

łości, co już chodził wśród ludzi, szukając, ktoby zrozumiał mowę jego. A był jeden wśród wszystkich mąż o szerokiém sercu; on myślą głęboką zapadał w dumanie nad światem, co rozwinięty mapami przemawiał do niego wyrocznią cichą. I stanął przed nim ów duch proroczy przyszłości w godzinie natchnienia, i dał mu posłuchanie Kolumb, i w tajemnej poufnej rozmowie wywiedział się od ducha o tych nowych światach, co od bieguna do bieguna zbudowawszy twierdzę swoich łądów zaległy całe nice ziemskiej kuli. Ufając tedy wyrocznicy w sercu zamkniętej a Ojcu na niebie, puścił się na przestworza nieznanych oceanów, pytając gwiazdy boże o drogę; lecz razem z nim wstąpiły na kruchy statek niewidome sterniki, anioły-stróże Historii ludzkiego rodu. Wiemy atoli, co przeniósł, co przecierpiał, ile przemógł Kolumb, zanim półświatem obdarował onego Ferdynanda smętnej pamięci, zanim dosłużył się onych kajdan, zanim już razem z tą nagrodą swoją mógł złożyć się spokojnie w grobie i zdrzemnąć na chwilę, aż go „Bóg nie powołał do swojej chwały“ jako żywego a naocznego świadka mądrości wiekuistej.

Inny znów mąż, umiejętności mistrz, zamknął się sam na sam z duchem swoim; trawi go pragnienie, by zajrzał w serce świata, a poznał nieskończoną prawdę, co żyje a tętni we wątku wszech stworzonych rzeczy. W koło niego Natura i państwo duchów odegrywa dramat; ale aktory tego dramatu, to zjawiska przepłynne, znikome, to tylko hieroglify i symbole, to widome ciała, w które się przebierają myśli, idee będące znów tylko pojedynczemi ogniwami jednej nieskończonej myśli Bożej. Mistrz ufa, że pragnienie wiedzy, że miłość prawdy, włożone w serce jego, nie są zawodną ułudą, a choć

tęskno i ckliwo, choć mrozy powątpiewania o wiedzy człowieka przejęły serca ludzi, choć między nimi chodzi wieść, iż przepaść bezmierna rozwarła się między ludzkim badaniem a prawdą, że one myśli i idee zostały na wysokim Niebie, otaczając chórem wszechmocności tron i że w niziny rzeczywistości naszej spadły jedynie ich powłoki kłamliwe a puste łupiny, mistrz atoli ufa głosom wewnętrznym, ufa że nie są kłamstwem zawodnym. Powiedz, dla czego ta drobna, maluczka igielka magnezowa, co zamknięta w ciasnym biednym domku swoim, przecież zawsze i wszędzie zwraca się do światów bieguna? powiedz, czego jęj tak tęskno do tęg piasty, około której wirem chodzi niebo całe? — Zaiste ta igielka mała zwraca się i tęskni do bieguna świata, bo choć tak drobna i biedna, spokrewniona jest przecież z oną niebios piastą; a im więcej ta igielka drobna wzmoże w sobie tęg miłość tęskną, tęg też więcej zaiste jęj udzielony jest pierwiastek co ją wiąże ze światów biegunem i tęg ona jemu podobniejszą się staje, tęg silniejszy jest, choć niewidzialny, prąd co łączy obie te ostateczności. Bo miłość rodzi miłość!

Stąd też i człowiek tak tęskni do nieskończonych prawd, bo w najgłębszej głębi istoty jego tleje wiekuistości iskra; dla tego człowiek gore tak miłością ku Bogu, bo Bóg sam tchnął w niego dech własnej istoty swojej. Otoż widzisz, ten pierwiastek wiekuisty, od Boga dany, żyje w duchu człowieka, jak w świątynicy swojej; więc gdy się obaczy w świecie rzeczy doczesnych, tęskno mu, jest jakby sierotą samotnym, wygnanym z ojcowizny swojej. I dla tego też niekiedy wśród wrzawy tutecznej coś w nas boli, coś płacze; otoż to, co boli, co tęskni a płacze w nas, toć jest ów pierwiastek

niebiański; on też rad śmierci, bo dla niego śmierć ciała jest powrotem przed ojca tron; nim zaś doprawdy ten powrót nastąpi, dusza gore żądzą umiejętności, by tymczasem poznała ojca choć w stworzeniach jego, aby choć w tych ułomkach onęj kompozycyi wszechstworzenia odgadła ideał, który się niemi wyraża.

Tak tęskni w człowieku iskra wiekuistości od Boga mu dana, i tęskni ona i pragnie gorąco; tęsknota roznieca miłość, a miłość wzmacnia tęsknotę, a potężnieje coraz miłości moc w duchu człowieka, potężnieje i wzmacnia się prąd płynący w serce nasze od nieskończonej miłości, od nieskończonej mądrości, aż owa iskra, zrazu tylko w nas tlejąca, buchnie płomieniem, błysnie pochodnią, zaświeci mądrością, i tak staje przed oczyma nowęj umiejętności ideał, nowy system wiedzy ludzkęj. Lecz gieniusz, ów szczęśliwy wynalazca, wprzód nałamie się ciężkiem pasowaniem z sobą, wyrzeknie się świata i uciech ziemskich, a życiem opłaci, zanim ten ideał rozwinie w szczegóły, zanim ujrzy wszystkie części i ułomki tęg całości i powiąże je w system, w kompozycyą organiczną, zanim wszystkie myśli i idee szczegółowe, grające w dramacie natury i w państwie duchowém, nawlecze na nici jakby jaśniejące paciórki kosztowne, zanim wśród tych paciorków promiennych zabłyśnie i krzyż rubinowy, zanim na tym rozańcu mądrości duch stworzony zamodli się Panu.

Dość nam tých poważnych przykładów, wszak i w życiu powszedniem, zdawkowém, codzienném widzimy, że pomysł tutaj jakby ideał, a kompozycya, niby wykonanie pomysłu, są rozłączone od siebie całym światkiem trudów i znów drobniejszych pomysłów. Oto, czegoż ów młodzian tak naperzony zasiadł przy stole, jedną rękę wbił w gęstwinę rozburzonej czupryny, a drugą

podparty trzyma pióro pogryzione na strzępki? W koło stołu walają się papiery o złocistych brzegach zmięte, podarte. — Proszę mu nie przeszkadzać, biedaczysko „komponuje“ list do swojego ubóstwionego bóstwa. W oczach jego duszy rozkochanej ideał listu już zupełnie gotów i oświecony bengalskim ogniem sentymentów, a przecież co napisze, to przekresli, poszarpie a rzuci o ziemię; — jeden list jakiś letni, nie dość strzelisty, a jednak potrzeba, aby każdy wyraz był wyostrzony na brusku samego Kupidyna; i druga epistola znów jakoś za nadto butna, wichrowata, pisana niby z czapką na bakier, a zbyt śmiałe gruchanie mogłoby spłoszyć turkawkę trwożną; w trzeciej znów afekta, uczucia, zakłęcia takie jakieś wymuszone, wymuskane, chodzą jakby w sztywnych krawatach a w ciasnych butach; czwarty list wprawdzie niczego, wyrażenia bardzo śliczne, ale cóż z tego, kiedy nie wiążą się z sobą, kiedy nie trzymają się siebie i rozbiegają się na wszystkie strony; piąty jest i t. d. i t. d.

Tam znów dama wieczorem siadła w salonie, zalanym jasnością tłumną światła, co snopami goreje po ścianach, po stropach; rząd pokojów ustrojony niby pałac czarnoksiężki, zdobny wdziękiem uroczym i smakiem oryginalnym, lśniącym, błyszczącym; a przecież ta dama wśród tego raiku cywilizacji jakaś znękana, znudzona, dziś wyprawia bal, co tylko się goście nie zjadą. I cóż z tego? Oto na początku jeszcze zimy natchnęła ją myśl śmiała, szczytna, przyćmienia swoim balem okolicy całej; fantazyja, co zawsze gotowa służyć damie, chwyciła za pędzel, a umaczawszy go w barwach, któremi maluje pan E. Sue zapomnianej pamięci bale swoje, w mgnieniu oka, co tehu skreśliła widok przyszły pokojów przeistoczony na ów pałac mitologicznego uroku.

To zrobiła fantazyja, pokłoniła się i uleciała zostawiwszy pani domu dokończenie zuchwałych pomysłów; ale po co ci wyliczać one trudy, wątpliwości a prace, które tak znękały naszą piękność, po co nam wymieniać one kłopoty, zanim wszystkie szczegóły zostały utworzone; ile razy były spinane i przepinane draperye, rozdzielone światło, ustawiane i przestawiane kwiaty, drzewka, umieszczone zwierciadła i t. d. A cóż dopiero, gdy w końcu kolej przyszła na arcydzieło smaku, bo na własną toaletę; nie sądz, że to tak łatwo; tutaj artystyczna kompozycya w swoim kwiecie najwyższym, tutaj schodzą się wszelkie tony harmonijnym akordem; daremniebym chciał wyliczyć te wszystkie misterye sztucznej natury i naturalnej sztuczności, bo „są rzeczy pod księżycem, „o których się ani śniło naszym filozofom“, powiedział król Hamlet; i ja tak myślę, więc rzucam bliższe opisy i t. d.

Wreszcie przyznasz, iż ktokolwiek nie na żarty chodził około nauk, doświadcza że ogólne, choćby trafne, wyobrażenie o jakimś przedmiocie bynajmniej nie wystarczy, jeżeli przyjdzie zabrać się do niego piórem. Wtedyto bowiem dopiero z podziwieniem a strachem spostrzegamy, ile szczegółów jeszcze nie jasných, ile ich nam brakuje, jak wiele jeszcze douczyć się wypada; a ileż dopiero ślęczenia, by to wszystko jako tako zwić w jedną całość ukończoną. Zaprawdę, pisanie własne jest jakby istną próbą ogniową naukowości każdego, i dla tego też taką jedynie drogą dokupić się można prawa do sądenia o pracy drugich. Ale o tém nie chcą wiedzieć owi panowie, co nie nauczywszy się niczego porządnie, niczego sami nie dokonawszy, a przestając na jakimś ogólném wyobrażeniu o rzeczy, uważają że nie

równie wygodniej żyć obcym chlebem, więc sami mianują się krytykami, obgryzując cudze zasługi. Ale cóż na to robić? I literatura ma swoich pasożytków!

Otóż, kędy spojrzysz, wszędzie obaczysz że, co w duchu poczęte, z boleścią dopiero a trudem twardym na świat się rodzi; praca artystyczna około kompozycji jest ogniwem łączącym ideał a rzeczywiste dzieło sztuki. Jakie zaś są prawidła kompozycji, toć już dziś nie trudno wyłożyć; estetyka nam społeczna dostatecznie roztoczyła te prawidła; nie wymyślając przeto rzeczy nowych będziemy z niej korzystali. Dla snadniejszego atoli porozumienia się z sobą, chciiej choć z lekka rzucić okiem na dzieła „skomponowane“ wiekuistą mądrością; one są wzorem sztuki komponowania.

Zważ-no, jak to natura jest mistrzowską kompozytorką, ona zaiste doskonale wyuczyła się general-bassu wszech jestestw. Wszak już Plato, co to wygaduje na poetów, a sam był natchnionym wieszczem mądrości, cudownie nam prawi a harmonii sfer. I zaiste nie lada też to koncertem popisują się na niebie one światy świecące, one gwiazdziste błyszczące muzykanty, co, chodząc w takt po przestrzeni niebiańskiej, niby po kopalastej świątnicy Bożej, wyśpiewują sobie wygrywają partyturę odwiecznego hymnu; oni rozebrali te różne głosy między siebie, a żaden z nich się nie zmyli, a żaden nie chybi, choćby na cząsteczkę nuty. Prawda, że niektóre z nich, zwłaszcza te malcy asteroidy, tak z cicha się odzywają i tak cienko śpiewają, że Astronomia dopiero po jednym ich się dopatruje w orkiestrze niebiańskiej; ale przecież znów każdy z tych żaków jako dyskantysta wielce jest potrzebny do całości harmonii, a każdy z nich o tém wie, przeto się też tak trzyma i

pilnuje. Cała muzyka ma na oku swojego kapelmajstra słonecznego, co, stojąc w środku, obracając się w kółko, przyświeca im, wybija takt i dyryguje wszystkimi. Nie dziw przeto, iż tak dzielnie nawzajem się spierając, nie dadzą się zbałamucić onym wędrownym grajkom-kometom, co jak wałęsające się muzykusy, bez prawnego zamieszkania, bez pasportu włóczą się po niebie, i radeby się przypytać do onój zacnej kapeli i zarzępolić po swojemu. ale słysząc tę harmonią cudowną, widzą że nic nie poradzą, zatem czém prędzej się wynoszą, szukając gdzieindziej dla siebie kariery.

A własne ciało twoje nie jestże arcydziełkiem onój kompozytorki natury! Tutaj muzykantami misternego koncertu są organa, części i członki szczegółowe tak różne, rozmaite a nawet sobie odwrotne, a przecież tak ściśle z sobą połączone spólnym akordem. Gdy jeden z tych organów wyjdzie z taktu, już rzuci cię biedaka na łożę lub przyprawi o coś gorszego; wszystkie te organa składają jedność pełną harmonii. Wszak one nawzajem się uzupełniają, nawzajem się wywołują. Każdy z tych organów jest takim, jakim jest, dla tego iż całość jest właśnie taką a nie inną; każdy z nich ma się do każdego jak przyczyna do skutku, więc zarazem jak skutek do przyczyny; jest to spłot a system mi-trzowski powodów i następstw. Dziś kto żyje powtarza za Cuvierem, iż z jednej kości choćby nieznanego zwierza wywróżyć można wszystkie inne, więc nawet całą budowę, ba! cały sposób życia a obyczaj tego mieszkańca zapadłego świata. Tém tedy jeszcze doskonalej ideał żywota iść się w kompozycyi ludzkiego organizmu. Boć jak dzieło sztuki jest materya, w której promieni się ducha nieskończoność, tak i cielesność ludzka, choć z materyi zro-

dzona, jest przybytkiem wiekuistego ducha, który świeci i płonie nieskończonością. Chciej jeno nie zapomnieć o ułomności będącej klątwą wszystkich jestestw natury, więc i cielesności naszej, chciej ją ująć z jej idealnej strony, a będzie dla nas wzorem kompozyty artystycznej.

Widzisz naprzód że jedność a całość ideału winna się ziścić w kompozycyi; niechaj tedy treść, myśl główna, o którą chodzi, będzie tak wyrażona w dziele, jak się duch ludzki wyraża w cielesności swojej; niechaj przeto kompozycya nie zawiera ani więcej ani mniej w sobie, niż treść, którą ma urzeczywistnić, bo inaczej nie będzie ani całości ani jedności. Jeżeli w dziele już skomponowanem będzie mniej niż w treści, to nie będzie całości, uczujesz jakiś brak a niedostatek, jak gdyby w ciele organicznem, żywem brakowało jakiegoś organu; główna myśl nie będzie dostatecznie rozwiniętą. Nie dostaje np. w dramacie, w powieści, w obrazie malowanym i t. d. jakiejś figury, jakiejś sceny, ztąd całość taka jest biedna, chuda, ciemna, niezrozumiała. Takowy brak rzeczywiście pochodzi najczęściej z braku bogatej fantazyi, którą niestać by w całej pełni roztoczyła myśl swoją.

Lecz częściej jeszcze, a mianowicie między nami, znajdziesz wadę odwrotną; zdarza się bowiem gęsto, iż kompozycya zawiera w sobie więcej niż treść, a tak chybia jedności; to znów dzieje się różnym trybem. Jakoż naprzód spotykamy w kompozycyi zbytek w tym znaczeniu, że do niej niekiedy przyplącze się jakiś ustęp, figura, scena, która jest wcale obcą dla treści, o której trudno wiedzieć skąd się wzięła; jest to organ obcy przypięty do obcego ciała. Tej wadzie ulegają najczęściej młodzi artyści i poeci, których bujność wyró-

wnywa ich tkliwej miłości ojcowskiej dla dzieci własnej fantazy; przeto gdy je zrodzą, już niemi nacieszyć się nie mogą, a serce ich boli na samą myśl pożegnania się z niemi. Jeżeli zaś w razach powyższych jakiś szczegół dla tego jest zbyt czynnym w kompozycyi, iż nie zostaje w żadnym związku z jej całością, tak znowu w innych przypadkach zbytek pochodzi stąd, iż albo jakiś szczegół należy wprawdzie do treści, lecz wybują za nadto w porównaniu do innych części kompozycyi, albo iż ta sama myśl wyrażona jest w kompozycyi dwoma lub więcej szczegółami.

My, Krakowianie, zhardzieliśmy nie pomału od czasu, jak zacny Mieczysław Potocki udarował Akademią naszą Światowidem, co długie wieki przeżył w Zbruczu, zanim w poselstwie od zamglonej przeszłości stanął przed dwoma laty w starych jagiellońskich murach; otacza go i podziwienie i radość nasza, a przecież nikt nie powie że mu piękni z temi czterema twarzami, bo też on sam nie ma pretensyi do wdzięków artystycznych; jemu wcale o co innego chodzi! Zamknij się sam na sam, w cichocie samotnej, a kto wie, może roztworzą się kamienne usta jego, może i powiedzą o czém marzył pod wodą przez lat dziewięćset!

Widać atoli jak trudno uniknąć w kompozycyi wyrażenia tej samej myśli dwoma lub więcej szczegółami, skoro tę wadę znachodzimy u arcymistrzów, u geniuszów, które już będą we czci u ludzi, póki świat wielbić będzie co wielkie i piękne; a odwołuję się tu do dwóch przykładów zwykle przytaczanych przez estetyków. Tak w Shakespearze nienawiść demoniczna niecnego Jago do Otella ugruntowana jest na dwóch po-

wodach, bo naprzód Jago mniema, iż mu Otello wyrządził krzywdę mianując Cassia a nie jego porucznikiem swoim, powtóre że sam w siebie wmawia, jakoby Otello uwodził mu żonę; ten to drugi powód jest niesłusznym, bo się nie zgadza ze zacnością bohatera sztuki, co więcej jest zbyt czynnym, gdyż ów pierwszy powód zupełnie wystarcza. Podobnie zarzucają Rafaelowi, iż w Stanzach Watykańskich dopuścił się podobnej pomyłki: na jednym bowiem z tych obrazów widać Attyllę, który na czele swojej tłuszczy nadciągnął pod mury świętej Romy; występuje naprzeciw niemu papież Leon święty, otoczony orszakiem arcykapłanów, i wymową natchnioną, przestrogią pełnemi grozy skłania do odwrótu barbarzyńca; lecz po nad grupą tą unoszą się jeszcze postaci ŚŚ. Piotra i Pawła, a z mieczem w ręku grożą zuchwałemu najezdcy; ten uderzony cudem wpatruje się pełen strachu w niebiańskie widziadła; same nawet konie dziczy zżymają się i drżą. Tak tedy na tym obrazie albo namowa Papieża, albo pojawienie się Apostołów jest zbyt czynnym; a przecież to Rafael! w tém imieniu żyje cały świat piękności! Rafael! rzekłbyś i on sam jest piękności aniołem który pzelatując z Nieba na Niebo, odpoczął chwilkę na ziemi, przybrawszy na się mistrza ciała! Rafaelowi wytykamy usterki! Czegoż sobie tedy tak do serca bierze najmłodsza bracia artystów, gdy krytyka, byle sprawiedliwa i z miłości udzielona, wykazuje im błędy?

Kompozycya wiąże różnorodność szczegółów w jedność, w całość; tak znać, że wypada naprzód mieć gotowe te wszystkie szczegóły różne i części; trzeba je wprzód od siebie wyraźnie oddzielić, odróżnić, tak jak się oddzielają od siebie części i członki w organizmie

naszego żywota. Ckliwym będzie np. twój malowany obraz, powieść, dramat, jeżeli figury w nim będą jednostajne, jeżeli na każdej z nich nie wybije się silnie piętno właściwej indywidualności; a tak niby tony a barwy różne wystąpią z sobą do gry. Zważ, iż kompozycya wcale nie wymaga koniecznie wielości figur. Wenus kapitolńska, Kopernik warszawski, kapitolński gladiator, tak są kompozycją jak grupa Laokoonu lub Rafaelowska bitwa Konstantyna, albo Ostateczny Sąd Buonrottego (*).

Postać ludzka, figura pojedyncza, już sama z siebie, jakeśmy rzekli, jest arcydziełem kompozycyi przyrodzonej, tém więcéj przeto będzie najbogatszą a najcudniejszą osnową dla kompozycyi artystycznej. Różne położenie rąk, przeważniejsze ciążenie całego ciała na jednym z boków, trzymanie głowy, kompozycya samego oblicza i wyrazu jego i t. p. słowem, te niewyczerpane przemiany postaci ludzkiej staną się dla mistrza odą, elegią skamieniałą, co, choć o marmurowych ustach, wysławia mu całe dzieje Nieba i Ziemi, wszystko co w sercu ludzkim żyje, wszystkie grozy i smętki, rozkosze i zachwyty.

Lecz jeżeli już rzeźba dokazać zdoła tych cudów, ona, co chwyta jedną tylko chwilę duchowego żywota, jakież dopiero światy roztworzą się dla poezyi roztacza-

(*) Godzi się też tu wspomnieć o pomniku Ks. Sapieżanki, wykonanym przez młodego a tak wielce znakomitego artystę Statlera. Postać młodej dziewczycy, śpiącej skonem na tym grobie swoim, obłana jest najwyższym wdziękiem; patrząc się na ten jej spokój cichy, święty, żyjący mogą pozazdrościć tego śmiertelnego snu. Tutaj jedna tylko jest figura, a przecież kompozycya rozkwita w całym bogactwie swoim.

jącej swoje figury w czasie, rozwijającej charaktery w następstwie ich żywota. Wszak charakter figury jest właśnie różnaitością szczegółów zestrojonych w jedność. Chceszli by charakter był bogatym? ustaw go tak wśród świata i ludzi, aby potęgi zewnętrzne, a między sobą tak różne, wygrywały na duszy jego, jakby na organach, wszystkie tony weselne i bolesne, posępne i radośne; niechaj cała ta tajemnicza treść jego z głębin swoich wystąpi na jaw, będąc wywołana z kolei zewnętrznymi przygodami. Okaż charakter w jasnych i ciemnych chwilach żywota, w trudnych i niespodziewanych wypadkach; niechaj wylatują z głębin piersi jego dotychczas w nim milczące i uśpione mieszkańce one, światliste anioły lub nocne demony.

Pamiętaj atoli, aby ta cała różnaitość treści miała przecież wspólne piętno indywidualne, aby po uczuciach, po mowie, po czynach, choć tak różnych, było znać, iż są objawem jednego i tego samego człowieka, aby każdy, znający serce ludzkie, patrząc się na tę kompozycyą twoją mógł zawołać: „tak jest, człowiek taki, w takim wypadku, właśnieby tak a nie inaczej postąpił!“ Jeżeli nie zdołasz utworzyć jedności takowej a wymyślisz swawolną różnaitość bez wspólnego tła, wtedy nie będzie kompozycyi, a figura przez ciebie utworzona będzie bez charakteru.

Jeżeli zaś odwrotnie we figurze jakiej twojego romansu, dramatu, zachowasz wprawdzie tożsamość charakteru, ale nie zrodzisz różnaitości jego osnowy, wtedy ta jego jedność nie będzie jednością rzetelną, ale jednostajnością ckliwą; braknie zatem i tutaj prawdziwej kompozycyi; charakter takowy będzie jałowy, ubogi, nie rozwinięty, abstrakcyjny. Dla czego np. nasze

północne naczynia gliniane tak nieładne, niby istne potworki? bo one są abstrakcją, są jednostajne, bez różnorodności. Dla czego znowu te naczynia, które nam zapadła Pompeja zostawiła puścizną, choć także z gliny, są najczęściej tak pełne wdzięku i uroku? bo w nich jest kompozycja, w nich części są rozmaite a ściśle od siebie odgraniczone; tak podnoże, środek, szyja, cefka, kształtne ucha nawzajem się od siebie odznaczają, a przecież harmonijną stanowią jedność, — i one mają charakter! Bo też to był dziwny ten świat-artysta, co tam śpi pod popiołami od blisko dwóch tysięcy lat; on czego się dotknął zamienił na dzieło piękności i smaku! on spał spokojnie przez długie wieki, a teraz wydobyliśmy go na dzień jasny, na własne upokorzenie nasze.

Jak ta różnorodność szczegółów jednoczy się w jednej figurze, tak wiele figur znów, rozmaitych między sobą, tworzy całość a spotęgowaną kompozycją. Bez przykładów dalszych się obejdziem; łatwo zrozumiesz, ileby tu można rozprawać o grupach rzeźbionych, malowanych i t. d.; miej tylko na uwadze, iż ta różnorodność różnych figur może się wzmóc aż do odwrótności, do ostateczności; i tutaj nie brakłoby przykładów mistrzowskich, wspominać tylko o tych co nas bliżej obchodzą; biorę więc z naszej literatury, a biorę z kraja, co pod ręką np. te wręcz sobie przeciwne figury, jakimi są Józef a Henryk, Prezes a pani Włodzimierzowa w Kolokacyi, pan August a Marzałek w Spekulancie Korzeniowskiego. Zważno tych dwóch braci w Listopadzie Rzewuskiego; oni mają znaczenie głębokie, ale przecież nie są jałową allegoryą; to ludzie indywidualni ze krwi i kości; treść, znaczenie ich i forma pewnie zrodziły się w jednej chwili, a potrącenie do ich stworzenia zaiste przyszło z zewnątrz.

W „Interesach familijnych“ Kraszewskiego ileż rozmaitości i odwrótności w pokrewnych Kasztelanica, a przecież, rzekłbym, mają jakieś wspólne familijne piętno; Siewkierzyński znowu, to istny charakter: on różny w różnych życia przygodach, a przecież wszędzie to jeden i ten sam człowiek; on sam sobie dochowuje słowa, czyli go kórca grzyb wyrosły w izbie, czyli obchodzi chrzciny synowskie, czyli się żegna ze swoimi na łożu śmierci. O Radziwille, jakim go kreśli z mistrzowska Chodźko i Rzewuski, mówiłem już na inném miejscu.

Te szczegóły atoli w kompozycyi jak są różne co do barwy i piętna, tak też są różne co do wagi a znaczenia swojego. Jedne są główne, istotne, bo są rzeczywiście wyrazem myśli panującej, istotnej treści dzieła sztuki; drugie nie mają tego znaczenia, są poboczne, atoli i bez nich się nie obejdzie. W obrazie historycznym nie obejdzie się np. bez otaczającej architektury lub przyrody, a przecież one są tylko szczegółami ubocznymi; w pejzażu odwrótnie figury będą ubocznym szczegółem, a natura główną treścią. Widać tedy, iż gdy mistrz za nadto pozwoli urosć szczegółom, które nie należą do istoty dzieła jego, już wtedy zatrze cechę któraby w niém panować winna. Małoż jest obrazów, w których nie wiedzieć, czyli pejzaż dla figur, czyli figury dla pejzażu!

Te szczegóły uboczne jednak, choć nie są istotne, nie są przecież dowolne i powinny się rodzić razem z całością, bo one wtórują treści głównej. Prawda, że inny mistrz, tworząc taką samą osnowę, byłby innych użył szczegółów podrzędnych; ale bądź pewien, iżby wtedy i treść główna była w inny sposób wyrażona i całe dzieło byłoby odmienne. Madonna delle Seggiola

odziana jest chustką kraciastą; prawda że to niby drobnostka, ale ona razem z całością pojawiła się w duszy Rafaela; a lubo nie przeczę że mistrz to odzienie nastroił do całej postaci Madonny, to wszakże pewno, że gdyby nie był użył tej chustki, ale innej, pewnieby był i Madonnę samą odmienił. To prawidło stosuje się równie tak do architektury jak do muzyki, tak do romansu lub dramatu jak i do rzeźby.

Nie trudno się nam przekonać, że i główne, szczegóły między sobą znowu nie są równe, co do znaczenia. Wszak wszystkie szczegóły dzieła artystycznego ściśle się w spólną jedność splatają; niechaj tedy będzie jeden szczegół, który nad wszystkie inne staje się wyrazem tej jedności, a zatem panującej myśli dzieła, więc ogniskiem i sercem całej kompozycji, około którego obracać się będą wszystkie inne jako w około piasty swojej; one będą tylko środkiem dla niego, i będą miały, ściśle mówiąc, jedynie to przeznaczenie, aby rozwinąć z niego treść w nim zamkniętą, aby treść ta jego stała się jawną, ady mu dać sposobność okazania, czém on jest w sobie. Stąd wynika, że ten szczegół pierwszy, będący wyobraźnikiem głównej myśli całego dzieła, zamyka także w sobie, jakby w pączku, wszystkie inne szczegóły, a tém samym znać, że one wszystkie są owym głównym szczegółem, ale już we formie rozwiniętej. Gdy atoli ów wyobraźnik główny jest upostaciowaniem jedności całej kompozycji, zatem zachowanie się innych szczegółów do niego okaże zarazem zachowanie się ich do jedności całego dzieła. Wypływa ztąd, że gdy w jednej wielkiej, bogatej kompozycji znajdzie się wiele szczegółów, one wszystkie mogą się ugrupować w osobne podrzędne całości, z których każda będzie dla siebie

osobną jednością, mającą znów jeden główny szczegół, który będzie jej ogniskiem. Te całości podrzędne będą znów różnej wagi wedle różnego stosunku swojego do głównej myśli całej kompozycji. Chodzi tylko tutaj o to, ażeby żadna z tych całości osobnych nie była luźna, aby wszystkie były splecione w jedną wielką całość, którą jest właśnie całe dzieło i panująca jego myśl, jak to widać np. w bitwie Konstantyna w Stanzach Rafaelowych, w sądzie ostatecznym Michała Archanioła, w wieczerzy Leonarda, w grupie Nioby, w sztukach Shakspeara (np. król Lear), w budowlu katedr naszych średnich wieków i t. p. Po bogactwie i harmonii w kompozycjach znać też mistrza. Łatwiej też podobno utworzyć szczegóły piękne i mnogie; ale zestroić je w jedną całość, na tém właśnie sztuka. Widzisz, jakto człowiek całą naturę sobie pokrajał na szczegóły, jak ją smaży i męczy i dręczy w retortach chemika i pod nożem anatoma, młotem geologa; jakto wszystkie przyrodnicze nauki rozebrały przyrodę między siebie na oddzielne warsztaty swoje; a rusza też ta uczciwa praca rześko, ochoczo i dzielnie; szczęść im Boże! Dzięki tym trudom znacnym, znamy też nie mało tych różnobarwnych kamyków, onój cudownej mozaiki Bożej. Ale kiedyż zabrznii owo magiczne słowo, co wyrzeczone wszechmocą ożywi te kamyki, aż się one same ruszą, zejdą a złożą ów stary a cudowny stworzenia obraz! Niezbyt trudno chodzić po grządkach domowych życia i wrywać kwiatki, co śliczne barwą, co wonne oddechem, ale proszę je związać w jeden bukiet; kto przejdzie a nieco wprawnego oka, powie: ten bukiet złożony iście ręką malarską Segersa, a ów spętany sznurkiem i smakiem ogrodnika.

Prawda, że ta jedność rozmaitych szczegółów wy-

stąpi nawet już z wierzchu, np. w dziele malowanym pojawi się sama nawet harmonia oświecenia tonem rozlanym po obrazie całym i t. p.; w poezji, figury choć różne, połączone będą jak spólnym trzonem, siłą obyczaju swojego wieku, kulturą społecznego im czasu; figury zaś sobie odwrótne i wręcz przeciwne będą ułagodzone, zatem niejako z sobą powiązane przez postaci pośredniczące i t. p. — Wyznaj jednak że zestrojenie takowe będzie dopiero zewnętrzne; wewnętrzna harmonia spoczywa na głębszém zestrojeniu kompozycyi. Od czego zaś takowe zawisło, wyłożyliśmy już dostatnio, nie ma tedy czego powtarzać powyższych uwag; przypominam tylko, com rzekł dawniej, iż ciało organiczne, a mianowicie organizm człowieka, może być wzorem dla kompozycyi artystycznej; w nim bowiem widzimy tak doskonałe powiązanie szczegółów, iż każdy organ jest zarazem przyczyną a zarazem skutkiem wszystkich innych, tak że całość jest ścisłym systematem nawzajem z sobą powiązanych skutków i przyczyn, powodów i następstw.

Z tych zasad wynika też dla nas najbliższa uwaga. Dzieło sztuki jest jednością, jest przeto całością ściśle z sobą powiązaną, a zatem ściśle oddzieloną od reszty świata. Wypływa ztąd, że dzieło takowe jako całość winno mieć swój początek, środek i zakończenie, a tém samém stopniujący się, potęgujący się rozwój swój. Główna myśl dzieła stulona, jakby w zarodzie, kłuje się, rośnie, rozwija, aż w końcu bucha na jaśń całą swoją potęgą. Kwiat dojrzały pęka i rozsypuje nasienie swoje na świat — nasienie i ziarno wiekuistej prawdy, by się przyjęło między ludźmi. To spotęgowanie stopniowe obowiązuje wszystkie dzieła sztuki, czyli się roz-taczają w przestrzeni czyli w czasie; znajdziesz je tak

w onych trzech figurach składających grupę Laokoona, jak w roztoczeniu się świątynicy budowanej, jak w dramacie, romansie i t. d. To prawidło kompozycyi samo przez się będzie wykonane, byleś zachował jej ustawy przytoczone.

Otóż masz zarys głównych zasad kompozycyi, wedle wyobrażeń dziś już w Estetyce przyjętych; skręśliłem je atoli konturem ogólnym, nie wdając się w drobniejsze odcienia. Gdyby mi się kiedyś miało zebrać na rozwój szczegółowych sztuk, jako architektury, rzeźby, malarstwa, poezyi i t. p. miałbym porę sposobną rozprawić o szczegółowem zastowaniu tych ustaw. Teraz zwrócę tylko bacność twoją na jedną z głównych wad, pojawiających się bardzo często w dziełach sztuki, a pochodzącą najczęściej z braku zachowania prawideł kompozycyi. Wiele bowiem znajdziesz artystycznych prac, które nie zrodziły się z czystego pokochania się w piękności, ale z próżnej osobistej chęci popisywania się sztuczną przesadzoną kombinacją. Ten atoli grzech przeciw sumieniu artysty karany też bywa najczęściej niezrozumiałością dzieła, bo wszelka zawilość ciemna i zagadkowa jest żywotną obrazą sztuki pięknej; piękność jest treścią duchową, nieskończoną, ale odzianą w ciało, jest tedy uwidomioną i uzmysłowioną; widać przeto, iż jej treść jest cała na wierzchu, na widoku, że powinna być odrazu zrozumiałą. Niechaj Filozofia badaniem swoim nurzy myśl w toniach przedmiotu swojego, by wynieść z niego na jaw prawdę na dnie ciemném ukrytą: piękność jednak nie jest metafizyką, ona nie jest łamigłówką, ona jest jednym z tych aniołków Rafaelowskich, co patrzy na ciebie uśmiechem dziecięcym; lecz w tym uśmiechu, w tych oczach niewypowiedzianego wyrazu przemawia

nieskończoność. Przypominam ci jedną ze szkół niemieckich, skąd inąd znakomitych zasług, która, nie bardzo szczęśliwie naśladowując wielkiego mistrza swojego, maluje obrazy do sfinxowych zagadek podobne; więc ich kompozycji nikt bez komentarza nie zrozumie; dla tego też twórca ich staje obok dzieła swojego i odbywa jakby prelekcją, tłumacząc, wyjaśniając myśli swoje ukryte w obrazie i zwracając uwagę twoją nie na to, co widzisz na oczy swoje, ale na to, o czém on sam myślał komponując dzieło swoje; znać, że malowanie takowe graniczy ze sferą chłodną, mroźną alegoryi. Odejdiesz ze smutkiem, bo z przekonaniem, że człowiek ten chybił powołania swojego, że z niego byłby głęboki teolog, filozof, ale że nie jest malarzem. A cóż dopiéro, gdy poemat jest jakby szaradą lub rebusem, zwłaszcza, gdy pod twardą, nieprzezroczystą łupiną najczęściej treściwego ziarna braknie!

Ale gorzej jeszcze gdy muzyka będzie niezrozumiałą! toć istne świętokradztwo, dokonane na tej sztuce niebianskiej i na istocie wiekuistej człowieka; muzyka jak sumienie, jak światło słońca, jak powietrze, jak łyż, jak miłość, radość i boleść są dzielnicą całego, ludzkiego rodu. Wielomocny władca, żebrak w łachmanach, prostego serca człek i mędrzec, wszyscy, byle zacnego serca, jednakie mają prawo od Boga udzielone do tej ojcowizny swojej. Wszak to ona zdrojem przeczystym z Nieba na ziemię spłynęła;! skąp, zanurz we falach tonów znękaną duszę twoją, a zapomnisz palące żywota krzywdy, odpuścisz wszém winowajcom twoim winy, odrodzisz się znów sam młodością nieskażoną i staniesz znów wśród dawno utraconego raju uczuć twoich, zawitasz da niego z duchem męża a dziecięcia

rzewnością. Słuchaj. Muzyka! — Otaczają cię wkoło uskrzydłone chóry serafinów, a duszy twojej wyrosły niebolotne skrzydła, i ona razem z aniołami ulatuje do świata cudów. Słuchaj, teraz zabrzmiały głębokie akordy, toczą się i wzdymają oceany tonów, zapadły mroki nocne. Te tony, te akordy, to nie głosy ludzi pojedynczych; wśród ciemnic kroczą duchy pogrzebanych stóleciów, olbrzymie cienie umarłych ludów; na wołanie muzyki rozwarły się mogiły przeszłości całej; słyszysz tę przeszłość niby huk morza miotanego burzą. Ale znów wszystko zniknęło jako znika zły sen; znowu wiosenne, wonne zaranie młodej natury przyplęnęło na powiewach akordów; z pod splotu róż słyhać szepty kochanków, tęsknoty serdeczne, rozkosze i bole miłości, a roje gieniuszków rzewnych, lekkich, oblatują je wkoło. I znów z oniej strony płyną jęki; coś w sercu szlocha, płacze. Uderzyła z góry nieszczęścia błyskawica — gród stary; odwieczny stanął w płomieniach; pożar bije falą, wzbijają się słupy ogniste, kłęby dymów, niby straszdyła potworne, niby szatanów postaci, sięgają obłoków. Runęło w popiołach miasto rodzinne! — drwiny złych duchów! — Słuchaj! ztamtąd wałą się okrzyki milionów; bliżej a bliżej huczą dumne tryumfy i Halleluja pogromców. I znów wszystko ucichło. Dźwięki niebiańskie wzbily się w górę, a nad światem unosi się anioł z palmą pokoju w ręku. To anioł harmonii; więc stanął na tęczy przymierza między niebem a ziemią, na tęczy siedmiobarwnych tonów; on splata i godzi piorunne głosy przeszłości i tęsknoty miłosne, serca wesele i bole w duszy płonące; uśmierza, osładza i rozpacz i żale i dumy tryumfów; on zwił wszystko, co się na niebie, co się na ziemi święci, w jeden wieniec pieśni nie-

biańskiej, jakby kwiaty z bożego sadu: mniemasz żeś się odrodził młodości wspomniemniem; samego siebie widzisz wiosennym młodzieńcem, widzisz splecione z tych tonów ojca, matki, przeszłości postaci; zda ci się że się znów roztworzyły utracone raju bramy, że ci wróciła dawna serca pełnia! Miłość nieskończona jak świat, głęboka jak niebios przepaści, zagrała ci w sercu; radbyś znów jak niegdyś przytulić te gwiazdy Boże objęciem nieskończonej miłości, przytulić do siebie rzewnem kochaniem cały ludzki ród, całe stolecia i przeszłe i przyszłe i obecność całą. — Ba, ba, cóż ci tak tkliwo? serce ci zabolalo; skądże te czułości? toć to goście dawno, tak bardzo dawno zapomniane! Muzyka coś ci duszę roztopiła; wskrzesiła z martwych dawno umarłe czasy i obraz onych dawnych niebiańskich młodości ogrodów, kędyś hodował najdroższych marzeń twoich kwiaty i nadzieje twoje i wiary i miłości twoje. Nieprawdaż? tobie nie żal młodości, żal ci jedynie tych światów, co w duszcy pomarły! niegdyś, przed laty, także był bogaty sercem; dziś tak ci pusto, tak zimno. Ba, na to czułości żadne nie pomogą, już ci się nigdy więcej w sercu nie zaludni, nie odzyskasz nigdy, co niepowrótnie stracone. Lecz się nie wstydz, nikt cię nie widzi; gdy wrócisz między ludzi, nadrabiaj jak możesz, a tymczasem posłuchaj tylko jeszcze co Shakspeare prawi o muzyce: „Noc i cisza, to istotne struny wdzięcznej harmonii. Patrz, jak niebios błonia wysadzone „w kręgi jasnego złota. I najdrobniejsze z tych kół, „które widzisz, śpiewa w polocie swoim jako Anioł „Boży, wtórując chórom młodoookich Cherubinów. Tak, „harmonii pełne są duchy wiekuiste! My nie słyszymy „ich, obłożeni grubą szatą pyłu. Człek, co nie zna

„muzyki w piersiach swych, którego nie roztkliwią śluby
 „uroczych tonów, ten gotuje zdradę, rozbój, podstęp
 „podły. Poruszenia duszy jego ponure jak noc, a chęci
 „czarne jak piekło, Nie powierzaj się takiemu. —
 „Słuchaj, Muzyka!“ (Kupiec Wenecki.)

I oni nam powiadają, że prawdziwa muzyka jest tylko przywilejem znawców! My nie przeczymy, że ta metafizyczna, umiejętna, spekulacyjna, niezrozumiała muzyka niektórych uczonych kompozytorów dowodzi potężnej kombinacyjnej głowy; nie przeczymy, że ona wydoskonała teorią dźwięków, ale niechaj przecież ci panowie nie powiadają, że oni kochają muzykę. Bo słusznie ktoś powiedział że „kto kocha muzykę, nie obchodzi się z nią jak z nieprzyjacielem, nie każe jej „jęczeć i boleć, nie wymusza na niej gwałtami dowodów umiejętności swojej, przewycięzając trudności „które sam swawolnie sobie wymyślił, nie używa jej „za środek dla miłości własnej; nie staje się podobnym „chirurgowi, któryby zdrowemu człowiekowi połamał „kości, aby się mógł popisać zgrabnym złożeniem i „szczęśliwym wygojeniem.“

Czas atoli nawrócić. Widzisz, mógłbym tutaj, wyłożywszy już jako tako rzecz o kompozycyi, rozprawiać jeszcze szeroko o studyach, szkicach i innych przygotowaniach, bez których, również jak bez kompozycyi, nie obejdzie się tworzenie dzieła sztuki; ale, to wszystko już pomijając, pytam jakie nam wystąpi zjawisko ducha, jeżeli mistrz zaniecha kompozycyi, jeżeli mimo siebie puści to wszystko, cośmy o niej dotychczas powiedzieli, jeżeli ideał wprost zamieni na dzieło sztuki i wyniesie go żywcem w rzeczywisty świat? Wtedy zjawia się *improvizacya*. Improvizacya! Ja myślę, że człowiek

nie jest Panem Bogiem; u samego Boga tylko myśl jest zarazem istnieniem, dla człowieka zaś ciężka droga z myśli do istnienia. Inaczej stwarza Bóg, inaczej człowiek. I nawzajem to też prawda, że człowiek, będąc jestestwem myślącym, inaczej znów śpiewa jak ptaszek na gałęzi; bo ptaszek śpiewa bez myśli, w nim nie ma myśli, a sam przez się jest tylko istnieniem. Ptaszek nie potrzebuje komponować, jego piosenkę już ktoś inny za niego skomponował.

Nie przeczę że improwizacja jest często prawdziwej gienialności objawem, ale ta zmarnieje, nie dochowa się, gdy będzie nadużyciem znieważona; dla tego też improwizator rzadko odpowiada nadziei, którą pierwotnie zrodził.

Ponieważ improwizacja od razu zamienia ideał na dzieło sztuki, a pomija całą pośredniczącą sprawę kompozycji, będącą właśnie przejściem z ideału do dzieła piękności, zatem my, pamiętając na czém zależy kompozycja, łatwo już zgadniemy czego braknie w improwizowaniu. Jakoż, gdy dopiero w kompozycji ideał rozkwita całą pełnią swoją, stąd też zaimprovizowane dzieło sztuki nie będzie rozwinięte z siebie i okaże niedostatek nie tylko pod względem formy, ale i pod względem samego ideału. Zaiste póki gienialność, a nawet i talent, świeci jeszcze całą potęgą świeżą, rodzimą, póty też i niedostatki te będą ukryte, zwłaszcza gdy dech poezji owionie treść umiejętną, naukową, opiszową, a zatem treść już skądinąd przygotowaną i będącą na zawołanie; lecz później zwolna, niepostrzeżenie, na miejsce pierwotnej świeżości stawać będą obrazy zużyte, zwietrzałe, dawno już otarte i opatrzone w świecie.

Nie ma co mówić! Pięknie zrazu duchowi w tej swobodzie pierwotnej, w tym dzikim majestacie swojej potęgi. Improvizator słucha mocy przyrodzenia, która w nim robi i prze; nie ogląda się zatem na przepisy szkoły, na prawidła przyjęte w świecie, oddając się niby gieniuszowi, który w nim przebywa. Lecz, jak się ktoś z nowszych autorów wyraził, zanim się improvizator obaczy, swoboda jego butna, luźna, zuchwała przejdzie w odwrótność, bo w niewolę. Jak bowiem improvizacya, samo chcąc oddaje się w pęta narzuconej sobie treści, jak się ona stosuje do upływających minut, do granic czasu dozwolonego jej na przygotowanie, tak oddaje się mimo wiedzy swojej pod powagę kilku osób, które na nią czekają; zanim się przeto sama spostrzeże, już stosować się pocznie do ich smaku i do ich umysłowego kierunku. Otoż tym trybem talent, co mało sobie ważył prawidła uświęcone wiekami, oddaje się sam w hołdy dobrowolne ułomkowi drobnemu spółczesnej mu publiczności, bo owemu szczupłemu gronu, będącemu dla niego światem całym. Nie dziw też, że zwolna gaśnie ta luna światlista, którą natura uwieńczyła skronie wybranka swojego, a z całego niebiańskiego posagu, który tak biednie zmarniał, zostanie tylko jedna wprawa wierszowania. Atoli łatwe składanie wierszy nie jest jeszcze poezją, toć jedynie jej strona zewnętrzna, techniczna; wirtuoz nie jest jeszcze mistrzem.

Wiemy że ideał jest żywotnym warunkiem wszelkiego piękności dzieła, lecz w improvizacyi ideał będzie zawsze nierozwiniętym, bo on dopiero mocą kompozycyi roztoczyć się zdoła w całej piękności swojej. Stąd jawnie znać, że w miarę wyrobienia się ducha przez kompozycją mistrz nabiera też coraz wyższej po-

tęgi w twórczości ideałów. Rzecz się zupełnie tak ma jak w myśleniu a wysłowieniu. Bo lubo nie zaprzeczam, że wprawa myślenia wyrabia w nas moc wysłowienia się, przecież nie mniej jest rzeczą pewną, iż staranie około jasnego wysłowienia wdraża nawzajem ducha do dokładniejszego coraz myślenia. Głuchoniemi nie tylko dla tego są upośledzeni na umyśle, że, nie słysząc drugich, nie bywają potrąceni do własnego myślenia, lecz ich nieudolność pochodzi również i stąd, iż sami nie mówiąc, nie wyrażając myśli swoich, trudniej już rozwijają myślenie własne. Podobnie, kto się zrzeka pracy nad kompozycją, zrzeka się tём samém możności stwarzania coraz doskonalszych ideałów. Stąd też słusznie powiedziano, że Rafael bez ręki, nie mogący wykonywać pierwotnych ideałów swoich, nie byłby nigdy dopiął wyższego szczytu, nie byłby zdołał stwarzać tych właśnie ideałów, — słowem, nie byłby został Rafaelem.

Lecz zważ jeszcze jeden niedostatek improwizacyi a zaiste najważniejszy. Improwizacya tworzy ideał w chwili upodobanej sobie, patrzy całą zimną przytomnością na robotę swoją; tak tedy w improwizacyi duch rozdziela się na dwie strony, na rozsądek i na fantazyę; rozsądek jest trzeźwym świadkiem czynności fantazyi, która dla tego właśnie traci wolność swoją rodzimą, nie rozwija swoich lotów, bo ją krępują oczy owego trzeźwego prozaicznego świadka; a przecież wszystko, co się tworzy i poczyna czy w świecie natury, czyli w duchowym świecie, okryte jest świętą tajemnicą, i fantazyja twórcza jest wstydliwą! jój przeszkadza rozsądek natrętny. Wszak przy improwizacyi są obecni nawet inni świadkowie, ciekawi tych mistycznych zrodzeń duchowych? — Tём gorzej! Albo też mniej-

sza o nich, oni nie dójrzą tych świętych tajemnic, bo ich nie ma w improwizatorze właściwym. Wiemy atoli już z powyższego rozwoju, iż wcale inaczej się dzieje, gdy się poczyną ideał prawdziwy, ideał w głębokiem znaczeniu swoim. Rzekliśmy, iż w tych chwilach uroczystych wstępuje w mistrza natchnienie; jest to duch twórczy, będący niby własną istotą jego, a przecież potęgą obcą, wyższą, z góry nasłaną. Ten duch posiada całą duszę mistrza; ona, pogrążoną będąc w duchu tym, nie odróżnia go od siebie, nie widzi go; dusza mistrza w tém natchnieniu nie jest sobie obecną, nie należy więcéj do siebie, ani jest świadkiem własnych swoich zrodzeń. Mistrz sam nie świadom czynienia swojego, bo w tych jakby jasnowidzeniach one rajskie ogrody, one czarnoksiężkie pałace, wywołane magią fantazyi, są dla niego rzeczywistością, a rozum o tyle tylko ma mocy, iż w tych obrazach przebiera, wybiera, nie krępując atoli potęgi fantazyi twórczej, rodzącej. Dopiero, gdy przeminą te chwile uroczyste, gdy wróci znów stan rozsądku i rozeznania siebie od czarodziejskich obrazów, wtedy dopiero mistrz poznaje ów stan swój, wtedy dopiero sądzić może o duchu, który go był uczynił i objął kochaniem niebiańskim; lecz wtedy właśnie już zniknął ów stan czynienia, uleciał duch, i rozplynęły się marą senną one rajskie ogrody i czarnoksiężkie pałace. W improwizacyi we właściwém znaczeniu fantazyi jest pierwiastkiem podrzędnym, jest służebniczką trzeźwych władz duchowych. W natchnieniu prawdziwém stan bezświadomy rozpoczyna grę duchową zrodzeń artystycznój fantazyi, a trzeźwość, na poły tylko sobie przytomna, o tyle tylko jest czynną, ile właśnie potrzeba aby stauał wybor między postaciami, które

fantazyja zrodziła. Tutaj fantazyja jest panią i mistrzynią a władze trzeźwe, na poły obecne, są tylko jęj słuźebnice wielce podrzędne.

Juź temu dawno, bardzo dawno, gdy żył król i królowa. Było to w owym porannym lat tysiącu, gdy purpurowy wschód ludzkich dziejów przyświecał zrodzeniu Grecyi, owęj młodęj prorokini zacności człowieka i kapłanki wszystkiego, co wzniosłe i piękne na Ziemi. Wtedy to żył ów król i królowa, a trzy córy kwitły im wdziękiem i powabem na radość ich serca i szeroką przez kraj sławę. Dwie starsze siostry, choć były cudnego uroku, toć przecież ich uroda była ziemskim kwiatem, stąd też ku ziemskim uciechom zwracały się ich serca młode, i, miłości światowęj wczesnie zaślubione, opuściły ojcowski dom. Najmłodsza ze siost, Psyche, tchnęła niewidzianą nigdy jeszcze od ludzi pięknoscią; zdała się być córą jednego z olimpijskich bogów i jakby sierotą niebiańską opuszczoną na ziemi; postać jęj, to muzyka Boga pieśni, a ruchy jęj, to uwidomione, wcielone tony lutni jego. I przykrzyła sobie Psyche w królewskim grodzie; i pusto i głucho rozkładał się przed nią świat wkoło; patrzała w obłoczne niebios budowania, w nich okiem tęskném upatrując ulubienica dla siebie. Było to w owym porannym lat tysiącu, kiedy wiekuistość wyjawiała się jeszcze w postaci tutecznej, odzianęj pięknoscią, gdy i serca samych niebian nieśmiertelnych czuły po ludzku, gdy nawet słabostki człowieka olimp wysoki z biedną ziemią podzielał. Nie dziw tedy, że lud ze wszech stron wkoło spływał młodą dziewicę za samą Boginię miłości mając; oddawał jęj pokłon i cześć; ale też i nie dziw, że te wonne dymy ofiarnych ołtarzów, że rzewne serc uwiel-

bienia, wzbijając się pod bogów mieszkania, trwogą zawistną poruszyły Wenus, dotychczas samowładną panią miłości i wdzięków. Ona w lęku, by jój Psyche nie odebrała rządów wszechmocnych na ziemi, daje rozkazanie synowi, by młodą dziewicę rozkochał nikiem kochaniem ku najnędnieszemu z ludzi. Lecz Amor ujrzał Psyche i własną strzałą swoją sam zranił siebie.

Tymczasem król ów i królowa, bolejąc iż Hymen nie ośmieli się jeszcze zbliżyć pochodni ziemskich płomieni do najulubieńszej córy ich, pytają wyroczni o radę. Apollo, bóg pieśni a przyszłości wieszcz, wyrokiem zgrozy pełnym głosi, że Psyche na zawsze stracona dla ziemi, że na szczycie samotnym przepaścistej skały ma ją ukochać małżonek o potwornej, o straszliwej, skrzydlatej postaci, co wrogiem i ludziom i niebian wrogiem. Więc żalobnym orszakiem, pogrzebowym pochodem, z żalem serdecznym ludu, na rozpacz ojca i matki, pełna boleści i łez wyprowadzona jest Psyche na szczyt samotny przepaścistej skały. Tam została sama jedna, sama jedna ze strachem i trwogą śmiertelną w sercu. Ale, jakby miłości lubym powiewem, wionął zefir tchem, objął dziewicę i unioś do edeńskiej doliny i złożył snem ukołysaną wśród woni kwiatów. Gdy Psyche otworzyła oczy, niby gwiazdy duszy swojej, czarodziejski świat, ogród cudów objął ją do koła i zadrgało serce lękiem i rozkoszą niebiańską, i pyta sama siebie, czyli to może jeszcze ułudne, polotne, senne obrazy, czyli istny jaw!

Niebo rozpięło błękity promienne jakby namiot nad łożem miłości natury całej, a namiot złotem słonecznym i w barwy światliste szyty. U stóp dziewicy wyrastają róże o licu rumianem, a rumienia się, bo tesknią

za miłością, i płaczą rosy kropelką, bo dech porania zapomniał dziś o różach i ucałował usta dziewicy; w koło wonił drobnych kwiatków ród, co, chowając pod ziółą główki swoje, rozpowiada z cicha sobie szczęście Psyche młodej; a motyle, co to same niby kwiatki lotne i lotne miłostki, unoszą się z kwiatów na kwiaty i każdemu z nich coś mówią i prawią; boć motylki to swaty i powierniki ich kochania. Wszędzie pełno muzyki: to śpiewaki skrzydlate kołyszą się na gałęziach, to znów rzekłbyś że na obłokach gniazdka swoje mają, że gdzieś wysoko na błękitach założyły orkiestry swoje i nucą śpiewki weselne, miłosne, boć one same tak miłością szczęśliwe; całując zaś stopki dziewicy ucieka potok, a ucieka śpiesznie, bo mu śpiesznie do strugi, co tam skryta pod ciemnym splotem krzewów oczekuje wybranka; nawet to drzewo pradziadowe, bezlistne, tak niby opuszczone i biedne tu w krainie szczęścia i cudów, nie jest samotném; powój kwitnący odział je w koło szatą zieloną, niby haftowaną suknią weselną, a to serce jego, od wielu lat martwe, tutaj zdoprawdy puka radością i kochaniem, bo tu rozkoszą i miłością odycha świat cały.

A zadrgała Psyche rozkoszą, bo poznaje, że to nie ułudne polotne obrazy senne, że to istny jaw. I patrzy, a tam wśród grona drzew milczących wzniósł się pałac czarodziejski; nie jest on dziełem śmiertelnych rąk; wspaniały, przepychu pełen, a przecież odziany i lubością i wdziękiem; świetlisty on, strojny, hardy a przecież kształty jego tak urocze i harmonii pełne, jakby marmurowe akordy. I słucha Psyche, a głosy niewidome witają ją jako panią tego miłości edenu; a słu-

żebnice nadświatnej urody czekają skinienia młodej dziewczicy.

Lecz gdy zagasły wieczorne purpury, a powiewy ciche mroku westchnęły po ziołach i kwiatach, po strumieniach i skałach, a liście, kwiaty i gałęzie, kołysząc się zlekka, zasnęły już; gdy przebrzmiały światła i barwy, niby podanie z dawnych lat, a gwiazdy zwiły się w błyszczący wieniec weselny i jakby do ślubu ustroiły noc, Psyche sama jedna została w sypialnej komnacie, czyniona czarem magicznym swoich dziejów. Gdy duma i marzy, stanął przed nią ulubieniec niewidzialny, w nocnych cieniach ukryty. I liście i kwiaty, zioła i ptaszki zadygotały w sobie i na pół przebudzone podały sobie o przybyciu kochanka wieść. Gdy na wschodzie świtał brzask poranny, gdy pierwsza gwiazdka gasła, wśród usciśnienia miłości prosił rzewnie, błagał kochanek by Psyche nigdy, nigdy, nie chciała obaczyć jego postaci „bo“ rzekł „gdy raz obaczysz postać moją, już zginie szczęście nasze, a ja nigdy, nigdy nie zdołam już wrócić do ciebie.“ A gdy zaświtał brzask poranny i gwiazdka zgasła, uleciał kochanek.

I płynęły dni i płynęły nocy w rajskich ogrodach, a z każdym ciemnym mrokiem wracał niewidomy kochanek. Dnia pewnego, gdy na tę dolinę cudów a czarodziejskiej ułudy spokój głęboki rozlewał rozkosz cichą, lubą, gdy Psyche syoczywała pod ciemnym sklepem krzewów wonnych, jakieś płacze i jęki, narzekania bolesne zadrgały echem w szczęścia edenie; znać, że to wołania z innego świata, ze świata rzeczywistości i cierpień, o którym wśród chwil błogich zapomniiała Psyche. Były to siostry jej starsze, które z onęj skały wrogięj, samotnej, przepaścistęj wzywały płaczem Psyche.

Więc za powrotem nocy, wśród pieszczot miłości a toni kochania, błaga rzewnie małżonka, by siostry jój mogły być świadkami jéj szczęścia. Zezwolił niewidomy kochanek, ale znów powtarza, znowu prosi i błaga by nigdy nie zechciała obaczyć postaci jego. Zefiry uniosły siostry do państwa czarownego, i Psyche, oprowadzając je po ogrodach edeńskich, pokazywała im wszystkie rozkosze, wszystkie uroki, skarby i wdzięki nieskończone, któremi ją otoczył wkoło jój ulubieniec. Lecz siostry, zdjęte może czy ciekawością czyli zazdrościwém uczuciem, wznieciły w sercu Psychy niepewność i wątpienie, nalegając, by przecież obaczyła samego dawcę szczęścia swojego. A długo, długo opierała się Psyche, bo oddawała się z ufnością serdeczną kochaniu swojemu. Lecz razu pewnego, wśród nocy nieměj, głuchěj, miotana niepewnością wzdycha i płacze, i już nie zdoła dać rady sobie; chwyta więc lampę i puginał, a z cicha, niedosłyszana, jak powiew lekka, wstępuje do komnaty śpiącego ulubieńca. Lęk, radość i trwoga zatrzęsły dziewicą, bo widzi na łożu kochania i piękności boga, widzi na oczy śmiertelne Amora, w istnėj niebiańskiej postaci; jój kochankiem najcudniejszy z bogów olimpijskich! Lęk, radość zatrzęsły dziewicą, omdlały pod nią stopy, drżącą ręką wypuściła puginał, kropla oliwy z lampy spadła na ramie boga miłości. Amor się przebudza, wyrzuca jój rzewnie żałośnie nieufność i zdradę, i ucieka. Daremnie błaga Psyche i klęczy i płacze, daremnie zaklina; zniknął kochanek, uleciał do nieba, a z nim zniknęło szczęście rajskich edenów i czarodziejskich pałaców.

Czyliż mam jeszcze prawić o biedach, o rozpaczach Psychy, o mękach, które przecierpiała? Gdy skoła nadzieja powrotu kochanka, padła już na nią ciemna myśl

samobójstwa, a Wenus, karząc za śmiałość pokochania jej syna, wymyślna w sposoby udręczenia dziewicy, posyła ją nawet do smętnego państwa Prozerpiny.

I wiele katuszy serca przetrwała Psyche i wiele przeboleła, aż w końcu darowana jej była wina.

I zaniesiona do wysokiego olimpu zasiadła wraz z Bogami do swojej uczty weselnej; a Jowisz, który skinieniem trzęsie posadami niebios a przecież wyrozumiały jest na słabości ludzkie, co tak pełen łaski, bo sam tak potężny, podał dziewicy czarę ambrozyi, a ona wypila z niej nieśmiertelność dla siebie; odtąd Psyche stała się wiekuiestą młodocianą boginią, odtąd Psyche jest duszą, a wyrosły jej skrzydła motyle!

Kogo ukocha gość z Olimpu, niechaj nie żąda widzieć okiem cielesnym ulubieńca swojego, a ślubem z nadświatnym państwem złączony zasiądzie do uczty nieśmiertelnych, wypije z czary niebiańskiej młodocianą wiekuiestą, niekończącą się nigdy. Kochanek z nieba zesłany roztworzy mu oczy, by przewidział. Tak doczesności syn, mistrzem się stając, ujrzy myśl wiekuiestą ukrytą we wszech jestestwach i zrodzi ją na jaw w widomej postaci piękności. A jak sam, choć z ziemi wywodzi pochodzenie swoje, a przecież zaślubił się z niebios mieszkańcem, tak i w dziele jego wiekuiestą obejmie doczesność rzewną miłością(*).

(*) Przed samem wysłaniem rękopismu tej książki do druku, więc bardzo długo po skreśleniu powyższych ustępów o improwizacji i improwizatorach, stanęła wśród miasta naszego Deotyma. Zjawienie się jej tak dla nas było lubie i uroczę, jak gdyby wśród zimy mroźnej, wśród jałowej w koło natury, darowany ci był niespodzianie z miłej ręki bukiet świeżych fijołków, lub innych wonnych barwnych dzieci młodocianej wiosny; a jak

Im wyżej stanie mistrz fantazyą, tém jaśniej oczyma ducha obaczy tę myśl wiekuistą, tém doskonalszą będzie postać, która ją odzieje, tém przeto i treść dzieła będzie głębsza, tém forma jego piękniejsza, tém nakoniec połączenie treści i formy będzie ściślejsze i zupełniejsze, czyli tém doskonalej głębszej treści odpowiadać będzie głębsza forma.

Deotyma zostawiła nam po sobie wspomnienia wdzięku pełne, tak też serdecznie pragniemy aby i ona nawzajem uniosła z sobą miłą pamięć o swoim choć przelotnym pobycie w grodzisku naszym.

Byłoby iście o czém pisać, gdyby mi przyszło wypowiedzieć jakie się nam nasuwały myśli, patrząc na to zjawisko tak wdzięczne i świetne a zarazem tak nadzwyczajne pod względem Psychologii i Estetyki. Przecież już tyle o zadziwiającym talencie Deotymy napisano iżby się może obeszło zupełnie bez mojego zdania; a nadto, kto wie czyli mi nie przyznasz, iż wyrzeczenie dziś ostatniego słowa w tym względzie byłoby może zbyt śmiałym, bo zbyt wczesnym sądem. Wiemy że ogromne wstrząśnienia duszy, że zadane sercu rany, boleści pełne, bywają niestety najczęściej ogniem czyscowym, w którym hartuje się gieniuza potęga, a lubo wszyscy z całej duszy życzymy aby i bez tych cierpień duch poetycki Deotymy wzniósł się na szczyty najwyższe własnej istoty swojej, toć przecież trudno przewidzieć co jój gotują losy jasne lub ciemne, czekające każdego człowieka, a ukryte na dnie przyszłości jego; więc tém mniej wolno, ile mnie się zdaje, dziś wyrokować ostatecznie o talencie Deotymy. Bo chociaż myślę, iż kto ma uszy ku słuchaniu a oczy ku widzeniu, z trudnością tylko nie dosłyszcy i nie dowidzi skrzydeł wieszczych Deotymy, toć przecież nikt dziś nie zdoła wywróżyć czy to są skrzydła gołębiczy śnieżnej co z miłością pilnując strzechy domowej dodaje jój wdzięku, miląc zaciszę lubę spokojnego żywota, czyli to są loty orłęcia, co kiedyś, na tatrzańskich turniach założywszy sobie stolicę, puści się wzdłuż po nad Wisły wstęgą i przejrzy się w zwierciadłach rzeki rodzinnej; a może te skrzydła skrzy-

Widzisz przeto, iż się zbudują stopnie różnej potęgi fantazyi, jakby Jakóbowe wschody, po których wstępują aniołowie do nieba. Jeden, jeden tylko wśród wszystkich szczebli może być najwyższym; ten już przy samym progu nieba piękności, ten sam jeden jest całą fantazyą. Przeto też wszystkie poniższe, lubo tak różne między sobą, stanowią przecież tylko jeden rodzaj

dłami Cherubina, co zatęskni za niebem, wzbije się po nad obłoki i utonie w przepaściach gwiazdzistych!

Przeto, wedle mnie, nikt o tém jeszcze w téj chwili stanowczego zdania dać nie może i dla tego, jak rzekłem, nie śmiałybym rozpisywać się w téj mierze.

Ale skoro powyżej dość obszernie rozwodziłem się o improwizacyach, więc mi już teraz nie podobno milczeniem pominąć Deotymy; a co więcej już dla osobistego dogodzenia sobie radbym, choć pobieżnie, skreślić o niej wyrazów kilka, bo tym sposobem niby wcielę w słowa i zatrzymam w piśmie te chwile przelotne a tak miłe, które nam upłynęły w czasie jéj bytności pomiędzy nami.

Słyszałem Deotymę, a przecież nie cofam żadnej myśli, żadnego wyrażenia z ustępów powyżej o improwizacyi powiedzianych! — Nie mógłbym atoli żadnym sposobem zgodzić się na zapatrywanie się tych, którzy w Deotymie jedynie widzą improwizatorkę w ściślejszém znaczeniu! Wedle mnie Deotyma nie jest taką improwizatorką, ale poetką, ale artystką prawdziwą, która téż i improwizować umie. Lecz w tém właśnie najogromniejsza różnica. Kto improwizatora nazywa poetą, a Deotymę improwizatorką, myli się w tém iż w obu razach bierze formę za istotę, pozór za rzecz.

Wy tłumaczę się bliżej. Rzekłem że Deotyma jest poetką prawdziwą która umie improwizować; z czego wypływa naprzód, że w jéj improwizacyach odzywać się będzie struna właściwa i konieczna wszystkim improwizującym, a tém samym znajdzie się w nich pewna właściwość, która będzie spólną i Deotymie i improwizatorom w ściśleńm znaczeniu.

fantazyi, bo mają to spólnego, iż żaden z nich nie jest całą pełną fantazyą; one wszystkie różnią się między sobą jedynie co do stopnia swojej potęgi, różnią się więc tylko liczebnie; ów zaś szczybel najwyższy nie tylko się różni od nich liczebnie, lecz właśnie dla tego, iż on sam jeden jest najwyższym stopniem, jest właśnie sam jeden tylko całkowitą, zupełną fantazyą; różni się

Lecz nawzajem, gdy duch Deotymy jest czémś więcej niż zdolnością do improwizacyi, gdy on jest zaiste duchem istnej poezyi, wynika ztąd że jej improwizacye różnić się także będą od właściwej improwizacyi i że różnica ta koniecznie będzie dwoista. Bo jak znajdziesz w improwizatorach właściwych pewne wrzekome zewnętrzne zalety, których nie spotkasz u Deotymy; tak na odwrót, gieniusz prawdziwej poezyi przebywa w duszy téj młodej dziewicy, więc téż w jej poematach uczujesz tehnienie wyższych światów, które są zupełnie obce dla improwizatorów w ścisłym znaczeniu.

Słyszac Deotymę, poznasz że ona istic improwizuje, choćbyś nawet o tém nie był wprzód uprzedzonym, choćbyś nawet nie był głębszym znawcą owej tajemniczój pracy ducha, która robi na dnie wnętrza naszego.

Przywiedzmy sobie przeto na pamięć cechę każdój improwizacyi w znaczeniu ścisłym, a potem spytajmy czyli, i o ile, one się znajdują w improwizacyach Deotymy.

Jakoż najczęściej znamieniem wszystkich prawie improwizacyi są myśli metafizyczne, ogólne rozumowe zasady, przedmioty wzięte z różnych dzielnic wiedzy ludzkiej, allegorye, ton dydaktyczny, opisujący, i tym podobne cechy. Inaczéj téż być nie może, bo jedynie przedmiot z wiedzy wzięty, jedynie treść rozumowa może być na zawołanie umysłowi ludzkiemu.

Oprócz atoli znamion takowych, jest jeszcze inna cecha, którą z istoty rzeczy znajdziesz koniecznie w każdej improwizacyi; jestto ta rozplynnosc, rozwiewnosc postaci i obrazów, które w sobie są mgliste, które nie tężęją, że tak rzekę, we formy plastyczne o zarysach, wydatnych, wyraźnych, ale ula-

przeto od innych wszystkich rodzajem. Na onych wszystkich poniższych szczeblach stają i wyższe i niższe talenta, na owym zaś topniu najwyższym staje gieniusz; on się różni rodzajem od wszystkich talentów. Wszak ta sama prawda iści się wszędzie, kędy tylkow zachodzą stopnie. Człowieka organizm, właśnie dla tego że jest najdoskonalszym ze wszystkich organizmów, różni się od

tniają się niby lekkim chuchem, nie nabierając krwi i ciała; stąd jakiś obłok zagadkowy, mistyczny otula niekiedy treść całą. Te cechy mają, jak już z powyższych ustępów moich widzieć można, dwojaką przyczynę; jakoż naprzód: gdy w improwizacji ideał, w duszy poczęty, wprost, więc bez pośrednictwa kompozycyi, przechodzi w gotowy poemat, przeto nie ma, że tak się wyrażę, dość czasu, by się ukończył w sobie, by wziął na siebie postać plastyczną o konturach wydatnych, wyrazistych; a drugą znów przyczyną tego braku form ściśle oznaczonych jest właśnie ta, że sam ten ideał w improwizacji najczęściej nie jest, ściśle mówiąc, ideałem, bo jest najczęściej myślą rozumową a zatem, prawdą ogólną będąc, mniej się nadaje do wcielenia w postać indywidualną, mającą własną osobną fizyonomią swoją.

Gdy takowe są mniej więcej znamiona wszystkich improwizacji, więc trudno twierdzić jakby się ich dopatrzeć nie można i w poematach Deotymy, które przecież także są improwizowane. Że jednak duch, żyjący w tej dziewicy młodej, jest za prawdę duchem wieszczym, więc świeci tak jasnym promieniem, że nawet i pod względem tych cech, które ma wspólne z improwizacją w ściśłym znaczeniu, różni się od niej właściwem sobie światłem i barwą. Zanim atoli bliżej te różnice wytłómaczę, zważmy jakie to są te zalety któremi celują improwizatory właściwe nad Deotymą? Są to zalety którychbym pragnął nigdy nie widzieć w poematach Deotymy, o ile one będą improwizacją. Jest to, słowem mówiąc, ukończenie zupełne pod względem zewnętrznej formy. Jestem przekonany iż Deotyma, widząc przed sobą napisane własne improwizacye, nie jedno poprawi w nich co do harmonii i wyrażenia, co do wiersza,

nich nie tylko stopniem, wyższością potęgi, ale też różni się od nich światem całym, różni się jeszcze rodzajem (jakością), i dla tego sam tylko jeden jest on przybytkiem ducha, jestestwa obdarzonego rozumem, myślą, nieśmiertelnym trwaniem. Jeżeli inne organizmy są tylko wyrażeniem jednej z myśli natury, człowiek sam myśli,

więc co do formy zewnętrznej. Tego wszystkiego nie uczyni improwizator właściwy, bo on nie zdolen już być wyższym od własnej improwizacji; on całego siebie wlał już w tę formę zewnętrzną, bo on cały jest tylko formą zewnętrzną, mechanizmem; on przyszedł do tej techniki ogromną wprawą i wrodzonym talencikiem, ale te biedne zalety opłacił utratą wewnętrznego człowieka; on dał ziarno za łupinę! (*) Bo ta forma jest u właściwego improwizatora wszy-

(*) Do jakiego stopnia ta łatwość zewnętrznej formy dochodzi, widzieć możesz z tego, że się pojawiają po stolicach europejskich np. improwizatorowie włoscy, którzy z narzuconej sobie osnowy zaimprovizują całą tragedję w pięciu aktach; a zawiązanie i rozwiązanie, rozkład na akty, sceny, osoby, słowem organizm cały sztuki tak ułożony że odpowiada najściślejszym prawidłom, a przecież taka tragedia nie jest poematem, nie jest dziełem piękności. Wszak kilka lat temu jak improwizator niemiecki popisywał się w Krakowie! nie improwizował on wprawdzie dramatu, ale jedynie wiersze liryczne i opisowe; przecież za to miał, krom żądanej sobie osnowy, jeszcze podyktowany szereg rzeczowników, które dano mu wpleść w ten wrzekomy poemat; a nadto należało mu walczyć z trudną miarą wiersza niemieckiego którą mu również narzucono, i związał się wielce gładko z całego zadania; bo jedynym grzechem w jego improwizacji było iż z lekka przewinił przeciw metryce, używając np. niekiedy, bez ścisłej potrzeby, trocheów zamiast spondeów i na odwrót. Wszelako najczęściej sami ci improwizatorowie sztukę swoją za lekki żart, a nie za poezję uważają.

sam siebie wyraża. Gieniusz nie jest tedy bynajmniej jedynie talentem spotęgowanym, on jest samą istotą od nich różny; światy całe rozdzielają gieniusz od talentu; gieniusz sam jeden jest całą, zupełną, nie ułomkową fantazyą. Każdemu, choćby najwyższemu talentowi, brakuje czegoś do całkowitości fantazyi. Gieniusz sam

stkiem, bo obok niej strona wewnętrzna, duchowa jest pusta i i głucha; więc stać go jedynie na obrazy dawno opatrzone, przenośnie, porównania zużyte, zblakowane; po nie to sięga improwizator do pamięci jakby do składu różnorodnych zapasów, nagromadzonych na wszelki przypadek. Inaczéj u Deotymy! Słyszac ją trudno wstrzymać podziwienie swoje; taka urocza świeżość tchnie z tych jej improwizacyi, zwroty tak uderzające bo niespodziewane, obrazy świecące kolorytem tak pełnym przepychu, taka tu oryginalność w przenośniach! Wszak nawet wyrazy pojedyncze, użycie języka, władanie mową, wyraźnie świadczy, że tu technienie idzie z góry, że tutaj duch poezyi ocienił duszę improwizatorki naszéj.

Mówiłem powyżéj że poemata jej są improwizacyą, że za-
tém będą miały i cechy, które są wspólne też improwizatorom
właściwym, np. dydaktyczność, treść z wiedzy wziętą, myśli
rozumowe, a nawet jakąś rozwiewność, mistyczność obłoczną;
jakoż lekki ślad tych znamion spotkasz i w improwizacyach
Deotymy; ale zważ że ta barwa dyktatyczna, że ten przedmiot,
z nauk wzięty, pod jej natchnieniem przybiera urocze, nad-
zwyczajne kształty; ta treść umiejętna często ci się pokazuje
ze strony zupełnie nowéj, uderzającéj, rzekłbyś że te przed-
mioty, owiane poezją Deotymy, zabrzmiały dźwiękiem, którego
nigdy jeszcze z siebie nie wypowiedziały: a myśli jej to nie
abstrakcyje ogadane, tysiąc razy powtarzane; te myśli jej wy-
padają często niby błyskawicą z tajników duchowych i są nie-
raz tak głębokiego znaczenia, żeby nam dziwno było skąd ta
mądrość przyszła téj młodéj dziewicy, gdyby nie przekonanie,
że to właśnie ów zachwyt, prawdziwie poetycki, zastępuje dzia-
łanie wytrawionego rozumu, i zdoła oświecić przedmioty nowém,
niczwyklém światłem.

jeden zdolen stworzyć dzieło, w którym najgłębsza treść wyjawi się w najdoskonalszej formie, w którym tedy i treść i forma będą zlane najściślejszą jednością. Talent, dla niezupełności swojej, okazać się może wprawdzie w piękności formie, ale tej formie nie dostaje głębokiej treści; stąd też i ta piękność sama wyrównynać będzie jedynie pozornie formom stworzonym przez gieniusz, ale braknąć jej będzie onego najściślejzego połączenia treści a formy. Najczęściej talent odznacza się mistrzowską technicznością, pożyczając od gieniuszu treści. Niekiedy nawet talent wyższy strzeli genialnością prawdziwą, ale te chwile jasne będą dla niego jedynie szczęśliwym wyjątkiem, zdarzeniem . . . talenta są prawie zawsze czeladzią gieniuszu, obrabiając, rozwijając, upowszechniając ideę przez gieniusz zrodzoną.

W talencie żyje wprawdzie fantazyja potężna, ale

Prawda że obłoczna mistyczność otacza niekiedy treść poematów Deotymy, zasłaniając jasność i dobitność obrazów; prawda że te postaci u niej nie stają posągiem rzeźbionym, w którym i ogół i szczegóły wszystkie występują z całą potęgą swojej indywidualności. To prawda! Aleć to być inaczéj nie może przy improwizacyi; a nadto uważ że u niej ta mistyczność niepewna, to nie chmurna mgła włócząca się po wandołach i dolinach, ale są to obłoczki lekkie, ulotne, zbierające się na błękicie nieba, przepromienione światłością, umalowane w barwy tęczowe; one niby składają postać, już poznajesz wyraźnie jej zarysy, kontury; ale w tém dmuchnie jakby powiew poranny a obłoczki już są rozwiane, aby niezadługo znowu związać się z sobą i inne złożyć postaci, które się znów rozplyną.

Co rzekłem aż nadto do mojego celu wystarczy, bo może się już ze mną zgodzisz że Deotyima nie jest bynajmniej improwizatorką w ścisłym znaczeniu, ale, jak rzekłem, prawdziwą poetką, która improwizować umie! Powiesz może że nie jesteś

ona bywa jedynie czynną o ile jój talent użyć zechce, o ile ją do twórczości potraci. Gieniusz jest czynnym nie tak dla tego, iż chce tworzyć, jako raczój dla tego, iż nie może nie być czynnym; jest twórczym, bo nim być musi; ta potęga niebiańska, złożona w nim zawiązkiem, wyrasta w olbrzyma i zniewala do stwarzania; ta potęga, ta myśl wiekuista stała się jego naturą, zamieszkała w jego osobie. Stąd też talent sam siebie odróżnia od potęgi twórczój przebywającój w nim, wie o niej jako o pierwiastku, który nie jest całą jego istotą; odwrotnie w gieniuszu potęga twórcza staje się jego osobistą, indywidualną naturą; bo ta moc ogarnęła w nim całego człowieka; ona jest potęgą, która nim włada, ona silniejsza nad niego, on się jój oprzeć nie zdoła: człowiek posiada talent, a gieniusz posiada człowieka.

Właśnie dla tego, iż w gieniuszu zarazem przebywa

wolny od obawy iż częste improwizowanie, które jest, jak mnie się zdaje, mniej właściwą formą dla talentu Deotymy, mogłoby szkodliwie wpłynąć na ducha poezyi który w niej żyje, że właśnie zawsze tak bywa iż nawyknięcie każde staje się potēm własną naszą naturą, że forma *zewnątrzną* zamienia się na *wewnętrzną istotę* człowieka, że tedy nawyknięcie do improwizowania może sprawić, iż Deotyma, poetka-artystka tak świetnych, promienistych talentów, zamieni się na improwizatorkę w ścisłēm znaczeniu, że tedy formę, to jest wierszowania łatwość opłaci utratą swojej głębi duchowój i polotu talentu swojego. Wyznaję że niebezpieczeństwo jest wielkie, i może ono właśnie stanowi jedną z trudności, dla których dziś nie łatwo wyrzec ostateczne słowo o przyszłości Deotymy; ale ja mam nadzieję że ją od złęgo uchowa instynkt, właściwy prawie każdemu talentowi prawdziwemu, instynkt który uczy co jest szkodliwe a co idzie na zdrowie i moc duchowi, a te nadzieje nasze wiążą się pewnie z najgłębszēm życzeniem wszystkich, których z serca obchodzi literatura polska.

potęga bezwzględna, nieskończona prawda, i że z drugiej strony ta potęga i prawda staje się własną jego indywidualnością, jego, że tak rzekę „interesem“ prywatnym, osobistym, wynika stąd sprzeczność pozorna, którą rozwiązuje gieniusz. Albowiem dla tej prawdy nieskończonej, dla tej idei wiekuistej, która w nim pracuje, dzieło jego uderzy w serca wszystkie jakby gromem; każdy w tém dziele pozna ową prawdę, która przemieszkuje w nim samym, w najświętszych, najgłębszych tajniach własnego jego ducha; dzieło to zda mu się przemawiać, jakby prorok starych lat tysięcy, słowami wiekuistemi, prawdami dawnemi jak świat. Lecz nawzajem, gdy ta idea wiekuista, te prawdy nieskończone, stały się tutaj osobistą naturą mistrza, gdy występują tedy w barwie indywidualności jego, więc tém samem znowu okazały oryginalność. Każdy gieniusz jest oryginalnym; on mocą owęj idei przeziiera wskroś świat, ale go widzi po swojemu, widzi go z tej strony z jakiej go nikt jeszcze nie obaczył, ani go już nigdy więcej nie obaczy, bo każda indywidualność ludzka jest tylko jedną, jest jedyną, nie powtarzającą się nigdy. Te prawdy ogólne, dawne jak świat, wyjawiają się przeto jakby nowe, jak gdyby dopiero wczoraj na ziemię zesłane.

Są epoki w dziejach ziemskich, co martwe, głuche i ckiwe, a ludzie nużą się i biedzą i przędą tę nić zostawioną im puścizną z dawnych lat. Zdaje się, jakby upiór przechodził straszylłem przez miasta, przez kraje; nikt go nie widzi, ale wszyscy czują jego zimny, lodowy dech grobowy; a pada mór na dusze wkoło, a kogo dotknie mór, staje się sam własnym upiorem siebie, i ckiwością własną drugich zabija. Wtedy jakby

z ciepłej dłoni Opatrzności wypuszczona gwiazda spada na ziemskie poniża, przybiera postać ludzką, i rodzi się gieniusz, co albo dźwiga się we figurę historyczną, albo skinieniem ręki wskazuje niepostrzeżone jeszcze przez ludzi skarby wiedzy, albo odświeży wsze serca odrodzoną piękności postacią. Gdy swojego dokona gieniusz, ulatuje w górę, a świat żyje długo jego dziedzictwem; niekiedy stólecia przeminą, zanim ludzie zdołają objąć okiem jego ogromną postać, rysującą się na horyzoncie dziejowej przeszłości.

Przecież gieniusz, choć z gwiazdy a z bożej siejby zrodzon, rozpoczyna żywot swój na ziemi, więc wśród ziemskiej niedoli, łamania się i mąk; on nie obejdzie się bez ciężkiej pracy a nauki, będzie się mocował ze sztuką i z sobą. Zanim doczeka się pociechy z siebie, zanim sam sobie wyrośnie na radość i chwałę, uczuje rozpacz i boleść, widząc że dzieło rąk jego nie wyrównywa téj potędze, która w nim prze i robi. A wiele przebędzie znoju, zanim to dzieło jego stanie przed nim w preczystym spokojnym majestacie, wolne od śladów doczesnych trudów i przebytych cierpień, zanim to dzieło rozpromieni się tryumfem swojego wyswobodzenia z doczesności.

Bo widzisz, jabym porównał dzieło mistrza do żywota naszego. Każdy z nas ma zadane sobie arcydzieło; tém arcydziełem jest on sam, jest niém własne życie jego, a ideałem tego dzieła, który mu świeci w duszy, jest zakon Boży, wiekuista miłości ustawa. A jak z bryły bezkształtnego marmuru znojem duchowym wydobywa mistrz posąg, którego postać promieni się w duszy, tak i każdy z nas zdobywa śród trudów na własnych niskich ochotach, na doczesnej swojej naturze,

wiekuistą istotę swoją; jest to praca około posągu. Ja wierzę, iż te troski i cierpienia życia, te późnej starości niemoce, te męki i boleści ostatniej śmiertelnej choroby, te prace skonania, te wszystkie nawiedzenia boże, mają iść ten cel, aby biednemu człowiekowi lżej przyszło odstać od doczesnego świata i zwrócić myśl do ojcowizny nieskończonej, żeby mu było przecież nie tak żal tych ziemskich dolin. Te gorycze życia, te pałace udręczenia są uwolnieniem duszy od tutecznych zuzelic, aby kiedyś stanął na drugiej stronie grobu w spokojnym majestacie, wolen od śladów doczesnych trudów a przebytych cierpień, w promiennym tryumfie wyswobodzenia swojego z doczesności, tak jak posąg staje w promiennej swojej piękności.

Talent i gieniusz! wszak to tylko dwa, różne całkiem od siebie, rodzaje fantazyi; wypadaloby mi teraz mówić o innych rodzajach, różnych już pod innym względem a dotkniętych przezemnie w inném miejscu (*). Lekkie o nich, przelotne potrącenie wystarczy. Jakoż inna będzie fantazyja kwitnąca w architekturze a inna w malarstwie; innej fantazyi wymaga rzeźba, innej muzyka a innej poezya. Lecz każdy z tych rodzajów znów składa się z grup przeróżnionych; chciejno sobie przypomnieć różne style architektury, i znowu różne przeznaczenia dzwignionych budynków, albo różne rodzaje poezyi, muzyki i t. d. — I znów wszystkie te rodzaje różnie się cieniują, wedle tego czy fantazyja będzie wzniosła, czy wdzięczna, czyli pełna prostoty, czy komiczna, czyli tragiczna i t. d. i t. d., — a te

(*) Wykład filozofii §. 469 do 473.

tak różne barwy fantazyi przeróżnie się znów z sobą jednoczą i zlewają.

Widzisz, że ta osnowa jest tak bogatą, iżby rozszadziła miarę listów naszych, więc przepuścisz mi, że się nie będę nad nią rozwodził, a to tém mniej, iż ona należałaby raczej do rozprawy o różnych rodzajach sztuki pięknej w szczególności. Jest atoli jeszcze jeden podział fantazyi, godzien zaiste całego naszego zajęcia, — jest to fantazyja ludów roztaczająca się w dziejach naszego rodu. Każdy lud historyczny ma od Boga powierzone sobie słowo, którego jest wcieleniem; to słowo jest jego duszą; on, podobnie jak człowiek pojedynczy, ma powołanie żeby je ze siebie wyrobił, aby urzeczywistnił to słowo w dziejach. To słowo przebywa we wszystkim żywocie ludu, w całej historyi jego, we wszystkim objawie jego; ma swój zaś kwiat a woń najwyższą w jego sztuce pięknej, w jego fantazyi. Stąd wedle różnego piętna duszy każdego ludu inna a inna będzie fantazyja jego. Pobieźny przegląd tych dziejów fantazyi, uważanych. na tle historyi, będzie osnową następnych listów naszych. Wprzód atoli obaczmy bliżej jeszcze stosunek rozwoju fantazyi do ducha żyjącego w historyi powszechniej ludzkiego rodu.

LIST XIII.

Historya powszechna i Historya fantazyi.

Wstęp. — Opatrzność i dzieje ludzkie. — Znaczenie ludów, państw i okresów w historyi. — Ludzie historyczni. — Historya fantazyi i rozwój dziejów ludzkich. — Fantazyja każdego ludu jest wyrazem jego treści wewnętrznej. — Szczyt historyi i panowanie fantazyi u każdego ludu. — Różność ludów pod tym względem. — Stosunek natury materyjalnej do fantazyi ludów. — Wpływające stąd różne epoki w historyi fantazyi. — O zadaniu listów następnych.

Ten stary świat nasz toć to jest siwy pradziadowy dom, który nam ojciec nasz niebiański zbudował i puścizną rodowi człowieczemu przekazał; a dumnie stoją te stare węgły jego i po dawnemu jeszcze sklepią się gwiazdzistego nieba stropy. Świeci się butnie i wesoło ten stary gród, choć niejedne miotają nim wichry szalone, choć w różne czasy buchnął płomień z pod ziemi i jasno rozgorzał żarem, choć, jak nam bają dawne lata, te sadzawki jego niegdyś wzdeły się buntem, a przełamując groble swoje rozwlekły po dziedzińcu i sadach domu jakieś skrzele żabie, skorupy ślimacze i kości rozlicznego gadu. Stoi to budowanie Boże na przekór lat

tysiącom: niekiedy tylko jeszcze z najgłębszych sklepów i przepaścistych piwnic coś straszy, puka kołaczce, zatrząsie ogniem, jakby racą strzeli i czarnym kopciem zadymi. Dziwne się tu rzeczy działy; byłoby długo o czém pisać i prawić; lecz już najdziwniejsze są kroniki mieszkańców dworu tego. Tu, jakby syny domu, zrodziły się narody i ludy, z kolei dziedzice ojcowskiej puścizny. Jedne z nich pomarły niemowlętami w kolebce: urodziły się, zapłakały, i z klekotką w rękę a z papką w ustach zasnęły na wieki. Inne urosły w pacholęta; więc ich podrzuca junackie zuchwalstwo, dzika ochota ledwie co serca im nie rozsadzi: więc z szabłą a biczkiem huczą, szumią i swawolą po ojcowskim dworcu, a o bawidełka zazdrośni krwawią się bójką sierdzistą. Lecz też złym dzieciom zguba się znaczy; jakoż, gdzieś nadkręciwszy karku, przepadli bez śladu. A był i taki lud, co rozkwitł w czulego młodzieńca; marzył, kochał, tęsknił, lepił postać drogą swęj miłości: a gdy mu uczucie serce rozebrało, to w szarą dobę coś zaśpiewał, na lutni zabrząkał, aż też w końcu za ostatnią gwiazdą myślami pogonił, i na tych gwiazdach ducha zostawił, i nie wrócił więcęj do ojcowskiego dworca. Tymczasem inne mężniały w siłę i potęgę ludy-robotniki; każdy z nich walcząc z gorzkim życia trudem, pracował od świtu do zmroku, pracował i hrował, aż mu krwawym potem opłynęło czoło: a gdy bez wytchu dokonał już zadanęj mu z góry roboty, znużony legł i umarł. Na potomków w historyi spadały jego dostatki a cierpki dobytek.

Ród dzisiejszy, spanoszony robocizną swych zmarłych braci i własnym zabiegiem; jakoś wymądrzał, zrozsądniał i tak sobie też rad na tém dziedzictwie

swojém, tak się rozsiadł szeroko a dogodnie w tych jasnych świetlicach, tak mu w nich wszystko na rękę, domaszno i błogo, iż zacierając ręce, sam do siebie się uśmiecha i czuje, iż na téj ojcowiznie swojej jest jakby królem sobie a panem. Zlustrował wszystkie tajniki i ciemne kąty dziedzictwa swojego, zna na palcach dom swój; wie co ma, wie nawet czego mu już zabrakło; bo od czasu do czasu niespodzianie wywlecze mu się na podworec z pod staréj obory jakaś kość ogromna, resztki straconego statku, i zmiesza mu porządek systemu jego, przypominając, że nie zawsze tak jak dziś w tym domu bywało: dziś w tym domu jasno i widno. Kędy niegdyś omackiem chodził, tam już teraz powykowywał okna i wpuścił promień dzienny jasny rozumu, albo przynajmniej postawił od biedy, niby świeczkę, formułkę abstrakcyjną; więc też już wszędzie śmiało sobie i we dnie i w nocy chodzi, niczego się nie lękając. Upiory, czarownice, strachy i inną czeladź piekielną powściągnął zaklęciem filozofii; a gdzie niegdyś ta hołota broiła, tam on dziś wyprawia bale i tańce. Sam djabeł nawet, ów stary faktor domowy, nie pokazuje się już na dniu białym; lecz przebrany po księżycu się włóczy, niby lunatyk lub poeta jaki.

Choć atoli ten nasz ród, dziś tak rzesko się krzątając około spraw natury, wyświeca ukryte materialnego świata tajemnice, trudna mu przecież jeszcze rada z państwem duchowém. Lubo on tak oświecony j mądry, lubo wyższy nad wszystkie zabobony, a jednak gdy mu przyjdzie puścić się owym długim a głuchym korytarzem historii, kędy to stólecia zapadłe porozwieszały stare obrazy umarłych państw i narodów, toć mu coś groźnie a dziwnie na serce pada. Zda mu się, iż

stare spłowiałe twarze drgają nowém życiem, że nań mrugają, przemawiają tysiącem dziwnych języków, a występując z ram swoich ciągną za nim, pokazując boleści żywota swojego, i serca zakrwawione blizny. Darownie pragnie wyrzucić z myśli te mary i widziadła, lub jak trwożliwe chłopię zanócić lekką piosenkę na odpędzenie zgrozy; strach go dławi, a piosenka w gardle zamiera: więc, głęboko westchnąwszy za dusze umarłych w Bogu braci, śpiewa godzinki nabożne. A niekiedy się też zabierze do dawnych kurzem strawionych szpargałów, podartych szmat pargaminowych, okruchów grobowców zwietrzałych, złamanych pieniążków; w nich chce wypatrzeć dzieje tych zapomnianych gospodarzy ziemi naszej. Przecież te pamiątki wszystkie będą zawsze rupieciami bez wagi i wartości, jeżeli w robocie téj nie przyświeci mu światło z wnętrza ducha własnego, jeżeli wprzód w sobie samym nie rozgoreje poznaniem siebie. Bo zważ, miły przyjacielu mój, gdy człek wprzód sam siebie przejrzy, gdy sam z sobą będzie w zgodzie a pokoju, i w własnych ducha przybytkach obędzie się jakby w domu swoim, gdy objaśni ten świecznik Boży, co w duszy jego od wieków płonie; już też rozwidni się i historia cała i te dzieje człowiecze, które się dźwiżyły ogromną budową w upływie lat tysięcy. Wtedy też zrozumie mowę stóleciów, które oddawna utopione w wieczności łonie; w sobie samym znajdzie rozwiązanie zagadek dziejów świata. Ta przeszłość dawno pogrzebana, te kości starych lat tysięcy, rozsypane po kruchtach historii, ożyją, gdy je zaklnie imieniem i słowami wiekuistej swój potęgi; złączą się z sobą, nabiorą ciała, przemówią o sobie i o drogach, któremi je Bóg przez wieczność prowadził. Bo to światło

wewnętrzne, to oko duchowe, co nigdy się w nas nie mruży, co wiecznie patrzy i wiecznie czuwa, Bożym namiestnikiem jest. A jak natura wszystka i te cuda stworzenia są Opatrzności robotą, tak i wątek dziejów świata jest sprawą Bożą. Czyliż tedy nie jasno i nie pewno, że bylebyś zrozumiał pierwiastek Boży, co żyje w duchu twym, toć zrozumiesz bez trudu i naturę i tajemnice historii; bo i duch nasz, jak i wszystko co istność ma, przez Boga jest i jest wedle niego.

Patrz, łupina żołądzi obtula sobą masę nierozdziernioną, miazgę bezkształtną; w tej ślepej, niesformnej materii niczego się dopatrzeć nie zdołasz a przecież, gdy ta żołądz w łono ziemi wpadnie, już jakby stworzenia cudem łupina pęka, a z onej ślepej miazgi rozwija się kieł, wyrasta łodygą, dębem, co, twardniejąc hartem kory, zuchwale wyteża konary, rozpina gałęzie i przyodziewa się wspaniałą szatą liści jakby płaszczem majestatu swego; a tak w milczeniu spogląda na bieżące górą niebiosą i przemijające nad nim wieki. Wszak dąb ten, z całą potęgą swych konarów i gałęzi, z całym bogactwem swych żołądzi i liści, zwinięty był w tej głuchej rdzeni łupiny i spoczywał w niej dopiero jako myśl, jako dusza całej przyszłej postaci jego; ale ta myśl stworzenia, ta dusza przybrała na się postać. stała się widomą, wstąpiła w dąb, a co było myślą stało się ciałem. Albo, widzisz jak na tej karcie białej czernią się w kropki i kreski nieme nuty muzyczne; one milczą, są bez życia, martwe i ciche; w nich, jakby w znakach magicznych, drżemie zaczarowany duch wielkiego kompozytora. Lecz gdy na nie tchnie gieniusz muzyki, już też te nieme nut głowy, te kropki i kreski nagle się poruszają, zmartwychwstaną i przybiorą skrzy-

dła, zerwą się niby ptaków Bożych stada, wzniosą się i z wysokości niebiańskich zanucą, zakwilą, zapłaczą harmonią; drżącą pieśnią wnidą w świątnicę serca twego i tam o mistrzu swoim, o twórcy świadczyć będą, a ujrzysz w duszy twój tę jego postać z harmonii złożoną, a przejrzaną wiekuistości światłem.

Tak, przyjacielu drogi mój, jak w onój głuchej miazdze żółodzi stulona jest pierwotna myśl twórcza i wszystka postać dębu z całą jego przyszłością tak strojną, bogatą, potężną; jak w tych nutach zwinięte spoczywa uczucie i duch mistrza, tak na dnie historii świata żyje myśl rozumna, duch Boży. Narody, państwa, wieki, to są owe ogromne konary na wiekuistém drzewie ludzkich dziejów, co rosną, krzewią się w potęgę wedle myśli Bożej, zamkniętej w pierwiastkowym ich zarodzie; to są te dźwięki i tony, którym nuty skreślił Bóg, ów wielki mistrz a kompozytor odwiecznej harmonii. Owo drzewo historii wedle jego woli się dźwiga; owa pieśń dziejów, grzmiąca przez wieki piorunnym akordem, wedle jego zakonu się toczy.

Tak jest, Bóg, wzniesiony po nad światy na majestatu swojego tronie, przenika myślą, przepromienia wolą wsze jestestwa przez siebie stworzone; myśl jego jest gwiazd oddechem i wieczności sercem, wola jego przędzie wątek wszystkich wieków. Więc wierźmy że Opatrzność, więc wiedźmy że mądrość Boża rządzi światem.

Są tacy, co rozwodzą się sentymentalnie prawiąc o natury cudach, o skrzętnej robocie bezmyślnej mrówki, o instynkcie pszczołki, o krążeniu gwiazd, i wszędzie widzą rozum opatrzny, a nie widzą go w trudach ludzkiego rodu, w kroczeniu wielkich wydarzeń przez świat.

Czyż ich może strachy biorą, gdy im przyjdzie wpa-
trzyć się w tajemnicze sprężyny onego wielkiego ze-
garu, co stóleciom i wielkim wypadkom w historyi,
co ludom i państwowom, rodzenia i skonania wybija go-
dziny?

W historyi świata, w dziejach milionów istot ro-
zumnych, wiekuista mądrość Boża zacniejsze ma świa-
dectwo siebie, niż w grze rzeczy przyrodzonych, wi-
rujących zawsze a zawsze tym samym kołowrotem.
W tych dziejach świata zdarzenia nie wracają nigdy, nie
rodzą się nigdy do siebie podobne. Ów nawrót, owo
wieczne do siebie podobieństwo iści się jedynie w dziel-
nicy natury; lubo i w tej naturze bezdusznój były i są
ogromne epoki, lubo i tutaj czas nie zatrzymał się
w swym pochodzie, a natura się rozwija i rośnie choć
niepostrzeżenie.

Patrz, pomniki historyczne, księgi pisane, wypadki
światogłośne, na granitach rzeźbione, sięgają w stare
bardzo czasy, w one tysiączne lata, które przepłynęły
dawno, a z dalszej dali jeszcze, jakby echa dochodzą
nas wieści, mity i stare podania ludów dawno pogrze-
bionych. Mamy się tedy na czém uczyć tej ludzkiej
historyi, a przecież każda karta tych dziejów jest jakby
usprawiedliwieniem opatrności Bożej.

Puść się myślą wstecz, niechaj historia, ta prze-
szłości prorokini, roztworzy usta swoje, niechaj nam
prawi o dziejach Europy od czasów chrześcijańskich, o
starym Rzymie, co przeszło lat tysiąc gospodarzył na
tej ziemi, o tych Grekach mądrych o oku jasném, a
głębokim rozumie, a tak wdzięcznej artystycznej fanta-
zyi. Niechaj nam prawi o Palestynie świętej; niechaj
nam rozpowiada o tych ludach Wschodu starego, o za-

myślonym Egipcie, który przez życie całe mocuje się, by uczcić wieczność grobami, o tych mrówiskach ludzkich, co nad Eufratem, nad Tygrysem zbudowały miasta olbrzymie jako gniazda olbrzymiej potęgi; niechaj nam historia roztacza te marzenia nadgangesowych światów, lub roboty prozaicznych Chin, kędy już chronologia straciła miarę i znaczenie swoje, a zaprawdę, poruszają do dna duszę te boleści tylu stóleciów, te twarde trudy a prace ludzkiego rodu; wtedy staną zaiste przed tobą te ludy, te robotniki przeszłości z twarzą, gdzie cały wielowiekowy ich żywot wycisnął cierpienia a męki bez końca. W tych historyach postrzeżesz epoki, w których duch dziejów jakby rozpaczał o sobie, przyciśniony ciemną nocą zwątpienia i mozołem bez końca. Przecież pociecha, jakby rosa niebiańska, ochłodzi ci serdeczne żałości, gdy rozważysz, że po takich smętnych nocach znów zaświeciła jutrzeńka nad światem i znów zabrzmiały pieśni radości duchowej, jakby kwiaty i pieśni ptasie, gdy, po burzy i słońcu, powódź słonecznych światłości zaleje świat. Wtedy te postaci ludów zmarłych, dopiero tak żalosne i bolesne, zamienią się na chóry Aniołów Bożych z palmą w ręku, z uśmiechem niebiańskiego pokoju, a na skroniach z gwiazdzistą koroną; bo historia jest całopaleniem. Gdy pokolenie, gdy lud, gdy stolecie umiera, duch ich jakby hostya wznosi się na ofiarę ku niebu.

Dreszczem atoli przenika nas pytanie, skąd my idziemy, dokąd śpieszy w dziejach swoich ten ludzki ród nasz? — Na to pytanie zaiste nie trudno odpowiedzieć: dzieje ludzkie, praca tylu wieków, mocowanie się skroplone znojem tylu milionów, to zaiste nie drwiny ani igraszka bezmyślna; dzieje ludzkie ku temu się miały i

mają, by człowiek wynosił w sobie a wypiastował w duszy owo ziarno wiekuiste, które mu Bóg udzielił posagiem, by się stał coraz zacniejszym, wyższym w sobie i godniejszym onego wiekuistego Bożego tchu, który nań wionął przy stworzeniu pierwszego człowieka. Ale zapytasz gdzie są granice tej pielgrzymki ludzkości przez świat? — To w wiekuistości głębiach ukryta tajemnica!

Zamiast zapuszczać się w mroczne a niepewne badania, zasłonięte przed naszym okiem duchowém, zapytajmy raczej, jakim trybem iści się Boża myśl w dziejach ludzkich? Uważ, przyjacielu, ta myśl jest nadgwiazdą, a ma wstąpić w państwo przestrzeni i czasu, ma wziąć na się ciało i krew! Więc, między tą myślą opatrzną a ziszczeniem się jej w świecie rzeczywistości, stają, jako ogniwa pośredniczące, państwa, ludy i wielkie epoki dziejowe.

Uważmy atoli że nie wszystkie ludy jeszcze były powołane, by się stały robotnikami w tej winnicy pańskiej. Rozwiń przed sobą kartę ziemskiej kulicy, patrz w one głębie tęskne, przepaściste Afryki, Ameryki, w te obszary Azji szerokie jak wieczność, w te gromady oceanських wysp; jak tu ciemno, głucho, krwawo, samotno! tu ród ludzki złożony snem jest ciężkim, nocne zmory przywalały mu piersi, nie odycha duszą pełną, ani się zna być człowiekiem. Ależ i do tych biednych braci naszych a sierót dziejowych zajdzie kiedyś głos ducha, „bo duch gdzie chce tchnie, a nie wiesz, skąd on przychodzi, albo dokąd idzie.“ (Sty Jan. III. 8.) Tymczasem te ludy i państwa, te stólecia, które już stanęły do pracy w tych dziejach świata, rozebrały między siebie robotę około ucłowieczenia człowieka. W każdym

ludzie, w każdym wieku jest myśl, która jest jego sercem i duszą, która go przez nieświadomie do działania, do pracy, a przez tęsknotą nieskończoną, by wykonał w świecie powołanie swoje, by trudem a mozołem wyrobił w sobie i z siebie pierwiastek mu powierzony. A tak idzie praca od ludu do ludu, od wieku do wieku, przez świat i ludzkość całą, przez lat tysiące. Żaden z tych pierwiastków nie jest całością w sobie, ale jest dopełnieniem wszystkich innych, jest jednym dźwiękiem z onęj harmonii Bożej. Jest to podział pracy na ludy, szczepy, kraje i wielkie epoki.

Zważ atoli i w tém podziwiał mądrość opatrzna, że ona choć rozdała każdemu ludowi pracę, której ma dokonać na ziemi, przecież nie tamuje mu woli wolnej; całe ludy, podobnie jak i człowiek pojedynczy, nie są jedynie bezwonnemi jasełkami w tym wielkim dramacie dziejów. Opatrzność zakreśliła jedynie zakon ogólny światu, wytknęła mu cel, zostawując rodowi ludzkiemu by po swojemu ziścił najwyższe przykazanie. Wszelkie inne pojmowanie będzie fatalizmem i doprowadzi do czczego rozumowania, co buduje formułki filozoficzne, niepoparte faktami(*).

Wracając atoli do osnowy naszój, chciój baczyć, że jak te pierwiastki dziejowe, rozdane między ludy, są różne wedle ich usposobienia wziętego od natury, bo ten pierwiastek jest właśnie ich własném sercem i duszą, tak też różne są pierwiastki te i pod względem stopnia rozwoju i czasu, na którym historia postawiła te robotniki swoje.

Każdy wiek gotuje materyał dla następnych poko-

(*) Ob. Wykład filozofii T. II. str. 710.

leń, dla następnych ludów, które kiedyś, jako jego dzie-
dzice, mają wstąpić do wiekiustej pracowni historii po-
wszechniej. Co było dla poprzedzającego ludu arcydzie-
łem najwyższem wysilenia jego, jest jedynie jakby surową
osnową dla późniejszych narodów, którą znów te narody
przeistaczają na nowe a wyższej doskonałości dzieło.
Tak idzie praca od starszych do młodszych a wnucznych
ludów; a następuje epoka po epoce.

Widać też z całej przeszłości dziejowej, że gdy
jeden wiek, jedna epoka ustępowała ze świata, a druga
miała nastać w historii, już wtedy, w tém ich wielkiem
porachowaniu się wzajemném, płaciły sobie milionami
pojedyńczych ludzi. Bo gdy nowa epoka się dźwigała,
gdy miały stanąć nowe zręby historii, ludzie pojedyńczy
byli jako powiewne wiory a odlatujące trzaski. Bo
w człowieku każdym dwie są strony: jedna przemijająca
i bezważna, bo doczesna i ziemska, druga ogromnej
wartości, bo nieskończona i trwająca na wieki. Pierwszą
człowiek na zewnątrz zwraca, i poświęcając ją całą,
szczęściem doczesném swoim i krwią serdeczną karmi
świata dzieje. Druga strona jest wewnętrzna; tę człowiek
na własność wyłączną zachowuje dla siebie; i choć tam
na zewnątrz biją burze, choć wichry i uragany wstrząsają
światem, toć one jedynie zdołają rozkołysać wierzchnie
duszy fale, lecz nie tykają dna istoty naszej; tu wiecznie
cicho, spokojnie, uroczysto. Tęj istoty naszej już nikt
znieważyc nie zdoła; wynosimy ją całą, nietkniętą ziem-
skimi obelgi przed wieczności tron; byleby tylko człowiek
ze samym sobą nie stanął w sprzeczności, i sam do tęj
duszy świątnicy nie wprowadził wroga. Tym wrogiem
jest świadomość własnej winy, rozdzierająca istotę naszą
na dwoje, bo zdradza we wnętrzu naszym wojnę boleści

pełną. Jakoż gdy, uwiedzeni naszą naturą doczesną, przemijającą, zderzymy się z oną ogólną wiekuiącą harmonią świata, i przez winę damy zwycięstwo stronie szczegółowej naszej nad tą prawdą ogólną — już zarazem zderzamy się z sobą, z własną naszą istotą, bo ta sama prawda ogólna, co światem sprawuje, tleje i w nas samych iskrą żywą i nieśmiertelną. Ztąd walka żałości pełna, trawiąca żywot nasz. Taka jest teoria sumienia.

W każdej atoli epoce, w każdym kraju ludzie pojedynczy są, choćby bezświadomie, piastunami pierwiastku, który całemu ich ludowi jest przekazany. Bo mądrość najwyższa, co światem sprawuje, tak rozporządziła historią, iż każdy człowiek goni niby za celem osobistym, dobija się o dogodzenie własnym widokom, własnym chęciom, dążnościom; ale te właśnie zabiegi jego zdradzają, mimo nawet wiedzy jego, dobro ogólne i urzeczywistniają właśnie ów pierwiastek powierzony od Opatrzności całemu ludowi, do którego także ten pojedynczy człowiek należy.

Atoli te mrówcze trudy pojedynczych ludzi, znoszące ziarnko po ziarnku, nie wystarczałyby w historii świata; te tłumy jednostek pracujących i robiących, ale bez wiedzy co w nich pracuje i robi, byłyby w wiecznym rozpojedynczeniu, gdyby nie zajaśniało od czasu do czasu ognisko, zbierające w sobie te wszystkie rozstrzelone promienie. Tém ogniskiem, zjawiającém się od czasu do czasu w dziejach świata, są wielcy ludzie, ludzie historyczni. Oni są wyobraźnikami swojego ludu, swojego wieku, a hasłem i godłem wszystkich potęg, wszystkich uczuć, które bezświadomie żyją w sercu zwyczajnych ludzi. Lecz i wielki człowiek jest synem czasu i narodu

swojego, i on nie zdoła myślą ulecieć nad swój wiek spólczesny; on sam nie zna ducha, który nań wionął, ani wie dokąd go unosi wszechmocne jego tchnienie, bo i on słucha głosu osobistych dążności swoich, i walczy i pracuje, by dopiął własnego swojego celu. Prze go to miłość sławy, to chęć pañowania, to inna z tych potęg tysiąca, co w sercu człowieka gniazdo swe mają; on w swoich sprawach siebie tylko widzi, a przecież dopełnia jedynie Opatrzności zrządzenia. Uważ atoli, że choć nie jest mu obecny w myśli świata pochód, on zgaduje wszakże krok następny, do którego zabierają się człowiecze dzieje, i przeziera co się we wszystkich sercach święci, i ku czemu je prze wewnątrzna, nieznaną im jeszcze potęgą. To zgadywanie, ten duch wieszczcy stanowi siłę a moc wielkiego człowieka.

Gdy w historyi nowa epoka się zradza, już ona, niby duch w Hamlecie, pod ziemią pracuje i puka i o swém przyjsciu znać daje. Ta przyszłość nadchodząca, wszędzie przytomna choć niewidoma, rozlewa się, rzekłbyś, w powietrzu, żyje w kołysaniu się drzew, przemawia w gadankach dzieci, tęskni w pieśniach, kwili w boleściach i żalach ludzi, przesuwą się we snach, marzeniach; już i znaki na Niebie i Ziemi coś wróżą, coś straszą. A jak młoda dziewica, gdy ją nachodzą piérwszej miłości tęsknoty, sama się traci i siebie nie poznaje; tak i świat, gdy nad nim nowa przyszłość zawisła, czuje jakiś cisnący niepokój i brak, jakąś duszność i tęsknotę niewypowiedzianą; a z téj tęsknoty sam sobie sprawy zdać nie może, ani wie skąd ona mu przyszła. Ale człowiek wielki zna te przeczucia wieku, on dotyka się pulsów spólczesnego świata; a gdy ten świat cały w koło niego jeszcze, jakby nocnym snem złożony,

drzymie i marzy, on sam czuwa i słyszy cichy chód czasu i bijące dziejów godziny; a zanim świt, zrywa się i woła słowem potężnym, wszechmożnym, a słowo to upada na świat jako grom i co było dopiero drobnym, tulącym się pod ziemią ziarnem, w mgnieniu oka wyrasta w olbrzyma. A gdy mąż wielki wywoła tę przyszłość, już ona do historii należy, już dokonał powołania swego na Ziemi, swoją osobą płaci te swoje zrodzenia, bo sam idzie na poniewierkę, lub skonaniem, jakby pieczęcią, stwierdza puścizny swoje. Tak umarł Cezar i Napoleon, Kolumb i Cyrus, Alexander, Karol Wielki, Kopernik i Galileus. Bo duch wiekuisty, jakby orlica, rozpina skrzydła nad światem, rozgrzewa następne czasy swym ciepłem nieskończonym, swoim żywotem; a gdy młode orle, zagrzone tym ciepłem i życiem matki, przełamię skorupę cisnącą, ta spada i na zatrącenie idzie. Orląciem jest nowa epoka w historii, a jej zwłokami martwemi, ową skorupą wymietną, jest człowiek historyczny.

Chciej baczyć, jak z historią powszechną świata, podobnie się rzecz ma z rozwojem fantazyi w dziejach ludów.

Gdy mi teraz przychodzi oznaczyć, choć pobieżnie, stosunek historii fantazyi do ogólnych dziejów ludzkości całej, wypada mi oprzeć się na podstawie dwóch poprzednich listów, a mianowicie na liście XI. Tam rzekłem, że zachodzi ogromna różnica między fantazyą powszechną a fantazyą artystyczną. Powszechna fantazyja, tak jak każda inna władza psychiczna, dostała się udziałem wszystkim ludziom, choć nie w równej mierze a potędze. choć nie w równym stopniu; fantazyja artystyczna zaś jest posagiem, którym Opatrzność udarowała

jedynie szczupłe grono wybrańców, bo wieszczów i mistrzów. Powiedzieliśmy równie, że fantazyja powszechna, choć ma wiele przymiotów spólnych z fantazyją artystyczną, choć ta fantazyja powszechna zdoła, stroi, przeradza przedmioty z rzeczywistości wzięte, choć przeto jest nawet i twórczą, toć przecież ta jej twórczość nie jest dostateczną; ona nie wystarczy, aby stworzyć dzieła, któreby były wyrazem zmysłowym wiekuistości i nieskończonej prawdy. Jakoż dzieła tej powszechnej fantazyji nie będą nigdy dziełem czysto duchowem; one nigdy nie zdołają się wyzwolić od śladów, które na nich zostawiła doczesność: nigdy nie będą zupełnie wolne od niedostatków, któremi je przyprószyła przypadkowość, władająca wszystkiem, co na ziemi poczęte. Fantazyja artystyczna zaś jest wskrós twórczą; nieskończoności duch, gość innych światów, skrzydłem swoim obtula mistrza a ten natchniony stwarza, jakby gromem, treść wiekuiastą i formę przeczystą dla téj treści; a tak staje dzieło na podziw światu. Na tych postaciach, fantazyją mistrza do życia wywołanych, niema już śladów bied i niedostatków ziemskich. Te postaci są niby z materji zrodzone, ale z materji przepromienionej duchem; są to przychodnie z nadgwiazdnej krainy, co z miłości dla człowieka zostały na ziemskich nizinach. W nich ziemia i niebo, doczesność i wiekuistość, ześlubione przymierzem miłości nieskończonej. Fantazyja powszechna może jedynie podziwiać dzieła, ale ich stworzyć nie zdoła; ona może jedynie zasiadać do uczy przez gieniuszów jej zastawionej, ale ona w ich domu będzie zawsze tylko gościem z łaski uraczonym. Bo widzisz, fantazyja powszechna dla tego nie zrodzi nigdy z siebie istnych ideałów piękności, prawdziwych dzieł sztuki, dzieł wol-

nych od ziemskich niedostatków, od skazy rzeczywistego doczesnego świata, dla tego nie zdoła ona być rzeczywiście twórczą, że sama jest jeszcze ziemską, bo sama nie wyswobodziła się jeszcze od potęg przypadkowych, od skazy ziemskiej, od więzów rzeczywistego świata; by stwarzać, trzeba się wznieść skrzydłem wiekuistości nad przypadłość, nad rzeczywistość doczesną; by stwarzać, trzeba natchnienia.

Rzekłem także w liście XI, że mimo niedostatków właściwych fantazyi powszechniej, jest ona przecież skarbem danym nam na życie całe; nadto, że ta fantazyja jest wielką pomocą dla fantazyi mistrzów, bo ci nie tylko z natury, którą przed sobą na własne oczy widzą, nie tylko z powszedniego życia i obyczaju, w którym przebywają, nie tylko z dziejów prawdziwych czerpią osnowę dla dzieł swoich, ale też udają się do fantazyi powszechniej i tam znajdują dla siebie osnowę, a osnowę tém bogatszą, że już nie jest surową, ale przez tę fantazyję powszechną na poły przeistoczoną i dla fantazyi artystycznej przygotowaną. Wspomniałem również w owym liście, że ta fantazyja powszechna pojawia się jako fantazyja gminu, jako fantazyja rozlana po ludzie całym.

Widzisz tedy, że gdy mam na tém miejscu pomówić bliżej o zachowaniu się historyi fantazyi do historyi powszechniej świata, wypada mi naprzód ściślej oznaczyć ogólny a wzajemny stosunek fantazyi różnych ludów do siebie, określić bliżej jeszcze wzajemne mienie się mistrza a fantazyi ludu do którego on należy, nakoniec choć z lekka skreślić cechę wielkich epok w rozwoju fantazyi.

Wszak dopiero co rzekłem, że każdemu ludowi, który zapisany na pracownika około historyi świata, do-

stał się powierzony mu pierwiastek, by go rozwinął, wyhodował serdeczną miłością; ten pierwiastek rozwinęty występuje w historii każdego ludu, w urządzeniu jego wewnętrzném, w losach jego, w jego obyczaju, w religii, filozofii, we zwyczajach, w prawach, w chęciach i tęsknotach, w smutkach i weselach, w kierunku umysłowym i we fantazyi.

Jeżeli prawda że z dziejów, że z obyczajów, z prawa i t. p. możesz sądzić o duszy ludu, tém potężniej wyświeci nam się treść jego z filozofii, religii i fantazyi jemu właściwój. Bo lubo wszystkie objawy duchowe wyrastają z treści jego, toć przecież prawo, obyczaj, rząd, są czémś ziemskiém, czémś od licznych przypadłości zawisiém, bo tutaj potrzeby, nawijające się w życiu, potężne wywierają wpływy; ale w religii każdego ludu, w jego, sztuce mieści się właśnie ta część treści jego duchowój, która odnosi się do wiekuistości, do nieskończonych prawd. Filozofia atoli, oparta będąc na rozumowaniu czystém, nie jest rzeczą każdego ludu, a nadto jeszcze dla tego właśnie, że jest rozumowaniem, że jest abstrakcyjną, uniej już jest wyrazem właściwój barwy ludu. Religia zaś najczęściej żyje w uczuciu uduchownioném, którego trudniej dosłyszyć w sercu ludów. Inaczéj z fantazyą jego. Bo ona właśnie uzmysławia najmisterniejsze moce w duchu przebywające, ona je wciela w kształty widzialne, słyszalne, dotykalne; w niéj tedy najszczerzéj, najwyraźniéj lud wypowie dzieje wewnętrzne swoje.

Sztuka, jako córa fantazyi, poczęta z najgłębszych tajników narodu, jest zaiste najświętszą miłością jego; każdy lud, każdy naród w dziełach fantazyi swojój widzi duszę własną w zmysłowój postaci; on w niéj ko-

cha siebie, jako młodzieniec kocha siebie w postaci kochanki swojej. Ta fantazyja rozgrzewa piersi jego, budzi dawne wspomnienia, stroi kwiatami blade czoło nieszczęściem zgnębane, i tysiącem gwiazd rozświeca mu tęskne życia ciemnice. Na dźwięki starych pieśni, podań gminnych, zmartwychwstają dawne chwały i żale pomarłe. A choć lud jaki utonie w otchłani wieków, choć od wieków trawa i zioła zarosną stare groby jego, jego duch żyje w cząstkach zgruchotanych sztuki jego, w ułomkach jego pieśni: a bylebyś do tych okrucich przystąpił z kochaniem w duszy, dokażesz cudów; przyciśnij je do piersi miłością, a te kawały jego rzeźby, jego budowania znów zadrgają dawnym życiem, i poczujesz jak w nich po dawnemu zapukało serce. Lecz abyś doświadczył tych cudów, miej sam serce a serce zacne, o uczuciach gorących, byś miał czém ogrzać to, co dla świata dawno pomarło, dawno śmierci mrozem zastygło.

I dla tego właśnie fantazyja jest tak żywotnym, tak wiernym objawem dziejów wewnętrznych każdego ludu, i dla tego ona właśnie jest tak potężną cechą odróżniającą lud każdy od innych ludów. Jeżeli tedy prawdą jest, cośmy rzekli powyżej, iż historia powszechna odbywa się podziałem prac między ludy, że każdy z nich rozwija i hoduje pierwiastek sobie od Opatrzności powierzony, że tedy wszystkie te pierwiastki, będąc wzajemnym siebie dopełnieniem, stanowią dzieje powszechne ludzkości, tak równie jest prawdą, że fantazyje różnych ludów są podobnie wzajemnym dopełnieniem siebie, że one wszystkie, wiążąc się w jeden wieniec kwiatów przecudnych, składają właśnie dzieje fantazyi w historii powszechnej.

Mając atoli zrozumieć głębiej to całe roztoczenie się wszystkich kształtów fantazyi w historii, jest rzeczą najwyższej wagi, byśmy nie chybili w charakterystyce każdego z nich. Ochroni nas jedynie od pomyłki w tój mierze ścisła bacność na ów pierwiastek każdego ludu, który rozrósł się w piersiach jego treścią duchową jemu samemu właściwą, a zatém ową treścią, która, jak rzekłem powyżej, objawia się w jego religii, filozofii, obyczajach, prawach, tęsknotach i weselach jego. Przyjdzie nam tedy mieć ciągle na oku wszystkie te pojawy; one dopiéro zdołają nam roztworzyć piersi każdego ludu, każdój epoki, a wtedy też charakterystyka fantazyi ich wypłynie nam już prawie sama przez się. I wyznaję ci otwarcie, że nawet wtedy, gdybym rozumiał że same dzieła sztuki wystarczyć mogą do oznaczenia właściwości fantazyi jakiegoś ludu lub epoki, przecież jeszczeybym się trzymał tamtego trybu postępowania; bo wedle mnie droga taka nie tylko jest nierównie więcej zajmującą, ale zarazem podaje sposobność spuszczenia się nurkiem w przepaści ducha ludzkiego i poznania owych mocy tajemnych, które władają jego wewnętrznym żywotem.

Z tego powodu niechaj ciebie nie dziwi że, zabierając się do charakterystyki fantazyi jakiego narodu, rozpatrzymy się dość szeroko w tych wszystkich objawach jego treści wewnętrznej, które, choćby nie miały bezpośredniego związku z tą fantazyą jego, zdołają nam wypowiedzieć przecież, co się na dnie duszy jego dzieje, a tak odgadniemy już i piętno jego fantazyi, którą też wtedy wystarczy ocechować kilku wyrazami. Zwykle też skreślę ci przytém lekkim konturem cechę jakiego dzieła lub mistrza, ale to uczynię zlekka tylko, bo prze-

cież nie przedsięwziąłem pisać historii sztuki ale dzieje fantazyi; nie będę też przywodził w tym celu charakterystyki mistrza lub dzieła sztuki, abym tém popierał ogólne rozumowanie, bo rozumowanie takowe, byle się udało, powinnyby już ze samego siebie brać moc i utwierdzenie; lecz raczėj uczynię to jedynie w tym zamiarze, aby lepiej na przykładzie wyjaśnić i unaocznić rozumowanie całe.

Gdy zaś właśnie ta sama treść wewnętrzna narodu, która się wyjawia jego fantazyą, nadaje mu także rolę, którą ma odegrać w tym ogromnym dramacie Bożym, w tych dziejach świata; zatem wyznasz, że ocenienie fantazyi jakiego ludu, lub epoki historycznej wymaga koniecznie ciągłej bacności na te dzieje powszechne ludzkiego rodu. Fantazyja każda może być wtedy jedynie dojrzaną w prawdzie swojej, jeśli jēj kontury odrysują się na tle historii powszechnej. Trzeba znać żywot każdego ludu i stosunek jego do innych narodów w historii, trzeba sobie wprzódy zdać sprawę z jego zasług, jakie położył Bogu i człowieczeństwu pracą swoją i żywotem i śmiercią, zanim zdołamy słusznie ocenić dzieła sztuki, któremi, jakby kwiatami duszy, umiał sobie ojczyznę swoją i ustroił skronie zeznojone twardą pracą.

Niechaj ci przeto nie będzie dziwném że, gdy w tych listach przyjdzie mi przypartryć się tak różnym zjawiskom duchowym, rzucę też często okiem na historiją ludu, którego fantazyja będzie właśnie przedmiotem naszym.

Pozwól atoli bym uczynił kilka uwag, które tutaj nie zawadzą, choć one tak wprost wypływają z rzeczy

samój, że zaiste same z siebie już nasuwają się myśli twojej.

Świetność historyczna narodu, potęga, którą zaciężył wśród społecznego sobie świata, ważność jego polityczna w dziejach ludzkich, bynajmniej nie idzie w parze z potęgą a dzielnością jego fantazyi; może, mimo przewagi ludu, co myślą światonośną zasiadł na panowaniu ogromnego obszaru ziemi, dopatrzysz się w życiu jego zaledwie kilku pączków sztuki na poły rozwiniętych, co nieśmiało wyzierają wśród jego wawrzynów wojennych lub korony politycznej mądrości. I nawzajem, znajdziesz może ludy, których fantazyja bogata, bujna, wdzięczna i pełna potęgi, a przecież ludy te nie będą tém, co powiemy ludem praktycznym, politycznym. Zrozumiesz, że nas wszystkie podobne pojawy zarówno obchodzić będą; z tą samą miłością, z którą zabierzemy się do ludu artysty, badać też będziemy dzieje narodu, który przeżył życie swoje twardo pasując się z sobą i ze światem, który przebył te drogi przez historiją, doznając rzadko tylko pieczęt od tych lubych i wdzięcznych cór fantazyi, co innym śpiewały na cierniowej pielgrzymce ich żywota. Bo nawet ta omdłałość fantazyi jego będzie dla nas zjawiskiem bardzo zajmującym, byle w sercu naszym była miłość dla téj wiekuistej natury człowieka, byle w tém sercu była cześć dla tych dróg historyi, którą lat tysiące idą przez świat.

I patrzmyż, treść cała, która się rozwija w duszy każdego ludu, daje mu miejsce odpowiednie wśród innych narodów i wśród epok następujących po sobie w czasie; przecież fantazyja a sztuka, lubo jest wykwitem téj treści, nie jest jeszcze cała tą treścią; więc się

nam zdarzy, że obaczymy w naszym dziejowym rozwoju fantazyi, jak często epoki i ludy późniejsze, więc wyższej nierównie treści duchowej, niezawsze sprostać zdołają ludom, które je wyprzedziły na scenie świata. I dla tego właśnie roztoczenie dziejów fantazyi a chronologiczne następstwo ludów po sobie w historii, niezawsze są odpowiednie sobie; zdarzy się tedy, że lud wcześniejszy zajmie w historii sztuki miejsce późniejsze od ludu, którego był poprzednikiem w pochodzie stóleciów.

Czyli zaś lud jaki stanie wyżej czyli niżej w tych pracach wdzięcznych około piękności dzieł, toć już ze samej istoty rzeczy wynika, że fantazyja jemu właściwa nie objawi mu się zrazu w całej świetności; długo ona będzie zaklętą w sercu jego, tam czekać będzie w zarodzie, zanim ją wypiastuje i wyda na świat w najwyższym jej uroku. A z tego znowu wynika, że czas ten najwyższych dzieł sztuki u każdego narodu, a epoka najwyższego jego rozwoju dziejowego, nie bywają bynajmniej sobie spóczesne. Każdy lud póki był zajęty, aby sam z siebie się wydobył, póki pracował nad sobą i wazył się i mocował z potęgami historycznymi; póty też nie stało mu czasu ani swobody, by uosobił chwałę swoją w posągach marmurowych swoich bogów i bohaterów, lub uderzył w lutnią, by wyśpiewać czyny pradziadowych lat i przodków wielkich; bo on sam wtedy był przodkiem wnuków następnych. Jednak z drugiej strony również jest prawdą, że gdy lud upada na sile duchowej, gdy mu się na skon zbiera, już go nie stać na mistrzów, na wieszczów; bo mistrze, wieszczce, to jego krew, to jego serce, gdy braknie mu wieszczów, mistrzów, już znać, że ścina się w nim krew, że i bicie

serca jego ustaje. Z tego też powodu każdy naród wtedy występuje w najwyższej potędze sztuki swojej, gdy chwała jego i praca historyczna już jest dokonaną, a potęga jego już już chylić się zaczyna do zachodu, jakkolwiek w ludziach żyjących tętni pełne jeszcze życie, choć w nich niema jeszcze przecucia o wiecznym zmierzchu, który zwolna gotuje się ich narodowi. Epoką tedy najwyższego uroku sztuki są te, że tak powiem, pierwsze godziny popołudniowe najwyższej świetności jego, godziny, kędy się styka południe z zachodem jego żywota.

Takie są w ogólności koleje, któremi się ma rozwój fantazyi każdego historycznego ludu do jego dziejów zewnętrznych. Jeżeli zaś bliżej rozpatrzmy się w tém roztoczeniu fantazyi, jeżeli pomnimy, że ta fantazyja sama rozszczepia się na różne rodzaje sztuki, toć zobaczysz, że wedle różnego usposobienia różny też rodzaj fantazyi będzie mu najwłaściwszym, a tém samém, że wykwitnie mu sztuka nade wszystkie od niego ukochana: tak jeden z ludów stanie się budownikiem, dźwigając przybytki dla Bogów swoich, choć tych świątnic nie zdoła uczcić wiekuistym mieszkańcem; tego dokona z kolei inny naród, który geniuszem natchnienia przyłoży serce do martwej marmurowej skały, a zę skały wystąpi mu bóg jego, odziany urokiem najwyższej piękności. U innego narodu uczucia wcielą się w obrazy malowane, lub zabrzmiały pieśnią liryczną, lub roztoczą się epepeją, albo przemówią dramatem. Jeżeli zaś lud jest tak pełen szczęścia i takim piękności wybrańcem, że wszystkie te kształty fantazyi wstąpią na poniża ziemskiej ojczyzny jego, toć i w takim nawet razie jedna ze wszystkich sztuk będzie już najdroższym jego duchowego wnętrza wyrazem. W niej się rozpromieni i

zaświeci chwała światu. W każdym atoli razie, wszystkie rodzaje sztuki, pielęgnowane przez naród pewien, wystąpią pewnym następstwem po sobie. A najczęściej już architektura, jako sztuka symboliczna, mająca do czynienia z linią i przestrzenią, i z twardą, nieużytą, głuchą materią, stanie na reju sztuk pochodowi; za nią skulptura umieści posągi w tych świątnicach, potem malarstwo roztoczy swoje dzieła na ścianach świętych przybytków. A lubo poezya i muzyka przygrywać i przyśpiewywać będą pracom wszystkich tych mistrzów i ludów wszystkich od początków samych, toć przecież będą czasy, w których poezya, a mianowicie muzyka stanie się wyłączną ulubienicą ludzkiego rodu!(*)

Takowe są zaiste ogólne stosunki historyi fantazyi do dziejów powszechnych świata, więc do dziejów duchowych: ale i natura materyalna ma swoje dzieje, i ona jest jednym z tych czynników wpływających silnie na treść duchową ludów, nadając jej barwę właściwą.

Natura tutaj uważana być może z różnego względu; ona pojawia się to jako natura, a usposobienie własnej cielesności, będące tak różne w różnych ludach; to jako natura otaczająca lud w koło, więc jako przyroda jego ziemi rodzinnej, tak magicznie działająca na cały jego ustrój duchowy; bo czém jest ciało dla duszy pojedynczego człowieka, tém jest przyroda kraju dla ducha każdego narodu. Jeżeli zaś cielesne i psychiczne usposobienie każdego narodu, jego temperament, jego zdolności fizyczne są wielce dzielnym pierwiastkiem w jego życiu

*) Ob. Schnaase, Geschichte der bildenden Künste, T. I. Wstęp, tudzież Kugler, Kunstgeschichte 1848; dwie te książki zasługują na polecenie ich młodym czytelnikom.

duchowém — toć potężniej jeszcze waży natura ojczyzny jego. Klimat, rzeźba kraju, wody, obłoki, świat roślinny i zwierzęcy, widoki i dramata, które odgrywa natura, wpływają milczkiem, znienacka, w duszę każdego ludu; są to moce, co wzierają w głębie serca urzekając je oczyma swojemi; to rozpalają żarem, to chłodzą jego fantazyą, to nastrajają do uczuć skocznych, radośnych. to do nuty tęsknej, przeciągłej jak step, jak oceanu niezmierzone przestrzenie lub piaski nieprzebytej pustyni; to znów, otaczając człowieka hardą, śmiałą, butną górską naturą, budują mu w koło grody boże, przyczółka alpejskie, na których szczytach obłocznych te moce siadają jakby na niedosięgłym tronie swoim.

Zrozumiesz tedy, że wzgląd na tę naturę ojczystą każdego ludu nie może być nam obojętny. Dotkniemy się go przeto choć zlekka u tych ludów, które nie usamowolnwszy jeszcze ducha swojego z pod potęg natury, urzeczony jej mocą zostają pod jej zakonem a władztwem. Lecz z tego stosunku do natury nasuwa się nam inny, nierównie jeszcze ważniejszy dla naszego celu, bo zachowanie się ludu do natury jako do świata, z której czerpać ma osnowę dla fantazyi swojej. Wszak fantazyja, ubierając treść duchową we formy materyalne, zmysłowe, bierze właśnie te formy z natury, choć je przetapia, przeistacza na dzieło piękności. Tak przeto ciężkiej wagi jest pytanie, czém dla którego ludu jest natura? Człowiek otoczony przyrodą, uderzony jej dziwami, zrazu upamiętać się nie zdoła; ona mu światem potęg to lubych, pieszczących, to groźnych, straszliwych, złowrogich. Więc lud ten nie widzi tej natury taką, jaką jest, ale taką, jaką jemu się być wydaje; naturę rzeczywistą pokrywa natura druga, cudotworna, dziwaczna,

urojona, co się miesza i mąci; a ta nowa, przez fantazyą jego wymyślona natura tém będzie dziwniejsza, im bujniejsza jest fantazyą gminna powszechna, im mniej rzeczy stworzone rozjaśnione są umiejętnością, im później poznany będzie ład i związek wszechjesteństw przyrodzonych. A co ten lud w téj naturze przez szkieleko swojej fantazyi obaczy, to już będzie własną istotą jego wewnętrzną; on w nią jak w zwierciadle przejrzy się, obaczy własną treść swoją; ale będzie siebie widział nie przeczuwając, że z téj natury własny jego wizerunek na niego się patrzy! A gdy w téj treści ducha najcenniejszy jest pierwiastek, który go wiąże z wiekuistością, z Bóstwem, więc téż lud, nie rozgrzany jeszcze promieniem wiary zbawienia, w potęgach natury obaczy bóstwo i oblecze je własną naturą swoją: o ile tedy sam człowiek poczuje się być duchem, osobą, o tyle téż te bogi jego będą osobami, duchami; o ile zaś on sam w sobie jeszcze mąci własną duchową istotę swoją z potęgami natury materialnej, o tyle téż te bogi będą materialne i staną się dziwnym zamętem duchowej a materialnej istoty! Widać téż, że gdy człowiek, oprócz téj najwyższej treści swojej, którą jest bóstwo, ma i inną treść, odnoszącą się do ziemskich potęg, zatém téż fantazyą wyroi mu tłumy postaci o mocy podrzędnej, stojących na straży rzeczom doczesnym.

Te moce, przebrane w kształty fatastyczne, nawet i wtedy rozgospczą się po świecie, gdy Wiara prawdziwa rozjaśni wprawdzie wyobrażenia człowieka o Bogu, ale umysł ludzki nie rozpatrzy się jeszcze dostatecznie w naturze, i nie pozna tych praw odwiecznych, które są zakonem wszech rzeczy stworzonych. W takich epokach świat będzie się miał w dziwnej sprzeczności do siebie

samego, bo z jednej strony co do rzeczy wiekuistych i bożych będzie znał najwyższe prawdy, a z drugiej strony zaludni świat tuteczny ciżbą jestestw fantastycznych, dziwaczych (rusalki, czarownice i t. d.).

Przekonywamy się tedy, że różne kształty, w których pojawia się fantazyja ludów, najgłówniej zależą od różnych wyobrażeń, których się lud jaki dosłużył o istocie ducha, a tём samém zależą od różnego stosunku jakim się zachowuje człowiek do natury i całej rzeczywistości, która właśnie podaje mu treść a ośnowę dla jego fantazyi.

Łatwo już nam teraz pojąć, że takowe różne wyobrażenia ludów, i te różne ich zachowania się do ducha i do natury będą właśnie zasadą podziału historyi fantazyi na różne jej epoki rozwoju i nadadzą tym epokom charakterystyczne piętno.

Gdy atoli w powyższém rozprawianiu mojem, w liście niniejszym, miałem głównie na myśli fantazyją ludu, to jest fantazyją powszechną, a gdy z drugiej strony wyobraźnikami wydatnemi epok historycznych fantazyi są dopiero dzieła sztuki, a zatem fantazyja artystyczna; przychodzi mi tedy raz jeszcze rzucić okiem na stosunek mistrzów i wieszczów do fantazyi powszechnej ich ludu.

Mistrz tak się ma do fantazyi powszechnej swojego kraju, jak się mają wielcy ludzie historyczni do pierwiastku dziejowego, który żyje na dnie ich narodu lub stólecia. Człowiek wielki nie stwarza nic takiego, coby nie żyło już zarodem w jego narodzie, w jego czasie; on jedynie zna poczucie drgające w przyszłości. Człowiek wielki rozumie ku czemu się ma lud jego i ku czemu prze historia świata, więc geniuszem proroczym

wyrzeka to słowo, objawia ludziom własną ich treść, co robiła i pracowała w ich piersiach; tak staje się ogni-skim serc wszystkich duchów, a zarazem jasnowidzeniem geniuszu przeziera wskrósć środki i potęgi, które mu staną przy boku i będą pomocą, by to słowo stało się ciałem, rzeczywistością.

Podobnie dzieje się z mistrzem; on też nie może się wyłamać z wieku swojego, on też nie może nie być synem swojego czasu i swojej ziemi. Fantazyja jego jest kwiatem na drzewie tej fantazyi powszechniej; w nim płyną jej soki, on z niej bierze życie swoje; gdy kwiat odpadnie od drzewa, pójdzie wiatrom na pastwę, zwiędnie i zginie bez owocu. Niechaj się tedy mistrz trzyma wiernie drzewa, z którego wyrósł, bo w niem ma moc swoją i żywot swój; fantazyja jego stanie się martwą, bez serca, gdy się przenievierzy swojej rodzicy — fantazyi powszechniej. Dla tego, gdy mistrz należy jeszcze do narodu, w którym natura, dzieje i cała rzeczywistość nie staje jeszcze przed oczyma człowieka w prawdziwej postaci, ale zasłonięta jest jakby czarodziejską oponą, wtedy i mistrz nie zdoła ujrzeć tej rzeczywistości, jaką jest sama przez się, ale bierze ją niby z rąk gminnej fantazyi, więc taką, jaką się wydaje jego epoce i krajowi, który jest ojczyzną jego.

Przecież do wieszczki, do mistrza należy, aby takową osnowę surową, grubą, przyćmioną jeszcze pyłem żywota powszedniego podniósł do wysokości ideału piękności. Niechaj mistrz zbiera fantazyę ludową, co jako kwiaty rósnie po mogiłach, niechaj te kwiaty związa w wieniec chwały, a ten wieniec stanie się i dla niego koroną czci i uczuć powszechnych. W nim wszyscy się obaczają, wszyscy się przejrzą w jego dziełach; a gdy te dzieła

będą uwidomionym duchem powszechnym, ale podniesionym do ideału piękności, więc rozpromienionym zacnością i szlachetnością, nie dziw przeto, że wieszcz, że mistrz, jak się stał chwałą swojego ludu, tak będzie zarazem jego nauczycielem i kapłanem obyczaju. On nieskończoną potęgą wpłynie na ów świat, z którego wyrósł, z którego się zrodził; dzieła jego będą ołtarzem, na którym rozgoreje uczucie całego jego ludu na chwałę jego własną i na cześć niebiańskiego ojca. Niechaj tedy mistrz oddycha tém powietrzem fantazyi rodzimój, niechaj się spoufali z duchami swoich puszcz i krzewów i łąk swoich; te niechaj mu szeptają tajemnice swoje, wróżby swoje.

Przecież do wieszcza, do mistrza należy aby nie wypuszczał nigdy z pamięci, że on jest nie tylko synem czasu swojego, lecz co więcej, że jest zarazem tak przyszłości jak przeszłości prorokiem, że mu nie wolno pozostać po za wiekiem swoim. Jeżeli tedy kraj jego wyrósł, choćby tylko w połowie zaciejszej, z widziadeł fantazyi powszechnój, zasłaniającej mu prawdy rzeczywiste, wtedy i wieszczowi nie wolno już brać widma za prawdy, wtedy raczej nie tak te widziadła ludowe, jak już sam ten lud winien się stać dla niego przedmiotem poezyi. Bo zważ, sztuka piękna, poezya nie jest żartem lekkim; biada jój, gdy strąciwszy z siebie zacność swoją, ubliży sobie zmyślając postaci kłamliwe, w które sama nie wierzy; sztuce, poezyi nie wolno schlebiać żadnej z części onego ogółu, do którego mistrz należy; bo jak mu się nie godzi puszczać się za własnym kaprysem, tak nawzajem nie wolno mu się mizdrzyć do lada zachcianki swojej publiczności, by od niej wyżebrzeć jakieś łaski dla siebie.

Dla tego też jedynie te dzieła sztuki przeżyły mi-

strza żywot doczesny, i przetrwały długie wieki, i przetrzymały nawet zwaliska grodów ojczystych jego, które się zrodziły nie ze służalstwa przelotnym chwilom, ale z zacnego ślubu mistrza z fantazyą powszechną ludu jego, i ze zrękwiny wieków zapadłych, i tych które się dopióro wykluwały dla przyszłości jego. Takowe to dzieła są same jedne istnemi wyobraźnikami różnych ludów i epok historycznych, tudzież okazują ich pochod a znaczenie w dziejach fantazyi całego człowieczeństwa.

Jakie zaś są te wielkie epoki, na które rozdzielają się dzieje fantazyi? Toć skreślę tutaj kilku wyrazami. Skreślę je zlekka, ogólnie i w krótkości, bo jestem zdania, że w pracy lekkiej i pobieżnej, jaką są te listy nasze, wszelkie oznaczenie z góry epok i podziałów przed roztoczeniem treści samój jest niewłaściwe. Jeżeli bowiem oznaczenie takowe ma być głębszej wartości, wymaga, aby przecie było ugruntowane, więc powodami wsparte, a takowe znowu wymagają długich wywodów i rozpraw, bez których wtedy jedynie obejśćby się mogło, gdyby ta nasza historia fantazyi była częścią jakiegoś systematu filozoficznego; bo w takim razie już cały tok tych dziejów wypłynąłby ze systematu samego i w niój miałyby utwierdzenie swoje i usprawiedliwienie.

Gdy zaś przedmiot tych listów jest niby luźny i samodzielny, a gdy przytém pragnę uniknąć rozwlekłych, usprawiedliwiających rozpraw, więc też przestaję na rzuceniu tutaj kilku konturów ogólnych tych epok fantazyi, by ci ułatwić z góry pogląd na całość naszej osnowy; a przywołam sobie w pomoc właśnie te myśli, które

powyżej pobieżnie rzuciłem mówiąc o różnych stosunkach ducha ludzkiego do natury.

Rzekliśmy już nawet w tym liście naszym, że nieskończoność przebywa w człowieku od początku światów, od chwili gdy Bóg na niego tchnął duchem swoim. Ale ona zrazu przebywa zarodem w duchu naszym, a rodu ludzkiego właśnie jest powołaniem, aby rozwinął, wyrobił z samego siebie ten pierwiastek dany mu posagiem. Wszak powiedzieliśmy, że to wyobrażenie i zdobywanie go na sobie jest zadaniem historii powszechnej; jakoż wiele wieków i długiej pracy potrzeba, zanim nawet sam duch ludzki będzie świadom siebie, zanim przeczuje, co w nim robi i wre.

Gdy zaś, jak wiesz, fantazyi artystycznej jest powołaniem, aby tę nieskończoność, ten pierwiastek wiekuisty wcielić we formy zmysłowe, czyli we formy z natury wzięte, zatem już znać, że wedle różnego stopnia rozwoju duchowego, fantazyja też różnie użyje tych kształtów natury, aby w nich wyrazić treść duchową. Te różne tryby przeistoczenia form przyrodzonych okazują już zarazem i stosunek różny ducha do natury, a tém samém stanowią różne epoki rozwijającej się fantazyi.

Pomijając w tej chwili epoki pomniejsze, uważmy, jakie główne okresy nam już z istoty rzeczy wypłyną z tych różnych stosunków ducha do natury, w której on ma wyrazić treść swoją.

W tej mierze atoli stosunek może być tylko trojaki. Naprzód bowiem treść ducha ludzkiego o tyle się rozwinęła, że zdolna już być mistrzynią form przyrodzonych, że tedy zdolna przeniknąć je *wskróś* promieniem swoim. W takowej epoce człowiek będzie się miał tym trybem do tego dzieła sztuki swojej, że cała jego

treść duchowa, wyrażona będzie w tém dziele piękności, a to tak dalece, że co będzie w treści, znajdzie się też w dziele sztuki, jako w formie swojej zmysłowej, i że nawzajem wszystko, co jest w téj formie (więc w pośagu, obrazie, pieśni i t. d.), stanie się wyrazem téj treści duchowej; tak przeto treść takowa i forma będą sobie zupełnie odpowiednie.

Łatwo ci zgadnąć, że to wzajemne równowazenie się treści i formy będzie miało, jakby po dwóch stronach swoich, dwie ostateczności, z których jedna będzie stopniem poprzedzającym ją, druga będzie stopniem następującym, późniejszym. Co do tego stopnia późniejszego, ten nastąpi wtedy, gdy treść duchowa tak już rozwinie siebie, tak rozplonie wiekuistością, tak wyrośnie nieskończonością tchem, że już nie zdoła znaleźć odpowiedniego sobie wyrażenia we formach z przyrody wziętych, w dziełach piękności. Wtedy mistrz czuje że treść jego wewnętrzna przerosła te formy wszystkie że choć je napełni sobą, przecież zostanie się jeszcze wyższa część jego własnej istoty, która się nie pomieściła w tych kształtach zmysłowych, w dziełach sztuki pięknej.

Wręcz inny będzie ów stopień, który poprzedzi ową epokę równowagi; będzie to bowiem stopień pierwszy i najniższy, w którym treść duchowa tak mało jeszcze z siebie się rozwinęła, że nierównie wyższą od niej treść zdołają wyrazić te formy natury, gdy będą przestoczone na dzieła piękności. W téj tedy pierwszej epoce treść wewnętrzna ducha stanęła poniżej dzieł piękności.

Ta epoka pierwsza jest okresem fantazyi Wschodu, mianowicie starożytnego Wschodu. Epoka równowagi

owej, w której treść duchowa a forma zupełnie są sobie równe i nawzajem się wyczerpują, jest okresem sztuki klassycznej, bo greckiej i rzymskiej. Epoka trzecia, w której treść duchowa przerosła wszelkie formy piękności jest okresem sztuki chrześcijańskiej.

W epoce pierwszej duch człowieka, jak się rzekło, pozostał poniżej tych form uroczych, na które przeistoczone być mogą kształty natury pod natchnieniem mistrza. Pochodzi to stąd, że duch nie zdolen jeszcze ująć potęgą nadświatną tych kształtów przyrodzonych, a tém samém, że nie uznał jeszcze własnej potęgi swojej, bo nie uznał własnej swojej istoty, górującej nad naturą, bo jeszcze nie wie siebie być duchem, osobą.

Pojmowanie istoty ludzkiej jako osoby jest niezmierniej wagi, a jest przecież zarazem wyobrażeniem bardzo jeszcze ubogiem; bo osoba jest jestestwem wiedzącém siebie, odnoszącém się do siebie myślą, i wolą, a tém samém odgraniczającém się własną mocą swoją od zewnętrznego świata, jest oparciem się na sobie: a jak osoba wie o sobie, tak też umie się odróżnić od jestestw, które nie są nią samą.

Znać przeto że wyobrażenie o osobie jest arcybiednym i głuchą abstrakcją, gdyż nie uwzględnia tej nieprzeliczonej a tak głębokiej różności, jaka zachodzi między osobami. Nie uwzględnia nawet różności pochodzącej między ludźmi, więc nie baczy na ich wartość moralną, zdolności, usposobienie, i całą treść ich. Ale wyobrażenie o osobowości ducha jest przecież zarazem ogromnym a trudnym nabytkiem. Bo długo ludzkość się namocowała z sobą i napracowała, zanim zdołała wyrobić pojęcie o istocie osoby, zanim człowiek uczuł się być osobą.

Tego pojęcia nie miał wschód starożytny! A jak tu człowiek nie wie jeszcze jasno, że jest osobą, tak też bogi, jego fantazją stworzone, nie są jeszcze osobami. Niekiedy w tych bogach, a mianowicie w mitach o nich, widać wprawdzie jakiś zaród, jakiś związek osobowości, ale takowy wnet się rozplywa, rozlatuje zarysem niepewnym, i ginie. A gdy człowiek nie wie się być osobą, więc też nie ma jasnej pewności o wiekuistém trwaniu swoim, nie umie siebie odgraniczyć, odosobnić od natury, i poznać przepaść, która go, jako osobę i duchową istotę, odłącza od natury, od tych jestestw materialnych. Stąd duchowa jego istota miesza się i łączy z tym światem zmysłowym; stąd też jego bogi miesza się i łączy z potęgami przyrody, co są bezprzytomne sobie i ślepe. To łączenie się najczęściej stwarza kształty potworne w rzeźbie i w poezji, w których wiekiistość a głucha bezrozumna materya szalonym zamętem są skojarzone z sobą.

Gdy atoli człowiek tą dziką chaotycznością miesza się ze światem materyi, więc też nie ma jeszcze panowania nad tą naturą materialną: stąd fantazya jego, choć gorąca i wrząca, nie zdoła przeniknąć pierwiastkiem wiekiistości kształtów z natury wziętych, a zatem używa ich tylko za zewnętrzne, powierzchowne znaki swoich myśli. Tak patrzy na formy roślinne, zwierzęce, ludzkie i t. d., a spostrzegłszy w nich własność jaką, odpowiadającą niby myśli, którą chce wyrazić, bierze tę formę i wyrzyna ją w kamieniu, potęgując aż do przesady tę własność odpowiadania myśli, którą chce oddać tém swoim dziełem. Tak to dzieło samo istotnie będzie miało dwojakie znaczenie: jedno znaczenie własne swoje, znaczenie przyrodzone, a drugie znaczenie przeno-

śne, które mu nadał człowiek; tym sposobem powstaje symbol (np. ręce są środkiem do działania, stąd fantazyja indyjska potęguje te ręce i tworzy postaci wielorękie; matka, jako niewiasta karmiąca dzieci swoje, staje się symbolem natury, gdy się zamienia na Izydę mnogopiersią).

Otoż symboliczność jest pierwiastkiem przeważającym we fantazyi starożytnego wschodu. Lecz właśnie dwojakie znaczenie każdego symbolu wyjawia niedostateczność jego; co ztąd pochodzi że wschód nie wyrobił sobie jeszcze dostatecznego wyobrażenia o duchu i naturze, A jak w człowieku jeszcze trwa potworna walka i zamętne mocowanie się nieświadomego ducha z potęgami natury, tak też te symboliczne postaci, przez fantazyją wschodu stworzone, są potwornym, chaotycznym objawem jego treści nierozdziernionej, nierozwiniętej. Zważ, że ten brak rozgraniczenia materyi i ducha, ten zamęt ogólny, zapustny, jest także powodem, że z téj fantazyi wschodniej rodzi się niekiedy i panteizm; bo i panteizm jest pomąceniem ducha i materyi, stwórcy i stworzenia.

Dopiero w Grecyi człowiek wie, że jest duchem, że jest osobą. On tutaj już umie siebie odróżnić od natury, a tém samém już i moce przyrodzone straciły nad nim przewagę swoją. Lecz z drugiej strony lubo duch Helly dorósł już natury, ale jój jeszcze nie przerósł. Co tylko jest we wewnętrznych głębiach człowieka, znajdzie wcielenie swoje w dziele sztuki, zatem we formie z przyrody pożyczonéj, i nawzajem cała ta forma jest przenikniona duchem. Duch mistrza i ludu jego pomieści się cały w dziele fantazyi artystycznój, w niej się przejrzy. Ta harmonia wzajemna między człowiekiem

wewnętrznym a zewnętrznym, między duchem a naturą, myślą a materią, czyni z Hellady lud prawdziwie artystyczny. Tutaj fantazyja powszechna jest osnową już prawie wyrobioną dla poetów i mistrzów. Jego myśli są obrazami, a on obrazując myśli. Stąd też Grecy, choć mają wyobrażenie o duchu, o osobowości jego, przecież wiążą go jeszcze z ciałem. Grecy nie mogą jeszcze wyobrazić sobie ducha bez ciała. Dla tej wdzięcznej harmonii wewnętrznej treści duchowej a zewnętrznego świata, Grek w tym świecie zewnętrznym widzi siebie; tu niema przeto fałszywego, bolesnego dźwięku w życiu. Tutaj szczęście młodości kwitnie ludziom i bogom. Wszak te bogi same są ludźmi ale uduchowionymi i wzniesionymi do piękności ideału, i w nich wdzięczne przymierze ducha i ciała. Jakoż właśnie dla tego, że bóstwo tutaj jest jeszcze cielesnie pojęte, że się przedstawia w połączeniu z materią, z ciałem, dla tego też występuje tutaj polyteizm, wielobóstwo. Bo materia, bo natura jest właśnie wielością jestestw, bo właśnie co jest jednością idei, rozpryskuje się w naturze na wiele jestestw osobnych.

Ale zważ, ta harmonia nie mogła długo ostać się na ziemi, bo w tym pięknym świecie klasycznym tętniło przecucie wewnętrznej sprzeczności. Bogowie są duchowo-zmysłowe jestestwa są ciałem odziane a mają być nieskończone! To sprzeczność! Dalej, duch człowieka, wiekuistości syn, ma być w harmonii ze światem zmysłowym: i to jest sprzecznością!

Na te sprzeczności Grecya umarła. Duch przerósł formy tuteczne, doczesne, z natury wzięte, a to wzniesienie się jego nad świat ten rzeczywisty było wyrokiem śmierci dla Hellady i jej świata piękności. A tem

samém pojawiła się już nowa epoka dziejom ludzkim, w której występuje właśnie ta wyższość ducha i treści jego nieskończonęj nad światem rzeczywistym. Tę nową epokę przedstawia historia fantazyi u chrześcijańskich ludów. Tutaj człowiek, party nieskończonem poczuciem, wie że jest tylko gościem na Ziemi. Żadne szczęście ziemskie, żadna idealność zrodzona, choć pełna uroku i wdzięku, nie zdoła ukoić, zagoić tęsknoty, która w nim robi i nie daje spokoju.

Widać, że w tym świecie nowym nowy rodzaj fantazyi pojawi się w piękności państwie. Będzie to sztuka chrześcijańska, co zwrócona jest ku wnętrzu, ku najświęstszéj serca tajemnicy. Tutaj przeto rodzą się te rodzaje sztuki, które z najgłębszych przybytków serca występują na jaw. Teraz: zabrzmi z ciszy serca poezya lirą, uczuciem głębokiem, tęskném, drgającym; teraz nastąpi epoka dla muzyki, téj sztuki, w której duch sobie daje posłuchanie, a tony, jakby anioły dosłyszane słuchem ziemskim, szepną o najwyższych prawdach i rozwiążą mu zagadki wszystkie świata, i wywróżą życia i śmierci, rodzenia i skonania tajemnice. I znów muzyki dosłyszane, w głębokości ducha żyjące, zbudują mu świątynie a katedry gotyckie, owe wielkie domy boże, co się staną kontrapunktem, w którym wiążą się wszystkie sprzeczności, wszystkie przeciwieństwa architektury, akordem i harmonią nieskończoną. Ta epoka atoli znów sama z siebie rozdziela się na dwa ustępy czasu, na dwa różne stopnie. W pierwszym duch przeczuwa, że doczesność, a mianowicie natura, nie jest odpowiednią téj wiekuistości, którą wiara roztworzyła w głębiach serca człowieka; więc duch człowieka odwraca się od doczesnego świata i przyrody a tonie w sobie, słucha-

jąc jedynie tej cichej mowy wnętrza swojego, co mu jest prorokiem o nieskończonej wartości jego, i wróźbitą światów nadgwiazdnych. A tak człowiek staje sam w sprzeczności i z tą zewnętrzną przyrodą i z własną naturą zmysłową ciała swojego (wieki średnie romantyczne). Drugi zaś stopień tej epoki będzie zbliżeniem się człowieka do natury i rzeczywistości, pogodzenie się z nią; mimo tego atoli tęsknoty wewnętrzne nie ustają choć się ułagodzą, nie zniknie też w człowieku treść nieskończona, którą rozwinęła w nim wiara chrześcijańska — (sztuka nowożytna od 16 stulecia poczynająca się).

Przestaję na tych lekkich rzutach, rysujących oblicze tych trzech głównych epok w dziejach fantazyi, mając dać obszernie ich roztoczenie w całym ciągu listów następnych. Zwracam tutaj tylko uwagę twoją, że możnaby i owe dwie pierwsze epoki, bo rzecz o fantazyi wschodniej starożytnej i o fantazyi klassycznej, połączyć razem i uczynić je dwiema epokami jednego większego okresu. Bo obie mają to do siebie, że w nich duch ludzki nie przerósł natury, że człowiek oczyniony jest jeszcze jej urokami, że nie przejrzał do dna własnej wiekuistej istoty.

Widzisz tedy że, tym trybem dzieląc historią fantazyi, można kłaść Iszy wielki okres a w tym umieścić całą starożytność, więc cały czas niechrześcijańskich ludów; zatem w nim znajdują się dwie epoki: a) fantazyja wschodu, b) fantazyja klassyczna, która znów rozdziela się 1) na fantazyję grecką, 2) na fantazyję rzymskich mistrzów. Potem następuje IIgi wielki okres, bo dzieje fantazyi u chrześcijańskich ludów, który znów rozdziela się na dwie epoki, bo a) na epokę czasów

średniowiekowych i b) na czasy nowożytne, zaczynając od początku wieku 16. Na ten podział chętnie się godzę, bo jest t \acute{e} m stosowniejszym, że wynika ze stanowiska chrześcijańskiego zapatrywania się na świat, a t \acute{e} m sam \acute{e} m uznaję ogromną różnicę, która zaszła we wszelkich stosunkach ludzkich od czasu wiary Jezusa Chrystusa. Lecz nie mogę się zgodzić z tymi estetykami, którzy z ka $\acute{z$ d \acute{e} j z dw $\acute{o$ ch epok (bo z epoki średnich wiek $\acute{o$ w i z epoki czasu nowożytnego), które wedle nas skł \acute{a} dają ten IIgi wielki okres, czynią dwa osobne wielkie okresy, które, wedle zdania tych estetyk $\acute{o$ w, tak się mają między sobą różnie, jak ka $\acute{z$ dy z nich od okresu Igo, obejmującego ludy starożytne, nie chrześcijańskie. Ten pogląd zdaje mi się być mylnym, choć jest wymyślony przez znakomite powagi (np. p. Vichera), a powstał jedynie z chęci nadania protestantyzmowi przesadzonej przewagi w Historii Sztuki, wi \acute{e} cz z zarozumiałego uprzedzenia, jakoby dla protestantyzmu, pojawiającego się w $\acute{l$ aśnie w 16 wieku sztuka miała się wskr $\acute{o$ s przerodzić. Obaczysz za \acute{s} w późniejszych listach, iż lubo prawd \acute{a} jest, że ze 16. st $\acute{o$ leciem nowa era nastaje dla sztuki, toć przecie \acute{z} i to prawd \acute{a} że ta era nie jest bynajmniej taki \acute{e} m zerwaniem z przeszłością chrześcijańską, jak to mniemają estetycy owi, a co wi \acute{e} c \acute{e} j oka $\acute{z$ e się równie, że ten nowy zwr $\acute{o$ t sztuki w 16. wieku ma jeszcze inne a gł \acute{e} bsze powody.

Wszak duch, odprawiając te wielkie okresy i epoki w dziejach fantazyi, napasował się krwawym trudem przez długie wieki. A wiele narod $\acute{o$ w w t \acute{e} j pracy złożyło żywot swój na ofiarę historii powszechn \acute{e} j. Stąd te \acute{z} ich rodzenia się i silenia i śmierć są tre-

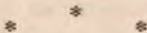
ścią najwyższego znaczenia dla każdego myślącego człowieka.

Atoli w tych kilku listach, poświęconych rozwijaniu się ducha w sztuce, bynajmniej nie nam zamiaru napisania historyi fantazyi ze wszystkimi jej szczegółami. Przystaniemy na oznaczeniu ogólném charakteru każdego okresu, dotkniemy się tylko zlekka każdego narodu, a bylebyśmy zrozumieli jego piętno właściwe, już nadać mu zdołamy stosowny stopień w historyi świata, i zgadniemy czém on był dla historyi fantazyi całego rodu człowieczego. Jest też niepodobna, by wspomnieć o wszystkich ludach, które tu położyły zasługi swoje. Przypatrzymy się jedynie gwiazdom pierwszego rzędu, onym jasnym konstellacyom, przyświecającym, jakby okiem Bożem, dziejom świata. Gdy wielmożność i potęga, oparte na głuchej sile, spadły na ziemię niby suchy liść, idąc na pomiotłę wiatrom; te gwiazdy te pierworodne córki ducha nie mrużą się nigdy, wiecznie żyją, wiecznie spokojne goreją chwałą rodu naszego. Ku nim nie sięgną zamieci ziemskie i kurzawy padółu żywota; one na wieki będą przymierzem między człowiekiem a Bogiem, boć wszystko na tej ziemi tonie w niepamięci: to tylko trwa wiecznie, co z ducha Bożego i prawdy się rodzi. A my wszyscy jesteśmy potomkami tych jasnych gwiazd, synami ich światłości w historyi; oddajmy im tedy cześć.

Czyli zaś podołam tej wziętej na się pracy? Czyli mimo dobrej chęci wywiążę się godnie z zadania mojego?

Mam ja przekonanie wewnętrzne, które mi dodaje otuchy do tej pracy. Gdy dzieje fantazyi roztaczają nam obraz silenia się historyi około tego, co wzniosłe

i piękne na świecie, i gdy nam tedy okazują jako ród człowieka dąży bez spoczynku do coraz wyższego uzacznienia i uszlachetnienia siebie; więc też myślę że każda, choćby najdrobniejsza, praca w tym względzie nie może nigdy być bez zupełnej wartości, bo wypływa z wiary w nieskończony postęp świata, ze czci dla prawdy a wiekuistej zacności żyjącej w ludzkim rodzie. I dla tego mniemam że i ta skromna praca nie będzie może zupełnie straconą.



Niegdyś w starych wiekach Indów, *Budda*, najwyższa cnota, istność istności wszelkiej, odbierał cześć i pokłony od kraju całego. A cisnęły się zewsząd i króle i pany wielkiej potęgi i władcy ludów, a czołem bijąc bóstwu Buddy, zносиły skarby swoje i klejnoty drogic. A mieszkała też w miejscu tém zgrzybiała uboga staruszka, żyjąca o zebranych chlebie. Gdy obaczyła te stosy złotych i srebrnych sprzętów, i te skarby, co jaśniały w świątnicy Buddy darem i ślubem, przejęta żalem serdecznym, sama mówiła do siebie. Jakże ja winą moją przyszedłam na tę biędę ostatnią, że nie mogę stanąć przed tronem Cnoty Najwyższej, i rozsiewać ziarna zacności i zbawienia. I poszła żebrzeć między ludzi. Żebrała od świtu aż do późnej nocy, a uzebrała pół szelągka, i poszła do kupca prosząc go, aby jój sprzedał oliwy. A on rzekł: „Niewiasto uboga, bardzo mało będzie oliwy za ten pieniążek twój. Lecz powiedz mi, do czego ci jój potrzeba?“ „O! panie,“ rzekła staruszka, „ja zebrałam od rana do wieczora, i ten jeden pieniążek uzebrałam sobie, a oliwę za niego poświęcę na cześć Najwyższej

Prawdzie.“ A on ulitował się nad ubogą, i dał daleko więcej oliwy niż żądać mogła. Żebraczka, przepełniona radością, nalewa nią drobny kaganiec, i stawia go na ołtarzu Buddy, i modli się do bóstwa rzewnie: „O ty istności nad wszelką istnością! Ten mały kaganiec jest całą ofiarą, którą ci dać mogę; o! gdyby ten płomyk skromny zdołał rozproszyć czarną ćmę niewiadomości i kłamstwa i winy ze świata całego! Gdyby zdołał rozświecić prawdę i zacność i uczyć, co wielkie na Niebie i na Ziemi!“ — I przez noc całą gorzał kaganiec. A gdy z dniem porannym kapłan wstąpił do świątnicy i zbierał z ołtarza dary, dmuchnął i na ów kaganiec mały by go zagasić, ale płomień błysnął silniej jeszcze, a kapłan już ręką, nakoniec szatą chciał go przytłumić; lecz kaganiec gorzał coraz to świetniejszym i potężniejszym płomieniem. A gdy tak daremnie się kapłan silił, Budda przemówił z ołtarza: „O! zaprawdę, nie przytłumisz ty płomienia tego, i nikt go przytłumić nie zdoła. A gdyby i wszystkie czterech mórz wody po nim przeszły, nie zagaszą go jeszcze, boć on mi jest darowany na cześć tego, co wiekuiste, a z czystej wiary w zacność i prawdę!“ (Stara Indyjska legienda.)

LIST XIV.

Historya Fantazyi u różnych ludów.

LUDY WSCHODU.

Chiny.

Wstęp. — Ulica Kantonu. — Malarz chiński. — Teatr. — Muzyka. — Komedia. — Nauki u Chińczyków. — Astronomia. — Wojskowość. — Brama tryumfalna. — Zabawy. — Budowa świątnic. — Obrazy religijne. — Ogrody. — Brak treści wewnętrznej w człowieku. — Moralność. — Rodzina i Państwo. — Formy zewnętrzne. — Dramat chiński. — Lira i Powieść chińska.

Mając się puścić wędrowką przez świat i różnojęzyczne jego ludy, przez lat tysiące, a coraz zacniejsze epoki ludzkich dziejów, i podsłuchać ciche ducha powiezy w historii, trudnoby nam przyszło pominąć owe rozłożyste przestwory azyatyckiego Wschodu, co go *Chinami* zwiemy. Tam na zatyłkach starego świata, odsadzonych daleko od dziejów powszechnych ludzkiego rodu, roztacza się olbrzymim obszarem ogrom państwa, którego przestrzeń o sto tysięcy mil kwadratowych większa od Europy całej, a ludniejsza od niej o sto milionów mieszkańca. Stamtąd starowieczne wieści niosą nam podania o pradiadowej cywilizacyi, o

niezmęczonych nigdy pracach skrzętnych onego mrowiska ludów; co tu zamieszkały od przed-historycznych czasów.

Chiny, to świat oddzielny i w sobie zamknięty; scisnęły go granicą prawie nieprzebytą i duchowe i materyalne potęgi. Ku północy wzdeły się wierzchowiny martwe, milczące podbiegunowej Azyi; z Zachodu i z zachodniego Południa wzbily się w obłoki twierdze Alpejskiej natury, obiegając stromym okopem kraj; od wschodniego Południa i wielkiego Wschodu głębie oceanów zastąpiły od Świata. Wszak to są one najogromniejsze zlewiska wód całego ziemskiego planety; wszak to ten morski świat Spokojnego Oceanu, co szerzy się w daleką dal, bo aż pod obie Ameryki. Lecz zważ, że ta nowa część świata zwróciła się przodem ku Europie, bo biegiem swoich rzek i wyspami i całą rzeźbą jeograficznego swojego ukształcenia; a przeciwnie zwróciła jakby nice swoje ku Chinom, ku „Spokojnemu Morzu“, pokazując mu jedynie brzegi bez odnóg, bez grona licznych wysp i bez rzecznych prądów.

Na tych przestrzeniach bezmiernych chińskiego świata rzeki potężne, niby tętna olbrzymiego ciała, zwaliwszy w poniża wody swoje, toczą się wspaniałym pochodem, i, zanim przepadną w morskich toniach, snują się po obszarach zubożonych pracą natury i własnym krwawym trudem człowieka. Ale jak te rzeki grają wiecznie jedną i tą samą pieśnią wartu swojego, tak i życie tutaj płynie wiecznie tą samą falą, tak i historia tutaj zawsze jedna i wiecznie ta sama. Tu od tysięcy lat krząta się trzysta milionów jestestw rozumnych, i krząta się i pracuje pilnie, nie-

znękanie, jakby pszczelnik ludzkiego rodu; ale od lat tysięcy, jak w pszczelniku, powtarza się wiecznie ta sama praca, ten sam trud i znój bez odmiany, bez cofania się, bez postępu! Tu nawet echem nie dobiegła wieść o rodzeniu się, o konaniu narodów, o ich walkach i wieńcach ich sławy; tu cicho i głucho o tém wszystkiém, na co sobie zapracował świat, czego się dosłużył długowieczną męką Historii, co z głębin duchowych z boleścią na jaw wyważył. Tu nie dobiegła wieść o weselnych tryumfach, o łzach i rozpaczach stuleciów całych. Chiny stanęły same o sobie. Stąd piętno oryginalności wybite na całym tym narodzie; a piętno to tak jest silne, przeważne, że obok niego zginęła cecha indywidualna ludzi pojedynczych, że obok niego zatarła się i zbladła różnica rozdzielająca człowieka od człowieka. Nieubłagana, niewidoma, demoniczna moc zrównała tutaj, jakoby strychnulcem, ludzki ród. A jak wszędzie znajdziesz tu wargi napuchłe, nosy przyplaszczone, nozdrza zadarte, oczy ukośne brwi w górę skrócone; tak też znajdziesz tutaj w każdym pojedynczym człowieku ten sam obyczaj i zwyczaj, ten sam smak, dążność i ochotę, układność i myśl. Jak ciało, tak i duch tych wszystkich milionów jest jakby w jedną i tę samą formę wtłoczony; a jak dziwaczny jakiś rodzaj ryb oryginalnością kształtu różnić się może od wszystkich innych rodzajów, a jednak wszystkie pojedyncze ryby tegoż rodzaju nie różnią się między sobą, tak tutaj z człowiekiem się dzieje. Choć cały naród ma swoje właściwe a tak osobliwe piętno, iż w niczém nie jest podobny do innych narodów, toć przecież takie tutaj jest podobieństwo, taka jednostajność między pojedynczemi ludźmi,

jak już w żadnym innym narodzie. W Chinach jest tylko rodzaj ludzi, człowieka nie ma.

Inaczej też być nie może. Ogromne to państwo, odcięte od świata, ślepe, głuche na wypadki Historii powszechnej, stęchło, zastało się w sobie, nie przyjmując nigdy w siebie nowych odradzających żywiołów. A jak jest odgradzone od dziejów obcych ludów, tak i w sobie jednostajne, nie zna, co różnych pierwiastków gra, — nie zna, co ważenie się i mierzenie ich wzajemne. A jak tutaj człowiek nie wyrobił własnej indywidualności swojej, nie wstąpił w głąbie własnej istoty, nie wydobył z niej uczucia siebie; tak też i naród cały, nie mierząc się i nie ważąc z innymi ludami, ugrzązł w zarozumieniu o sobie, nabrzękł pychą i uprzedzeniem ułudnym o swoim znaczeniu na świecie.

W Chinach nie ma innej różnicy przeciwległych pierwiastków, krom różnitości jeograficznych potęg; tu jedynie mierzy się i waży północ i południe, wschód a zachód, wysoczyzny a poniża dolin, wody i suchy — tu jedynie gra przeciwległość klimatów. Z tej różnitości mocy przyrodzonych spadają na lud ten burze powietrzne, powodzie i mór; stąd wałą się na niego burze i wywroty polityczne, które przecież, nie tykając nigdy dna społeczności, odmieniają tylko dynastye; istota tego państwa zostaje zawsze jedna i ta sama. Chiny płacą te powodzie i mory, burze i zamęty polityczne milionami ludzi; poczem znów wszystko wraca do ładu i porządku, wraca do ciszy, spokoju i pracy.

Duch ten, tak jednostajny i wiecznie tkwiący w miejscu, stosowne też dla siebie odebrał od Natury uposażenie kraju. Owa sieć bogata, gęsta rzek, owe

roztoczenie potężne morskiego pobrzeża spotęgowały ogół, masę całego ludu, ale nie tknęły się rozwoju pojedynczego człowieka. Ów żywioł wodny jak wszędzie tak i w Chinach rozniecił wczesnie potrzeby i ochoty a żądze zmysłowe; parł do przemysłu, handlu, wynalazków, wyćwiczył udatności do ręcznej pracy, do rzemiosł i wyrobów, a rozwinął te dążności umysłu do tego stopnia, jak już w żadnym innym kraju na świecie. (*) Jednostajność bowiem chęci i ta spójność kierunku umysłowego sprzęgły twardo te wszystkie niezliczone miliony do spólnej pracy, a tak dokonały się dzieła mechaniczne, a których już gdzieindziej nie słychać. Pomyśl sobie ów kanał „Cesarski“, co tysiąc stóp szeroki, co rusza bez przerwy przez bagna i zatoki, góry i doliny, i co tak długi, iżby połączył Bałtyk z morzem Czarném; lub ebciej przywieść sobie na pamięć ów sławny mur chiński, głośny na świat cały; wszak w nim jednym więcej cegieł, niż we wszystkich domach całej Anglii i Szkocyi, a tych domów przecież ze dwa miliony! albo pomniéj na owe olbrzymie mosty o trzystu filarach ciosowych! Zważ jeszcze że Chińczycy wynaleźli proch, druk i igłę magnesową — więc trzy ogromne czynniki ludzkiej historii, — a wynaleźli je wtedy jeszcze, gdy się o nich nawet nie marzyło Europie.

Lecz pytasz, co się tu dzieje z potęgami ducha? czémże jest tu człowiek, co stworzony na podobieństwo Boże? w jakiej się postaci objawia sztuka piękna, czém jest jego artystyczna fantazyja, a czém fantazyja powszechna ludu tego? — Rzuć okiem, choćby w polo-

(*) Ritter, Erdkunde T. IV. str. 726. — Herder, „Ideen“.

cie, na obyczaj i zwyczaje, na zabawy, na religią i prawa tego ludu, a zajrzesz w serce samo duchowi, co tu włada, i zgadniesz, czy to anioł jasny, czyli ciemności demon, który tu zasiadł na panowaniu i rządzi losami tych nieprzebranych milionów.

Tłumnie, szumnie, huczno, gwarno na ulicach Kantonu. Cisną się, tłoczą bazarze, komedyanty, przekupnie, olejkarze, śpiewacy, a każdemu czegoś bardzo śpieszno, każdy biegnie lekkim kłusem, rzadko który się zatrzyma; śpieszą i biegną i gwarzą a śmiejąc się wrzeszczą. Cisną się wśród tłumów jeźdźcy na koniach, pchają się drażniki, warczą, turkoczą wozy i wózki, przemykają się lektyki. Wśród wrzawy i gwarów głośniejszych wznoszą się zapachy sprzedawanych kwiatów, olejków, wódek, pachnących, dymy kadzideł, odory smażonych ryb, śwędy tłuszczów przypalonych i pieczywa wszelkiego rodzaju. Po obu stronach ulicy ściany domów biją połyskiem tak świecistych pokostów, tak błyskotném szkliwem, iżbyś rzekł, że niektóre z tych domków są szczerozłote; u góry krygują się dachy wywijane, zadarte, o dzwonek ruchawych, z węzem lub smokiem straszliwym po rogach. W domach rozwarte na oścież sklepy bogate, na sklepach napisy o barwach jaskrawych, żarzących, złocistych; kołyszą się latarki wielobarwne o fantastycznych przeróżnych kształtach. A w sklepach świecą towary kosztowne. Tu sprzedają wytworne szale jedwabne, lśniące haftów przepychem, tam znowu jaśnieją w słońcu srebrne, złote wyroby przepyszne, ondzie znowu składy snycerskie, tokarskie towary; więc szachy misterne, war-

cabnice w kamienie wysadzane, skrzyńeczki, wachlarze, kubki, umbrelki i wszystkie te fraszki i próżniaki, te potrzebki niepotrzebne cywilizowanego, zbytkującego świata; a robota wszędzie tak sztuczna, tak wykwintna i wyborna, że im nie starczą ani one śliczne, smaczne cacka paryzkie, ani wykończenie wytworów angielskich. A te wszystkie towary chińskie tak bajecznie tanie, że się już trudno oprzeć pokusie.

Choć je atoli tak niby nisko zaceni Chińczyk, ofiaruj połowę, a on się zgodzi i jeszcze doda jakie drobiazgi w przyczynek. Bo tu trzeba ostrożnie z chińskimi kupcami; otumanić kogoś, toć się im zdaje być żywiołem ich powołania, a gdy się poznasz na tych figlach, on się uśmiechnie i grzecznie odpowie: że arcyrad poznać tak mądrego cudzoziemca! A liczy i rachuje, coś winien zapłacić, na skrzyńeczce — w niej druty, na drutach kulki — oto szczoty używane na północnym wschodzie Europy, w Rosyi zwłaszcza, a są chińskim dowcipnym wymysłem, który się tam nazywa Juan-pan. (*)

Zaledwieś znowu na ulicy, aż tu opada cię jakiś krzykała i kładzie ci gwałtem w rękę całą wiązkę adreśców, któremi się polecają przeróżne sklepy, kramy, rękodzielnie, a między niemi zachwała też roboty swoje szanowny Ling-tszing-fu-zu, malarz portretów, pejzażów, mapp — on nawet i nōty kopiuje. Siedzi w sklepie swoim warkoczny artysta i pracuje, śmiga pędzlem, że aż miło; a z nim razem pracuje

(*) Davis China, T. II. — W Heine Wanderskizzen Allgem. Augs. Zeit. N. 312 i 335 r. 1853. — Du Halde: Description de la Chine w tłóm. niem. III. §. 2 str. 290.

z 10ciu czeladzi. Spójrzysz w koło — są tu widoki i całego Kantonu i ogrodów i domków. Perspektywy ani w liniach, ani światłach, ani w barwach nie szukaj; bo masz wiedzieć, że artysta chiński trzyma się bardzo zdania, że malarstwo winno rzeczy wystawiać, jakie są same przez się; gdy tedy przedmiot jedynie oddaleniem się zmniejsza, skraca, toć jest złudzeniem oka, więc kłamstwem, które nie warto, by było uświęcone sztuką piękną! Nie ma też tu na tych obrazach cieniów. Niechaj p. Ling-tzing-fu-zu obaczy portret przez europejskiego artystę robiony, toć on, jako i wszyscy jego chińscy koledzy, widząc cienie i światła, zapytają się z podziwieniem: czyli rzeczywiście żyjący oryginał obrazu tego miał jedną stronę twarzy ciemniejszą a drugą jaśniejszą? Albo też patrząc na cienie uważają je za plamy pochodzące z uszkodzenia obrazu. Prawda, że ongi i sama Elżbieta angielska kazała się także malować bez cieniów, ale to uczyniła z czystej życzliwości dla swoich poddanych; chodziło jej o to, aby oni mogli bez przeszkody podziwiać płeć białą swojej dziewiczej królowej! Zato z najściślejszą dokładnością odrysowane są karty geograficzne; możesz się nawet zupełnie zdać na liczby wyrażające głębie wody na mappach morskich. Patrz atoli, jako nasz artysta maluje ptaki, kwiaty i rybki! On policzył piórka na ptaszku, wszystkie cętki na roślinach, policzył i zmierzył liście kwiatów i łuszczyki na rybach, a tak wiernie, skrupulatnie, pracowicie kopiuje, iżbyś rzekł, że najdrobniejszej drobnostki nie opuści; ten artysta to istny dagerotyp w postaci żywego człowieka! A jakież wyborne jego farby olejne, jakie wyborne płótno, jakie doskonałe techniczne wykonanie! Jeszcze też śliczniejsze,

świecistsze obrazki malowane na chińskim papierze, a jakie to tanie! za kilkanaście złp. dostaniesz tuziu pomniejszych obrazów, lub jeden wielki na kilku stopach kwadratowych; a gdy troszkę się potargujesz, to artysta doda i ramy lakierowane; gdy zaś zakupujesz same ramy, zapłacisz tę samą prawie cenę; ale potarguj się trochę, a doda w przyczynku i obraz do ram kupionych! (*)

Pożegnawszy artystę, radbyś teraz dalej puścić się po bruku ciosowym, wybornym tych ulic zamętych; ale to szczerze niepodobieństwo! Zaciął się ruch tłumu na ulicach — cały sznur i pieszych i konnych, wózków, wozów i lektyk nagle się zatrzymał. Cóż się stało? Oto jakiś jegomość jadący ujrzał znajomego sobie śpieszącego piechotą; więc zeskoczył z wozu, więc grzeczności, więc komplementa.

Pierwszy Chińczyk: Jakąż szczęśliwością błogą świeci obliczę twoje, o Ojcze!

Drugi Chińczyk: Jest to, szanowny doktorze, blask szczęśliwości twojej, który spływa na twarz moją.

Pierwszy Chińczyk: Czyli szczęśliwie kwitnie Jesion i luby Klon?.... i t. d.

Masz wiedzieć o tém, że wyrazy „ojcze“! „doktorze!“ są w Chinach najwyższą grzecznością, którą powiedzieć można; a jesion znaczy ojca rodzonego, a klon znaczy matkę. Przecież nie na tém kończy się dobre wychowanie obu tych ichmościów. Pierwszy składa ręce błagając by „ojciec“ siadł z nim do pojazdu, drugi zaklina się, że tego nie uczyni nigdy; na to pierwszy oświadcza uroczyście, że nie ruszy z miejsca póki

(*) W Heine l. c. N. 312.

nie będzie miał z sobą przyjaciela. Drugi przysięga, że ani siądzie, ani pójdzie drogą, póki szanowny „doktor“ nie pojedzie. I dalej nowe frazesa, ukłony, ofiarowania służby swojej, i afekta, grzeczności i formuły, a tu cała ulica zapchana czeka a czeka cierpliwie i uprzejmie, choć się jakoś na deszcz zbiera. (*) Bo wiedzmy o tém, że niema już ludu na całym świecie coby tak przestrzegał form grzeczności jak Chińczyki. W końcu przecież jakoś przeszorowała się ulica, kłęb ludzi się rozgmatwał. I wielki bo też czas, bo zdaleka słyhać straszny gruch w kotły, w bębny; widać nad tłumem ulicznym wzniesione umbrety jedwabne, proporce, chorągwie olbrzymie; na nich malowane zółwie skrzydlate, smoki, węże i inne poczwary; a niosą na kijach wysokich deski czerwone, na deskach wypisane długie tytuły i godności zbliżającego się dygnitarza. Fraszka atoli umbrety, proporce, zółwie, smoki i napisy; najwięcej powagi dodają mu pacholki krępe, barczyste, niosące zapasy bambusów. (**). Otóż i sam Mandaryn, sam Tsong-tu pulchny, okrągły i tłusty sobie pan; niosą go w złocistej lektyce; śliczna na nim długa wyszywana suknia; znać, że on mandarynem 5go stopnia, bo na lejkowatej czapce iskrzy kryształowa gałka, a na piersiach płat sukna, na którym haftowana papuga. Postrach bambusów uciszył ulicę, w koło pusto jakby wymiótł; kto nie zdołał uciec do kąta, stanął kołkiem, bo skłonić się z Europejska byłoby zbytnią poufałością. (***) Aleć niechajby-no ten tu Mandaryn

(*) China histor. romant. maler. Zeszyt VII.

(**) China histor. romant. maler. Zeszyt VII.

(***) Du Halde l. c. T. II. str. 37—39.

o gałce kryształowej spotkał w drodze innego mandaryna z gałką czerwoną, a choćby nawet z niebieską, widziałbyś, jakby się co tchu wytoczył ze swojej lektyki i znów stanął przed tamtym jak wryty. (*) Ponieśli go nakoniec, — i znów pełna ulica gwarną, krzykliwą cizby; odetchnął każdy, bambusy znikły im z oczu, choć nie z myśli. Bo masz o tém wiedzieć, że bambus nie przebiera, że sięga i po najwyższych dostojenstwach; ani dworzanin zamożny, ani mandaryn, ani dowódzca wojskowy nie jest wyjęty z pod bambusa. Za lekkie uchybienia nawet spada kara bambus; co więcej karze on nawet za winy przeciw moralności, które u ludów chrześcijańskich zostawione są sumieniu i uczuciu honoru. Jakoż znajdziesz w prawach chińskich jakby taryfę bambusów. Przytoczę ci choć kilka przepisów: 1) Naczelnik bióra, przedstawiający niegodnych na wyższe stopnie, bierze 80 bambusów. 2) Sługa, hałasujący w obejściu cesarskiego pałacu, 100 bamb., a pan jego 50. 3) Kandydat do urzędu, jeżeli się źle popisie na examinie, 40 b. 4) Sędzia, nie stosujący się do przepisów na miejscu zbrodni, więc niby przy visum repertum, 100 b. 5) Jeżeli jaka kobieta frymarczy solą, wtedy mąż jej bierze 100 bamb. 6) Kto, siadając do stołu, zasiada powyżej starszego, 5 bamb. 7) Lekarz piszący złe recepty 100 bamb. 8) Mąż zalotny, kochający żony uboczne więcej niż prawą małżonkę, 80 bamb. (**). Słowem bambus jest tutaj perpendykulem świata. Przecież nie jest on znówu tak straszny, jak się z wierzchu wydaje; nikt go też sobie nie bierze

(*) Obacz du Halde l. c. dodat. 258, i...

(**) *Tymkowski* podróż do Chin— T. II. str. 42 i następne.

zbytne do serca; bo naprzód kara ta nikomu nie ubliża, nikt dla otrzymanych bambusów nie traci na czci publicznej ani na poważaniu powszechném; jest szanowany jak dawniej, urzęduje sobie jak dawniej z całą powagą i uroczystością, słowem jest sobie tak podobny jak pierwój. (*) Bambus jest niby napomnieniem, karceniem ojcowskiem, niehańbiącym wcale. Następnie zważ, co nie mało znaczy, że skazany na bambusy może i nie być obecnym osobiście przy wykonaniu wyroku; bo są tacy, którzy z powołania swego chętnie go wyręczają i zastępują miejsce jego, byleby im, jako słuszną, dobrze zapłacił; a ci ichmoście tak sobie też zwinnie poczynają że zanim się spostrzeże sędzia, przytomny przy exekucyi, już po wszystkim; kara jest wymierzona, nie doszedłszy atoli swojego właściwego adresu; albo też sędzia, podarkiem ugłaskany, patrząc w inną stronę udaje że nie spostrzegł zamiany osoby. Bo też nigdzie przekupstwo urzędów tak nie grasuje jak w Chinach. Powiadają, że wyręczyciele a zastępcy takowi na tych antreprzykach robią dobre interesa, zbierając wielkie majątki. (**)

Niema czemu się tedy dziwić, że na ulicach miast chińskich tak ludnych, tak tłocznych, wszyscy przecież tak zręczni są, cierpliwi; nikt drugiego nie trąci, nie szturechnie, nie obryzga, bo na byle hałas jakby ze ziemi wyskakują policyanty, godząc po swojemu waśnie i kłótnie. (***)

Zaiste, patrz, jak teraz co żywe śpieszy się w tamtą

(*) *Du Halde i Grosser. De la Chine T. V.*

(**) *Du Halde l. c.*

(***) *Choix des Lettres édifiantes écrites par des Missions étrangères. T. I. str. 32 i następane.*

ulicę, każdy radby być pierwszy, a przecież mimo tłoku niema swarów i szturchańców; wszyscy rzucają się tłumnie ku owemu budynkowi z drzewna, co, od niechcienia i ladajako postawiony, teraz roztwiera wrota swoje, by przyjąć ciżbę krzykliwą. To teatr! Teatr, jaki prawie na każdój ulicy chińskiego miasta widać; w samym Pekingu jest kilkaset trup aktorskich; więc też sobie grają od rana do wieczora, bo już niema drugiego narodu, którego by paliła taka mania do widowisk scenicznych! (*) Gdy zamożny Chińczyk wyprawia ucztę u siebie, wtedy do sali jadalnej wstępują zamówione aktory; dyrektor ich klęka przed gospodarzem domu podając mu do wybrania spis sztuk, jakby swoje repertorium teatralne; poczem popisuje się swoim talentem scenicznym.

Nie myśl atoli że ta namiętność do teatru wpływa tu na rozwój i ukształcenie sztuki, — bynajmniej; widowiska dramatyczne są dziś na tym samym stopniu, na jakim były lat temu kilkaset; aktory, to pozganiana hołota, co chwilowo puszcza się na komedię, potem rozlatuje się włóczęgą na wszystkie wiatry. Z nich nikt nie czyni sobie powołania ze sztuki dramatycznej, a do dziś dnia nie przyszło tam do stałej trupy, do stałego teatru; a przecież bez tych dwóch warunków niema sztuki scenicznej. Wszystkie budynki są mniej więcej jak ten, który tu przed sobą widzisz; jest to niby buda jarmarczna, mogąca być w chwili złożoną, w chwili rozebraną; kilka krokiew i desek, to cały materiał. We wnętrzu, na słupach ośm stóp wysokich, wznosi się scena, pokryta lekkim, wykręconym dachem; naprze-

(*) Lay. The Chinese as they are. Rozdz. XI.

ciw niej łoża ogromna dla dam; po prawej i po lewej inne dla płci niepięknej. Tu zasiadły wielobarwne mandaryny, co milą się do siebie jedwabnym słówkiem i częstują się herbatą, słodyczami i słodkawemi grzecznościami. Przestrzeń między łożami a sceną zajęta jest, jak u nas, parterem. Ależ ten parter wiecznie jest ruchawy niby fale morskie. Bo później przybyli tłoczą się naprzód; ci zaś, co już bliżej sceny, opierają im się z całych sił. Gdy zaś tamci, stojący u drzwi, przemogą, już publiczność, stojąca przed samą sceną, znajdzie się nagle pod podłogą teatru i, zamiast dramatu, widzi pale i słupy; ale gdy się jęj uda wziąć górę i przeprzeć najezdników, już widzowie, stojący w sąsiedztwie drzwi, znajdą się z nienacka na ulicy. Nie ma się więc czego dziwić, że ten lub ów zuch spina się po słupach do wysokości łoż i ztamtąd patrzy się i na widowisko i na tłum poziomy, co pod nim szumi i huczy. Bywa też że czasem jeden z urzędników, przeznaczony do pilnowania porządku, sam skuszony miłością do teatru, wylezie tym trybem nad publiczność oddaną mu w dżór. Przecież uciecha niedługa; wszystkie te wypadki przewidziane; znajdzie się inny dygnitarz służbisty z bambusem tak długim, że i na wysokościach znajdzie winowajcę-amatora; więc wykrzyk! poczem chybko spuszcza się biedak na ziemskie niziny, — i znów cicho i porządnie. (*)

Ale już krząka orkiestra, słychać tony! Spójrzyj na narzędzia muzyczne a zgadniesz okropności, jakie cię czekają. Skrzynki o jedwabnych strunach, darte żwawo smyczkiem, bureczą i warczą; wtórują im cymbałki z

(*) Davis l. c. Rozdz. XVI.

drótów, bite niemiłosiernie pałką z bambusu; wrzeszczą klarynety krajowego wynalazku, piszczą piszczałki, brzęczą gitary, chrypią flety; dalej jeszcze trąby, dzwonki i bębny pomagają do straszliwego hałasu. Im przerażliwsza muzyka, im krzykliwsza, tém ona cudowniej-sza dla chińskich znawców. System muzyki u Chińczyków nie ma wyobrażenia o półtonach, a tém mniej o kontrapunkcie; wszyscy w najszcześniejszym razie grają unisono, a jak się już bardzo wysadzą, to jedni odzywają się o oktawę wyżej lub niżej od drugich; harmonia zdaje się im być chaotycznym nieładem. (*) Wierzyłbyś tedy, że to w Chinach miała się naprzód urodzić muzyka! że Konfucyusz, układając śpiewnik swój, dobierał noty z trzech tysięcy starych pieśni! że ten pięciotonowy system muzyki znany jest w Chinach od półpiąta tysiąca lat, że miał przywędrować w poprzek Azji aż do mglistych gór Szkocyi, kędy się po dziś dzień przechował w śpiewach górali! (**). A przecież muzyka jest w wielkiej czei u Chińczyków; miło też było czytać, jako po ukończeniu ostatniej wojny z Anglią, Chińscy generałowie, zaproszeni na ucztę na okręta angielskie, przy kielichach kolejnych na wyścigi śpiewali z gospodarzami swojemi. Sami marynarze angielscy przyznają, — a to nie mało znaczy, — że śpiewy nie były bardzo wdzięczne i dźwięczne, ale za to tak potężne, że się okna okrętowe trzęsły.

(*) *Davis* l. c. T. II. Rozdz. XVII.

Lay l. c. Rozdz. XVII.

Klaproth asiat. Mag. I.

Du Halde T. III. §. 2. 285.

(**) *Fink*, *Wanderungen der Tonkunst*. Rozdz. VIII. i następnne.

Lecz kortyna się porusza, podnosi się. — Występują na scenę dwa ogromne smoki, z całą uroczystą powagą wysuwają się naprzód; teraz kłaniają się mandarynom po prawej, potem mandarynom po lewej stronie. Bo w Chinach nawet smoki znają uszanowanie dla dygnitarzy! Stanęły już smoki nieporuszone. Teraz zjawia się na scenie księżyc w okazałej pełni i śmiało staje wśród onych smoków straszliwych; smoki przypatrują mu się zjadliwem okiem, obchodzą go w koło, mierzą go, rozdziwiają paszcze; znać wyraźnie, że radeby go połknąć, ale w końcu ze wstydem poznają, że to rzecz niepodobna. Więc ukłoniwszy się mandarynom siedzącym po prawej stronie, potem mandarynom po lewej odchodzą „skonfundowane“ na wielką pociechę i radość całej publiczności. Księżyc zostaje jeszcze przez chwilę na miejscu, spokojny, pełen sprawiedliwej a zacnej dumy; w końcu, w uczuciu odniesionego zwycięstwa kłania się poważnie i odchodzi. Zastłona spada. — Wtedy z łóż, z parteru, z góry i dołu, z przodu i z tyłu teatru hukną oklaski; każdy z całego gardła: woła Hao! Hung! Hao! co znaczy po naszymu: Brawo! Brawo!

Cheć baczyc, że tak w Chinach, jak i na całej północy Azji panuje mniemanie, że zaćmienia księżycowe ztąd się rodzą, że dwa smoki napadają na księżyc chcąc go połknąć, lecz że ten planeta zawsze się jakoś szczęśliwie wywija z niebezpieczeństwa. Warto też pamiętać, że astronomowie zwykli nazywać smokiem tę przestrzeń nieba (caput et cauda draconis) w której się zdarzają zaćmienia księżycy i słońca.

Niema kraju gdzieby nauki w ogólności tak były czczone jak w Chinach; niema literatury tak bogatej

w książki, jak chińska; nauki niby prowadzą do najwyższych dostojeństw, a przecież niema w nich postępu. Tutaj zaiste zegar ludzkiego rozumu stanął.

Tak i astronomia od wieków jest uprawianą i czczoną u Chińczyków. Przecież im zawsze trudna sprawa z kalendarzami bez pomocy europejskich misyjonarzy. Cesarz Xun tak wielce szanował te umiejętności, iż ze szczerego złota i dyamentów sprawił sobie kulę niebieską; chował nawet na dworze swoim dwóch astronomów, z których jednemu było na imię Hi, a drugiemu Ho. Ci zacni panowie, zamiast patrzeć nieba, patrzali szklanek, nie zapowiedzieli tedy zaćmienia słońca. Cesarz Xun przeto wydał wyrok: I^o Zakazując astronomom pić wino. II^o Nakazując ściąć głowę astronomom Hi i Ho.

Wystąpiłeś znowu na ulicę, znowu ścisk i hałas; oddział wojska się zbliża! Każdy, jak może, przytula się do ścian domów. Na czele dowódzca niesiony w lektyce bogatej. Dziwny to widok, ci rycerze! nie ma ani ładu, ani składu, ani karności w tym ich marszu. Każdy z żołnierzy, prócz fuzyi, niesie jeszcze pikę długą, a krom tego trzyma parasol od słońca i deszczu! a na dobytek każdy dźwiga jeszcze latarnię! (*) A jakież to karabiny, jaki to dopięro tryb strzelania u nich! Jeden żołnierz trzyma rusznicę i niby mierzy, poczem odwraca głowę; potem przystępuje do niego drugi i palący lont przytyka do panewki. Zrozumiesz, iż nie trudno było też Anglikom w ostatniej wojnie dać radę tym biedakom. Zważ jeszcze, że gdy to wojsko ma pomaszerować choćby tylko na jedną milę piechotą, by się

(*) Journal des Débats, miesiąc Lipiec 1853 r.

nie „sfatygowało“, siada na wozy; toż samo czyni konnica; i ona odprawia pochód na wozach, bo jazda konna zbyt męczy kawalerzystów; konie tedy idą luzem, a co więcej, kulbaki i całe ubranie koni także ładuje się na wozy, by się te rumaki nie męczyły zbyt. (*) Gdy tedy 300 żołnierzy puszcza się w pochód, trzeba im z tysiąc ludzi do podwod. Jaka piechota i jazda, taka i artyllerya. W ostatniej wojnie angielskiej działa chińskie pękały wśród bitwy, a tak szkodziły więcej własnym kanonijerom niż nieprzyjaciołom; z 91 armat zdobytych przez Anglików, jedna była tylko do użycia, a ta była roboty europejskiej, i z tej jednej właśnie trwożliwi Chińczycy nie śmieli dać ognia. (**). A przecież oni to wynaleźli proch! — i znali go już wtedy, gdy się jeszcze Europie ani śniło o Szwarcu mnichu!

Przepchało się już około nas to wrzekome, nieboże wojsko, i zwraca się w ulicę główną, kędy zdaleka coś sterczy nad głowami; dwa słupy wkopane w ziemię, połączone u góry dwiema poprzecznymi belkami, z których wierzchnia pokryta dachem wywijanym chińskim; i tu smoki dla ozdoby i dzwonki; a wszystko to pomalowane na czerwono; na belce poprzecznej napis złocisty. Tamtędy ciągnie wojsko. Te belki pionowe i przeczne, z dachem wywijanym, z dzwonekami i z napisem, to brama tryumfalna postawiona na uczczenie jakiemuś mandarynowi za zasługi cywilne lub wojskowe. Jezeli ktoś bardzo i bardzo się odznaczy gieniuszem i poświęceniem się za

(*) Journal des Débats, miesiąc Lipiec 1853 r.

(**) Neumann, Gesch. des englisch-chinesischen Krieges. str. 154.

sprawę publiczną, wtedy budują mu jeszcze wspanialszą bramę, bo zamiast dwóch, wkopują w ziemię rzędem cztery kije; tak tedy brama taka ma aż trzy wchody, które wszystkie malowane na czerwono.

Poznałeś tedy już jeden przykład Architektury monumentalnej Chińczyków.

Radbym ci jeszcze pokazać jaką bożnicę; ona może jeszcze jaśniej nam wyjawia, co się dzieje w głębi duszy tego dawnego a tak osobliwego ludu; nie brakuje ich na przedmieściach i w najbliższej okolicy Kantonu.

Po drodze przypatrz się tym różnym grupom, co tu i ówdzie, już stojąc, już siedząc, bawią się pod cieniem olbrzymich drzew. Tu przysiadło do ziemi grono starców poważnych, brodatych, prawie każdy z nich patrzy przez olbrzymie okulary; zapewne radzą o ważnych sprawach kraju, o rzeczach ciężkiego znaczenia, o tém, co cieszy, lub co boli na sercu. Bynajmniej — jeden z nich emoka się z pagugą, drugi ręką chwyta muchy, trzeci każe chrabąszczom koziołki magać, a kilku chłopców poważnie się przypatruje tym zatrudnieniom ojców swoich. (*) Na ogolonych głowach tych chłopaków widać pełno blizn i ran głębokich — są to ślady miłości ich ojców i dowody przestróg, których nie szczędzili wychowując synów swoich. (**) Nieco dalej stanęło w kółko towarzystwo liczniejsze — słychać krzyki radości — znów się uciszyło; otoż oni zajęci zabawą wielce ulubioną w Chinach. W środku kółka miejsce puste i tutaj, niby na arenie, walczą

(*) *Davis* l. c. T. I. str. 321 i następne.

(**) *W. Heine* l. c. N. 339.

z sobą dwie do kości wychudłe wymorzone kuropatwy; wygłodzono te zwierzątka do ostatka; teraz postawiono je naprzeciw siebie, kładąc między biedne ptaki ziarnko ryżu; więc one o to ziarnko biją się i dziobią i ranią i trzepoczą; arena pokryta mnóstwem wytarganych piórek. (*) Podobnie też zabawą tu powszechnie ukochaną są zapasy dwóch świerszczów; Chińczyki póty je drażnią, póty dokuczają biednym tym żyjątkom, póki oni nie rzucą się na siebie zajadłą walką, która też kończy się utratą członków lub życia jednego z zapasników drobnych. Tuż obok tej grupy stanął strzelec; zapewne to on dostarczył kuropatw owych; teraz trzyma pod pachą dużą czapkę, skrzepował jej boleśnie skrzydła, i, aby się nieszczęśliwy ptak nie mógł mścić dziobem, oslepił go przewłókłszy słomkę przez powieki dolne i przewiązawszy mu ją na głowie. (**)

Jeżeli prawda, com rzekł w jednym z pierwszych listów moich, że łacniej poznasz, czem kto jest i co wart, z tego jak się bawi, niż z tego jak pracuje, tedy wyznasz, że te zabawy Chińczyków, tak okrucieństwa pełne, odsłaniają nam zaiste smętne, nocne wnętrze tego ludu. Mniemam że stowarzyszenia, zawiązujące się teraz po wielu krajach w celu rozszerzenia uczucia litości dla zwierząt, są świetniejszym dowodem uczłowieczenia się Europy i zaiste wyższą dla niej chwałą, niż wszystkie koleje żelazne, banki i maszyny parowe, razem wzięte. Śmiałym powiedziałem, że sposób obchodzenia się ze zwierzętami, okazuje jawnie stosunek człowieka do Boga, do Stwórcy wszelkiego życia.

(*) Heine l. c.

(**) Heine l. c.

Widzieliśmy zabawy Chińczyków, obaczmyż teraz jak się modlą Bogu.

Właśnie niedaleko od tej grupy widać świątnicę, czyli raczej zbiór świątnic to większych, to mniejszych. Całe obejście otoczone murem. Wchodzimy naprzód na podwórze pierwsze; tu rozpoczyna się już droga podwyższona nad ziemię, a wysadzoną płytami granitu. Ta droga biegnie w prostej linii na przetrzał, przez środek całego zakładu; na niej widzisz rząd bożnie w różnem od siebie oddaleniu, a znajdujących się na różnych dziedzińcach kratami od siebie odgradzonych. Na pierwszym owym podwórzu zbudowane dwie świątnice; owa droga ciosowa przechodzi je na wylot, a tak czyni z nich niby rodzaj przysionków. Na drugim dziedzińcu widać inne świątynie, które ta droga z obu stron okrąża, tworząc jakby taras, poczem ciągnie dalej w linii prostej ku następnym dziedzińcom i innym świątynom. Od czasu do czasu, z lewej i z prawej, widać drobniejsze świątnice oddalone od tej głównej drogi, lecz połączone z nią podobnie ścieżką wysoką i również wykładaną granitowemi płytami. Uważ jeszcze że niektóre z tych budynków są podwyższone; do jednych wstępuje się po kilku, do innych po kilkunastu stopniach. Każda z nich ma cztery wchody, bo po jednym na każdej stronie; wyjąwszy ostatnią, która ma tylko jeden wchód. Wszystkie pokryte owym znanym nam dachem chińskim, zadartym, wywijanym; dach spoczywa na słupach to kamiennych, to drewnianych. Słupy połączone są lekkim drewnianem przezroczystem przepierzeniem, najczęściej złożonem z łąt we wzorki strojne, zgrabne. Wszakże te wrzekome ścianki sięgają tylko do połowy wysokości słupów, a tak nie braknie swia-

tła we wnętrzu świątnicy. Dach, słupy i ścianki powleczone w barwy świeże, jaskrawe, świeciste pokostem, często i gęsto błyszczą bogatą pozlota. Wykonanie techniczne wszystkich szczegółów jest prawdziwie wzorowe; znać, że to rzemieślniki wyborne, pracowite.

W pewnym oddaleniu stoją jeszcze na uboczu domki, zapewne mieszkania kapłanów; widać jeszcze małą sadzawkę, studnię, pojedyncze drzewa; a to wszystko umieszczone symetrycznie, skłladnie i ładnie.

Na stopniach jednej z tych świątnic siedzi starzec z miną dobroduszną; jakaś mu błogość na sercu; patrzy przez olbrzymie okulary tak wesoło i spokojnie na świat, że aż miło, a trzyma pod pachą książkę. Słuchaj, on śpiewa, a śpiewa sławne słowa, pełne zachwycenia, mędrca Tin-ki-szi:

O jakim szczęśliwym żem się w Chinach rodził!

O jakżem jest szczęśliwy!

Mam dom, w którym sobie mieszkam!

Mam sobie co jeść, mam co pić!

Mam wszystkie życia wygodki!

Mam i suknie, mam i czapki!

O jakież błogie szczęście stało się udziałem moim! *)

Te wyrazy są najpopularniejsze w Chinach, powtarzane są przez miliony serc, bo są wyrazem ogólnego przekonania. Zbliża się staruszek, spoglądając na nas tak figlarnie przez okulary swoje i wita słówkiem uczciwem „Czing-czing“ co znaczy: dzień dobry. Zagadniony, by nam przecież udzielił jakiś ustęp z onej grubej książki, roztworzył uroczyście i czyta:

(*) *Davis* l. c. I. str. 267.

„Najuczeńsi mężowie są zdania, że stolica rozumu ludzkiego jest w żołądku;“ osobliwa to filozofia tej książki! zwłaszcza iż wiadomo, że inni mędracy chińscy są zdania, jakoby rozum w sercu mieszkał(*). Nasz staruszek ofiaruje herbatę w maluchnych filiżankach; herbata przewyborna, choć bez cukru i śmietanki; potem z wielkim ceremonijałem a po różnych korowodach wykwiłntnej grzeczności, przyjąwszy drobne cygaro chińskie, zaprasza cię do odwiedzenia wnętrza świątnic. (**) Obiecuje wszystkie pokazać krom ostatniej.

W każdej z onych dwóch wstępnych świątnic znajdziesz po cztery bożyszcza; bałwany te są ogromne, bo do 30 stóp wysokości, ohydne brzydaki, zwłaszcza jeden z nich, niby wojak groźny, patrzy się gniewnie na przechodniów, trzymając miecz olbrzymi w ręku.

Następne świątnice są prawie zupełnie między sobą podobne; w każdej bożyszcze sążniste, a obok niego dwa pomniejsze. Któż nie zna tych chińskich bałwanów, które ongi tak często to z porcelany, to z kamienia wyrabiane, spotykano na kominkach w eleganckich salonach zeszłego wieku? lub te figury brzuchate, z miną dobroduszną, jowialną, o długich harcach, jakby mrugające oczkami? Otoż takich bożyszczów tutaj więcej, niż onych straszliwych, groźnych brzydaków. Przed niemi ołtarze dziwnie wystrugane, stoły gotowe do przyjęcia ofiar, które na nich ludzie nabożni składają; w każdej bożnicy kadzielnica ogromna, z niej wznoszą się dymki pachnące. Przy ścia-

(*) *Davis* l. c. I. 322.

(**) *Heine* l. c. N. 312.

nach zasiedli kapłani, czytając, pisząc i pamiętając o podsycaniu dymów wonnych.

Patrz, w jednej z tych bożnic klęczy na kobierczyku kobieta. Twarz bardzo szeroka, a nosek, usta, oczy niezmiernie małe, więc całe oblicze jest jakąś próżnią, jakimś pustkowiem, niby bez wyrazu, czegoś mu brakuje. Jest to typ twarzy chińskiej, który mianowicie jest widocznym u niewiast; bo u mężczyzn broda i wąsy zasłaniają te pustki rozłożyste. Wszysey atoli przyznają, że mimo tego wszystkiego, gdy uśmiech kobiety ożywia jej oblicze, już ono nabiera wiele serdecznego wdzięku. Jeszcze atoli mocniej się zdziwisz, gdy się twarzy tej pani z boku przypatrzysz. Profil dam chińskich jest istic uderzający, bo cała część środkowa twarzy, więc część między brodą a czołem nadzwyczaj w tył cofnięta. (*) Nie jeden z europejskich wędrowców, zachwycony urokiem damy chińskiej, stracił ułudę swoją i przekonanie o jej piękności, gdy twarz jej przypadkowo z profilu obaczył. (**)

Ta pani, klęcząca na pleciance, należy zapewne do zamożniejszej warstwy społeczeństwa chińskiego; znać to po tych nóżkach małych, potwornych, skępowanych jakby w pięść. Wszak to od piątego roku życia zaczyna się ta bolesna operacya; pęty ściskają tę nogę, pęty sznurują stopę, wywijając pod podszewę palce, póki życie nie otrętwieje, póki ta część ciała tak cudnie przez naturę utworzona nie obumrze, zamieniając się na kłęb potworny, martwy, bez życia. (***) Przyznaj,

(*) *Lay* l. c. Rozdz. IV.

(**) *Lay* l. c.

(***) *Lay* l. c.

że Chińczycy mają dziwaczne wyobrażenia o piękności i o wdzięku ludzkiej postaci. Choć, prawdę mówiąc, ani Wenus Medycejska ani Kapitolińska, które przecież są wyrazem najwyższej piękności niewieściej, nie wciśkały się nigdy w te bezlitośne, srogie nowoczesne sznurówki!

Widzisz, ta chińska dama trzyma, w ręku puszkę małą, w niej pełno drobnych patyczków, i póty nią wstrząsa, póki jeden z patyczków nie wypadnie na ziemię. Na patyczku litera, tę zapisuje kapłan na boku stojący. Nakoniec już i siódmy patyczek wyleciał z puszek, więc siedm liter zanotowanych. Teraz chwila stanowcza; kapłan zdejmuje ze ściany sznurek na którym ponawlekane żółte papierki, na których znowu popisane formułki i jakieś wyroki. Wybiera siedm papierków, niby wedle liter owych, i układa z nich wróżbę, niby kabałę po naszemu. Poczém dama bierze kadzidło obwiniete w skrawki papierowe, zapala je i zatyka przed bałwanami; dym rozplywa się wonią po świątnicy. Potém jeszcze pali papierki pozłacane; posrebrzane i na tém już koniec jój nabożeństwa. (*)

Widzisz tedy, że to nabożeństwo nie jest bynajmniej skupieniem się ducha w sobie; człowiek tutaj nie daje jeszcze posłuchania bożym głosom odzywającym się w sercu jego; ta pobożność cała jest jedynie wykonywaniem mechaniczném czczych ceremonijałów, w których duch nie jest obecnym. Tutaj człowiek żyje cały na zewnątrz samego siebie, więc też cackami, materją bezduszną kwituje się z niebem i z własnym duchem swoim, a tak fraszkami świecistemi wiąże doczesność z wiekui-

(*) *Heine* l. c.

stością, niebo i ziemię. Ale-bo też tutaj i to niebo jego jest ladajakie! Duch człowieka nie zwrócił się jeszcze ku sobie, nie utonął jeszcze w świętych tajemnicach własnych głębin swoich. Stąd też jak nie zdoła odróżnić istoty duchowej materji, tak nie zdoła poznać prawdziwego stosunku ducha i materji; więc miesza dziwnym zamętem oba te światy i dziwacznie w jego wyobrażeniach pogmatwały się niebo i ziemia, doczesność i wiekuistość. W téj dzikiéj atoli chaotyczności dwóch światów przeważają moce zmysłowe, materyalne. Czyliż tedy dziwno, iż tam lęgną się pojęcia, któreby zaiste były komiczne, gdyby nie były tak smutne, i byłyby smutne, gdyby nie były znowu tak śmieszne. Wystarczy, jeżeli wiernie opowiem, co się pewnego dnia przytrafiło Ojcu Le Comte, a powtórzę ci dosłownie wyrazy jego.

„Zdarzyło się pewnego razu, powiada on, że mnie wezwano abym ochrzcił chorego Chińczyka. Był to siedmdziesięcioletni starzec. Jakże wielce jestem wam, Ojcze, obowiązany, rzekł chory, żeście przyszli by mnie z katuszy ostatnich wybawić! Ale wytłumaczę się bliżej. Może wam wiadomo, że od dawnych lat żyję na łaskawym chlebie cesarza. Bonze nasi (kapłani), którzy przecież doskonale wiedzą, co się dzieje na tym świecie, zapewniają mnie, że będę musiał odsługiwać się za te łaski za życia doznane, że po śmierci dusza moja wstąpi w ciało konia pocztowego, że tedy będę obowiązany roznosić rozkazy cesarza w dalekie prowincye państwa. Napominają mnie przeto bym, gdy już tym koniem będę, sumiennie dopełniał powinności moich, bym nie wierzgał, nie rżał, nie kąsał, nie furkał! Kłusujcie zwawo, mówią do mnie, zryjcie mało, bądźcie cierpliwi, a łatwo być może, że bogowie z po-

„tulnego zwierzęcia uczynią was jeszcze znakomitą osobą
 „i dostojnym mandarynem! Otóż ta myśl jest dla mnie
 „okropną; drzę cały, dręcę się nocą, męcę się nią
 „we śnie! Zdaje mi się czasem, że już koniem pocztowym,
 „wym, co się wydziera, gdy go postylion biczem zatnie.
 „Jak tylko się obudzę, jestem „jakby w łaźni, i nie
 „wiem, czylim jeszcze człowiekiem, czyli już koniem...
 „Powiadano mi, iż wyznawcy waszej religii nie ulegają
 „takiemu nieszczęściu... Więc proszę was przyjmijcie
 „mnie do waszej wiary. Wiem, że trudno dotrzymać
 „jej przepisów, ale niechajże już i tak będzie, wolę być
 „na tym świecie chrześcijaninem, niż na tamtym świecie
 „koniem pocztowym.“ (*)

Czas jednak, byśmy się od tych uwag i gawęd pu-
 ścili w dalszą przechadzkę; wszak po za świątynią na-
 szą ciągnie się mnóstwo letnich pałacyków bogatych
 mieszkańców Kantonu. A każdy z tych dworów oto-
 czony ogrodem; a w tych właśnie warto przejrzeć się
 po trochu, bo ogrody zaiste wyjawiają nam dokładnie
 stosunek każdego ludu do natury, a tym samym nastrój
 duszy jego pod względem sztuki, bo i fantazyja artysty
 czerpie z natury osnowę swoją. Wstąpiwszy do jednego
 z tych zakładów, zdaje się zrazu, żeś wśród przepy-
 sznego angielskiego parku. Doliny miłące się, o tra-
 wnikach świeżych, wonnych, kwiatami przeszywanych;
 strumienie, potoczki srebrną wstążką bieżące po dolinie;
 a mruczą i wykręcają się kapryśnie po murawie, to
 znów kryją się pod buketami krzewów kwitnących, to
 znów ciskają się ze stromych skał, a te skały dzikie,
 fantastyczne wznoszą się chaotycznym nieładem, a grożą

(*) *Du Halde* l. c. III—I Oddział §. 54.

i straszą, jakby były dziećmi onych gwałtownych wyrótów natury, które przeszły ziemią. Tu znowu stawy o rysunku grymaśnym; w nich rody ryb i roślin wodnych, ciekawe słońca, wyglądają na świat promienny z chłodnego błękitu kryształowych pałaców swoich. Tam gaik śpiewny uwieńczył pagórek łagodny, a wśród cieniów świeci się domek schludny, wesoły a przez strumienie przeskakują od niechcienia mosty sielskie z białej brzozy. Słowem, gdy staniesz wśród ogrodu tego a spojrzysz w koło siebie, poznasz że ogrody, zwane u nas angielskimi, są czystym wynalazkiem chińskim. Że zaś tak istotnie się rzecz ma, toć mi świadectwem powaga najzacniejszych autorów. (*)

Zdawałoby się tedy że w zakładaniu tych ogrodów kierowała myśl szczęśliwa pomagania naturze, więc pojęgowania przyrodzonych jej uroków, więc nie przeszkadzania jej w tej swobodzie, zradzająccej różnaitości bez końca; bo to właśnie ta gra ślepego przypadku tworzy jej wdzięki najwyższe. Przecież ośmielam się powiedzieć, że byleś się tym ogrodom i tym opisom ich bliżej przypatrzył, łatwo w nich dowidzisz, jako i tutaj chiński charakter nie odstąpił siebie. Rzekłbym że naturalność jest tutaj przesadzona, a tém samém przerzuca się w drugą ostaleczność, bo w wymuszoną sztuczność. Prawda, że dolinki w tych ogrodach nie są podobne do siebie, że każda jest inna; ale różnica jest tak wymyślna, tak wyrafinowana, że wyraźnie znać, że łopata i taczki były tą przypadkowością, tą igraszką natury. Skały sterczą niby tak strasznym, chaotycznym nie-

(*) np. Abel Remusat, *Mélanges Asiatiques* I. dalej Grosier, de la Chine Rozdz. VI.

ładem, iż łatwo poznasz, że ten nieład jest przygotowany, że ta chaotyczność jest skutkiem długiego namysłu. Nigdy też w naturze zdroj nie wytryśnie z takich skał i takim trybem, jak to widzisz w tych ogrodach chińskich, ani też żaden strumyk, żaden potok w naturze nie biegnie z takimi grymasami, jak te wody chińskie. Otóż tutaj ta chińska natura jest więcej przypadkowa i naturalna, jak natura sama. Tutaj gospodarzy przestarzała cywilizacya, sztuczność wykwintna, co udaje przyrodę i jej prostotę, pełną naiwności, i dla tego właśnie tak jest wstrętą, tak obrzydliwą.

Zgodzisz się zapewne ze mną, że każdy zrozumie, gdy kobieta zechce niekiedy sztucznymi sposobkami przyjść w pomoc mdłym wdziękom, i byleby w tém nie było przesady, toć już nikt tą chętką się nie zgorszy, bo ona tak jest naturalna, tak wrodzona niewiastom, że jest prawie ich powinnością; a zważ, że tutaj ta sztuczność i upoetyzowanie odnosi się przecież jedynie do ciała, więc do zewnętrznej strony człowieka, do wierzchu jego istoty. Inaczej wcale się dzieje, gdy kobieta, co poznała świat a tajemne serca dzieje, co oddawna przejrzała stosunki ludzkie, udaje w ruchach i w zmysłowych uczuciach niewinność naiwną i naturalność pełną prostoty młodziuchnej dziewczyny. Lecz prawdziwa naiwność a niewinna prostota pochodzi właśnie z uczuć nieświadomych siebie, z braku osądzenia siebie i świata. Sztuczność przeciwnie jest skutkiem jasnej świadomości własnej istoty i zupełnego ocenienia siebie i drugich; gdy tedy sztuczność takowa zamyśla prostotę i naiwność niewinną, już wtedy staje się wręcz przeciwną sobie samą, i dla tego jest tak wstrętą, tak odrażającą. Tutaj nawet zmyślanie nie odnosi się już do zewnętrznej

strony, do powierzchowności ciała, ale raczej do wnętrza, do duszy; tutaj kłamstwo, fałsz gnieździ się w samej myśli. Taka to więc jest, wedle mnie, ta wrzekoma natura tych parków chińskich.

Z tej też przyczyny stokroć miłsze te ogrody Chińczyków, kędy już sztuczność i przymus występuje szczerze i bez maski. W tych ogrodach już drogi brukowane w kafle szklivem błyszczące, strumyki jawną sztucznością ujęte w brzegi wymyślne, a mostki ich złociste, kwiatki sadzone w desenie misterne, nie udają żadnej prostoty. Jest to ten rodzaj ogrodów, które kubek w kubek przypominają te malowania, które u nas spotykasz na wazonach, umbrelach, stolikach, obiciach chińskich. Nie braknie też roślin strzyżonych we formy zwierzęce, widzisz tedy krzewy udające jelenie, konie, orły, czaple; i nie trudno o całe stada tych zwierząt, a do tego wszystkiego, za wzór chińskim ogrodnikom najczęściej służą jakieś ryciny europejskie. Podziwiają cierpliwość wieloletnią, i prawdziwie nadludzką wytrwałość, której trzeba było do stworzenia tych wszystkich dziwaków. Krzew od maleńkiego już był naginany, kępowany, wiązany, nacinany, by nim choć z grubsza przygotować kształt i formę, którą miał przedstawiać. Aż nakoniec po wielu latach dzieło zostało dokonane, przystrzyżone ostatecznie. Robota się kończy na wprawieniu zwierzowi porcelanowych oczu.

Jeszcze dziwniejsze są inne wymysły. Pokazują ci bowiem kilkstopowe skrzyneczki, w nich świat miniaturowy: stoją stare pradziadowe drzewa, niby leśne patriarchy; kora na nich szorstka, zwietrzała, konary potężne, zuchwałe. Wśród drzew sterczą skały pokryte mchem, w koło zioła i trawy. Te drzewa starodawne,

te patryarchy odwiecznej puszczy wznoszą się zaledwie na jedną piędź od ziemi, a stosownego też ogromu są skały, które je otaczają. Słowem, jest to widok, jak gdybyś na świat patrzył przez przewróconą perspektywę teatralną. Sztuka wymyślna, zmuszona, zadając gwałt naturze, poczyniła te potworne dziwadła i zmusiła roślinność do skarłowacenia. (*)

Chińczycy znajdują się też z gruntu na sztuce złudzenia oka co do wielkości przestrzeni. Wstąpił i do małego ogródka a zrazu zdawać się będzie że on jest ogromny, rozłożysty i obszerny. Jeden ze sposobów, których w tym celu używają, jest np. ten, że na przednim tle sadzą drzewa potężne o silnych konarach, o dużym liściu i mocnej barwie, a im dalej, tym też mieszczą drzewa i krzewy mniejsze, o misternych gałęziach i liściach, o barwach bledszych; tak więc tumania widza, co do odległości i obszaru całej przestrzeni.

Tak przeto sklepiłem ci, jak mogłem, na przedce obrazek tego dziwaczного narodu; te zlepki moje mają przecież tę główną zaletę, że się w nich trzymałem świadków naocznych, którzy na miejscu przypatrzyli się objawom duszy tych nieprzeliczonych milionów. Nie trudno nam teraz przyjdzie wywróżyć całe wnętrze ducha tego ludu i stosunek jego do fantazyi artystycznej; a to tem łatwiej że, choć pobieżnie, już widziałeś pojawy tej fantazyi w niektórych sprawach sztuki chińskiej.

Wiesz że fantazyja prawdziwa wypływa z tajnego, świętego źródła wiekuistości ducha. Bóg tchnął w czło-

(*) Heine l. c. N. 338.

Co do sposobu używanego przez Chińczyków, by skarłowaciać drzewa, ob. *Voyage dans l'Intérieur de la Chine par Lord. Macartney T. I. str. 61.*

wieka nieskończoność, a ona przebywa w nim i objawia się przecuciem najwyższej prawdy, cichem prorocstwem o Bogu. Ten pierwiastek tęskni w człowieku do Boga, jako do źródła swojego, a tak staje się poczęciem i gruntem Religii. Jak atoli znowu nieskończoność Boża żyje we wszech światach stworzonych i w nich ma odbicie swoje, tak ten pierwiastek nieskończoności, człowiekowi od Boga wiany, tęskni by się stał także po swojemu twórczym i aby miał w dziele, przez siebie utworzonym, odbicie własnej, wiekuistej istoty jego; ale to dzieło będzie już dziełem piękności, będzie sprawą twórczej, artystycznej fantazyi człowieka. Tak tedy, jak już zkądinąd wiesz, Religia każdego ludu a jego fantazyja artystyczna są w ścisłym związku z sobą. Jak przeto prawdą jest, że każdy człowiek, każdy naród, wedle własnej wartości swojej będzie miał wyobrażenie o Bogu, tak znowu to różne wyobrażenie uzmysłowi się w sztucejemu właściwej.

Chcąc tedy poznać fantazyją artystyczną Chin, pytaj się przedewszystkiem o ich wiarę, o ich religię.

Słusznie powiedziano, że Chiny mają trzy religie a żadnego Boga. Pierwiastek nieskończony, wiekuistości dech, drżenie jeszcze w nocnej duszy tego ludu; on dopiero czeka przebudzenia swojego. W piersiach człowieka głucho, pusto, smętno; więc też on oddany jest zewnętrznym światom i magicznym natury potęgom.

Nie będę ci się tutaj rozszerzał nad religiami chińskimi. Wiesz że na 500 a może i na 600 lat przed erą naszą Lao-tse i Konfucius pracowali by starodawną wskrzesić wiarę, co już od wieków poszła w rozsypanie. Przecież ujeli oni te pradziadowe nauki jałowym rozsądkiem, ujeli głównie tylko ziemską stronę człowieka.

Świat zmysłowy jest tutaj przeważającym światem. Stąd niema ustalonego wyobrażenia o Bogu, tu niema nawet właściwej nazwy dla Boga. Dla jednych Bóg jest przestrzenią gwiazdzistą, dla drugich niebios błękitem, dla innych znowu morzem powietrznem, a znów dla innych osobą cesarza chińskiego, który tu zaiste jest pośrednikiem między niebem i ziemią. Te wyobrażenia dziwnie się między sobą mącą a mieszają. Gorzej jeszcze się stało, gdy Buddaizm z Indyów przedarł się do Chin i wzięwszy na się imię religii „Fo“ wprowadził między lud chiński istny panteizm, czyli co jedno — ateizm, wlewając w te serca głuche i ciemne ową demoniczną naukę, że najwyższą prawdą, ostatecznym początkiem a końcem wszystkiego jest: nicestwo.

Czyliż tedy dziwno, że człowiek głuchy na duszy, nie mając Boga w sercu, niema też wagi a treści we wnętrzu swoim, że żyje cały na zewnątrz, światem skończonym, zmysłowym, że niema nawet przeczucia o swoim wiekuistym, nieskończonym znaczeniu. Słowem, tutaj duch ludzki nie utonął w sobie, nie ujął, nie uznał siebie; więc też nie zna różnicy między własną istotą swoją a istotą natury. Duch człowieka dziwnie się poplątał i pomieszał chaotycznie z mocami przyrody; nie zebrał się w sobie jako w twierdzy, jest na łaskę oddany siłom natury; on im się korzy, w nich żyjąc, im się oddając. Tutaj człowiek niema w sobie treści głębszej, nie wyrobił z siebie indywidualności silnej, różniącej ludzi pojedynczych między sobą i nadającą każdemu z nich tak wyraźne, osobnicze piętno.

Łatwo tedy nam też pojąć można, że człowiek na takowem stanowisku religijnem kwituje się z wiarą swoją bezdusznymi mechanicznymi praktykami; rytuał zewnętrz-

trzny zastępuje rozrzewnienie religijne; kadzidła, palenie papierków złocistych, toć jest ofiara wiążąca go z wiekuistością. Jasna też rzecz, że nie znając, jak rzekłem, ani własnej istoty duchowej, ani jej różnicy rozdzielającej ją od natury, żyjąc poplątany z tą naturą zamętem i niby w jedności z nią, chce panować nad nią sposobami zmysłowemi, — czarami. Stąd tedy lęgnie się ów potworny, straszliwy zabobon tego ludu.

Zrozumiemy też łatwo, że skoro świat tameczny, nadziemski tak mało ma wagi, a człowiek cały żyje żywotem tutecznym, już tém samém najwyższą zasługą Konfuciusa było jego zwrócenie się do życia ziemskiego, praktycznego, i skreślenie nauki, czyli raczej nauk moralności. Wziąwszy te jego księgi moralne do ręki wyznasz chętnie, że w nich dużo uczciwości, dużo zdrowego rozsądku. A przecież trudno znaleźć książkę tak ckliwą, tak nudną, jak ta niby filozofia moralności Konfuciusa. Są to niby praktyczne przestrogi, jakie każdy może zebrać długim życiem i bogatym doświadczeniem; są to ogadane, opatrzone od dawna maxymy, a dla tego głównie tak cklive i nudne, że w nich niema ani głębi filozoficznej, ani też religijnego uświęcenia. Te wszystkie prawidła nie trzymają się siebie, są niby ułomkowe, bo nie mają spólnego ogniska we wnętrzu człowieka. Ta nauka Konfuciusa, jak była li owocem doświadczenia, więc pozbierana w świecie zewnętrznym, tak też nie przejęła sobą głuchego wnętrza człowieka, nie rozgrzała sobą serca, lecz została tylko przepisem zewnątrz niego istniejącym.

Konfucius atoli mimo wysokiój osobistój zacności swojej, i pod względem samej treści i kierunku, zwichnął myśl własnego ludu, bo w niego wmawiał że on cały

jest tylko jedną wielką rodziną, i że tedy jako jedna spólna rodzina urządzać się winien.

Stąd w Chinach wyobrażenie rodziny jest tym silnym a przeważającym pierwiastkiem, przenikającym wszystkie stosunki prywatne i publiczne, jest pulsem wszelkiego żywota.

Tutaj rodzina właściwa jest niby otoczona czcią; najwyższą powinnością są obowiązki familijne; tutaj samo nawet państwo jest uważane za rodzinę.

Każda chińska rodzina składa cześć zmarłym członkom swoim a dziadom dawnym, udając się w pewne dni roku do sali umyślnie w każdym domu ku temu przeznaczonęj, w której są porostawiane figurki wyobrażające nieboszczyków. Przed temi posążkami odbywają się ceremonijały i obrzędy; ale te ceremonijały i obrzędy są czeze i puste. A przecież rodzina tak wielkie ma znaczenie iż każdy Chińczyk uważa sobie za najwyższe nieszczęście wygasnąć bezpotomnie; a gdy cesarz pragnie wynagrodzić zasłużonego człowieka, wtedy nie jemu, ale jednemu z jego ojców zmarłych nadaje tytuły i honory i stopnie. Tak tedy własne zasługi nie czynią nikogo przodkiem sławnym potomków, ale potomkiem sławnych przodków.

Jednak, mimo téj przewagi rodziny w Chinach, nie ma tutaj rodziny prawdziwej, jak jój niema na całym wschodzie. Zdarzają się tam zaiste przykłady rozrzewniającej miłości dzieci ku rodzicom swoim, boć i w Chinach trudno wyprzeć się głosu natury i bożych przykazań, wpisanych od stworzenia światów w serce człowieka. Przecież niema rodziny! despotyzm ojcowski, wielożeństwo, zatém nieuznanie godności niewiast, są powodem, dla którego tu nie istnieje rodzina. Wszak

prawo, służące ojcu wyrzucania na ulicę własnych niemowląt w razie, jeżeli ich wyżywić nie chce, jawnie okazuje, jak tam uczucia są skrecone. Mniejsza o to, że nas zapewniają, jakoby donoszenia o tych okropnościach były przesadzone; dość na tém, że takie prawo istnieje i że bywają wypadki, w których ojcowie używają tego prawa.

Z drugiej strony łatwo zgadnąć, dla czego Konfucius uważa państwo jako rodzinę. Rodzina jest jednością a połączeniem osób powiązanych z sobą krwią; ma tedy podstawę materyalną, zmysłową, choć uduchowioną. Taka jedność, taka idea była tedy sama jedna zrozumiałą dla ludu, który sam jeszcze tak jest zmysłowy, tak materyalny, nieduchowy, jak lud chiński; taki lud nie był jeszcze w stanie pojąć wysokiej, abstrakcyjnej idei państwa. Konfucius uczynił państwo rodziną, a mieszając dwie idee różne spaczył i wyobrażenie o państwie i wyobrażenie o rodzinie. Rodzina, uczyniona państwem, straciła na świętości swojej rodzinnej, pierwotnej, serdecznej. Państwo, uważane za rodzinę, wylęzło się w potwór. Innego jest rodzaju posłuszeństwo i uszanowanie, które się winny ojcu, innego rodzaju posłuszeństwo i uszanowanie, które się należą władzy zwierzchniej i prawu. Pomącenie tych dwóch pojęć wylęzło okropny stan społeczny Chin. Tutaj człowiek, od kolebki do późnej starości uważany za dziecko, wodzony na pasku, nie rozwinał własnych głębi swoich, nie stanął nigdy o własnej sile, skarłowaciał w duszy. Ten brak uczucia siebie stał się brakiem uczucia honoru; stąd kara bambusem dotyka wszystkich bez względu, ona tutaj niema nic strasznego w sobie, krom fizycznego, to jest zewnętrznego cierpienia.

Właśnie jednak brak treści wewnętrznej, więc owo przeważanie się człowieka na zewnątrz, jest powodem że w Chinach niema wewnętrznego przekonania o tém, co poczciwe lub złe; tutaj niema prawdy moralnej, istniejącej samej przez się; tutaj to jest złe, co ustawa pisana zakazuje; to jest dobre, co ona nakazuje lub pozwala. Ale co więcej, właśnie dla tego braku treści duchowej, ustawy moralne Konfuciusa, jako też prawa i przezisy publiczne państwa, nie przenikają wcale wewnętrznego człowieka, są li czémś zewnętrzném, nie znajdującém odgłosu w sercu a przekonaniu człowieka. Jeżeli tedy w państwie zdrowém, w stanie prawidłowym społeczeństwa obyczaj i prawo w ścisłym są z sobą związku, a każdy zaś człowiek poczciwy dopełnia ustaw i praw, bo w tém iści się honor jego i przekonanie, w Chinach ustawy i prawa nie mają sprzymierzeńca we wnętrzu człowieka; każdy stosuje się do tych praw o tyle, o ile jest do tego zmuszonym zewnątrz, o ile tego prawa nie zdoła podejść pozorami prawnymi, więc kazuistyką, więc sposobami zewnętrznymi. Stąd frantowstwo i zła wiara chińczyków są znane w świecie całym, tak w stosunkach prywatnych jak i publicznych. Wszak w ostatnich układach rozbiegła się wieść po Europie, że rząd chiński miał podejść Anglią, i trzeba było odwołania w pismach publicznych, aby sprostować to zdanie; okazało się jednak, że rzetelność układów raczej była skutkiem przezorności angielskich pełnomocników, niż dobrej wiary rządu chińskiego.

Z tój czczości wewnętrznej rodzą się nie tylko one czcze dziecinne zabawy, ale z niej lęgnie się też owo okrucieństwo straszliwe i względem ludzi i względem zwierząt.

Nawzajem atoli grzeczność przepisana, ceremonijały zewnętrzne, formy towarzyskie, właśnie dla tego, że są powierzchowne, bywają tutaj przestrzegane z pedancką ścisłością. A znajdziesz w Chinach grube księgi prawideł grzeczności. W tych księgach wyczytasz najdokładniejsze receptarze zachowania się; tam się zawierają przepisy co np. trzeba powiedzieć przy odwiedzinach, jak nogi stawiać, co powiedzieć wprzód, co potem, jak oczy stulić; dalej, jak listy składać w danych razach; a jest nieskończenie wiele sposobów składania listów, a każdy ma swoje osobne znaczenie; trzeba dłużej, mozolnej nauki, aby się ich nauczyć i pamiętać; tutaj lokaje przyklekują mówiąc nawzajem do siebie, a flisy grzeczniejsze niż gdzieindziej niewydarzone eleganckie dandysy. Istnieje i osobny trybunał czuwający nad zachowaniem przyjętych form. (*) Słowem, cały naród chodzi tu śpięty, jakby sznurówką, dusznym ceremonijałem i formą grzeczności, i tak jest skrepowany w najdrobniejszych czynnościach swoich, że mu niepodobna nigdy odetchnąć całemi piersiami.

Wyznaję chętnie, że tylko barbarzyniec i człowiek źle wychowany cenią sobie lekko formy towarzyskie; jestem nawet zdania, że formy takowe, choć się tyczą tylko zewnętrznego człowieka, mają wielką wagę; one bowiem uczą czuwania nad sobą, tłumienia w sobie niesforniej natury i trzymania na wodzy namiętności. Dobrze wiesz, jak to często w Europie ten lub ów dopuściłby się sprawy szpetnej, plugawej nawet, gdyby się nie obawiał zgrzeszyć formom.

Powyżej widziałeś wprawdzie widowiska sceniczne,

(*) *Du Halde* I. c. II. 119.

w których głównym bohaterem jest księżyc; wiesz atoli zapewne, że przecież znowu nie cała dramaturgia chińska składa się z podobnych fraszek, że owszem jest nie mała liczba sztuk teatralnych zawierających w sobie istotnie wiele zalet. Jednak wyznaję, że wszystkie te piękne szczegóły nie wystarczą, by z tych sztuk uczynić dramat prawdziwy. Jeżeli Chinom, jak widziałeś, rzeczywiście brakuje objawów niższych fantazyi, jakże się spodziewać poezyi dramatycznej, która iście jest najwyższym szczytem sztuki pięknej!

Prawda, że przyrządy zewnętrzne, złudzenia teatralne, dekoracye, maszynerya i t. d. nie są warunkiem wartości dramatu, toć jednak znów pewno, że, w miarę jego wzrostu i rozwoju, i te przydatki wszystkie się udoskonalają i rozwijają. Obaczmyż, co pod tym względem w Chinach spotykamy? W teatrach chińskich sama tylko garderoba jest bogatą i wielce strojną, ale zato przedsiębiorca nie łamie sobie głowy nad tém, co jest złudzeniem sceniczném. Gdy np. jaki generał chiński na scenie wyprawia się z wojskiem w oddaloną prowincyą, tedy podnosi jedną nogę, udając, iż siada na konia, lub, jak u nas pacholę, jeździ na lasce, trzaska z biczem, obiega scenę; inni tymczasem bębnią, trąbią, tupią nogami i wrzeszczą straszliwie; ów generał ciągle na kiju jeżdżąc obiega scenę; nakoniec się zatrzymuje mówiąc: „otoż przybyłem!“ Gdy taki generał dobywa twierdzy, wtedy dwóch lub trzech z jego żołnierzy kładzie się na sobie, udając niby wał forteczny. Kto ma na scenie otworzyć drzwi, istniejące jedynie w myśli jego, czyni ręką stosowne poruszenie i powiada: „otoż i drzwi otwarte“ i t. d. i t. d. Widać, że te chińskie artyści razem z ich publicznością podobne są do naszych chło-

piąt małych, którym linia mieczem, laska dzidą, stołek koniem, szafa fortecą. Prawda też, że takie dziecięce pojmowanie przypomina początkowe teatru europejskie, z których sobie żartuje Shakespeare w „Śnie nocy letniej.“ Jakoż w téj sztuce jeden z aktorów ma wyobrażać ścianę; radzą mu tedy, by popruszył się wapnem lub bryłką gliny; a gdy znów rzecz dzieje się w świetle księżyca, więc jeden z artystów staje się uosobionym księżycem; występuje tedy na scenę z latarnią w rękę.

Mniejsza atoli o te przyrządy, bo cechą jeszcze więcej charakterystyczną, okazującą barbarzyństwo czyli raczej dziecinność chińskiego umysłu, jest ta łatwość, którą sztuka dramatyczna przeradza się w widowisko hałaśne, krzykliwe, w łamane sztuki, w zręczność cielesną, zwinność gimnastyczną, słowem w to wszystko, co mniej do ducha, jak raczej do zmysłu zewnętrznego przemawia. Stąd też zrozumiesz, że Chińczycy mistrzami są w puszczeniu sztucznych ogniów, w rozświecaniu nocy ciemnej milionami przeróżnych latarni.

Widzisz, że to wszystko nie zapowiada bynajmniej głębszego pojmowania sztuki, i rzeczywiście, o ile miałem sposobność poznania poezji dramatycznej Chińczyków w niektórych mistrzowskich tłumaczeniach, śmiałybym powiedzieć, że to są raczej tylko powieści dramatyzowane albo raczej dyalogowane, i to nawet nie bardzo zgrabnie ani szczęśliwie. Pomijam już że dramata zwykle ciągną się przez długie lata, jako np. w onéj sławnej tragedji: „Sierota Chiński;“ rzecz się rozpoczyna przed urodzeniem bohatera sztuki, a kończy się na 20 roku życia jego. Lecz krom tego znajdziesz i inne dziwactwa. Tak np. każda figura, pojawiająca się po raz pierwszy na scenie, zwraca się do widzów i sama się przedstawiając po-

wiada, jak się nazywa, jaki jej sposób myślenia, jakie jej cele, zamiary i t. d., co tém osobliwsze jeżeli figura jest złoczyńcą; tak np. w *Sierocie Chińskim* występuje na scenę Tu-nga-nku mówiąc: ja jestem Tu-ngan-ku i pierwszym ministrem wojny; dalej porównywa się sam do tygrysa, co ciągle myśli nad zgładzeniem człowieka; dalej oświadczając, jaką nienawiścią goreje względem Tszaotun, tłumaczy z bezczelną szczerością, jakich używa podstępów, zdrad i okrucieństw, by zgubić nieprzyjaciela swojego i jakie w téj chwili ma zamysły i t. d. A w dramacie *Hoéi-lan-ki* czyli w „kółku krédą kreśloném“ (*) pani *Ma*, co później truje męża, tak się przedstawia publiczności: „Mężczyźni nieustannie wielbią powaby moje, więc też chęci podobania się przypisać należy rumieńce na licach i barwy koralowe ust moich; ale wystarczyłaby miednica z wodą, by w okamgnieniu zniknęły te piękne kolory... Ja jestem pierwszą żoną Pana „Ma“... udało mi się zawieść ufność mojego małżonka. W sąsiedztwie mieszka pewien pisarz sądowy i t. d....

Prawda, że ten zwyczaj oświadczania się publiczności znajdujemy też niekiedy w greckich dramatach, ale tam zaiste ma inne znaczenie, a nadto ten widz, ten lud grecki inaczéj zupełnie waży w swojej *Historji* ojczystéj, którą mu odgrywają na teatrze, aniżeli te chińskie biedaki w tych dziejach mdłych państwa swojego. A przyznasz zresztą, że jeżeli dzieła dramatyczne są arcydziełem greckim, toć już pewno nie dla tego zwyczaju o którym mówimy, a który jak nie jest zaletą

(*) *Hoéi-lan-ki* ou l'histoire du cercle de Craie, drame en Prose et en Vers traduit du Chinois par Stanislas Julien-Londyn 1833.

teatru greckiego, tak też nie jest główną wadą teatru chińskiego.

Dramatowi zbywa w Chinach na warunku żywotnym. Świat chiński jest światem w sobie zwichniętym; więc też to pathos, to uczucie wszechmocne, tragiczne, porywające człowieka do działania, nie ma prawdy w Chinach; a lubo jest niby prawdą dla Chńńczyków, toć właśnie dla tego, że jest krzywe w sobie, że jest uprzedzeniem dowolnie przyjętém (konwencyonalném), nie może mieć nawet u Chińczyków tój wagi głębokiěj, jaką mają prawdy czerpane z ogólnej natury ludzkiej, nieprzemijającej nigdy. Uważ, że w tragedyi „Sierota Chiński“ rzecz głównie na tém się zasadza, aby ocalić chłopczykę, który sam jeden pozostał z całej wyrzniętėj rodziny. Własna matka, widząc niebezpieczeństwo dziecięcia swojego, rozpacza w prawdzie, ale jěj rozpacz nie jest boleścią przejętego trwogą serca macierzyńskiego, lecz pochodzi jedynie z obawy, by nie zaginął mściciel zamordowanej familii i dziedzic jěj imienia. Tsching-ying lekarz ocala pacholę; on własne dziecię swoje podstawił na miejsce onego malca na śmierć przeznaczonego. Do tego poświęcenia zaś zniewala go przekonanie, że gdy jego własna rodzina jest tylko uboczną gałązką onėj rodziny przeznaczonej na śmierć, więc mu się zdaje że lepiej poświęcić gałązkę, niż konar główny. Wszak i on sam, straciwszy syna swojego, płacze nad nim, ale nie płacze rozdartą duszą ojca, lecz z rozpaczy, że dziedzica mieć nie będzie. Widzisz tedy, że się tutaj wszystko dzieje prawdziwie z chińska.

Przyznaję atoli, że wiele piękności jest w tėj tragedyi, że niektóre sytuacye zręcznie obrachowane, że w niěj wiele uczuć rzewnych. Inaczěj wszelako być nie

może. I Chińczyk jest człowiekiem, i w jego sercu żyje prawda, choć przygłuszona, choć oskorupiała przesądami.

Zwracam uwagę twoją na jeden jeszcze zwyczaj zachowany w tym dramacie, podobnie jak i we wszystkich sztukach teatralnych w Chinach. Rzeczy zwyczajnego, potocznego znaczenia wymawiane są przez aktorów zwykłym sposobem; gdy zaś występuje uczucie mocniejsze, głębsze, wyrażające czyli to boleść, czyli to radość, czyli niepokój lub strach, wtedy osoba dramatyczna przemawia śpiewając. Ta liryczność, wpleciona w dramat, wedle mnie dowodzi instynktu szczęśliwego dramaturgów chińskich i jest rzeczą nierównie właściwszą niż tryb naszej europejskiej opery, w której treść najbłaższa najprozaiczniejsza, równie bywa śpiewaną jak uczucia gwałtowne i myśli wzniosłe. Wróćmy atoli do naszej tragedyi. Żał mi że nie mogę korzystać z przygotowanej dawniej pracy, w której, rozwijając osnowę całej sztuki, umieściłem najważniejsze ustępy; byłbyś więc tem łatwiej przystał na moje zdanie o tej dramaturgii chińskiej. Rzecz o tych Chińczykach jednak już i bez tego urosła mi zbyt pod piórem i zabrała więcej miejsca, niżby się jój słusznie należało. Dodaję przeto tylko jeszcze jedną uwagę. Jak społeczność chińska nie jest gruntem właściwym dla rozwijającej się indywidualności człowieka, tak i w dramacie jój charakterzy nie zdołają się rozwinąć, figurom brakuje wnętrza, one nie mają ani głębi duchowej, ani sumienia; a jak w tej społeczności nikt nie może się ruszać swobodnie i odetchnąć całemi piersiami, tak i na teatrze siatka nitek konwencyi, przesądów, i dziwactw krępuje dusze postaci działających. Stąd tutaj atmosfera tak ciasna, duszna, dławiąca. Nakoniec zważ że uspo-

sobienie umysłu chińskiego nie jest pewnie stanowiskiem, z któregoby przejrzyć można wskrós rządów świata, co niewidome dla oka zmysłowego, zewnętrznego, władają losami ludzi i świata całego.

Z tego, co rzekłem, z łatwością już odgadniesz jaka jest i lira chińska; nie zbywa nam na poematach chińskich tłómaczonych na języki europejskie. Uczucia w nich miękkie, łagodne, sentymentalne; te piosenki bywają słodkie, miłuchne; ale im, równie jak całemu usposobieniu duchowemu tego ludu, brakuje głębi prawdziwej. Śpiewak nie zapuszcza się nigdy nurkiem w topiele duszy swojej. W innych krajach boleści i uciechy, rozlane po wszystkich sercach, zbierają się w piersiach wieszczą, a on za cały lud swój cierpi, śpiewa i kona. Gdy ta pieśń zadrga w głębiach istoty wieszczą, już zatrząsie posadą ducha jego, a wieszcz sam zatrwoży się pieśnią własną; własne dzieło jego uchwyci go lękiem. Bo co uczucia, co radości i żalu w tajniach ukrytych całego kraju, to zrywa się w duszy mistrza, wypada na świat ogniem grzmiącym, niby słupem żarzącym wulkanu i lawą kipiącą. A jak te moce, co wrzą i palą się w podziemnych ciemnicach, i cisną się, zwierają z sobą aż rozsadzają piersi wulkanu; tak wieszcz opłaca często żywotem swoim te kipiące potęgi we własnych piersiach i jemu często boleści serce rozsadzają ogniem, co go trawi; opłaca je żywotem swoim, i jemu niekiedy pękają piersi z cierpienia.

Ale w Chinach lira nie jest tym wulkanem wzniosłym i hardym; to wzgórze łagodne, lube, co umajone w wonne zioła i kwiaty; lud ten spokojny i cichy wije sobie z kwiatów, z ziół, bukiety i wieńce i składa je u

stop kochanki, lub matki; albo stroi niemi podnoże cesarskiego tronu.

Lira chińska, to nie orzeł, co mieszka w samotni na skalnych wysokościach a bije lotem w nadobłoczne niebo; — piosenki chińskie, to stado gołąbków domowych, chowanych, pieszczonych, co czyste, miłe, białe, gruchające szczęściem i miłością.

Poezya cała, a mianowicie lira chińska, nie jest córą natchnionej fantazyi, ale za to jest łamigłówką pełną zagadkowych conceptów; tyle jest w niej sztuczności wymyślnej, tyle niby znaczeń ukrytych, dwójznacznych, że bez osobnego komentarza trudno zrozumieć misterne myśli autora. Jakoż ku temu celowi istnieją nawet dla Chińczyków słowniki poezyi a słowniki ogromne, bo o 100 lub 200 tomach.(*). Gdy właśnie ta poezya nigdy się nie wznosi pod nad gwiazdy i skromnie a rozsądnie chodzi sobie po ziemi, dla tego zdaje mi się, że najwłaściwszym rodzajem dla niej są powieści ze zwyczajnego życia wzięte, których też tutaj nie brak wcale. Te powieści obyczajowe, jakby obrazki holenderskie przez Chińczyków malowane, pokazują nam świat prywatny, codzienny tego dziwnego ludu.

Zamiast cobym się miał rozszerzać komentarzem nad naturą tych powieści, wolę przywieść ci jedną z nich, choć jej treść wielce skrócić mi wypada, co nie zawadzi bo jest dość nudna i czza. Ona niechaj ci będzie typem ogólnym wszystkich podobnych romansów(**). Wszak ona doczekała się w Chinach wydań nader licznych,

(*) Stan. Julien w przedmowie do tragedyi: Hoéi-lan-ki.

(**) Ob. Abel Remusat: Nouveaux mélanges asiatiques, i tólm p. Dr. Kurz tej powieści: Das Rosenblatt St. Gallen. 1836.

co już świadczy jak przypadła do smaku swojej publiczności. Tytuł jej „Liść Kwiatu.“

Żył niegdyś w Chinach młody słuchacz akademii, młodzieniec wielkich nadziei a było mu na imię Lyang. Pan Lyang atoli mimo talentu świetnego, mimo żądy mądrości, trapiiony był tęsknotą niewypowiedzianą, nieukojoném pragnieniem; bo dniem i nocą przemyślał nad tém, jakby sobie znaleźć małżonkę godną siebie. Daremnie „chadzał do ogrodu, by uszczknąć sobie kwiaty, daremnie miluchne ptaszki witały gościa z gałązek lubyh, daremnie kwiaty otulały go wonnym obłokiem“ serce młodzieńca trawiła tęsknota. „Także mało ludzi, woła Lyang, dosięga szczęścia, którego doznają ptaki wodne Juen i Jing, które w umizgach wzajemnych i pieścótach lubyh pływają sobie około brzegów stawu! Jakże piękne jest życie, gdy się kocha wzajemną miłością i z całego serca!“ Nakoniec woła: „oto już ja osmańście wiosen przeżyłem i naprózno żyłem!“(*)

Taki niby początek téj powieści; czynię ci tu uwagę, że niezmiernie często w chińskich romansach mowa jest o kwiatach, księżycu, potoczkach, liliach, woniach i t. d. — Koniec końców szczęśliwe natchnienie poprowadziło pana Lyang do ciotki. Tutaj student rozkochany błąka się i marzy, marzy i błąka się po nocach księżycowych. Aż tu pewnego wieczora, księżyc, co to bywa opiekunem i patronem wszelkich cierpień miłosnych, ukazuje mu ogród sąsiedzki, a w tym ogrodzie altankę, a przed altanką dwie panny, grające z sobą po księżycu w warcaby. Jedna z tych dam była tak precudna, tak prześliczna, iż serce pana Lyang rozebrała niewypowiedzianą roz-

(*) Kurz l. c. str. 5.

koszą „a szczęściem, któremu już żadna ludzka mowa bynajmniej nie wydoła.“

Ale wnet losy zawistne zachmurzyły ona rozkosz i ono szczęście naszego bohatera! Panna Yao-sian, bo tak się zwało owo piękności cudo, przybyła tylko w gościnę w tamte strony. Wróciła tedy wnet do ojca swojego, a ten ojciec był generałem a niegdyś towarzyszem szkolnym ojca pana Lyang.

Po odjeździe lubej panny Yao-sian miłość tak już była posiadała duszę młodego akademika, że już w żaden sposób nie mógł sobie dać rady; więc puszcza się za kochaniem swoim, staje na miejscu; wtedy, biorąc się na sposób, kupuje ogród przytykający do mieszkania generała. Potem z tytułu sąsiedztwa „prezentuje się“ w domu jego.

Zapomniałem ci atoli powiedzieć, że ponieważ panna Yao-sian miała wszystkie najwyższe zalety, więc była i poetką. Otoż złożyła prześliczne wiersze na „wierzbę płaczącą, co smutne gałązki kąpie w źwierciedle wód krystalicznych ogrodowego stawu.“ Dziwnym trafem ten poemacik dostał się w ręce rozmiłowanego studenta, więc też on nie leniąc się czempredziej wystosował piosenkę, pilnie bacząc, aby w niej zachowaną była ta sama miara wiersza, której użyła ulubienica serca jego; bo zachowanie miary znaczy w Chinach, że i serca sobie odpowiadają wzajemnym zapałem. I jakoś tak się rzeczy złożyły, że panna służąca ślicznej Yao-sian była pośrednicą tej gorącej miłości; nie dziw przeto, że kochankowie zeszli się z sobą w ogrodzie; takie schadzki atoli bywają w Chinach, jak słychać, rzeczą arcy-niebezpieczną, i dla tego też bardzo razadko się trafiają. Panna Yao-sian uznała pierwsza niebez pieczeństwo takowe, więc rzekła:

„Spotykamy się pod śliwą i wśród grządek, na których pełno melonów“ (nie tłumaczę ci tej przenośni, znaleźć atoli możesz bliższe znaczenie jój u p. Remusat).

Za powtórném widzeniem się kochanków nastąpiły, jak to bywa, przysięgi i straszliwe zaklęcia. Lyang sam podaje swojej damie rotę spólnej przysięgi, którą ona też słówko po słówku za nim powtarza: „Bodajbym przepadł w piekło na wieki, bodajbym nie wrócił nigdy w koło istnienia, gdybym kiedyś miał złamać te śluby moje! Bodajbyś ty utonęła w nurtach bystrzej rzeki, bodajby cię nie chybił topór, gdybyś miała zgwałcić przysięgi twoje!“

Pan jenerał i pani jenerałowa, przypatrzwszy się bliżej młodemu Lyang, widzą, że to człowiek wcale do rzeczy a wielce przyzwoity, nie sprzeciwiają się tedy bynajmniej skłonnościom córki swojej. I jakoś wszystko ma się ku najlepszemu, gdy one losy zazdrośne znowu cichaczem gotują skądinąd cios okropny, albowiem ojciec kockanka, nic nie wiedząc o sentymentach syna, wybrał mu już inną żonę; — więc zmartwienia, a żale, a kwasy, a zazdrość i fochy.

A jakby nie dość jeszcze biedy, waleczny jenerał otrzymuje rozkaz, by bez zwłóki udał się na granicę państwa i gromił nieprzyjaciół. Wyprawa jego nie była nader świetną; jenerał otoczony został w kółko od nieprzyjaciół srogich, więc odcięty od swoich. Wtedy Lyang śpiesznie zdaje examina najwyższych stopni, a zdał je z wielką chwałą; więc wedle przepisów chińskich miał prawo dowództwa nad wojskiem. Oddano mu też korpus, z którym on rusza na owe granice, by wyswobodzić ojca swojej drogiej pani. Przecież, niestety, i nowy wódz, podobnie jak poprzednik, otoczony został

w kółko od nieprzyjaciół i odcięty od swoich. W stronach jego rozchodzi się nawet wieść, że zginął w krwawej potrzebie; więc w domu płacz i narzekanie. Nieszczęście takowe podaje sposobność pannie Yao-sian wywodzenia najtkliwszych żalów a trenów i wierszem i prozą. Druga zaś narzeczona młodego bohatera z rozpaczy rzuca się w rzekę! Jakimś szczęśliwym trafem atoli zdarzyło się, że nie daleko na łodzi przechadzał się pan Lung Inspektor szkół; ten, widząc tonącą pannę, ratuje nieszczęśliwą. Gdy się to dzieje, jeden z towarzyszków akademickich biednego Lyang otrzymuje dowództwo nad trzecią armią; gwałtownym pochodem staje na owej nieszczęśliwej granicy, uderzył na wrogów i uwolnił starego i młodego generała. Wszyszy więc wracają z tryumfem. Cesarz, wynagradzając ich zasługi i cuda waleczności, nadaje wszystkim tytuł „Pe“ co znaczy tyle, co po naszymu „książe“. Wszyscy też bardzo szczęśliwi; jeden tylko Lyang się trapi, bo ma dwie narzeczone! Jednak wielce mądrze sobie radzi w tej trudnej sprawie, bo, za zezwoleniem nader enotliwej i pięknej Yao-Sian, bierze sobie, obie za żony. A żyli długo i szczęśliwie.

LIST XV.

I n d y e.

Wstęp. — Natura Indyi. — Jej przewaga nad człowiekiem. — Kasty. — Pokutniki i pielgrzymki. — Gminna i artystyczna fantazyja u Indów. — Bagawidgita. — Wnioski wypływające z tej pieśni. — Pojęcia religijne tłómaczą zjawiska zewnętrzne. — Panteizm Indyjski. — Mitologia. — Wypadkiem tego usposobienia jest fantazyja odpowiednia. — Cecha tej fantazyji w rzeźbie, w architekturze, w poezyi i muzyce. — Sakontala.

Każdy lud na dnie serca swojego przechowuje wrodzoną sobie poezyą; z tych głębin najskrytszych jego istoty wypływają mu na jaw i marzenia i żale i poaciechy jego, a póki lud jest sobą samym, póki jest świadom siebie, póty też i ta wewnętrzna poezya nie umiera, a żyje życiem pełném, choć ją głuszą światowe hałasy, choć ją tłumią burze zewnętrzne i wichry straszliwe. Ta poezyą jest owa fantazyja *powszechna* wszędzie rozlana, wszędzie obecna, drgająca po wszystkich sercach, po wszystkich latach i wiekach; — a ta fantazyja, choć każdemu ludowi jest posagiem w świat i otuchą w życie, przecież w każdym ludzie jest inną a inną; ona tak mu własna, jak ma własną krew i uczucie i myśl. Więc

choć powiewy przyniosą pieśni urocze ze stron dalekich, ze stron obcych; choć z krain wiecznej wiosny przyniosą dźwięki cudowne, ale cudze, toć przecież w sercach cicho, spokojnie i chłodno, przecież tętkno w duszy; przywiane zdaleka pieśni a dźwięki ulecą jako woni zbladłej róży, jako liść laurowy oderwany od gałązki rodzinnj. Gdy atoli z własnej kości, z własnej duszy, z własnych borów i gór, i z własnego nieba urodzi się wieszcz, a z najgłębszych piersi zaśpiewa pieśń; wtedy i w sercach wszystkich i w duszy każdej śpiewno, wrząco, uroczyście, świętecznie, i każda dusza, każde serce odezwie się wszechmocnym dźwiękiem i zawtóruje mistrzowi, a tęsknoty i marzenia staną się jawem w pieśni.

Atoli chwile te rzadkie są i drogie w dziejach ludów; najczęściej wloką się ich dni i lata w ckliwj życia prozie; lecz i w tych szarych, powszednich chwilach lud każdy, choć nieświadom tej poezji swojej, byleby był zdrów na sercu i myśli, znajdzie tę poezję swoją, tę fantazję sobie właściwą w swoich dziejach przedświtowych; w niej się dopatrzy rozplłynnych postaci pradziadowych lat; z tych starych wieków dosłyszysz głosów, niby wołania dzwonka z za boru, co wzywa wśród mglistego mroku na nabożeństwo poranne.

Przecież i każdy pojedynczy człowiek ma te bajeczne dzieje żywota swojego; one mu dzwonią wspomnieniem lubem z poranku młodości, z dziecięcych lat; on niemi się pieści i bawi, niemi się chłodzi i krzepi, gdy go znękają i złamią życia trudy; on pieści się, bawi i krzepi, gdy mu te wspomnienia przyniosą i baję, i powieści, co mu tak błyszczą, tak świecą jako złote jabłuszka, jako obrazki świeciste. Wtedy znow cudem

fantazyi zmartwychwstaną mu czasy dawno zapadłe, postaci dawno pomarłe.

Dzieci, zwłaszcza na północy, żyją wśród czarów, uroków i marzeń, póki im anioł nie zamknie bramy do rajskich ogrodów ułudy; a co wspomnień człowiek uniesie z tej życia wiosny, toć już jego własnością a skarbem złoży się do grobu; a choć życie zziębi go i zmrozi, w sercu będzie wiecznie ciepło, wiecznie młodo i tkliwo.

Jedna też wszystkich dzieci na północy historia. Bo gdy zimowe wichry zerwą się wieczorem, gdy wiryem szalonym zatoczą śnieżne zamieci, a goniąc i pędząc przed sobą białe tumany, biją w szyby dźwiękiem żałosnym, jękiem przeraźliwym, albo też latając po polach, kniejach, huczają, szumią, i znów po dachach, strychach, kominach, niby dusze czyscowe kwilą i żalą się, i płaczą i świszczą; wtedy w izbie dzieci, zagrzane igrą i pustotą, zamilkły, tulą się kółkiem do piastunki swojej, a zanim wieczorny zmówią paciorek, chciwe są jeszcze posłuchać gadki czarodziejskiej, co straszy i pieści, grozi i trwoży i bawi. Więc dzieci w naprężonej ciekawości przejęte rozkoszą i lękiem umilkły, cała ich dusza w uchu, a w oczekiwaniu pukają serduszka małe. Ale piastunka stara sama się kłopoci i biedzi, bo się trwoży, że jej może już i gadek nie stanie; a w siwój głowie, w pamięci wyschłej radaby jeszcze odgrzebać przypomnienia dawne. I trapi się i kłopoci piastunka stara! Ale na dworze wśród śnieżnej zamieci, wśród ciemności zimowego wieczora, snują się postaci dziecicze, ledziuchne, powietrzne, jakby ze mgły, a z poświaty brylantowej śniegów utkane; krążą wiryem i lotnym tanem, toczą koła a, koła te coraz bliższe a bliższe, aż

widziadła w okna wejrzą, aż piastunkę i dziatwę obaczą; więc wpadną do domu, i chuchną na czoło piastunki i natchną fantazyą, a staruszki czoło się rozjaśni, a oczy zemdlone znowu zaświecą blaskiem; więc już natchniona prawi dziatkom baje i plotki o królu i królowej, o królownie złotowłosej, o rozkochanym królewiczu, o wrózkach o czarownicy złośliwej, o czarnym kogucie, o onój szczoteczce, co w las urosła, o drzewie grającem, o ptaszku mówiącym, o górze szklanjej. Gdy piastunka baje i gada; już owe grono lekkich dziewczycych postaci obleciało wszystkie domy i chatki, i dzieci i piastunki wszystkie, a zanim świt, już przez Tatry i morza, przez Arabią czarodziejską wróciły duchy do dalekiej ojczyzny swojej, do dalekiej ojczyzny nadgangesowej, kędy grody lodowe Himalajów stanęły odwiecznym Indyom na straży.

Skąd dzieciom ta czarodziejskich bajeczek żądza? Skąd onym pierwotnym ludom Wschodu, tym Arabom, tym Indom, ta miłość do nadprzyrodzonych powieści? — Skąd to podobieństwo gadek arabskich, indyjskich, do powieści, co bają niańki dziatwie po wszystkich krajach? Skąd! — Choć każdy lud, każdy naród ma sobie właściwą fantazyą, jak ma własne serce i własną krew, choć ta fantazyja powszechna jest w każdym ludzie inna a inna; toć znów prawie wszystkie ludy w dziecięctwie swoim, jak wszystka dziatwa drobna, to mają spólnego, że ideę najwyższą zastępują sobie obrazami swojej fantazyi. Duch człowieka przeczuwa instynktem serca, że ten świat materyalny, że ten świat skończonych, dotykalnych, widzialnych rzeczy nie jest jeszcze całą prawdą; instynktem przeczuwa, że zjawiska powszednie, codzienne, są dopiero pierwszym pojawem, zewnętrzną oznaką du-

chowych prawd, co wieczne i nie przemijają nigdy. Gdy jednak duch dziatwy i pierwotnych ludów niezdolen pojąć jeszcze onych prawd wiekuistych, gdy niezdolen rozmówić się z onym duchem, którego dech jest rzeczy stworzonych żywotem, gdy niezdolen ująć wszechjestestw rozumem, więc zamiast wiekuistego ducha, widzi duchy, na miejscu nieskończonej mądrości, fantastyczność cudotworną, zamiast przedświatnych ustaw, rządzących niewidomie człowiekiem i naturą, a prowadzących opatrzenie wszystko do celu, widzi czarnoksiężkie moce; — tak rozum i pojmowanie trzeźwe, głębokie, zastępuje sobie fantazyą, fantazyą powszechną wszędzie rozlaną. Bajeczki i gadki, w których rozmiłowana dziatwa, powieści czarodziejskie, zrodzone z duszy onych ludów, są iście dowodem że duchowi człowieka nie starczy świat powszedni, materyalny, że tęskni, by się wznieść nad koło poziome rzeczy skończonych i marnych.

Jak każdy człowiek pojedynczy w dziecięctwie swoim przebył wiek fantastycznej życia ułudy, jak każdy naród stroi początki swoje fantazyi kwiatami, tak znów ludzkość cała, wszystka Historya Powszechna prześniła, przemarzyła w Indyach ułudny wiek swojego pacholeństwa i poranne dzieje swoje. Życie Indyi jest zaiste życiem marzeń, tu ojcowizna fantastycznych widziadeł; więc też jak dawny świat, tak dawne narody wszystkie i ludy wszystkie tęskniły do Indyi, do młodości swojej; do Indyi one wzdychały przez wieki całe, jako do rajskiej dziedziny, nierozczarowanej jeszcze młodości.

Ta tęsknota powszechna okazuje się nie tylko w powieściach, w tych wszystkich świecistych bajach, złączających wyobrażenia o kraju tym, ale nawet ku tamtej stronie świata mieli się zdobywcy i pogromcy ziemi.

Stamtąd zawiąła ochota na Macedońskiego Alexandra, onego króla o sercu młodzieńczém, szerokiém, o fantazyi poety, by ujrzał brzegi świętego Gangesu; i parła go ochota, aż stanął nad Indusem. Ale tu dech nieznanego świata przeszedł mrowiem żelazne zastępy jego, — i zastępy zatrzymały się nieporuszone. Nadaremnie prosił Alexander i błagał, nadaremnie zamknął się smętny w namiocie, nadaremnie: — trwogi ujęły serca niezwykniętych hufców; — i wrócił młodzieńczy król, z nieukojoném pragnieniem, i zesmutniał, i umarł. Znowu, po wielu wiekach, one rzymskie ludobójcze legiony, którym fantazyja była niby bajką, poezya zaś cackiem, a jedyną prawdą szabla, nie zdołały się oprzeć wołaniu niewidoméj poezyi, która wieje przez świat i ludy, — legiony dotarły tryumfem do Indyi. Ale i na tych pogromców świata padły oczynienia czarodziejskie, i było im dziwnie jakoś i markotno na sercu; załatywały ich wonie obcych światów i głosy niesłyszane nigdy. Znowu ruszyły orły rzymskie ciężkiém skrzydłem do swojskiej północy, kędy znów wróciło im się panowanie nad ludami i uczuciem własném, a historia zapomniała już drogi do Indyi.

A lubo świat zgubił sobie drogę do Indyi, przecież chętnie jeszcze o nich gawędził i bajął, jakby o wieści cudownéj, czarnoksiężkiéj. Średni wieki, co już życiem wewnętrzném toną w głębiach własnego ducha i rade zamykały się w sobie życiem domaszniém, przy ognisku domowém zebrane; te średnie wieki, co same tak fantastyczne i urocze, bajały i płotły o onym kraju, kędy tak dziwne a kosztowne rzeczy rosna, kędy pieprz się rodzi i korale i cynamon, kędy ślimaki żyją perłorodne, a świecą stósy szmaragdów i rubinów, kędy wonią ka-

dzidła i straszą lwy, tygrysy i krokodyle ohydne, a ba-
 jały o kraju, z którego dla mądrego króla Salomona
 przychodziły i słonie i małpy i klejnoty, gdzie się nie-
 wiasty na stosie palą, a mądrość tak odwieczna i głę-
 boka jak te jego czarodziejskie knieje. I spłynęły snem
 same te średnie wieki, i uleciały niepamięcią same te
 zamki i pustelnie, krzyżowcy i piękne damy, trubadury
 i karły, i turnieje i pielgrzymy! Życie poetyczne śre-
 dnich wieków przeszło marzeniem; świat zrozsądniał,
 zprozaiczniał; noc fantastycznych widziadeł stała się
 trzeźwem, jasnym południem, a Indye — Indye zostały
 krajem niestarzejaczej się nigdy fantazyi, krajem cudów
 i czarów. Tutaj wiecznie kipi i pieni się odurzający
 puhar marzeń.

Wszak nawet samo dzieło najtrzeźwiejszego ro-
 zumu i politycznej mądrości urosło na tym gruncie In-
 dyi w ogrom fantastyczny, w dziwo do sennych widzia-
 deł podobne.

Na szarej ulicy starego Londynu, co jest olbrzymią
 głową maluchnej wyspy w Europie, zbiera się dziś od
 czasu do czasu niepozorne grono kupców, niepozornej
 postaci. A jak się zejda, to radza i myślą, liczą i kom-
 binują, a każde ich słówko centnarem złota zaważy. Ci
 ludzie — to władzcy mitologicznego państwa Indyi,
 onego państwa, co się ciągnie wzdłuż przez świat prze-
 strzenia jak Europa od sycylijskiej Messyny do ostatniej
 podbiegunowej, lodowej zatoki Norwegii, a ciągnie się
 wszerz, od tak jak od Lizbony do Smoleńska. W tém
 państwie, jedno sto milionów mieszkańców korzy się
 w zupełnym poddaństwie, a drugie sto lennictwem uni-
 żonem. Te kompanie kupieckie trzymają w posłuszeń-
 stwie królów o kilkunastu milionach poddanych, a star-

szych dynastyą niż rodzina Burbonów; to stowarzyszenie kupców ma na żołdzie swoim liczniejsze wojska niż Francya cała, a coby było dochodem nieostatniego królestwa w Europie, to ci kupcy płacą jako pensyą, jako chleb łaskawy indyjskim książętom, królom i jednemu cesarzowi, wziętym w niewolą. Czyliż to nie są dziwy! Czyliż ta sama prawda prozaiczna nie przybiera się tu w kształty a ogromy fantastycznych marzeń, udając mityczne, bajeczne postacie! (*) — Gdy zaś już sam dech Indyi rozniecił fantazyą płomienną we wszystkich ludach nowych i dawno pomarłych, na które wionęły tchem uroków swoich; gdy na tej ziemi dziwotwornej sama nowoczesna polityka zrodziła potęgę olbrzymią, do marzeń podobną, pomyśl, czém dopiero być tutaj winna sama fantazyja tych rodzinnych ludów, co od lat tysiąców śnią i marzą w tym kraju cudów, jako w przedwiecznej ojczyźnie swojej! — Zaiste, tutaj sama natura jest ową piastuną czarodziejską, co uczyniła ten lud śpiewając mu pieśni rajskiej ułudy, otaczając go cudami stworzenia, jakby sennemi obrazami; tutaj duch człowieka ukołysany mocami przyrody drzémie i marzy; on pod urokiem demonów zmysłowych przez sen prawi, niby dziecię gorączką trawione; to uśmiecha się rozkoszą anioła, to płacze przez sen.

Tak jest, duch indyjskiego ludu nie zdoła się wyzwolić z objęcia natury, która go trzyma czarnoksiężkim urokiem.

(*) Pogląd ten na potęgę kompanii Indyjskiej opiera się na dziele pośła szwedzkiego w Indyach, Björnstierna: Das britische Reich in Ostindien. Przetłómaczone na język niemiecki i wydane r. 1839 dzieło to wielce zajmujące i polecenia godne.

Jeżeli gdziekolwiek, toć zapewne w Indjach przyroda kraju wyjaśni nam fantazyą, która się rozwinęła na łonie jego; jeżeli gdzie, toć zaiste w Indjach natura jest czynnikiem przeważnym w życiu, religii i sztuce ludu.

Chciój tedy ze mną rzucić, choć polotnie, okiem na usposobienie tej indyjskiej przyrody; spójrznie to, choć lekkie, będzie samo przez się już dokonaną połową celu zamierzonego w tym liście moim.

Dwie rzeki ogromne: z Zachodu Indus, ze Wschodu Brahmaputra, zamknęły kraj ramionami swojemi; na Południu wazą się fale Oceanów. Gdy ruszysz ku Północy, rzeźba kraju wznosi się piętrami, buduje się coraz wyżej, a w odległości mil czterdziestu obaczysz już na widnokręgu niby obłok ciemny; im dalej pociągniesz na Północ, tém ten obłok rośnie, wzmacnia się w kształty silne, zuchwałe, rozdziela się na turnie, grody, co potężnym, butnym zarysem odcinają się na błękitach indyjskiego nieba. W końcu to budowanie Boże staje przed wędrowcem w niewypowiedzianej uroczystości majestatu swojego. Jestto Himalaja, — wzrąb nie tylko Indyi, nie tylko Azyi, ale całej ziemskiej kulicy, moc i więźba. Lodowce Himalajów i śniegi promieniają się w słońcu niby srebrne zwierciadła, rozświecając kraj w około, a poświata ich dziwnie zagląda w ciemne pomroki pomarańczowych i palmowych lasów, co odziały równiny, doliny, jakby tajemnicą świętą. — Himalaja! Wszak najwznioślejszy szczyt Alpów, ów Montblanc, mógłby mu być podnożem; boć dwadzieścia rogalów Himalai wyższe są niż Chimborasso amerykański. Tutaj ludzka noga nie zagości, tu życie nie sięga, tutaj wieczna cisza, wieczna niemota jak przed świata stworzeniem; tu jedynie prze-

mawia grzmot piorunny walących się śniegów i gruchojących się lodów. Tutaj straszliwa wspaniałość natury biegunowej i wiekuistych mrozów, w sąsiedztwie zwrotników skwarnych, palących, założyła panowanie swoje. Tutaj też gorejąca fantazyja Bramina zapala się płomieniem na widok Himalajskiej natury i przeradza się w cudną, wzniosłą poezją. Tutaj Bramin widzi swoich bogów i stolicę i tron; zarysy jasne lodów i śniegów są „usmiechem Siwy, wielkiego boga!“ Na tych przyczołach „błyszczących zasiadł tysiácooki Indra, co skały kruszy; „ów bóg błyskawiczny, co, rozsyłając po ziemi pociski „piorunów, pokazuje ludzkemu rodowi łuk swój tęczę „na niebie.“ Tamto po przezczystym nurcie powietrznym „żeglują potężnym szeregiem srebroskrzydłe łabędzie, „posłańce obłoczne wiekuistych bogów.“ W tych pałacach lodowych rodzi się Ganges święty, wypada z pod sklepów kryształowych, ubranych w ciżbę nieskończoną sopli błyszczących. Gdy te tysiáczne sople zagrają w słońcu barwami, gdy wody rzucą się w przepaść, w dyjamenty się rozpryskując, wtedy zadrży podziwem serce człowieka, jako już nigdzie więcej na świecie, a natura majestatem uroczystym myśl jego uwięzi. Rzeka Ganges przybiera się w potęgę i toczy się na południe tak olbrzymim łozem, że w porównaniu z nim i najogromniejsze rzeki Europy maleją w niepozorne potoki. Ganges, równie jak Nil, nabrzmiewa peryodycznie, zalewając jakby morzem kraj; ale zanim jeszcze wody jego z równin do Oceanu spłyną, już na te wody uderzają upały pory gorącej, skwarnej. Tak wilgoć parna a spotęgowane ciepło, razem złączone, wykipiają w roślinność tak potężną, tak bujną, o jakiej my w naszej części świata wyobrażenia nie mamy; więc wegetacya tameczna dźwiga

się, wyteża w kształty gwałtowne, olbrzymie, potworne. Urodzajność téj ziemi, potęga przeważna klimatu, moce materyi, tak tu są silne i wszechwładne, że ta bezdu-szna natura przytłumia ducha, a ciało człowieka, to arcydzieło materyi, bierze górę nad myślą jego; tutaj myślenie jest marzeniem, rozum gorącą, senną fanta-zyą. Nawet mieszkaniec Europy, przybywszy do Indyi czerstwy, rzezki i ochoczy, wnet uczuje się być pod urokiem magicznym téj natury, a życie jego, ukołysane miękkością i pieśczoćtami klimatu, popłynie mu na poły jawem, na poły snem ułudnym, wśród téj przyrody czarnoksiężkiéj, cudownéj, majacznéj. (*)

Przyroda Indyjska jest świeża, potężna, jaką była nazajutrz po stworzeniu świata, i podobna do téj natury dziwnéj, której szczątki znajdujemy skamieniałe we wnę-trzach ziemi naszéj. Tam émią się po wzgórzach i do-linach knieje nieprzebyte indyjskiego dębu (*tectonia grandis*), który niéma już równego sobie na świecie w budownictwie lądowém i okrętowém. Wszak pod Bagdadem dziś jeszcze sterczą jakieś olbrzymie gruzy starego grodu, które już od lat tysiąców rozsypały się w zwaliska, od lad tysiąców pokruszyły się jego ciosy, głazy twarde; lecz pałacowe belki stare, z tego dębu wyciosane, leżą na tych gruzach tak zdrowe, tak nie tknięte przez krzywdzącą moc stuleciów i potęgę tra-wiącą żywiołów, jakby je dopiero wczoraj przywieziono z puszczy. Albo ta palma kokosowa (*cocos nucifera*), tak uroczą i pełną wykwintnego stroju! ona strzeliła pniem prostym, wysmukłym, na 80 stop wysokim, a u szczytu rozłożyła liście ogromne kilkołokciowe w kité

(*) Bitter. l. c.

wzniosłą, wesołą, powiewną. Ta palma jest jakby świętość od ludu czczona, bo ona istnym obrazem opatrznój natury. Indowie naliczyli 99 korzyści błogich, których to drzewo używa człowiekowi: — olbrzymi orzech jest mu pokarmem, sok napojem; we dnie otula go cieniem, w nocy dostarcza pochodni; (*) z niego drzewo na domy, na łódzie i t. d.

Trudnoby nam przyszło wymienić one wszystkie kadzidła kosztowne, lub owoce i korzenie drogie, które tutaj tak bogatym posagiem dostały się téj ziemi. Wspomnę tylko o jedném jeszcze drzewie tak dziwném, że aż nadaje osobne piętno téj stronie świata i działa zarazem tak potężnie na fantazyą tego ludu, że się stało jakby symbolem i godłem jego religii i filozofii. Jest to owa figa indyjska (bananowe drzewo, ficus Indica), która w Sanskrycie *aswata* się zowie. — To drzewo jest tak odrębnej istoty, jakoby do innego pierwotnego należało świata, rzekłbyś, że ono zapamięta pierwszy dzień stworzenia. To drzewo jest obrazem religii Indów, jest jakby panteizmem roślinnym! ciągle się odradzając, ciągle się przeradzając, nie umiera nigdy; z jednego drzewa rozrasta się puszcza niezmierna. Konary wyteżają ramiona swoje, nachylają je ku ziemi, z końców ich gałęzi puszczają się korzonki napowietrzne, niby purpurowe freńzle; te zwieszają się ku ziemi, chwytają ją, w niej rozrastają się korzeniem, z którego wznosi się nowy pień, nowe drzewo, które znów dźwiga się, wzmaga się i buja, i znowu wyteżą gałęzie swoje, by nowe wydać drzewo, i tak dalej a dalej sze-

(*) Porównaj Ritter. *Erkunde* Tom V. i VI, obejmujące „Świat Indyjski,“ oraz Bohlen *das Alte Indien*.

rzy się tajemnicza praca natury; a korzenie tej figi tak ogromnej potęgi, że wbijają się w opoki, rozsadzają skały i rozwalają świątnice we wnętrzach gór wykute. Każde drzewo jest jakby kolumną podpierającą konary poprzedniego, niby filarem dźwigającym zielone, gęste stropy liści. Więc zewsząd roztwierają się jakby sklepiaste kościoły, na tysiącu kolumn sparte, wzniosłe kruzganki; dźwigają się baniaste kopuły, gotyckie budowania, szerzą się pałace bezmierne, rozswieczone zieloną pomroką. Słowem, jestto obraz a symbol onej myśli drżącej na dnie ducha Indyi, onej myśli ciągłego odradzania się, nieskończonego odtwarzania się; jestto uzmysłowienie onej istoty, która jest we wszystkim a przecież jest tylko jedną i tą samą istotą; jest to symbol onej jednej istoty we wszystkich jednostkach, a wszystkich jednostek w jednej istocie. A te rosnące kościoły liściaste, pałace i kopuły zielone, te budowania natury roślinnej są ustrojone, ozdobione, wysadzone wszystkimi dziwami bogatej natury. Od ziemi, od spodu drzew, spinają się przeliczne pnące rośliny, chwytają się gałęzi i po nich się snują, przędą, plotą, wyszywając je jakby robotą krzyżową, cudem swoich kwiatów, co lśnią barw przepychem i odurzają wonią. Cały strop kniei jest jakby namiotem z kobierców misternie haftowanych. Lecz na tym stropie, na tych kobiercach uwija się ciżba nieprzebrana ptaków złotopiórych; tu śpiewa Bulbut, słowik indyjski o „tysiącu pieśni;“ tam kołysze się wśród kwiatów wykrygowany, utrefiony Altinga, co bywa ulubieńcem i godłem kochanków w Indyach; a wszędzie gęsta gawiedz papug malowanych w lśniące barwy jaskrawe; a roje te swawolne swarzą się i prawią i śpiewają i plotą od świtu do mroku. Gdy się zerwie i

uleci ten cały ród próżniaczy, pustacki, toć już doprawdy słońce się zaćmi; a gdy siądą chmarą na polu ryżowém, toć w kilka godzin do źdźbła zrabują, poczem wrzeszcząc i krzycząc z łupem do puszczy wracają.

Tak tedy i ziemia i woda, powietrze, lasy i góry i doliny są pełne silnego życia; tu wszystko się raduje potęgą natury bujnej, swawolnej; tu przyrodzie bezduśnej dobrze, miło i rozkosznie; tu wre i kipi życie w tysiącznych kształtach, a natura zaziera w ducha człowieka, mającąc i oczyniając siły umysłowe. Tutaj siatka magiczna, niewidzialna, związała trzeźwą, jasną myśl i rozsądek zdrowy. Jakoż ta przewaga przyrodzonych mocy nad człowiekiem ma jakby symboliczne wyrażenie w onęj wojnie, którą wydaje natura bezrozumna indyjskiemu ludowi, a zwłaszcza w oném panowaniu dzikiego zwierza nad biednym mieszkańcem tego ogromnego ziemi obszaru.

Pomijam już te tłuszcze śmiertelnego jadu, potwor-nego wymiaru węzów, onych alligatorów straszliwych, krokodyłów ohydnych, zaczajonych, na człowieka po błotach i młakach; jest tu jeszcze inny jego wróg a wróg najsroższy. Jakoż w Indyach ojczyznę swoją ma rodzaj najogromniejszych tygrysów. Jemu to na łaskę zostawiony lud biedny i nagi, co przed nim ucieka z chatką swoją, wieszając ją po urwistych skałach i warując ją, jakby twierdzą, palami. A przecież z pod tej nędznej strzechy tygrys wnosi nieszczęśliwych mieszkańców, jako krwawe łupy swoje, a przecież wioska po wiosce pustoszeje bezludna, stawszy się ofiarą żarłocznego zwierza. Bo tygrys, wysunawszy się ze trzciny, z pośród tłumu ludzi wywleka człowieka; lub rzucając się z drzewa jeźdźca i konia powali, a choć nikt przed

świtem i po zachodzie nie puszcza się knieją, toć przecież rzadko który z biedaków, noszących listy przez puszcze, dochodzi celu swojego.

To władztwo bezduchowej natury nad jestestwem rozumnym tém jest okropniejsze, tém straszliwsze, że we własnym umyśle tego ludu jest jakaś ubliżająca mu pokora przed ślepą potęgą przyrody. Gdy nieszczęśliwemu mieszkańcowi wioski błysnie z gęstwiny krwawe oko tygrysa, wtedy on składając ręce woła: „Momu! — Jam dziecicę twoje, przepuść mi życie,“ bo u nich jest przekonanie, że ta prośba pomoże, gdyż widzą w tygrysie wcieloną duszę jednego ze zmarłych krewnych. Matki po trzcinach składają własne niemowlęta swoje, niby na przebłaganie ducha tygrysa. A zwierz ten powszechnie jest zwany: „panem na czarnej skale.“

Jakoż Indowie mają w wysokiem poważaniu zwierzęta, opiekują się troskliwie najniższem życiem; owady i gady znajdują staranne, troskliwe współczucie.

Atoli to przemaganie mocy materyalnych nad myślą, nad duchem człowieka, nie tylko się wyjawia w klimacie, w żywiołach, w ukształtowaniu kraju i w olbrzymich widokach natury, nie tylko wyraża się wpływem potężnym roślinnego świata i zuchwalstwem okrutnym zwierząt i w onęj czci dla nich; ale występuje jeszcze we formie panowania własnego ciała nad rozumem, a więc istoty zmysłowej, materyalnej człowieka nad potęgą umysłu jego. Przepuść mi opisy obrzydłych rozkołysanych namiętności, owego rozbestwienia chuci zmysłowych, co miotając człowiekiem odbierają mu przytomność siebie, wiedzę własnej istoty swojej, co jest tém smutniejszém zjawiskiem, że człowiek ów szął opętania, owe zapomnienie siebie w rozzwierzęceniu zmy-

słów, uważa być czią bóstwu oddaną. Jakoż poświęcenie się na rozpustę ohydną, bezwstydną, sromotną, ma tutaj znaczenie religijne! — To wszystko pomijamy. Zważ atoli, że ta sama przewaga materji własnej cielesności występuje iuż najsilniej tutaj w kastach indyjskich, bo te, jak ci wiadomo, oparte na rodowém i zmysłowém, cielesném pochodzeniu, gdyż chodzi między ludźmi wieść, że te różne kasty zrodziły się z różnych członków Brahmy, najwyższego boga. Kasty indyjskie przygłuszyły uczucie jedności całego narodu; one nawzajem na siebie nie działając i nie oddziaływając, nie odtwarzając się nawzajem, trwały w odgroźdzeniu od siebie, spróchniały w sobie; tak całość społeczeństwa strupiała, nie doszła nigdy do idei państwa.

Cztery były kasty. Najwyższą jest kasta Braminów — są to bogi wcielone. Kto z innej kasty ujrzy Bramina już pada przed nim na oblicze, wołając: „Tyś jest Bóg!“ ich osoby nienaruszalne; najdrobniejsza krzywda im wyrządzona nie może być nigdy odpuszczona, odpokutowana; bo ktoby Bramina choć ździebełkiem uderzył jest przeklęty na wieki; ale sam Bramin choćby za najcięższą zbrodnię, dotknięty bywa jedynie karą pieniężną. Braminy zdołają naturze rozkazywać i działać cuda. Aby zaś być Braminem nie potrzeba żadnego ukształcenia, bo Bramin jest tém, czém jest, z urodzenia; własne przyczynienie się do znaczenia, nadające wartość osobistą, byłoby przeciwko zasadzie; dla tego też ich obowiązki ograniczają się ceremonijałem czczym, bezdusznym, tudzież baczeniem na przepisy drobnostkowe, puste, bezrozumne (*).

(*) Braminowi *np.* nie wolno patrzeć się na żonę swoją, gdy ona ziewa, je, kicha; ani przelażić przez postronek na

Z drugiej strony rzuć okiem na tę kastę wzgardzonych Puleasów; są to potępienicy zozydzeni: im nie godzi się chaty stawiać; oni zniewoleni żyć pod strzechą ze wszech ztron otwartą na wiatry i zimna, lub chować się po gałęziach drzew albo wandołach, na gotową pastwę dzikiemu zwierzowi. Nie wolno im oddychać tém samém powietrzem, w którém żyją inni ludzie, bo sam widok ich trefni człowieka innéj wyższej kasty; gdy go tedy obaczą zdaleka, krzyczą i wyją przestrzegając o swéj obecności, i nim tamten nadejdzie, chowają się w gęstwinię lub na szczyt drzewa. Gdyby atoli, mimo tego, przypadkiem jakim zeszedł się przekłety Puleas z kimkolwiek z wyższej kasty, wtedy zabijanym bywa jakby zwierz dziki. Gdy głód wypędza ten ród nieszczęśliwy z boru, wtedy z daleka od mieszkań ludzkich stawiają na ziemi koszyczki plecione swéj roboty i odchodzą, czekając, póki jaki wieśniak litośny, zabrawszy koszyk, nie położy na miejsce jego odpowiedniéj wartości zboża, lub innego podarku. Będąc przymuszeni z oddalenia wołać na ludzi, ci biedacy oduczili się mowy ludzkiéj; ich głos podobny jest do ryku zwierząt. Gdy cień Puleasa padnie na wodę, już ona strefiona, i winna być oczyszczona promieniem słonecznym lub księżycowym. Puleas nie jest objęty księgą ustaw karnych; on niéma żadnych praw, a więc obelgi, męki i śmierć jemu zadana nie są wcale wyrządzoną mu krzywdą. A patrzajmy, ten Puleas jeszcze nie jest ostatnim w pogardzie, on nie jest jeszcze najniższą kastą; ten Puleas jeszcze się mieni za szczęśliwszego

którym cielę uwiązane; nie wolno mu chodzić po skorupach, ani pozierać na wschodzące lub zachodzące słońce, i t. p., a jeżeli Bramin na starość uda się na życie samotne w puszczy, wtedy już wysokiego stopnia świętości dostępuje.

od Pariasa; uważ, że w kaście Pariasów znów są trzy stopnie poniżenia, a myśl mrowiem przechodzi, iż w Indyach jest Pariów trzydzieści milionów.

Taki los jest ogromnej ilości ludzi w kraju, w którym, jakby na drwiny ludzkiego rodu, mały uważane bywają za leśnych bogów, i razem z innymi bożyszczami odbierają cześć i hołdy; tutaj zwierzęta najpodlejsze, owady nawet, mrówki, mają szpitale opiekuńcze swoje i domy ochrony. Uważmy nadto, że ci Indyanie w ogólności są narodem miękkim, zniewieściałym i tkliwym!

Obejdzie się już bez dalszych przytoczeń, bo z tego, co tu wspomniałem, już dostatecznie widać tę straszną przewagę materyalnej zmysłowej natury, a mianowicie własnej cielesności człowieka nad duchem, łatwo też już z tego odgadnąć zdołasz, jako tutaj potęgi materyalne miotają umysłem ludzkim; jak ten krzywy stosunek duszy do mocy materyalnych wypacza właśnie jej czynności a przedewszystkiēm skręca fantazyę, która, jak wiesz, z istoty swojej odziewa treść duchową w kształty zmysłowe z natury wzięte.

Lecz dziwna sprzeczność gnieździ się w sercu Indów! obok brzemienia przyrody, co cięży snem okropnym na piersiach ludu tego, znajdziesz ostateczność drugą, bo właśnie najogromniejsze zrzeczenie się cielesności i uczuć zmysłowych, znajdziesz poniewieranie rozkoszy, pogardę dla najsroższych katuszy i boleści fizycznych, spotkasz jakąś żądzę szaloną zadawania sobie cierpień bez miary i mąk niewypowiedzianych. Przywodzę ci tylko na pamięć onych pokutników i pielgrzymów indyjskich. W odłączeniu od świata żyje pokutnik (Yogi); liść suchy i woda jest strawą jego, a odzieniem, jak

się wyraża dawna pieśń, rośliny pnące, które, obrastając mu ciało, i kaleczą go i krępują, a barki i ramiona okrywają gniazda ptaków, a mrówisko przysypuje nogi jego. W inném miejscu siedzi inny pokutnik wśród czterech rozpalonych ognisk, a z góry słońce zwrótnikowe dopieka ciało jego. Ówdzie znów inny wyciągnął ręce nad głową, chwycił się gałęzi, i trzyma je wytężone, póki już na życie całe nie tracą władzy, póki nie zeschną same na suche i martwe patyki. A znów inny pokutnik, tocząc się po ziemi, odprawia pielgrzymki dalekie; inny rzuca się na ziemię wzdłuż, i znowu wstaje, i znowu się rzuca, mierząc długością całego ciała swojego oddalenie do miejsc świętych. Inny nakoniec ścisnął ręce w pięść, aż przez długie lata paznogie przebiły dłoń, przerosły na wylot rękę, i drugą stroną na jaw wyszły.

Jakoż odbywają się jeszcze podobne umartwienia na wielką i straszliwą stopę. W jedném zakątku Indyi — gdzie wśród srogiej, rozdartej, alpejskiej natury, orze się głębiną stromych skał rzeka Narbuda, i tłucze się pieniać i szumiąc po opokach przepaścistego łoża swojego — czernią się w koło do chmur sięgające góry, porośłe ciemnym lasem, gdzie czarny tygrys ma panowanie swoje i gniazdo. W miejscu, gdzie już najgwałtowniej a z chyżością strzały przemyka się Narbuda, wody jej rozszczepiają się w ramiona tworząc wyspę Mandatę. Ta wyspa jest jedném z mnogich cudownych miejsc Indyi. Z dalekich kończyn kraju puszcza się pielgrzymką lud, by oddać cześć Bożkowi Machadeo (Siwie), który tutaj czczony bywa wymawianiem bez końca zgłoski Om! Om! Na tej wyspie jest mieścina Omkar Mandata i bożnica niewielka, lecz pełno około niej wrzkomych cudów,

skręcających mózg fanatycznym tłumom. Tam to rośnie drzewo Kuri, pod którego białą korą znaleziono litery sanskrytu, znaczące Ram! Ram! imię jednego z bożyszczy; tam są jaskinie odpowiadające setnym echem a głosem ogromnym na ciche zapytania, a widok już bożnicy cudem działa na pielgrzymów, bo uzdrawia kalectwa i choroby mnogie. Braminowie, służący świątnicy, bogate korzyści ciągnąc z wiary powszechnej, podniecają jej ufność bezmyślną i radzi są ze skręcenia rozumu łatwowiernej tłuszczy. Więc też jedni z pielgrzymów każą się na cześć miejsca żywcem w ziemię grzebać, inni zaś jeszcze okropniejszą sobie gotują śmierć. Jakoż powyżej świątnicy wznosi się ogromne urwisko skały nazwane *ofiarną opoką*; ona sterczy pionowo nad zawrotną przepaścią; z niej szaleńcy rzucają się w otchłań, by się nieba dośłużyć. W połowie tej przepaści czerwoną barwą naznaczona skała wskazuje im kierunek skoku; spadając w głąb' odbierają z boku pierwsze uderzenie, a tak następnie odbijając się od skały, przepadają w głębi 150 stóp i już z kością zgruchotaną dolatują dna. Chodzi atoli stara wieść między ludem, iż ktoby tu z żywotem uszedł, zostanie Rajazem, czyli księciem wyspy; więc Braminowie tameczni, jak słyhać, trują każdego przed śmiertelnym jego rzuceniem się w otchłań. Widzisz, że ci fanatycy, poświęcając się śmierci straszliwej, nie mają nawet pocieszającej pewności, że skonem okropnym zjedną sobie łaski Bóstwa(*).

(*) Jakoż, kto się wpatrzył w karykaturę ohydną. w jaką się myśl człowieka w Indyach wykrzywić może, temu zaiste, jakby mara, utkwilo w duszy imie Gangotri. W sąsiedztwie źródeł gangesowych, pod samem gniazdem wiecznej zimy i na

Przypominam ci tylko jeszcze one okropności w Jagarnat, zapewne tobie skądinąd znane, a przywodzę je z przyczyny, że w nich właśnie połączone są dwie ostateczności; bo tu spotykają się nawzajem rozzwierzenie chuci zmysłowej obok najokropniejszego zrzeczenia się siebie i dobrowolnego skonu.

wysokościach odsadzonych od ludzi, znajdźmy Gangotri, jedno z miejsc będących celem gorącego pragnienia pielgrzymów indyjskich. A droga do miejsca tego już sama przez się jest pokutą, ciemnięciem ciała i zrzuceniem z siebie zmysłowej natury. W to miejsce grobowej samotności ciągną oni kilkomiesięczną drogą. A trudno już rozwodzić się nad okropnością tej ich podróży i strachami, które im towarzyszą. Natura w srogiej dzikości spiętrzyła tutaj góry powyżej chmur: to strzeliła w iglice skalne, to rozwarła otchłania bezdenne. Tu olbrzymie okrucy gór, waląc się ze szczytów, podcinają niby ździebła starowieczne drzewa, z grzotem przelatują bory i, gruchocąc wszelką zaporę, wycinają sobie przez puszcze drogę, a część jej sprowadzają w głębie. W inném miejscu znów drabiny, uczepione nad kilka tysięcy stóp głęboką otchłanią, albo w obłokach zawieszono kładki wązkie, gibkie i kołyszące się, umyślnie pochyło położone, na kilkadziesiąt łokci długie, prowadzą od skały do skały po nad przepaści, których dna nie dojrzyysz; wymagają one zwinności i wprawy skoczków, by żywcem je przebyć. Skały i góry granitowe tutaj przybrały kształty fantastyczne, olbrzymie, to wież i niby grodów jakich, to znów straszdeł i upiorów stworzonych w wyobraźni gorączką rozpalonej, wszędzie znać, iż trzęsienia ziemi lub pioruny potargały te skały i utworzyły te wymyślne postaci i kształty.

Fantastyczniej atoli jeszcze, niż ta natura bezduszna, wyrodziła się tutaj myśl człowieka: i ona jest straszdełem dzikiem i ohydnym upiorem; bo mnogie tłumy wędrowców pędzi tą drogą fanatyzm religijny i zawrót rozumu, do tej świątnicy, głośniejszy na kraj cały. Więc w Gangotri kąpią się w lodowatej wodzie gangesowej, by splókać dawne winy życia; więc gromadnie rzucają się w znak na skalistych pobrzeżach wody, uto-

Szerzy się równina na mil kilkanaście pusta, głucha, piaszczysta; zewsząd bielą się kości obłąkanych ofiar, a piasek skwarny przesiąkły ich krwią. Rozpoczęła się uroczystość: wytaczają wóz ogromny, olbrzymi; tysiące mężczyzn i kobiet ciągną go, na nim bożyszczce ohydne, poczwara z twarzą wykręconą, z gębą rozwartą, krwawą;

pieni w sobie, oderwawszy myśl od wszystkiego co jest, aż im się zmysły zleją w chaotyczne nicestwo; świat w koło nich i niebo nad nimi mąci się wirem i kręci. Inni siedzą pogrążeni w sobie nad wodą, lepiąc kulki ze świętej gliny, i rzucają je po jednej w nurty, niby ofiarne dary po zmarłych. Tamci znów przybyli zdaleka, by się tutaj głodem umorzyć: z wysuszonem ciałem, okiem w słup wywróconem, podobni do mary grobowej, mrozem i głodem skrzepli rozdmuchują popioły zgasłego ogniska, by się ocieplić w czasie skonu. Gdy zajrzą w gęstwinę kniei, otaczającą tę scenę w koło, z pomiędzy obłony ciemnej sosien brodatych wymykają się, niby cienie zmarłych, postacie pokutników: oni nadzy, twarz ich sina, włosy rozczochrane sterczącym kołtunem, oczy krwią zabiegłe, ciało wyschłe, cienkiem przepasane powrośtem i zwalane popiołem i błotem; chodzą krokiem wymierzonym, i niby widziadła przemykają się i znikają w leśnej ciemnicy. Przecież nie tu koniec tego piekła za życia. Od miejsca tego idzie jeszcze pielgrzymka, drogą czterech dni, w naturę wiecznie świeżych śniegów i mrozów biegunowych. Idą tłumami szaleńcy biedni, ale mało kto stamtąd wraca w koło żyjących; ze szczupłym wyjątkiem, na pół drogi umierają z głodu i zimna, a usiadłszy pod skałą konają z rozpacz, że Machadeo (Siwa) nie dozwolił im dojść celu, iż zatem ofiarę ich życia odepchnął i wzgardził; umierają w osłupieniu wśród urągowiska i przekleństwa przechodzących; lecz choćby i doszli do miejsca samego, jeszcze nie są pewni, czyli ofiara ich łaskawie przyjętą będzie. Celem ich drogi bowiem, wśród tej mroźnej natury, jest skała sięgająca obłoków; poniżej jej ciągnie się druga poprzecznie z ostrym jak nóż grzbietem, i na tę ze szczytu się rzucają. Kto w łaskach Siwy, temu ona skała przetnie ciało na dwie równe połowy;

ręce jego ze szczerego złota, z drogich kamieni oczy-
 błyszczące. Toczy się wóz; teraz ugrzązł w piaskach —
 w tej chwili arcykapłan rozpoczyna pieśń, pieśń tak
 pełną bezwstydu i rozzwierżonej chuci, że już żadne
 pióro europejskie nie zechce się zbeczcześcić powtarzając
 jej treść; za każdą strofą tłumy odpowiadają chórem.
 Wóz się poruszył, toczy się, znów się zatrzymał; wtedy
 lada kto z ludu, (za bytności Anglika Buchanana, chło-
 piec dwunastoletni) rozpoczyna jakieś krzyki, jakieś
 mowy, a sili się na wyrazy najbezpieczniejsze, które tém
 były ohydniejsze, że podrostek ten mówił w tak gorą-
 cym zapale, z tak głębokim przekonaniem, i towarzy-
 szył wyrazom sprosnemi, szkaradnemi gestami, a tłu-
 szcza rozjuszona wtórowała głośnym wrzaskiem. Prze-
 cież wóz ruszył. Wtedy wrywa się z ciżby w szale
 fanatyk, ciska się pod koła; koła gruchocą mu kości,
 posoka czerwieni koleje wyciśnione w piasku; niezdługo
 ofiaruje się drugi obłąkaniec, i znów trzeci i t. d.

W obejściu tej świątnicy mieszkają tanecznice, ba-
 jalery — jako kapłanki bożyszcz!

Na te obchody w Jagarnat zbiera się niekiedy prze-

kto się rzucił mniej szczęśliwie, ten na wieki przeklęty; przeto
 w chwili ostatniej, po niewymównych cierpieniach i katuszach,
 w chwili najstraszliwszego poświęcenia, jeszcze nie ma pewno-
 ści, czyli ofiara jego na korzyść mu pójdzie. A biada temu,
 kto, ujrawszy przed sobą głębię, uderzony lękiem, cofnie się
 i wraca; tego pastuchy górskie kamieniami zabijają, boć jest
 ohydny krzywowercą i pastwą przyszlą piekła, a niesie z sobą
 klęski i nieszczęścia bez końca. Braminy, co sami nie wierzą
 w to, co w drugich wpajają, tuczają się darami i krwią obłąka-
 nych. Patrząc się na nich, iście uwierzyłbyś, iż to szatańskie
 posłanniki, zastępujący wiekuistego wroga istoty ludzkiej na
 ziemi.

szło milion ludu. Tak tutaj występuje w dwóch ohydnych ostatecznościach: oddanie się szalom zmysłowym, a zarazem zrzeczenie się życia i poświęcenie się ofiarne.

Ale to zrzeczenie się siebie wyjawia się w Indyanach jeszcze innym kształtem, bo stłumieniem, zabiciem całej wewnętrznej treści duszy, swoich myśli, wyobrażeń, uczuć, pamięci, wiedzy siebie. Jakoż pokutnik ^{sia-} da w samotném odłączeniu od świata powtarzając bez końca słówko Om! Om! powtarza je tysiąc razy, milion razy, aż odurzeje w sobie, zapominając o wszelkiej treści duszy swojej, o świecie, o niebie, o ziemi, o sobie, o tém co było, jest i będzie; w duszy pusto, głucho. ciemno; nicstwo otoczyło pokutnika w koło, wewnątrz nicstwo, duch próżnią przepaścistą, bezdenną; a jest wiara, że kto tego dokaże, ten zostaje najwyższą doskonałością, staje się Brahmą, bóstwem wiekuistém.

Jednak dość już tych okropności. Com dotychczas rzekł, stanie nam za wróżbę ogólną o charakterze fantazyi Indów. W téj fantazyi znać o sobie daje potęga wszechwładna natury, co ogromem majestatu pełnym, co siłą bujną, wrzącą, gwałtowną obstała człowieka do koła i magiczną mocą uczynia duszę jego. W téj fantazyi występują te ostateczności, co rzucają człowiekiem; bo on albo się oddaje na oślep rozhukanym namiętnościom zmysłowym i hołduje zapamiętałe materyjalnej naturze. albo téż znowu samowolnie niweczy siebie, ofiarując się na okrutne cielesne katusze i skon pełen męki, albo nakoniec tonie w czczości i zapomnieniu siebie. Łatwo zrozumiesz, jak w tych zjawiskach dziwnych człowiekiem pomiata rozigrana własna fantazyja jego, ta fantazyja powszechna indyjskiego ludu! I łatwo zgadnąć, jak znowu te same pierwiastki występują w jego fantazyi artysty-

cznej, w jego sztuce, więc w architekturze, rzeźbie, a już najwyraźniej w jego poezyi. Ułomek z téj poezyi będzie tedy wprost komentarzem téj fantazyi, co gore i pali w duszy tego ludu.

Obok świętych ksiąg Wedas mają Indowie dwie pieśni bohaterkie ogromnej długości: Ramajana i Mahabharata; one powstały na lat tysiąc przed narodzeniem Chrystusa. W Mahabharacie jest wstęp zwany Bagawadgita (śpiew Boski), a wstęp w obszerności odpowiedni olbrzymim rozmiarom całej téj epopei, bo sam się składa z osmnastu długich pieśni. Gdy się zjawił w przekładzie stał się podziwem Europy; rozbierali go uczeni Anglii, Francji i Niemiec. Bagawadgita była uznaną za podanie przechowane od trzech tysięcy lat; ona jest zaprawdę najcudniejszym kwiatem, co się rozwinął jeszcze w szarym brzasku Historji świata; treść jej odurzająca a forma majestatu pełna. Ten to ustęp wybrałem, a kładę go tutaj w drobnych wprowadzie ułomkach, które atoli oswoją nas i z naturą fantazyi poetyczną Indów, i zarazem wyjawią zasady, które się stały podstawą wszystkich systematów religijnych i filozoficznych, które żyją nieskończoną mnogością w Indjach (*).

Osnowa Gity jest następująca: Bóstwo Wisznu zchodzi od czasu do czasu z nieba, przybierając kształty człowieka. Jednym a prawie najważniejszym jego wcieleniem jest pojawienie się jako Kryszna, i w téj postaci widzimy go w Bagawadgicie. Drugą figurą jest bohater

(*) Stuhr. Die Chinesische Reichsreligion und die Systeme der Indischen Philosophie.

Porówn. rozprawę: Ueber die unter dem Namen Bhagawadgita bekannte Episode des Maha-Bharata von Wilhelm von Humboldt.

i wojownik Arszuna, najukochańszy uczeń i wybraniec jego. Sceną zaś Gity jest owa ogromna równina w okolicy, gdzie dziś Delhi; na niej czernią się dwa nieprzyjacielskie wojska, by olbrzymią bitwą rozstrzygnąć wojny domowe, a chodzi o panowanie nad obszarem, co się rozkłada między śnieżnymi twierdzami Himalaja i południową kończyną Indyi, co się szerzy od Perskiego morza do Chin. Wojska gotowe do boju, czekają tylko hasła by uderzyć na siebie. Otóż początek Gity, otóż słowa pieśni naszej:

„Wtedy wódz zawołał głosem ogromnym, niby rykiem lwa, całemi piersi zadął w muszlową trąbę, by „wzniecić odwagę w szykach Kuruów, a ze wszech stron „odezwała się mnogość muszli nieprzeliczona i wojennych trąb, a huk ich grzmiący zalatywał w nieprzejrzaną dal. Okazał się teraz, stojąc na wozie bojowym „a pełnym przepychu, Arszuna. Śnieżnymi kołmi powoził Krysna, a oba zagrzmieni w muszle niebiańskiego „kształtu; wnet wszystkie wodze a zaciejsze wojownicy „ozwały się muszlowemi trąby: jęk ich przeraźliwy przeliknął wskrós serca Kuruów, a Ziemia i Niebo zwiącały go piorunnym odgłosem.

„Gdy Arszuna obaczył wojsko pragnące krwawego „boju, i gdy już gromadne strzały świstały w powietrzu, wtedy wziął łuk swój i temi słowy mówił do „Kryszny: — „Zaklinam cię, o Kryszno! niechaj wó „zatoczy nas między oba wojska, bym poznał mężów „z którymi mi dziś walczyć przychodzi.“ — Kryszna „zagnał wóz na środek rozlegający się przestrzenią między obu wojskami. Arszuna długo w milczeniu przy „patrywał się szykom, i widział ze wszech stron „dów i stryjów, braci i wnuków, synów i nauczycieli.

„najbliższych pokrewnych i przyjaciół swoich; wtedy
 „żałość zabiegła mu duszę, uczucia zadrżały w nim
 „boleć, a serce jego pękło temi słowy: — „O! Kryszno,
 „drzają członki moje, ścina się serce, powstają włosy
 „cała istota moja wzdryga się lękiem; z rąk wy-
 „pada Gandeko łuk mój, skóra na ciele kurczy się i
 „schnie; ja się łamię w sobie na dwoje, stać już nie
 „zdołam, męty zachodzą rozum mój, a ze wszech stron
 „napadają mię przecucia smutku pełne. Jakież będę
 „miał prawo do szczęśliwego życia, gdy zniweczę po-
 „krewnych moich? O! Kryszno, już nie żądam zwy-
 „cięstwa, ani pragnę panowania, ani radości; bo
 „czémże jest radość żywota, czémże jest żywot sam,
 „czém władza, jeżeli ci, dla których właśnie życzymy
 „sobie panowania, i szczęścia i radości, stoją naprze-
 „ciw sobie do krwawych mordów gotowi?

„Nie — raczój ścierpię, by na mnie uderzyły one sze-
 „regi mordercze, niechaj umrę, bronić się nie będę!“
 „Usiadł Arsuna wśród obu wrogich szeregów, złożył
 „łuk i strzały, a jego serce jęknęło pod brzemieniem żalu.
 „Kryszna uśmiechnął się i przemówił do zatopio-
 „nego w duchu temi słowy: — „Mędrzec nie smuci się
 „nigdy ani żyjącymi ani umarłymi! Ja byłem od wie-
 „ków, i ty sam byłeś od wieków, wszyscy od wieków
 „jesteśmy. Te ciała, co sobą obtulają dusze, są prze-
 „mijające i skończone. Jak człek zrzuca z siebie da-
 „wne szaty, przywdziewając nowe, tak i dusza porzuca
 „jedno ciało, niby przyodziewę swoją, a bierze na się
 „inną nową, jakby przywłokę nową; dusza jest wie-

„„kuistą, nieprzemienią, choć w przemiennej i zniko-
 „„mój formie.

„„Więc śmiało rzucaj się w boje, wszak wojownikiem
 „„(Kszatrya) jesteś! Gdy się w męztwie zachwiejesz,
 „„przywali cię hańba — za jedno niechaj ci będzie zysk
 „„i strata, życie i śmierć. Ten tylko w sobie prze-
 „„chowuje mądrość prawdziwą, kto przybytek istoty
 „„swojej zamknie żądzom, i w sobie samym umieści
 „„szczęście swoje; temu i okropność żadna nie przy-
 „„śpieszy serca bicia, i nie zazna niepokoju ani lęku.
 „„Wszak ja, wszak ty, wielokroć razy rodziliśmy się
 „„na świat: ty nieznasz zrodzeń twoich, ale ja znam
 „„zrodzenia moje! Choć nie umieram nigdy i panem
 „„wszech stworzeń jestem, przecież, władając moją wła-
 „„snością istotą, przybieram z własnej mej potęgi postać
 „„widomą i w niej pojawiając się światu na zbawienie
 „„sprawiedliwych i na zniweczenie złośliwych, od wie-
 „„ku do wieku.... Komu dusza cała utonąła w Bra-

„„mie, temu zagoreją radości niezamglone nigdy.....
 „„Kto równem okiem patrzy na rzeczy wszystkie,
 „„a we wszystkiem mię ogląda, tego ja nie opuszczę,
 „„a ten mię nie opuści nigdy! Kto w jedność Bóstwa
 „„wierzy i mnie się modli, mnie wszechbytnemu, ten...
 „„o! Arszuno jest doskonałym Yogi. Jak świecy płomień
 „„w bezwietrznej izbie gore w pokoju, tak gore dusza
 „„mędrca niezająca namiętności burzy! Niechaj nur-
 „„kiem w sobie utopi się człowiek, i w niwecz puści
 „„każdą serca osnowę, którą zdradza osobista chęć, nie-
 „„chaj słumi zmysłów i duszy swojej treść i nie myśli
 „„o czemkolwiek bądź! Ja jestem świata poczęciem, ja
 „„jestem świata zniszczeniem! Niema potężniejszego

„krom mię, a wszystkie jestestwa przezemnie trzymane
 „są niby rząd pereł na nici swój. Ja jestem wilgocią
 „wody, w słońcu i księżycu światłem, wezwaniem po-
 „bożnym w księgach Wedas, istotą człowieczą w czło-
 „wieku, gorliwością w gorliwym, żywotem żyjących; ja
 „jestem nasieniem wszech rzeczy, mądrością mądrego,
 „a chwałą i potęgą potężnego; ja nieznam żądy, nie-
 „znam gniewu! Świat bywa zniszczony po trwaniu swo-
 „jém, a gdy przychodzi na niego dzień, świat się znów
 „odradza: ale co przy zniweczeniu i wywrótach świa-
 „ta się ostoi, to innój jest natury, jak rzeczy widzial-
 „ne; to jest wieczne, a w tej wieczności ja mieszkam,
 „i ta wieczność najwyższa staje się dzielnicą tych,
 „którzy się korzą Bóstwu!““

Patrząc się na te myśli świetne, na wyrażenia peł-
 ne powagi, rzekłbyś zrazu, że to perły, gorejące rubiny
 i przepyszne szmaragdy, osadzone w złocie korony wscho-
 dniej. Przecież obaczymy do jakiej treści mądrość tu
 zamkniętą sprowadzić nam wypadnie.

Ten ułomek, choć tak drobny i biedny, wystarczy
 nam przecież może, by z niego wysnuć dostatecznie całe
 usposobienie indyjskiej fantazyi.

Kryszna żąda aby człowiek spłynął z bóstwem
 w jedność zupełną. Tego dosięga gdy wyrzuci z siebie
 wszelką treść duszy, gdy ogłuchnie w sobie, gdy myśl
 swoją puści w niwecz; człowiek winien nie być więcej
 sobą samym, stracić właściwe cechy swoje, właściwe
 znamiona różniące go od innych jestestw, powinien ła-
 mać się z sobą, by się stał tylko samą pustą jedno-
 stką, która niczém więcej nie jest, tylko czczém, gołym
 istnieniem. Słowem Kryszna żąda, aby człowiek zamie-
 nił się na puste abstrakcyjne istnienie, a wtedy dopiero

spłynie z Bóstwem w jedności. Przecież właśnie z tego już wynika, że bóstwo takowe samo jest także tylko owym głuchem istnieniem; bo istnieniem bez żadnych znamion i cech.

Jakoż i Kryszna sam o sobie powiada, że jest wilgocią wody, że jest żywotem, że jest słońcem, człowiekiem i mądrością — słowem, że jest wszelką istotą, że jest każdą rzeczą, a zatem że znamiona, cechy właściwe tym różnym istotom, a różniące je między sobą, nie mają żadnego znaczenia, są obojętne; więc Kryszna jest w sprzeczności sam z sobą, gdy mówi o chwale, o hańbie, o złém i dobrém. Jeżeli zaś żadne cechy, żadne różnice nie mają znaczenia, więc widać, że to jest jedynie prawdą we wszech jestestwach, co im wszystkim jest spólném, co jest tłem wszelkiej bytności. Odgarnij wszystkie cechy, znamiona, własności od jestestw różnych, cóż ci pozostanie? Czcze, gołe istnienie. Zaiste, głuche, puste istnienie będzie ich spólném tłem; to przeto istnienie jest bóstwem Indyan; jest u nich ogólnym świata duchem, jest świata poczęciem, jest świata zniszczeniem.

Zważ atoli, że istnienie takowe, nie mające żadnych własności, żadnych cech, nie będące żadną rzeczą w szczególności, nie będące niczém w szczególności — jest niczém, jest naprawdę nicestwem.

Tak przeto, wedle filozofii a religii Indyan, najwyższą doskonałością a bóstwem, z którym się człowiek zjednoczyć winien, jest czcze, ogólne istnienie, jest rzeczywiście nicestwo. Prawda, że Indyanie trzymający się Bramaizmu sami nie spostrzegli się, że dnem ich wiary jest nicestwo, przecież dowodem nawet, że nasze rozumowanie jest prawdziwe, jest już sam Buddaizm,

który jest dalszym rozwojem Bramaizmu; w Buddaizmie bowiem owo nicstwo już wyraźnie wyrzeczone jako początek i koniec wszechrzeczy.

Zanim atoli z owój pierwotnej zasady filozofii i religii Indyan wysnujemy ostatecznie istotę indyjskiej fantazyi, pozwól, bym uczynił jeszcze lekką uwagę. Zrozumiesz teraz, że zabicie wszelkiej treści w duszy, przytłumienie wszystkich głosów serca, prowadzi do połączenia się z bóstwem, z ogólném głuchem istnieniem; ale zrozumiesz, że także do tego samego celu prowadzą katusze dobrowolne, męczarnie i pielgrzymki straszliwe, i śmierć ofiarna: bo i te sposoby wszystkie są zatraceniem, zapomnieniem siebie, ogłuszeniem wszelkiej treści, więc utopieniem się w istnieniu bezdenném, pustém, czczém. Jakoż jeszcze do tego samego celu dochodzą Indowie przez oddanie się na oślep namiętnościom zmysłowym i szalom rozhukanėj cielesności, boć i tym trybem człowiek traci wiedzę siebie, zapomina siebie i staje się głuchą jednostką. Tak tedy wyjaśniają nam się wszystkie zjawiska powyżej ci przed oczy roztoczone.

Nie trudno już nam poznać, że ta cała nauka jest panteizmem, choć surowym i pierwotnym jeszcze. „Jest to panteizm w całej straszliwości nocnego majestatu swojego; jest to owa nauka, co w ułudnej postaci nadziemskiej poezyi przyprawiwszy sobie skrzydła anielskie, uśmiechem czarodziejskim uspiła Indye: a gdy je snem duchowym złożone być widziała, wyssała z tego ludu, niby upiór, krew żywotną, serdeczną, i zostawiła go wyschlą mumią na ziemi. Ten panteizm przeszedł narody Wschodu przystrojony w szaty niby głębokiej filozofii;

ale mądrość tej filozofii była rozpaczą bez granic, a słowa jej dzumą śmiertelną dla ducha (*).“

Rozumie się, że wszelkie rozprawiania i wykrzykniki, utyski i gniewy, choćby z najuczciwszej woli pochodziły, nie nie pomogą na panteizm; on jedynie powalony być może drogą ściśle umiejętną prawdziwej filozofii. Przecież nie tutaj miejsce tych wywodów umiejętności; spytajmy się raczej, skąd Indyanom przysłała ta nauka? — Indyanie nie mogli się zdobyć na wyobrażenie o bóstwie będącém jedném, ogólném, a obejmującym przecież w sobie nieskończoność treści, różnorodności pełnej; oni nie mogli się zdobyć na myśl o bóstwie duchowém, przytomném w świecie i władzącém wszechjестestwami, a będącém przecież czémś różném od świata, to jest istniejącém w sobie i o sobie, wiedzącém o sobie, słowem, będącém osobą. Bo osobą nazywamy jestestwo, co ma świadomość siebie, co wie o sobie. Umysł Indyan nie był dość silnym w sobie, aby zdołał połączyć wyobrażenie takiego Bóstwa, coby było odrębném i wyższém od świata jestestwem, a zarazem objawiało opatrzność mądrość swoją w nieskończonej różnorodności jestestw, będących wyrazem nieskończonej i różnorodnej wewnętrznej treści jego.

Do tych wyobrażeń o osobowości Bóstwa doszli dopiero Grecy, bo oni pojęli bóstwo, jako jestestwo duchowe; lubo to wyobrażenie wyjawia się u nich dopiero we formie wielobożeństwa.

W Indyi panuje dualizm dwóch ostateczności nieprzemozony nigdy. Z jednej strony zamiast Bóstwa o treści nieskończonej, ziewa otchłań bezdenna, bo owo

(*) Wykład filozofii T. II. str. 4 i następne.

istnienie nieskończone, bezmierne, próżne, które u nich samo jedno jest prawdą; z drugiej strony jest inna ostateczność, bo cały świat jestestw jednostkowych, odznaczających się i odróżniających między sobą cechami, znamionami właściwymi; po tej stronie tedy jest cały świat treści, a świat rzeczywisty, obejmujący i jestestwa zmysłowe i duchowe, i gwiazdę i człowieka i proszek ulotny, i ludy całe, i myślenie i robaczka, nawet bogi indyjskie, nawet całą mitologią indyjską i t. d. Ale ten świat rzeczywisty niema prawdy, on jest rozplynnem, rozwiewnem zjawiskiem, nie mającém trwania; wszystko jest tu uludnem widmem, kłamstwem zawodnem. Cały świat i wszystkie te jednostkowe jestestwa występują z onęj otchłani głuchego istnienia, jakoby wyziewy grobowe, wiążą się i unoszą nad nią, niby widziadła chwilowe, i znów do onęj przepaści wracają, która je pochłania niby grób; — sam Kryszna jest tylko widziadłem takowem. Więc tutaj wieczne odbywają się zrodzenia, wieczne konania; tu nie ma bytu, coby trwał; — trwa tylko wieczna przemiana; i bogi wiecznie się przeradzają, wiecznie przybierają na się inne a inne kształty; wszystko, co się rodzi z tej otchłani, to są niby fale wzdymające się na bezdeni ciemnej oceanu, które, zaledwie co się wzniosą, rozplływają się bez śladu; są to bańki wodne, co świecą nad przepaścią barwy cudownemi, lecz ledwie co zaświecą a już rozpryskują się nicestwem niby sen. Ta otchłań „jest świata poczęciem, jest świata zniszczeniem“ ta otchłań jest Prabrahma.

Z tych wyobrażeń dzikich, chaotycznych wynikają następne wypadki:

Jak to istnienie ogólne, przepaściste jest bezmierne, tak też bogi, rodzące się z niego, o ile wyrażają to

istnienie, same przybierają bezmierność; ich postać puchnie w potworne kształty, ich żywot wzdyma się w majaczone dziwactwo bez granic. Tu fantazyja Indyan ma istny żywioł dla siebie; ona gorąca, opojona, zatacza się tanem zawrotnym nad tą przepaścią grobową. Stąd mitologia indyjska, arcydzieło fantazyji tego ludu, jest tak pełna okropności, tak straszna jak nocne mary i dziwadła chorobliwe. Stąd rzeczy duchowe, przestoczone na zmysłowe, nabierają ogromu bezmiernego, rozmiarów olbrzymich. Ganges (np.) spływa po kędziarach bóstwa — pustelnik pokutuje lat tysiące, miliony. Stąd pokutnik rozkazuje słońcu i gwiazdom, i mocen wstrzymać ich biegi; bo on sam przez pokutę i zatrącenie siebie stał się ogólném głuchém istnieniem, więc bóstwem. Dla tego olbrzymiego, zmysłowego ogromu, i pieśni ich tak olbrzymie że jeden ustęp, jeden epizod, rozmiarem swoim wyrównywa wielkim eposejom innych ludów. Tak eposeja Ramajana składa się z 24,000 słoków, z których każda znaczy dwa wiersze po 16 sylab; Mahabarata przez późniejsze przydatki urosła do 100,000 słoków.

Jak owo istnienie bezdenne, bezmierne, nie mając żadnych cech, żadnych własności, nie jest osobą, bo nie jest jestestwem wiedzącém o sobie, tak też wszystkie pojawy i widziadła nie są osobami w znaczeniu prawdziwém, tak też w Indjach człowiek nie wie jeszcze, że jest osobą.

Gdy różnice, odznaczające między sobą jestestwa, nie mają znaczenia, gdy są marne i ulotne, więc też rzeczy wszystkie mieszają się dzikim nieładem, bez końca przechodzą na siebie, mącąc się chaotycznością fantastyczną, szaloną. Tutaj fantazyja odprawia swoje dzikie zapusty. Fantazyja rozkolysana miesza nawet jestestwa duchowe i materyalne; tutaj drzewa, ptaki,

słonie przemawiają ludzką mową, wyrokują najwyższą mądrością; tutaj świat jest światem czarodziejskim, czarnoksiężkim. Z tego pomieszania jestestw duchowych i materialnych rodzi się owa cześć dla przedmiotów natury z krzywdą istoty rozumnej człowieka; stąd kasty, stąd litość dla owadów obok okrucieństwa. W Sakontali jest gaj przeznaczony jako ochrona dla zwierząt, a Sakontala sama, polewając młode leśne rośliny, powiada że tchnie miłością siostry dla tych krzewów biednych. Wszak widziałeś, że tygrysy uchodzą za uwidomienie duszy zmarłych krewnych.

Zrozumiesz, że do tej potęgi a znaczenia rzeczy materialnych i natury przyczynia się ogromnie ta przyroda indyjska tak gwałtowna a wspaniała, tak wielmożna, bujna i bogata, z całą swoją mocą magiczną.

Słusznie tedy przypatrzyliśmy się dokładniej na wstępie listu tego, naturze indyjskiej tak czarodziejskiej; ona zrosła z człowiekiem w jedno, z niej tedy poznać możesz czem tu jest duch ludzki. Jakoż pomącenie rzeczy duchowych i materialnych, przypisywanie przedmiotom zmysłowym potęgi duchowej, jest podstawą wszelkiego czarodziejstwa. Czarodziejstwo to i dziwotworność, ten zawrót fantastycznych myśli, który panuje w tej fantazyi Indyi, jest właśnie tym pierwiastkiem, co ją czyni tak podobną do gadek, tak chciwie przez dziatwę słuchanych. Przecież, mimo tego, ta fantazyja nie jest dziecinną wyobraźnią; tu nie dzieci prawią bajki, to duch całego ludu, co z topieli swoich przemawia, a choć on w jęctwie natury, choć oczyniony tchem mocy materialnych, wyrokuje iście z najgłębszych głębin istoty swojej. Więc tutaj obok bezrozumu jest mądrość, tutaj buchają strzeliste błyskawice wśród ciemnej nocy

i słyhać ułamki muzyki rzewnej, choć przygłuszonej łomotem burzy morskiej.

Przecież właśnie gdy różnica między rzeczami jest wątła, nic nieznacząca, gdy wszystkie jestestwa mieszają się z sobą, więc też tutaj nie panuje rozsądek. Bo rozsądek ma właśnie to do siebie, że rozgarnia rzeczy różne, porządkuje je i szykuje; takowej zaś czynności duchowej tutaj niema. Stąd też fantazyja indyjska czy się pojawi w architekturze, czyli w rzeźbie, czyli w poezyi, puszcza się w sprzeczności i dziwactwa, ciska się z jednej ostateczności w drugą: to niby rozumna i oględna, to nedorzeczna.

Jakoż to poniewieranie cechami różnemi jestestw, stanowiącemi właśnie ich istotę, to pomącenie szalone wszystkich rzeczy, choćby wręcz sobie sprzecznych, to nieuznanie ładu i pewnych praw w świecie, odbija się koniecznie w dziełach sztuki indyjskiej. Tutaj niema prawideł, ustaw pewnych, stałych. A jeżeli je niekiedy dójrzysz, jeżeli obaczysz jakiś panujący charakter np. w dziełach architektury, albo w miarze wiersza, toć ten charakter mniej jest wpływem zastanowienia się i jasnej wiedzy, jako raczej ciemnym instynktem, co niby przez sen przeczuwa istotę swoją.

Ten brak ustaw i praw stałych, to chaotyczne spływanie przedmiotów różnych, ten dziwny świat czarnoksiężki, w którym niema nic stałego, w którym nie jest oparte na sobie, w którym nic niema w sobie mocy i tęgości wewnętrznej, w którym wszystko przesuwają się niby w latarni magicznej, mieniając się, migocząc i błyszcząc, — jest iście światem majacznym, sennym. Ta fantazyja indyjska jest więc do marzeń sennych podobna; bo i we śnie przelewają się obrazy, mącą się

z sobą i bujają, i hasają niedozorowane rozsądkiem, nieuszukowane rozumem.

Łatwo zgadnąć, że gdy tutaj stwórca i stworzenie, świat duchowy i materyalny pomieszany z sobą, gdy tutaj niema uznania prawdziwego stosunku Boga do natury, ani człowieka do téj natury; więc też tutaj człowiek nie zdolen jeszcze kształtów przyrody przetopić na ideał piękności, który właśnie jest jedynym trybem wyrażenia nieskończoności duchowej, we formie materyalnej, zmysłowej. Zamiast téj prawdziwej piękności, znajdziesz w sztuce indyjskiej najczęściej przepych świecący całym bogactwem zuchwałej, wrzącój fantazyi, znajdziesz olbrzymią wytrwałą pracę w dokonaniu dzieł ogromnych, bezmiernych,

Lecz uważ, że ten brak opierania się na sobie samym, ten niedostatek dzielnego hartu i samoistności występuje we fantazyi indyjskiej osobliwą miękkością, jakąś biernością, jakąś niewieścią słodczyą a wdziękiem łagodnym, cichym. Toć widzieć można w poezyi, kędy prawie najcudniejsze miejsca właśnie tchną sentymentalném rozrzewnieniem i lubemi głosami serca; w posągach bogów te ciała nie mają niby kości; ręce, nogi, tak pulchne, jakby z ciasta ulepione; toż i w budowaniu linje łagodne, formy dalekie od wszelkiej szorstkości. I dla tego też, jak dawno uważano, tak w rzeźbie jak i w poezyi najszcześliwiej stworzone są figury i charaktery kobiet; — niewymówny wdzięk, łagodność i słodka tęsknota rozlane są na tych żeńskich postaciach.

· Treść duchowa chrześcijańskich ludów jest tak głęboka, tak niebotyczna, że ona w części tylko może znaleźć wyrażenie stosowne w dziele sztuki, więc w zewnętrzném uzmysłowieniu, więc w postaciach a formach

z natury wziętych, ale wzniesionych do piękności ideału; w części zaś ta treść duchowa nie zdoła się już pomieścić w postaciach zmysłowych, choćby najwyższym urokiem obłanych; ona zaiste znajduje w uczuciach jedynie religijnych i we filozoficzném rozumowaniu godny siebie i odpowiedni sobie wyraz swój. Inaczéj w Indyach. Jestestwa natury, choć bezduszne, choć same nie myślą, są przecież uwidomieniem myśli stworzenia, a im na wyższym szczeblu natury stanie które z tych jestestw, tém też wyższej myśli jest wcieleniem. Otóż te myśli, promieniące się w dziełach natury, są nierównie więcéj z siebie rozwinięte, niż ono głuche jeszcze miotanie się a szamotanie sennego ducha Indyi. Duch ten nie dorósł jeszcze do téj wysokości, by pojał, by przeczuł tę mądrość, te myśli stworzenia; on chwycił te kształty natury, zwichnął je, skreślił, wykrzywił w karykatury by w nich wyrazić to miotanie się, to zrywanie się sennie swoje; i ztąd te dziwaczne postacie i figury w skulpturze i poezyi indyjskiej. Otóż wytknąłem ci, ile się mi zdaje, wszystkie główne cechy fantazyi Indyan; wszak jedną z najważniejszych jest, jak wspomniałem, owa głęboka sentymentalność. Bo jeżeli w Indyach głównym charakterem tak fantazyi jak całego ducha jest brak rozzarnienia, brak trzeźwego zastanowienia i zimnego rozumu; toć rzekłbyś, że ten brak niby zastępuje uczucie; cały żywot staje się tutaj uczuciem, serdecznością. Zdawałoby się, że im więcéj cofa się myślenie prozaiczne, tém potężniej tutaj gra uczuciowość; cała duszy potęga przeważała się w moc uczuć tkliwych, rzewnych. Jest to jakby życie niewieście w dumaniu serca utopione, w którém cała potęga ducha zamienia się na ciche wróżby, na proroctwa; serce to zgaduje,

co lube i zacne, instynktem, jakiemś widzeniem duchowém. Dla tego podobno żaden naród w żadnym wieku ni miał nigdy poezyi tak czarującej uczuciem, tak głębokiej a lubej sentymentalności jak Indyanie.

Dotknąwszy tym sposobem najcelniejszych znamion fantazyi Indyan przywiode ci tylko jeszcze niektóre przykłady z ich sztuki, które nam posłużą za wyjaśnienie powyższych wywodów.

Do naszej rozsądnej a tak trzeźwej Europy, jakby przypomnienia dziwów sennych a marzeń nocnych, dochodzą wieści o owych świątnicach starego Hindostanu, co wykute pod ziemią we wnętrzu twardych skał. Jakby z innego świata gadki, czytamy opisy cudów tej podziemnej architektury, którą słynie Salsette, Carli, Elefanto, Mawalipuram, Ajajanti, Ellora i tyle innych jeszcze stron Indyi, oniej stariej ojczyzny niesłychanych dziwadeł; przypatrujemy się widokom, rysunkom, rycinom, które już przeszły w obrazkowe książki dziatwy naszej, a patrząc na obrazy te, zdaje się nam, że to istne baje czarnoksiężkie, które prawią jedynie niańki w naszej przerosządniejszej części świata, a którym nawet już i dzieci więcej nie wierzą.

Te podziemne świątynie, nie są to pojedyncze budowdy, to zbiory świątnic, to miasta ukryte w łonie gór, to światy podziemne, wykute w wnętrzu nieużytej opoki; tu ludność cała łamała się krwawym trudem, tu przez długie wieki pokolenia po pokoleniach pasowały się z potęgami przyrody, by dla bogów swoich zdobić na naturze przybytki, by okupić świętą, niezmordowaną ofiarną pracą zrodzenia duchowe.

Gdy dziś wędrowiec z dalekich stron stanie wśród tych dzieł olbrzymich, gdy go obstąpią w koło te ciem-

nice przepychu pełne, o kształtach tak dziwacznych, fantastycznych, żeć mu się już zdają być wywoływane magiczném wróżki zaklęciem, wtedy już nie podziwienie ale nieme osłupienie go uderzy; posłyszysz w koło siebie wołania onych pracowników tysiącznych, co tu położyły męki swojego żywota, by uczcić owe ślepookie potęgi natury, które miały ich duszą, uchwyci wędrowca febralna gorączka podobna do onój, która parła te milionowe ludności do wysileń bez granic. Prochy tych robotników poszły wiatrom na igrę, imiona ich od lat tysięcy rozplynęły niepanięcią, ale ich dusza pozostała w tych podziemiach zaklęta urokiem; ona żyje w tych rzeźbach bogatych, które tutaj zewsząd wykwitły robotą tak bujną a tak pracowicie, tak wytrwale, z taką miłością dokonaną.

Tutaj znachodzisz całe góry wydrażone, przeistoczone na państwo podziemne, tajemnicze. Przysionki, chodniki, świątnice, komnaty, kaplice, schody, stawy, mieszkania dla kapłanów, dla pielgrzymów, ciągną się i cisną to obok siebie jakby miastem, to znów wykute po nad sobą, niby w piętra olbrzymich pałaców i grodów. A na stropie, na ścianie, na gzymsach, na filarach i kolumnach, lśni ta rzeźba ozdobna, a wyrabiana z tym wykwintem misternym, jak gdyby dopiero wczoraj wyszła z pod umiejętnych złotniczych pilników, a te rzeźby liczą przecież wiek swój na lat tysiące! Przy migotnym, powiewnym płomieniu pochodni występują z ciemności posągi bogów wielorękich, wielonogich, więc potworne widziadła migocą, mrugają, a ruszają się; ich członki mnogie gramolą się i wiją, niby węzów gniazda.

W innych stronach kraju zdawać ci się będzie, że

ta najstarsza, pradziadowa architektura indyjska wychyliła się już z pod ziemi, że się buduje na jej powierzchni otwartej, że te jej dzieła na jawie dźwignione, na dniu jasnym, białym. Pod Ellorą, wśród samotnej, butnej a zuchwałej natury. znowu podziwiać będziesz gromady świątnic podziemnych, co pieczarami wkuły się w skały. Tutaj każdy bóg indyjski ma swoją świątnicę; Siwa ma ich 20; więc słusznie te dzieła niesłychane noszą imię „cudów Ellory“ stąd słusznie nazwano te miejsca Dewagiri (Bożą górą). Ale uważ, oprócz tych grot czekają cię tu inne jeszcze budowania. Znajdziesz się nagle wśród miejsca otwartego zupełnie z góry; niby to łom kamieni, niby rynek, lub ogromny dziedziniec. To miejsce w koło zamykają skalne ściany na sto stóp wysokie, a pionowe, a pilnie ociosane, ogładzone; w tych ścianach, niby w różnych piętrach, szerzą się komnaty, mieszkania wykute w skale. Lecz w oddaleniu od tych ścian, więc wśród tego olbrzymiego dziedzińca, stoją świątynie obszerności naszych kościołów i kaplice; a cokoły tych kaplic składają się z rzędów kamiennych słoniów, lwów dźwigających niby całe budowanie; do świątyń przystawione niby dzwonice; a te świątynie wszystkie od dołu do góry pokryte ciźbą ornamentów, rzeźby; tu i ówdzie około nich jeszcze ustawione słonie kamienne ogromnych wymiarów. Pomyśl, że od szczytu tych świątnic szły kamienne mosty powietrzne olbrzymim łukiem do onych ścian otaczających dziedziniec, więc do komnat kapłańskich; dziś atoli te mosty w części runęły. Na pierwsze polotne wejście zdawałoby się, że te świątynie, kaplice, te wszystkie budowle potężne dźwignęły się z powiązanych z sobą ciosów. Bynajmniej! — Zważ, ten cały niby plac i dziedziniec były

jedną górą, jedno-litą skałą! — i dopiero z niej wykuto ten dziedziniec, zrównano jego ściany, w środku zostawiono części tej skalistej góry niby ogromne kamienne bałwany, i takowe części dopiero przeistoczono na świątnice, przystrajając je ornamentem rzeźbionym z wierzchu a wydrążając je w środku na bożnicę obszerną, bogatą, zdobną. Tak tedy ta całość: dziedziniec i przybytki, świątynie i słonie, one mosty i komnaty — słowem, wszystko wykute, wyciosane z jednej sztuki! — z jednej ogromnej góry, jakby ziarno z łupiny.

Jednak, kędy niegdyś duch człowieka, tak twardo pasując się z uporną materią, odbywał boleści rodzeń swoich, tam dziś hołotna chmara bezrozumnych papug broi i głuszy szwargotaniem naturę, tam trzcina wysoka zarosła gęstwina, tam tygrys gospodarzy, a lew trzyma straż broniąc człowiekowi widoku pracy człowieka; tam węże potworne i dzuma i cholera się lęgną.

Nie będziem atoli dłużej prawić o tych dziwach i cudach; pomijam budowanie onych Dagopów, które już stanęły nad ziemią a dźwignione trybem zwykłym choć słynne z ogromności swojej. Bo nam nie chodzi wcale o charakterystykę wszystkich odcieniów fantazyi; dla tego przestaję na tych lekkich zarysach najdawniejszej indyjskiej architektury, nie dotykając budowania buddaizmu w Indyach, który zreformował bramaizm stary i zniweczył kasty i ostudził fantazyą Indyi; — chociaż, prawdę mówiąc, byłoby zaiste o czém szeroko się rozwodzić.

Właściwiej podobno będzie zwrócić uwagę twoją na cechy architektury indyjskiej, a będą nam one potwierdzeniem powyższego wywodu.

Otóż, te budowania podziemne są wyrazem ducha

Indyi, co uspiomy jeszcze w głębokiem łonie natury; boć i nasz sen powszedni jest iście powrotem w objęcie sił przyrodzonych, jeste zaiste przytuleniem się duszy naszej do piersi matki-natury.

Bujanie zaś luźnej fantazyi indyjskiej wyraża się silnie i potężnie w tej architekturze. Okazuje się zaś naprzód samém już labiryntnym, zamętném budowaniem. Jak w całej myśli Indyi żadna bytność nie jest oparta na sobie i niema ogniska swojego i środka w sobie samej, jak tam człowiek, nie uznając się być osobą, nie odnosi się jeszcze sam do siebie, tak też i nie widać w tych gromadach świątlicznych podziemnych jednej głównej myśli przewodniej, do którejby się odnosiły jako do ogniska wszystkie owe tak fantastyczne przybytki. Brak im tedy organicznej artystycznej całości, brak ładu, który jedynie tam być może, kędy dogląda pracy fantazyi rozum trzeźwy obecny sobie, lub mądrość idąca z prawdziwego mistrzowskiego natchnienia. I dla tego właśnie duch Indyi jest partymiotaniem wewnętrzném i żądzą wyszamotania się, wyrzucenia z siebie potęgi, co nim ciska; więc on się sili i mocuje, by dokonał dzieł tak olbrzymich; dla tego stolecia, całe pokolenia w tysiącznych robotnikach imają się tej pracy bezmierniej, ogromnej; robota i siła materyalna, rozmiary materyalne przestrzeni mają tutaj zastąpić ducha potęgę. Świat nie przeczuwa jeszcze, że kilka rysów węglem rzuconych ręką Michała Anioła, lub kamea, rznięta geniuszem greckiego mistrza, wyższém jest świadectwem wzniosłości ducha ludzkiego, niż te całe góry wydrażone krwawym znojem tych indyjskich ludów.

Jakże odpowiednie tej fantazyi senniejszy są przybytki podziemne! — one tak daleko się ciągną wzdłuż i szerz

a ciśnione stropem tak niskim! tutaj duszno i parno; rzekłbyś, że zły sen przygniotł piersi uśpionego ludu.

Ta fantazyja indyjska gorąca wyraża się tutaj jeszcze bujaniem bez miary téj architektury rozigranej; w niej niema ładu, niema pewnych prawideł i praw; tu niema też pewnego stylu. Stylem jest tutaj brak zupełny stylu. Bylebyś chciał, a już w tém budowaniu indyjskiem wszystkie obaczysz style: i łuki rzymskie i bizantyńskie i one maurytańskie w podkowę wywijane, i gotyckie sklepienia i brusy greckie i t. d. Jeżeli zaś te wszystkie formy architektoniczne tutaj się przypominają, toć to mniej jest stylem jak raczej instynktowém parciem, dobywajacém się z duszy nieświadomój siebie. Nie znajdziesz tutaj trzeźwości i chłodu rozumu, z którym z istoty zawsze winna łączyć się fantazyja artystyczna. I z tego właśnie powodu w architekturze indyjskiej nie są uwzględnione potrzeby techniczne. Najważniejszym tego przykładem jest kolumna. Kolumna z istoty swojej jest podporą dźwigającą brzemie architektoniczne; ale forma kolumny indyjskiej, tak dzika, tak fantastyczna, nie odpowiada bynajmniej swojemu zadaniu; jej rysunek pękaty, napuchły, jak świadczy o swawoli fantazyi, tak jest raczej zawadą zabierającą miejsce niż podporą dźwigającą (*).

(*) Porównaj słup indyjski z kolumną grecką. Kolumna grecka jest prawdziwem arcydziełem. Jej forma jest cudnie piękna, a zarazem najdoskonalej odpowiada celowi swemu, bo ona, mimo wdzięku i uroku, jest podporą silnie dźwigającą. Jakoż w całym budownictwie greckim nie znajdziesz architektonicznego członka, któryby nie był i ozdobnym przystrojem, i zarazem nie mógł być ściśle wytłumaczony z potrzeby technicznej, bo z warunków mocy i trwania budynku — Po-

Architektura indyjska wysiła się, wymyślając nowe coraz formy kolumn, ale wszystkie te formy świadczą o swawoli butnej fantazyi, a żadna o rozwadze rozumnej. Ta przerozmaitość fantazyi tak się rozigrała w Indyach, że nawet w naszych czasach, bo w r. 1623, (licząc bowiem na miarę indyjskiej starowiecznej historii wiek XVII rzeczywiście już do naszych czasów należy) wystawiono salę olbrzymią o 124 filarach: — choć na pierwszy rzut oka rzeźba na wszystkich filarach zdaje się być do siebie podobna, za bliższém jednak przypatrzeniem się obaczysz że każdy z nich mieni się innym rysunkiem, inną głowicą, innemi cętkami; słowem, ta fantazyja jest niewyczerpana jak stworzenie, jak natura. Ba. i natura

dobnie też każda część i cząsteczka w głowicy i w podnożu kolumny greckiej ma swój powód rozsądny (praktyczny) a przecież przyczynia się do jej piękności prawdziwie estetycznej. Nie tak się rzecz ma z kolumną indyjską. Uważmy formę kolumny indyjskiej, która już najczęściej się powtarza w tej architekturze. Ta kolumna jest od spodu filarem czworościennym, z którego wyrasta trzon okrągły ściętniający się u góry, a przewiązany trzema napęczniałemi pasami, a u samego wierzchu pokryty kulą spłaszczoną, która tak przyciśniona niby ciężarem, że obwód jej występuje nawet po za krawędzie spodniego czworościennego filaru. Ta kula tedy, u wierzchu ściśniona będąc, bardzo małą powierzchnią dźwiga strop. Cały ciężar tedy spoczywa właśnie na tej małej powierzchni drobnej; a tém samém widać, że i występująca część onęj kuli i grubość trzonu i grubość owego czworograniastego spodniego filaru są niepotrzebnymi, bo nie dają żadnej mocy, nie wcale nie dźwigają, i są raczej zawadą zabierającą miejsce. Cała tedy forma słupa jest wymysłem fantazyi, ale niema usprawiedliwienia w rozsądku.

Lubo różne a przerozmaite bywają kształty kolumn indyjskiej architektury, przecież żadna z nich nie odpowiada zadaniu naturalnemu, które podpora mieć winna.

nie może pójść w porównanie z tą wyobraźnią migocącą się, promieniejącą się w różne barwy i błyski! Zważ naturę roślinną; ona podobno dość swawolna, swobodna, bujająca sobie całą wolnością nieogledną, a przecież ten świat roślinny zdaje się być dla fantazyi indyjskiej jeszcze niewolniczym, jeszcze zbyt prawidłowym; więc ona chwyta te formy roślinne, zwija je i skręca, buja nimi i wymyśla i swawoli stwarzając sobie kształty roślinne, o których nawet natura nie zamarzyła nigdy.

Z tego już wnosić możesz co się dopiero dzieje z postacią ludzką, wypaczoną w one indyjskie bożyszcza. Indye nie wiedzą, co znaczy osoba, istniejąca o sobie, odnosząca się do siebie jako do ogniska swojego; stąd też wylęgły się owe poczwarne bogi, któremi się dziwaczy rzeźba indyjska. W tej Trimurtis, niby w troistości indyjskiego bóstwa, kędy Brama, Wisznu i Sziwa niby w jedność są związane, widzisz pęk rąk i nóg, a nie wiedzieć, która ręka, która noga do której się odnosi głowy, a tak wyraźnie znać, że i ta Trimurtis nie ma znaczenia osób; — albo przypominam ci onego słonia złożonego ze samych figur niewieścich i t. d. i t. d. Rzeźba, podobnie jak architektura, zastępuje duchowy pierwiastek czynnikami materyalnemi, więc albo ogromem wymiarów, (np. jeden z posągów w Bamian ma 70 stóp wysokości a drugi nawet 120) albo kosztownością materiału, bo wysadza posągi drogim kamieniem, wkładając mu oczy brylantowe lub rubinowe, zdobiąc ręce, nogi perłami ogromnej wartości. Niekiedy te figury nie są już płaskorzeźbą, ale prawie zupełną skulpturą, bo to właśnie stają się objawem ducha nieoderwanego jeszcze od potęg natury. Ta przemoc natury nad człowiekiem,

to nieusamowolnienie się ducha t \acute{e} m jeszcze się wyraża, że tutaj nie ludzka głowa osadzana bywa na zwierzęcym kadłubie, dając znać o panowaniu myśli nad bezrozumną potęgą przyrody, ale odwrotnie widzisz głowę zwierzęcą osadzoną na tułowie ludzkim; taka potworność atoli głosi bezecne tryumfy mocy materialnych nad zacną istotą człowieka.

Napomknąłem ci już powyżej, że brak samoistności dzielnej, silnie na sobie opartej, że brak hartu i twierdzy wewnętrznej, jest piętnem w całym charakterze i duchu Indyanów; ta właściwość odbija się tak wyraźnie w tych członkach wiotkich, okrągłych, pulchnych, bezkostnych, gibkich skulptury indyjskiej, w której nie widać ani muskułów, ani kości, ani męzkości; taka postać oddaje isticie trafnie tęsknotę miłosną, bierną, gnuśną, tudzież ospałą zmysłowość i to rozpieszczenie całego nastroju duszy Indyanów. Mówiłem ci również powyżej, że figury niewieście, które jakoś łacniej się do takowej rzeźby nadają, bywają często wykonane z wielką lubością i wdziękiem cudnym, uroczym(*).

Przecież wypływa już z istoty rzeczy samej, że ten wdzięk pełen najwyższego powabu, łagodny, tęskny wykwita już najcudniej w indyjskiej poezyi. Przeczu-

(*) Poeci indyjscy jako znakomici znawcy w tej mierze, wliczają 46 warunków piękności niewieściej; gdy się wszystkie te 46 warunków zejdą, wtedy dopiero wedle nich kobieta jest prawdziwie piękna. Winna mieć np. kędziory, co jak pawie pióra spływają po kolana, brwi zatoczone łukiem tęczy, oczy błękitne jak szafiry, usta świecące purpurowe jak korale na młodych liściach, zęby jak pączki jaśminu, stan tak cienki żeby się sama ręką objąć mogła, podeszwy bez wkł \acute{e} słości i t. d. i t. d.

cia bezmierne, tkliwe, ciemne, nieodgadnione, z cicha odezwały się w sercu tego ludu; jak młoda dziewczica nocnym marzeniem widzi rozplątny obraz kochanka nieznanego jeszcze, tak poezji tego ludu przyśniła się wiekuistość i niebian grono, żyjących w niezamąconym nigdy pokoju.

Ta poezja jest zaiste ogrodem marzeń rajskich; w niej fantazja przechadza się wśród wonnych kwiatów, słucha dźwięcznych natury pieśni, kocha i marzy. Niekiedy atoli z pośród krzewów i kwiatów, wśród szczęścia miłości błogięj a pieśczoć miękkię, wśród jasnych promieni i pysznych barw wesołych wzniesie się jakieś ciemne straszydło potworne, i grozi, trwoży, i kroczy, i już chwyta i dławi, ale się rozplątnie mrocznym dymem. Wszak ta poezja o instynkcie misternym ducha, o rzewnych wróżbach serca, dosłuchuje się tych cichych szeptów duszy, tęg cichęj, tęsknęg muzyki któreg nikt z powszednich ludzi nie przeczuwa, nie odgadnie. Najlżejsza, najmisterniejsza woń serca tchnie w tęg poezji tkliwęg, która jest rzeczywiście poezją uczuć najrzewniejszych, a te uczucia wszystkie rosną i rozwijają się w świecie czarodziejskim, kędy już nie rozsądek i powszedni rzeczy ład, ale cudotworność niewidomie włada.

Wspomniałem ci powyżęj, że poezja indyjska jest przedewszystkiem poezją uczuć, że sentymentalność głęboka zastępuje w niej prozę rozsądku, że cała siła ducha uderza w uczucia, w nich przeważa potęgą; powiedziałem tęg, że życie poezji indyjskięj jest życiem niewieściem, że instynkt serca jest tutaj mądrością. Stąd tęg żadna inna poezja, żadnego innego narodu nie wyrównywa w tych uczuciach delikatnych, mister-

nych poezji indyjskiej. — Powtórzę ci tutaj porównanie, które o tej poezji indyjskiej wyrzekł jeden z najgłębszych znawców piękności, a które wedle mnie jest również cudnym jak trafnym: Gdy młoda niewiasta zostawszy matką uśnie, wtedy przez sen marzy o szczęściu swoim, o dziecięciu, a uczucie błogie, radość duchowa wykwita rumieńcem na bladym licu. Takim rumieńcem błogich marzeń i zwiastunem uczuć szczęścia pełnym jest indyjska poezya.

Rozumie się, że nam mniej chodzi o ocenienie estetyczne tej poezji, jak raczej o wyświecenie, że pierwiastki fantazyi indyjskiej, przezemnie powyżej wykazane, grają zarazem całą potęgą w poezji tego ludu.

Nie pozostaje mi dość miejsca, bym ci podał wyjątki z tej poezji jako przykłady; przecież dziś już nie trudno o tłumaczenia arcydzieł śpiewaków indyjskich na różne języki europejskie; odsyłam cię do nich — ograniczę się jedynie na kilku słowach, dotykając się z lekka tych dzieł precudnych.

Dwie są wielkie epopeje Indyan, jedna zowie się Ramajana a druga Mahabarata; tamta starsza, bo podobno powstała na 800 albo nawet na 1000 lat przed J. Chr. — Mahabaraty już dotknęliśmy się powyżej; tutaj położę ci tylko wkrótce treść Ramajany, choćby w okruszynach, bo radbym ci okazać przelotnie barwy całej tej kompozycyi, która śpiewa chwałę Ramy, indyjskiego bohatera. Śpiewcą tego poematu jest Walmiki, ów wieszcz od bogów natchniony.

Wstęp. Dawno bardzo, bo trzy tysiące blisko lat temu, gdy Walmiki, samotników książe, żył w puszczy cichej. — „Pewnego wieczora przed nim stanął Narada, bóg natchnień wieszczowych, i w wymownym zachwy-

ceniu głosił mu cnoty, potęgę i piękność Ramy, co przyświecał duszy, niby księżycowa poświata. Tak Narada wlewał w piersi boskiego wieszczą chęć, by spiewem zacnym zacnego uwielbil męża. I wypłynęła pieśń, i ustroiła światy potęgą swoich czarów. Kto się poi boską Ramajany krynicą, już nie ugasi nigdy swojej duszy pragnienia! A niechaj będzie pochwalon, pochwalon na wieki jako mędrzec pokory pełen i wolny od winy!“

„Dumał mędrzec (Walmiki), i postem i pokutą pobożną gotował ducha do wielkiego dzieła! I dumał nad dziełem tak wielkiem! Znała zoczył parę rozkochanych ptasząt tonących w roskoszy miłości, ale strzała okrutnego myśliwca zabija samca! ulubienica pozostała rzewnym żalem oblatuje ciało swojego kochanka. Wieszcz, litując się jój cierpień, nad losem nieszczęśliwej kochanki zapada w zamyślenie głębokie. I woła: „Biada tobie „okrutniku puszcz! Biada! Nie długie będą dni żywota „twojego, nie doczekasz się starości późnej. Ty zabiłeś „jedno z ptasząt pary, miłością opojonych!“ O dziwy! ta właśnie żałośna skarga wylewa się z ust jego wierszem rytmicznym, pełnym harmonii i miary! A tak cudem mistrz wynalazł rodzaj wiersza dla Ramajany, który z siebie miał zrodzić.

Samą treść Ramajany można objąć w kilku słowach. Rama jest jedném z wielu wcieleń bóstwa Wisznu. On na ziemi jest synem króla Dasaraty z pierwszej żony. Lecz król ma drugą jeszcze małżonkę Koikę, i z niej drugiego syna Baratę. Na prośbę tej drugiej żony król Dasarata mianuje Baratę następcą i skazuje Ramę na wygnanie; ale wrychle ojciec, bolejąc żałośnie nad czynem swoim, umiera. Wtedy szlachetny Barata udaje

się w głębokie puszcze, kędy żyje Rama wygnany i ofiaruje mu koronę. Nie przyjmuje poświęcenia szlachetnego brata zacny Rama; ale cały pragnie oddać się wojnie przeciw rodowi ohydnych olbrzymów! W tej wojnie dzielnymi sprzymierzeńcami Ramy są: Hunaman i Sugriwa, co są książętami małp. Cały tedy naród małp bojuje z wielką walecznością w jego sprawie, a najważniejszym ich dziełem jest most skalny przez morze, bo tym mostem rusza wojsko Ramy do wyspy Lanki, która jest stolicą króla olbrzymów. Tam uwięziona Sita, małżonka Ramy; ona była uprowadzona przez króla olbrzymów, a teraz przez Ramę wyswobodzona jest z niewoli. Sita, aby dowieść małżonkowi niewinności nieskalaną, przechodzi przez rozpalone płomienie, a płomienie nie tknęły się żarem ognistym niewinnej niewiasty, „Wtedy radość dreszczem przeszła świata wszechnicę; „co żywe, co istnie, było weselem przejęte; i radowali „się wszystkie przodki dawne i święte praszczury!...“ „Od tej chwili już pełen potęgi świat i wesela pełen, i dochował świat wiary słuszności i prawu. I był świat już wolen troski i nienawiści i przykręj tęsknoty. I nikt z grona tych szczęśliwych wybrańców nie widział skonu ukochanego z serca syna; ustały strachy wszelkie w tym państwie wiecznej uciechy; niema w niem trwogi z ognia zrodzonej, niema trwogi z wylewu wód zrodzonej. W tym państwie wiecznej uciechy niema wdowich łez, niema człowieka o rozumie zamętym; tutaj ani nędza trapi człowieka, ani trapi go niemoc żadna. . . .
A gdy po dziesiątku lat tysięcy i jeszcze po dziesięciu setkach lat, Rama opuści państwo swoje, wtedy on rozplynie w świecie bóstwa wielkiego!“

Jak owe podziemne pieczarskie przybytki znów obej-

mują w sobie drobne kapliczki, przyboczne świątnice, tak téż obie te epepeje objęły mnóstwo ustępów precudnych. (*)

Ta fantazyja uczuciowa Indów jest prawdziwie muzyką serca. W poezyi indyjskiej lirycznej pieśń jakby strumieniem wylewa się z duszy i płynie wśród czarnoksiężkich gajów, strojnych w kwiaty i wonie. Zaiste, czém jest ta lira indyjska, to okazuje się z tego, czém u nich jest muzyka; bo muzyka jest właśnie sama przez się sztuką wyższej liryczności. Zważ, że melodye u nich są uosobione, przybierają ciało; bo wierzą Indyanie, że

(*) Wszak rozmowa Kryszny z Arszuną, przytoczona powyżej, jest właśnie takim epizodem Mahabaraty a jest tak długa, że już sama w sobie jest poematem obszernym. Podobnie nie braknie tych epizodów i w Ramajanie. — Jednym z nich jest znany pod imieniem „Zstąpienie Gaugi“, a bogini Ganga jest uosobieniem rzeki Gangesu, i tutaj obok skarbów poezyi nie brakuje na fantazyi cudaczącej się dziwnie i potwornie. Tak zaraz pieśń ta rozpoczyna od króla Sugaras i opowiada, jako on miał dwie małżonki a smucił się bezdzietnością swoją. Król przez sto lat czyni pokuty, by potomków wyprosił od nieba. Po upłynionej pokucie, wróżbita święty pobłogosławił obie królowe mówiąc: „każda z was może się stać matką albo syna jednego, który atoli będzie pradziadem długiego szeregu potomków, albo może zrodzić sześć razy po dziesięć tysięcy synów.“ Tak się stało; pierwsza małżonka cieszyła się jednym tylko synem, ale on okrutnego był serca. bo najwyższą jego radością i najmilszą zabawą było topienie młodych pacholąt — chwycił je i rzucał do rzeki Saraju i szydził z męki tonących, i t. d. — Druga zaś małżonka Sumatis, co była siostrą króla wszystkich ptaków, wedle własnego wyboru stała się matką nieprzeliczonego potomstwa, bo o dziwy! powiła olbrzymie dynie, a gdy te dynie, rozkrojono. zamiast ziarek ruszało się w niej dziesięć sześć tysięcy chłopiąt małych. Tak marzy sobie dalej ten poemat, które. mimo podobnych dziwactw, jest pełen najwyższego uroku i wdzięku.

gdy która z nich się na ziemi odezwie słodkim, czarownym wdziękiem, to wtedy już znać, że jedna z nimf zstąpiła z nieba wśród ludzi, a każda nimfa ma postać i oblicze wyrażające charakter odpowiedniej sobie melodyi. Głównych melodyj świętych jest 36, więc w niebie 36 nimf, a każda z nich ma swój dzień świąteczny na Ziemi. Siedm też jest tonów muzyki, a każdy ton jest także nimfą. W niebie śpiewają pieśni liryczne i grają i hasają; tam pełno śpiewków i melodyi i tańców. Wszak Aleksander Wielki i jego bezśpiewne Macedony wyznali, że niema ludu, coby się tak rozpływał dźwiękiem muzyki jak Indyanie, a jeden z królów perskich, wielce miłujący muzykę, posłał aż do Indów po graików i przyprowadzili mu stamtąd aż dwanaście tysięcy muzykantów.

Pomyśl, w jakiechto pieśniach liryczność miłośna tu obchodzi święto swoje. Ów zbiór pieśni: „Gitogowinda“ zwany, tak śpiewa miłość, jej tęsknoty, radości i smutki, i wesela, tak barwą promieniejącą maluje kwiaty i krzewy, i tchy powietrzne i niebo i ziemię, że już my biedaki na północy o takich pieśniach gorących i fantazyi takowój pojęcia nie mamy.

Obok epopei i liry, rozwinął się też i dramat, a świeci się pełne chwały imię Kalidasasa. Dotychczas trzy mamy dramata jego: pierwszy Sakontala, drugi Wikramurwasi, trzeci Malawika i Agnimitra.

Goethe, przeczytawszy Sakontalę, uniesiony jej cudnością uroków, sam wyśpiewał jej chwałę w mistrzowskiem zachwyceniu.

Rozpoczyna się ona od prologu. Występuje Bramin i błogosławi dzieło i grę artystów. Poczém pojawia się Dyrektor i wyprasza z gotowalni aktorkę rozpo-

czyna z nią rozmowę. Rozmowa pełna uprzejmości wzajemnej i grzecznej oglądy. Aktorka na prośby jego śpiewa dla rozweselenia publiczności wdzięcznymi tony.

Poczem akt pierwszy. Sceną puszcza indyjska z całym przepychem potężnym samotnej natury, o którym wspomniałem na wstępie listu tego. Król Duszmanta poluje w kniei; jadąc na wozie ściga antylopę. Wśród pogoni rozmowa z woźnicą. Już już doganiają szybkie zwierzę, gdy słyhać głos z za sceny: „O królu! ta antylopa w naszej puszczy ma bezpieczne schronienie! Nie zabijaj jój!“ — Król każe zatrzymać wóz. Pustelnik i uczeń jego występują na scenę.

Pustelnik. Nie zabijaj o wielomocny władco biednego młodego zwierzątka! Nie zabijaj go, ono u nas znalazło przytułek dla siebie.... — Król przyrzeka zaprzestać łowów.... Pustelnicy odchodzą....

Król Duszmanta (*oglądając się do koła*). Łatwo zgadnąć, żeśmy w pobliżu mieszkań pobożnych pustelników.

Woźnica. Po jakich oznakach poznać to można, o Królu!

Duszmanta. Patrz pod owemi drzewami rozsypano ziarna dla samic papuzich, by miały czém karmić pisklęta bezpierce. Widzisz tem młode jelenie, jako pełne zaufania do człowieka, przywykły nawet do głosu jego, płasają bez obawy. Powierzchnia rzeki czerwieni się korą święconą, która spływa falami jój wód. Tam korzenie młodych drzew kąpią się w świętych stawach, a wody dygotają od lekkich igrających powiewów. On-dzie znowu jasny połysk liści młodych, obwiany jest na chwilę dymkiem wznoszącym się z ofiernych ołtarzów.

Widzisz, jak tam spokojnie, sarniátko młodziuchne
skubie trawkę.

Duszmanta (*zchodząc z wozu oddaje woźnicy klej-
noty kosztowne*). Weź te drogie stroje. Z pokorą jedynie
i bez światowych blasków trzeba wstępować do gajów
nabożeństwu poświęconych. (*Głosy za sceną.*)

Duszmanta. Słyszę niewieście głosy (*patrzy przez
krzewy*). Dziewczyny młode niosą dzbany do polewania
roślin. Jakaż ich postać luba! Dla czego wdziek dziewic
ukrytego gaju nie pojawia się nigdy w pałacach? Nie-
chaj ustąpią ogrodowe kwiaty, niechaj ustąpią miejsca
kwiatom leśnym, co wdzięczniejsze wonią, wdzięczniejsze
barw urokiem. (*Staje pełen podziwienia ukryty w gęstwinie
krzewów.*)

Sakontala, Anusuja i Priamwada.

Anusuja. O Sakontalo, w twojém towarzystwie
dopiero widzę, jak przepysznej i zachwycającej piękności
są te drzewa ojca naszego Kanny. Zaiste tobie, któraś
tak podobna do świeżo rozkwitłej maliki, przystoi po-
lewać krzewy i kwiaty!

Sakontala. Nie tylko dla tego skrapiam kwiaty,
że taka wola ojca naszego, choć i ta wola jego byłaby
już dla mnie dostatecznym powodem; ale wyznaję wam,
że tchnę miłością sieroty ku tym roślinom młodym.

Priamwada. Przyjaciółko moja luba! Krzewy
przez ciebie skropione rozkwitną dopiero latem, które
zaledwie co się rozpoczęło. Chciejmy pokrzepić i te
roślinki biedne, których czas rozkwitania już przepłynął.
Cnota nasza tém wyższa, im wznioślejsza nad miłość
własną.

Sakontala. Wyborna twoja rada (*polewa rośliny*).

Sakontala. Patrzcie, jak owo drzewo Amry przywołuje nas do siebie palcami liści swoich, rozkołysanych wietrzykiem łagodnym — zapewne chce nam szepnąć do ucha jakąś tajemnicę swoją (*wszystkie trzy dziewczice zbliżają się do drzewa.*)

Priamwada. O Sakontalo! Spocznijmy tu na chwilę w cieniu jego.

Sakontala. A dla czegoż właśnie tutaj!

Priamwada. Bo to drzewo Amry tobie zaślubione; tyś tak podobna do rozkwitłego powoju, co się oplótł około amry lubej.

Sakontala. Słusznie cię nazwano Priamwadą, czyli „miłomówną“.

Duszmanta (*w ukryciu*). Ona iście prawdomówna. Czyliż usta Sakontali nie świecą jakby listek kwiatu? Czyli ramiona jej niepodobne do gibkiej łodygi? Piękność młodociana opłynęła jej postać całą!

Anusuja. Patrz, o Sakontalo moja, jak to świeżo rozkwitła malika (powój), którąś nazwała Wanadosini, czyli „rozkoszą gaju“; ona wybrała sobie słodkie drzewo Amry za narzeczonego swojego.

Sakontala (*przybliżwszy się, wpatruje się z zachwyceniem drzewu i powojowi*). Jakoż luba jest ta roku pora. Ona tak wdzięcznie obchodzi wesela miłosne kwiatów!

Priamwada (*z uśmiechem*). A wiesz ty Anusuja dla czego Sakontala z takim uniesieniem radośnym patrzy na te rośliny?

Anusuja. Nie mogę zgadnąć, choć nad tém myślę i radabym bardzo wiedzieć.

Priamwada (*śpiwna*).

„Gdy Wanadosini wybrała dla siebie kochanka, to i mnie zaślubiony będzie ulubieniec sercem wybrany!“ Otoż widzisz, Anusujo, tak właśnie do siebie teraz mówi Sakontala nasza!

Sakontala. To są Priamwado marzenia wyobraźni twojej.

Tak dramat ten płynie najcudniejszą sielanką, pełną tkliwości rzewnej, słodkiej. Zgodzisz się ze mną, gdy tę poezję nazwał cichą misterną muzyką serca. Jestto sentymentalność pełna prostoty i słodczy, a przecież nie słodkawa, nie stuczna i umysłowa. Łatwo też nam tutaj spostrzedz owo pokrewieństwo duszy z otaczającą w koło przeważną naturą i wielkie znaczenie tych cudnych jej uroków.

Rozmowa dziewcząt młodych rozwija się dalej tą samą uroczą prostotą, gdy pszczołka wyleciawszy z kwiatu maliki brzęcząc oblatuje usta Sakontali. Ona broniąc się jej, ruchami wdzięcznymi zachwyca ukrytego Duszmantę; gdy pszczołka coraz śmielsza, coraz zuchwalszą, Sakontala przejęta trwogą, woła ratunku; w tej chwili z za krzewów pojawia się król śpiesząc jej w pomoc. Skłopotanie się dziewcząt. Przecież zawieruje się rozmowa z nieznanym, w której atoli Sakontala dla swojej nieśmiałości mniej ma udziału... Wkońcu Duszmanta dowiaduje się od Anusui, że Sakontala nie jest bynajmniej córką pustelnika Kanny, że ojcem jej był książę Kausika a matką nimfa Menaka. Radość najwyższa i szczęście bez granic przej-

muje króla, bo już żadna różnica kast nie zawadza mu do zaślubienia Sakontali. Lecz nie wydaje się ani z miłością swoją ani z imieniem. Sakontala, z lękiem czując w sercu swoim nieznaną jej wróżbę miłości, pragnie odejść; przyjaciółki ją wstrzymują. Duszmanta, uważając że dziewica zbyt utrudzona polewaniem roślin, imieniem kwiatów skropionych ofiaruje jej pierścień kosztowny.

W drugim akcie: Scena na pograniczu puszczy, kędy rozpięte namioty króla. Przyjaciele i wodzowie Duszmanty, którym już ekliwe to życie w kniei, radziby go skłonić do powrotu ku stolicy. Ale król, przejęty miłością gwałtowną, pragnie pozostać w świętej kniei. Daremnie nawet wzywa go matka do stolicy na religijną uroczystość nadchodzącą; ale że pustelnicy, mieszkający w kniei, błagają od niego pomocy przeciw duchom złowrogim, którzy się pojawili w kniei, król używa tego pozoru i nie wraca do miasta.

W akcie trzecim: Miłość tak rozebrała serce Sakontali, że blednieje, choruje, zwierza się przyjaciółkom swoim. Widzenie się kochanków. Trudnoby mi było, choć pobieżnie, podać ci treść a tém mniej najcudniejsze ustępy tego dramatu, bo on nader długi i ciągnie się przez siedm aktów. — Kochankowie zaślubieni — Wtedy dopiero król myśli o powrocie; błaga atoli Sakontalę, by w rychle za nim pośpieszyła do stolicy. Sakontala, żegnając się, prosi by nigdy a nigdy nie zapomniał o ich miłości. Król pokazuje jej że na pierścieniu czarnoksiężkim, jej darowanym, wyryte jest imie Duszmanta. „Wymawiaj każdego dnia jedną z tych trzech zgłosek, a gdy tak całe imie moje prze-

czytasz, zjawi się dworzaniin mój i zaprowadzi cię do królewskiego pałacu.“

Tymczasem Sakontala, zatopiona w swoim szczęściu bez granic, przez niebaczość nie oddała czei należnej obcemu braminowi, idącemu przez las. On, gniewem zdjęty, rzuca na nią przeklęstwo.

Nadchodzi czas, w którym Sakontala wyprawia się do stolicy — Powiernice jej i pobożny pustelnik Kanna, który zastępował ojca Sakontali, odprowadzają ją na granicę puszczy. — Scena pożegnania najwyższej rzewności — Sakontala przybywszy do stolicy staje przed małżonkiem — On jej nie poznaje! podziwia jej piękność, ale dzieje ich miłości wyszły mu z pamięci! Sakontala chce mu okazać pierścień, lecz pierścień zgubiony, zesunął się jej z palca, gdy sięgała do poświęconego stawu. To nieszczęście, ta strata pamięci u króla są skutkiem przeklęstwa bramina. Sakontala, zapomniana od męża, zelżona od dworaków, odchodzi z sercem rozdartém. Ona mniema, że Duszmanta zaparł się swojej miłości.

Nie długo potém rybak, złowiwszy rybę, znajduje w niej pierścień kosztowny; chcąc go sprzedać idzie do stolicy — schwytany, przyprowadzony przed Duszmantę. Na widok pierścienia nagle król wraca do pamięci, wraca mu się uczucie najwyższej jego miłości do Sakontali — Żal i rozpacz króla. — Wkońcu Sakontala wynaleziona. — Szczęście obojga kochanków.

LIST XVI.

E g i p t.

Wstęp. — Natura Egiptu i Historya. — Teby — groby (hypogee) Tebańskie. — Zwaliska Teb. — Memnony. — Piramidy. — Labirynt. — Usposobienie duchowe Starego Egiptu i wynikająca stąd symboliczność jego fantazyi. — Cecha rzeźby i architektury Egipskiej. — Gadka stara.

Niekiedy i dobrze pomówić z umarłymi!

Nie wiem, czyliby się kto znalazł, coby, przeżywszy już znaczniejszą część swojego życia, nie doświadczył czasem tych chwil niewypowiedzianej, rzewnej tęsknoty, kiedy się nam przykrzy w tém życiu powszedniem, tych chwil, w których serce zachodzi bolami całej naszej przeszłości i nabrzmiewa niby łzami cierpień bez końca. Są to chwile tak smętne i szare, że nam aż ciężko, dławno, parno na tym Bożym świecie, co przecież tak piękny a cudów pełny. Są to chwile, w których dobrze pomówić z umarłymi; wtedy dobrze utonąć w duszy, wskrzesić pamięć zgasłych ojców, przyjaciół, krewnych, i rozmówić się w myśli od serca z nimi; wtedy dobrze nawiedzić mogiły i groby i

przenieść się w dawno upłynione lata; a często umarli uleczą zbolełe dusze żywych.

A kto jeszcze przeżył długie lata w mieście jakim, toć pewnie na cmentarzu jego będzie miał część własnej przeszłości, część własnego żywota pogrzebaną pod ziemią. Dla tego też i na naszym krakowskim cmentarzu w każdej prawie godzinie, w każdej porze dnia znajdziesz kogoś z miasta na samotnej pielgrzymce wśród grobów.

Wczoraj i ja taką wędrówkę odbyłem.

Śmierć, to wielka nauka dla żyjących! jakoż kłopotki i zmartwienia codzienne marszczą jedynie wierzchnie duszy fale, lecz gdy zniecka spadnie na ciebie całym brzemieniem skon drogiego człowieka, którego uczucia zrosły się z uczuciami serca twojego, wtedy nieskończone boleści, jakby burze i wichry Boże, roztworzą ci do dna duszy twojej topiele, i z głębin ich wyrzucą na jaw prawdy jak perły drogie, choć wśród cierpień zrodzone; bo wtedy co wiekuiste, co nieskończone, stanie w promieniu niebiańskim przed duszą twoją; co ziemskie, doczesne, zblednie, skurczy się w karła, zniknie, uleci. Wtedy poczucie wewnętrzne ci wróży, że cię sam Bóg nawiedził. Czas zagoi wprawdzie głębokie rany serca w blizny; na miejsce wrzącej, gwałtownej boleści wstąpią wspomnienia smętku i żalu, a przecież tak pełne słodczy rzewnej. Ale to dopiero wśród grobów owieje cię dech innych światów, tak cichy i spokojny, że ci ukoji troski codzienne i ulży te biedy, biedki zwyczajnego żywota.

Takowym uczuciom dziwnie wtórowała sama pora roku na tej wczorajszej wędrówce mojej, po tym krakowskim cmentarzu!

Głęboka jesień przygasiła już wszystkie natury barwy; sposzarała te jasne nieba błękity; jej wichry obdarły z krzewów i drzew ów bogaty liści strój, co na wiosnę wykluwał się tak uroczo, tak pełen nadziei ku słońcu; dziś, jakby najdroższe serca ludzkiego uczucia, rzucony o ziemię wilgotną, zwałany, sponiewierany, poszedł na pomiotłą i gry mroźnym, jesiennym zamieciom. Mgła mokra, gęsta kłębamii przewalała się po świecie, w niej jakby w morzu tonęły domy, wieże, kościoły; one teraz, jakby własne mary swoje, traciły zarysy rozplływając się w kształty zamazane, omdlałe. Daleko jeszcze za miasto dopływały zegarów głosy, i stary Kraków nasz uderzył w swe kościelne dzwony, i harmonią ich tonów zaśpiewał tren żałoby, tak pełen grozy, tak przeciągły, głęboki i smętny. W końcu i ta pieśń oniemiała, umarła.

Wśród samotności a głuchego opuszczenia, niedaleko przed bramą cmentarza zaszedł mi drogę pogrzeb. Z grubiej mgły występował zwolna, niby z obłoków, ubogi wózek o jednym zbiedzonym koniu, na wózku z prostych desek trumna, a na trumnie krzyż czarny rozmazany słońcem; obok szedł woźnica, — on był sam jeden całym konwojem pogrzebowym. Mgła coraz gęstsza już obsłoniła nawet najbliższe przedmioty i zamknęła nas zewsząd oponą swoją; tak tedy umarły, i woźnica i ja składaliśmy sobie we trzech świat osobny, własny i cichy. Czasem tylko wózek zaskrzypiał, czasem trumna stukła, czasem zaklekotały nad nami suche gałęzie drzew. Tak w końcu stanął wózek u wrót cmentarza; dołów przygotowanych było podobnie; więc wrychle zadudniła trumna w głębi, więc kilka łopat ziemi, a już nasz wędrowiec stał się

jednym z gospodarzy na tej świętej roli Bożej. Blisko
 niego stós liści żółkłych, nawianych wśród grobów;
 one, chwycione wiatrem, nagle się zerwały, skrzyły się
 w słup, a słup wierząc się i szumiąc poleciał daleko
 po nad mogiły, niby oznajmując im nowego przybylca;
 świerki zaś, te warty grobowe, co im tak bujno na
 naszym cmentarzu, zatrzęsły się w sobie zimnym dresz-
 czem, zamruczały i wnet rozgadały nowinę po całym
 cmentarzu. A w koło już nie było widać istoty ży-
 jącej. Głucha cisza zaległa tę nieprzejrzaną przestrzeń;
 niekiedy tylko tu lub ówdzie zgrzytły drzwiczki blaszane
 na starych pochylonych krzyżach, niekiedy na grobie
 sykły zioła zwiędnięte, powiewem poruszone; west-
 czał zwiędnięty listek, poruszył się na grobie; niekiedy
 coś stęкло pod ziemią — zapewne załamały się dawne
 spróchniałe deski. W środku, jakby na rozstajnych
 drogach, czerniła się kaplica drewniana; ona choć biedna,
 z desek sklecona, jest jakby stolicą świętą tych grobów
 ubogich i tych pomników okazałych. Gdym wracając
 przechodził to nieboszczyków państwo, nie było już
 widać duszy żywej; zdawało się jak gdyby te długie
 rzędy grobów jedne po drugich z kolei wybiegały na
 przeciw mnie z pod zasłony wieczornego już mroku i
 mgły; jak gdyby te szyki czarnych krzyżów, pomników
 kamiennych, zachodziły długim, nieprzejrzanym szere-
 giem, niby wojska kroczące śpiesznie na przegląd Bo-
 ży a ostateczny sąd. Były też mogiły bez krzyża i
 napisu; widać że mieszkańcy ich wlekli krzyż przez
 cały żywot swój, i na nim też legli w grobowym dole;
 lecz imiona ich, łzawem zaprawdę pismem wryte,
 trwają w pamięci tych, których zostawili na ziemi.
 Obejdzie się już bez pomników, — wszędzie ta ziemia

jest święta, wszędzie sprawiona krwią i cierpieniem bez końca. — Cmentarz rodzinnego miasta, toć to jest kronika téj cichej historii rodzin, tych dramatów, co to odbywają się na szczupłej skromnej scenie domowej, nieznanéj od świata, a przecież tak często są pełne rzewności, tak bogate w serdeczną treść, iżbyś nią mógł napelnić księgi całe.

Przebaczysz mi zapewne, że ci położyłem ułomkiem wewnętrzne dzieje uczuć; ale one nie są bynajmniej osobistemi uczuciami; one przecież są wszystkim prawie ludziom wspólne, bo rzadkobyś znalazł serce, do którego by nie zapukały choć z cicha myśli podobne; a wspomniałem ci o tém wszystkiém, dla tego że z kolei przychodzi mi mówić o tym ludzie, którego życie całe było dumaniem nad śmiercią, o ludzie starego Egiptu, którego historia i kraj cały jest cmentarzem, kędy dech grobowy owionął wszystkie człowieka sprawy, od kolebki do śmierci.

Nieśmy atoli dzięki i chwałę ludowi, który pierwszy w staréj Historii głęboką wiedzą a instynktową wiarą uświęcił prawdę o nieśmiertelności duszy, który, uznając świat materji jedynie za przybytek ducha a ciało za doczesne szaty jego, oddawał cześć ludzkim zwłokom; nieśmy, powiadam, cześć ludowi który całe życie pracował by umarł i był pogrzebion z godnością.

Egiptką ziemię zewsząd obsiadły tłumne narody, z których każdy w kolei wieków, niby na sejmach dziejów ludzkich, zabierał głos w świętej sprawie czło-

wieczego rodu; sam tylko Egipt zamysłony milczał w ciszy ducha swojego; on bez bojów hałaśnych, bez wojen światoburzących zdobywał na własnych głębiach duchowych skarby, któremi zapomógł wszystkie w koło ludy i zubożył późne wieki. Na wewnątrz siebie zwrócony, podsłuchiwał wiekuistości zrodzenia i tonął we własnej istocie, tonął w bezdeniach nieba; w nich, jakby na zegarze świata, myślą ścigał wieczne gwiazd obiegi. Aleć bo też i sama ziemia rodzinna tego ludu jakby na zadumanie a zebranie myśli stworzona. Niby ona jest wyspą samotną, odrębną, a przecież śród obszaru i twierdzy łądów stałych. Jakoż ze wschodu i zachodu dyszą dwie przestrzenie skwarne pustyni głuchych. Tam wszystko martwe, nieruchome, prócz piaszczystych zawiei; wszystko nieme krom westchnień zbłąkanego wędrowca; tam jedynym życiem lew, tygrys, szakal lub kościste, trupie ramiona kaktusów, a nad pustynią bezmierną sklepi się tarcza nieba płomienna czerwonym żarem, rozpalając piaski i chaotyczne głązy pustyni barwą ognistą. (*) Od północy wprawdzie morze śródziemne bije otwartą falą swoją; lecz gdy dla innych narodów pomorza są wolnym, swobodnym oddechem ku światu i szerokim gościńcem, wiążącym spolem ludy, dla Egiptu morskie wody są złowrogim bóstwem; on ze wstrętem odwraca się od nich, wpatrując się jedynie obliczem niezmiennym we własny kraj, niby w dom a dzieje swoje. Więc tylko od południa

(*) Pan Tepa, jeden z najznakomitszych artystów naszych, odbywszy podróż po Wschodzie przywiózł nam szkice i studia z Egiptu; on pędem, jakby w tych skwarach promiennych umaczanym, przedstawił potężniej i strachy i przepych tych pustyni, niżby tego dokonać zdołały wszelkie opisy moje.

jedyna jest brama do tej zamkniętej w sobie ziemi. Gdy bowiem Nil, spadłszy z Alpów Abyssińskich a przebrawszy się przez Nubię, dostaje się pod granice egipskie, już tutaj gruchoce nurty swoje o tysiące wysp opocznych i olbrzymie sterczące skalne samorody; a szumi i kipi, swawoli i pryska, zanim u samych wrót Egiptu z hukiem i grzmotem przewali się przez katarakty i progi. Tu w koło obstepuje go Natura również dzika, zuchwała, groźna w przepaści i strome skalne ściany. Zaledwie atoli rzeka pominie Elefantyń, ostatnią wyspę przezwaną „wonnym kwiatów ogrodem,” na której święty grób Ozyrysa, zaledwie tu dotknie się gruntu Egiptu właściwego, a już miarkuje swoje wody, już upamiętawszy się płynie uroczysto, poważnie, w milczeniu, jakby ze czcią, z uszanowaniem przez ten kraj również uroczysty, poważny, i tak już z wolna, z cicha dąży w nieskończone morza objęcie.

Ale już przy wstępie do Egiptu zbliżają się do obu brzegów pasma gór, a ścianami rudawemi towarzyszą rzece bez przerwy, zostawując między sobą dolinę wąską, bo szerokości ledwie kilkomilowej. Tym tedy pasem ciasnym, zielonym, bieży Nil nierozdzielonym łozem; z obu stron za górami ziewają owe pustynie samotne, głuche. Dopiero gdy rzeka podpłylnie w sąsiedztwo morza, oba pasma oddalają się od jej brzegów rozchodząc się w odwrotne sobie strony. Nil tutaj, wypuszczony z ciasnych karbów na przestrzeńszy kraj, rozstepuje się w dwa potężne konary, a tak zdradza one sławne w świecie widły swoje — *Deltę*. Egipt tedy różni się postacią od wszystkich innych krajów na Ziemi; on cały jest tylko rzeką z dwoma długimi a wązkimi pobrzeżami i z płatem szerszym przy końcu;

więc go też Herodot uważa być podobnym do cienkiej zielonej łądygi o jednym liściu u szczytu, a rzuconej na czerwony piasek pustyni.

Jak do tej samotnej doliny, odgradzonej od świata, rzadko tylko zalatują turkoty historii i wrzaski wywrótnych wojen, jak w sercu ludu tego przebywa cichy głęboki pokój, nie zamięszony namiętności wojną, tak też i niebo jego ciche, bezchmurne; nie ujrzysz na niem onych wiecznie zmiennych kształtów i ruchawych barw obłocznych, onego dramatu, co ciągle walcząc, ciągle się przeobraża w nadpowietrznej scenie; tu spokojny błękitów strop zagłada milczący w kraj i w spokojne a ciche serce człowieka. (*)

Jednakże najpotężniejszem znamieniem kraju, które się już nigdzie więcej z tą dobitnością nie powtarza, jest Nil. On nabrzmiwaniem i opadaniem wód swoich zrodził w duszy człowieka niezachwianą myśl o rządzie i ładzie niezmiennym Świata, i rozdzielił rok Egipski na trzy silnie odgradzone od siebie pory; on był drogą którą z południa przyplęnęła cywilizacya.

(*) Co do natury Egiptu porówn. Ritter, Erdkunde T. I. od str. 677. — Śpieszymy zawiadomić czytelników, że niedawno przybyło do literatury Polskiej dzieło nowe *Podróż na Wschód* pizez M. Manna, w którym czytelnik znajdzie wierne obrazy natury i sztuki starożytnego Egiptu, co tém dokładniej przedstawia nam ten kraj niesłychanych cudów, że autor sam go zwiedzając pisał książkę swoją pod wrażeniem świeżem i żywem którego doznawał na miejscu, otoczony będąc w koło scenami tej nadzwyczajnej przyrody, i zabytkami nadzwyczajniejszego jeszcze ludu. Wyjątki z tego dzieła, dotychczas ogłoszone, dowiodły że autor miał oczy i uczucia otwarte na świat, że dostrzegał nawet szczegóły, co choć niby drobne, nie pomału przyczyniają się do kolorytu i tonu obrazów.

Na brzegach jego następują po sobie trzy dzielnice jeograficzne kraju, trzy miasta stołeczne i trzy odpowiednie im epoki historyi. Jakoż oświata ze starej Nubii, z pradziadowego a zapomnianego Meroe, założyła w wyższym Egipcie Teby; później, z upływem wieków, dźwignęła w Egipcie średnim państwo Memfis i zbudowała owe piramidy swoje; w końcu, zatrzymując się nad morzem, wystawiła w Alexandryi tron Ptolomeuszów. Tutaj atoli już duch Grecyi zawiął Egipt i zmienił postać jego. Więc też owe same dwie pierwsze dzielnice kraju a pierwsze dwie epoki historyi są istnym wyrazem fantazyi i właściwego żywota jego. (*)

Znać ze wszystkich zjawisk że Egipcjowi sztuka przyszła z południa, z Etiopii; wszak stamtąd nawet wstępuje do Egiptu owa architektura we wnętrzu skał wykowanych świątnic i w łonie gór wydrążonych przybytków przypominających Indye; a lubo tutaj na ziemi egipskiej budowanie usamowalnia się już z objęcia podziemnej natury, przecież olbrzymie pieczary, tak rozłożyste a zdobyte pracą niesłychaną i żelaznym trudem, świadczą i o pochodzeniu swoim i o potężnej niezłomnej woli starego Egiptu. Bo jak ów robaczek z piersi swych wysnuwa jedwabną przędzę, i biedzi się i sili, by z niej utkać grób dla siebie, co go kiedyś ma wypuścić lekkim skrzydlatym motylkiem, tak dusza ludu tego, niespracowana nigdy prządka, z siebie wydobywa nadczłowieczych prawie sił i wytrwania bez

(*) Wiadomo nam, że w najświeższych badaniach historycznych znajdują się domysły, wywodzące inaczej pochod historyi w Egipcie; ale owe badania dotychczas, o ile sądzić się ośmielam, nie poparły jeszcze, dostatecznie twierdzenia swojego.

granic, i walczy ze skałą i mocije się z nieużyta, twardą naturą, by sobie stworzyć pośmiertne mieszkanie, kędyby już mogła spocząć w ciszy i doczekać się zanim też jój wyrosną wiekuistości skrzydła.

Tak Egipt jest cały cmentarzem a jego najwyższą sprawą życia jest dumanie nad śmiercią, obrzęd pogrzebowy, i oddanie czci zwłokom umarłych.

Nad Tebami, na ścianach zachodniego pasma gór, co tak silnie odsadza czerwonawe kształty swoje od jasnych nieba błękitów, czernią się plamy, idące po sobie jakby następstwem otworów fujarki pasterskiej; są to wchody do podziemnego, w górze wykutego, państwa umarłych. Gdy pustynia chuchnie, rozpiezione jój tchy wlatują w głębie tych pieczar, a one jękną tonem żalonym, długim. Więc też z dawien dawna zowią te groty fletnią (Syrinx). Dziś, w pierwszych przysionkach do tajemniczego Świata przeszłości, znajdziesz rodziny na pół dzikich Arabów, którzy niby pasterze, niby rozbojnicy tutaj wraz z trzodami założyli legowiska swoje. Drgający płomień kagańca oświeca gospodarowanie barbarzyńców w tym świecie ponurym, tęsknym. Na pół nadzy rozkładają się na mumiach i czaszkach z wieków Faraonów i warzą sobie wieczerze przy ogniu roznieconym z trumien spruchniałych i z kości dawno zapadłych pokoleń; bają i prawią o przygodach, o rozbojach, o podstępach swoich, i chełpiąc się pokazują sobie wzajem naszyjniki, figurki, pierścienie i inne łupy wykradzione z głębin kośnie starych. Bo oni przywłaszczyli sobie puściznę po tej siwej przeszłości Egiptu i rabują groby zgasłych stuleciów jego. Więc z szalbierska handlują swą zdobyczą, więc zazdrośni frymarku za ciężkim okupem pozwalają wstępu obcym do

wewnętrznych pieczar grobowych. Lecz gdy w nie wstąpisz, gdy przy płomieniu pochodni rozpatrzysz się w tych nocnych przestrzeniach, już świat jakiś, zgrozy a uroczystości pełny, obejmie cię całą potęgą swoją; otoczy cię zamęt ulic, placów, przysionków, komór i t. d., za nimi ciągną znów inne krużganki, chodniki, a za temi znów inne i tak bez końca; tu schody w górę się spinają, tam inne idą wglęb; tu schody wyprostowane, szerokie, tam skręcają się ślimakiem; tu na czworaku po ziemi pleść się potrzeba, tam znajdziesz salę przestronną, wysoką, słupiącą, gdzieindziej znów zapadają niby studnie, szyby pionowe i giną w głębiach niedójrzanym. Całe to pieczar państwo gmatwa się labiryntem powikłanym, całe wykute w litęj opoce, całe założone zwłokami umarłych pokoleń. Setkami, tysiącami piętrzą się mumie na mumiach, na trumnach trumny; znać, że wiek po wieku wnosił tu zwłoki swoje i układał w stosy, budując z nich jakby twierdze śmierci i pomniki znikomości ludzkiej.

Przez ten świat skonu i zniszczenia atoli wygląda życie starego Egiptu w całej prawdzie, z całą treścią domowego obyczaju. Ściany w koło strojne w obrazy malowane, a tak barwami świeże jak gdyby wczoraj dopiero wyszły z pod pęzła mistrza. Tu widzisz stolarskie, ciesielskie warstwy, tam piekarze lub czeladź garbarska krząta się pilnie około pracy swojej; indziej znów uwija się skoczne grono tancerzy a wtórują im grajki i dudarze; często też wśród tych scen codziennych zwyczajów weiskają się nieme a tak pełne wymowy przestrogi z innego świata. Przed pałacem wiekuistej sprawiedliwości zasiada na sądzie Ozyrys otoczony orszakami swojego dworu, przed nim stanęła

dusza zmarłego. Ozyrys na szali waży i mierzy sprawę jej ziemskiego żywota i stanowi niezmiennym wyrokiem o losie jej, o pokucie powtórnej na ziemi, lub o nagrodzie w promienistej krainie gwiazd. Tych sądów pośmiertnych znajdziesz tu gęsto: jedne malowane na ścianach, inne na papyrusach dodane jakby posagiem mumiom w śmiertelne powicie. Niekiedy w końcu korytarza dygoce i mruga w kołyszącém się świetle pochodni postać rzeźbiona występująca ze skalnej ściany.

Ale tu, gdzie niegdyś panował ład i ścisły szyk, dziś rozpustuje gburowata swawola. Widać, że tu często ręka świętokradzka, poderwawszy niższe warstwy trumien, zwała całe to misterne budowanie, a setki mumii rozsypały się po ziemi dzikiem zamętem; kiedy stąpisz przebijesz nogą cztery, sześć i więcej ciał spróchniałych, a z nich miał gęsty, gruby, czarny unosi się chmurą, miesza się z powietrzem, dławi oddech grożąc zaduszeniem.

Te prochy brudne, ta tłuszcza nieprzebrana ohydnych nietoperzów, które, ocuczone ogniem pochodni, ze świstem i piskiem wirują koło wędrowca głowy, wiewy i cuch z nieprzeliczonej ciżby umarłych ciał, zaducha skwarna niby rozpalonej hutę w tych sklepach smętnych, uderzają zgrozą zmysły i znękaniem ciała. A pamięć olbrzymiej, tu pochowanej przeszłości, żywa obecność śmierci i zniszczenia, trud i dzieje tylu pokoleń, cienie lat tysięcy które tu przemieszkały, napominające a groźne oblicze historyi, to wszystko ciężkiem brzemieniem pada na duszę i niby snem straszliwym nagli, by się wydobyć z objęcia tych widziadeł i odetchnąć swobodnie w jasnym słońcu dnia i żywota.

Więc niby odrodzony znajdziesz się na wyżynach górujących owe katakomby; ale tu nowe, lubo inne, dziwy niewypowiedzianą siłą chwytają za serce wędrowca. Pod stopami, po obu pobrzeżach nilowych rozściela się niedoścignione okiem morze zburzysk, rozwalin. Są to rozsypiska Teb, najstarszego miasta w stariej świata cywilizacji. Wszak Homer, temu lat blisko trzy tysiące, sławi głośną już wtedy potęgę i chwałę Tebańskiej stolicy, a zdobywając się na wyrażenie najwyższej zamożności śpiewa: o piaskach morskich zamienionych w złoto, lub o skarbach, które się w stobramnych Tebów liczą mieście:

Gdzie w pole każdą bramą idzie mężów dwieście,
Koni i wozów liczne prowadzą szeregi.

(*Iliada IX. 382.*)

Dziś ta pieśń wielkiego wieszczka żyje jak przed trzydziestu wiekami, ale ów lud budownik przebrzmiał niby struna lutni zerwana; a miasto jego, ognisko stołeczne stariej kultury ludzkiego rodu, strojne w grobowce, pałace, świątynie, zbogaczone posagiem Indyan, Arabii, murzyńskich krajów i ludów zaoceañskich, to miasto do imienia prawie przepadło w zapomnieniu. A jak nici pajęcze na drogich stłuczonych rzeźbach, tak dziewięć wiosek siadło, wraz z gruntami swojemi, na obaliskach jego, przylepiły dymne chatki i gołębniaki swoje do przepychu wywróconych piękności dzieł, na które składały się robotników miliony i długi szeregi wymarłych po sobie pokoleń. Te nędzne wioski nadają dziś nazwiska swoje dzielnicom osobnym roztrzęsionych Teb.

Teraz te gruzy niby bawidelka naukowe rozwioła po świecie. Każda stolica nasza radaby się pocieszyć,

jakby cackiem, sfinxem rodzimego egipskiego pochodzenia, zapominając, że nasz własny czas jest sfinxem, co grozi zdławieniem każdemu, kto nie rozwiąże jego zagadki — kto nie zrozumie jego tajemnicy. Wszak z łona starych Teb przywieziono do Europy ów obelisk Luxoru i postawiono w Paryżu na ozdobne ubranie miasta. Gdy drugi, jakby bliźniak, jemu podobny obelisk świeci jeszcze swym blaskiem w egipskiem słońcu, tamten, wyrwany z pod boku jego, rysuje się i trawi w chmurach i mrozach północnego nieba. Obcy gość, z pod obcego nieba, z innych lat tysięcy stanął wśród pokolenia obcego sobie i przemawia hieroglifami do naszego stolecia.

Gdy nam w Europie pokazują malowane widoki egipskich budowli, gdy w zbiorach bogatych znachodzimy grobowce, posągi z nadnilowych brzegów sprowadzone, toć kształty tej architektury, tej rzeźby tak nam się zdają podsadziste, grube, a postaci rzeźby egipskiej tak niby chude i twarde, że nam już trudno dopatrzeć się w nich piękności jakowej. Ale, powiedz, czyli ktoś zdoła nawet odgadnąć duszę choć małej, ulotnej piosenki, kto zarazem nie rozumie ojczystego jej kraju, kto nie rozumie szeptu borów tego kraju i westchnień jego łąk, i muzyki jego wichrów i wód? kto nigdy nie przyłożył ucha i serca do gruzów, do mogił jego, i nie podsłuchał pulsów bijących w głębi tej ziemi? — Więc też dziełom Egiptu przypatrzeć się należy w Egipcie samym; gdy na nie technie powietrze ojczyste, gdy je opłynie poświata i barwy rodzinnego nieba, gdy zafarbuje właściwemi kolorami, wtedy owe strętne kształty nabiorą życia i ruchu, uduchownią się, uderzą potężnym zarysem swych linii, i zagrają

siłą swych światel i cieniów, tak pełnych tajemniczego uroku. Tu na tej ziemi egipskiej kolumny greckie, choć tak szlachetne i czyste w rysunku swoim, budowania rzymskie choć tak śmiałe i harde, będą nikłe i omdlałe bez wydatnych cieniów i światel, bez dźwięku i siły. Te greckie zwłaszcza budowania, postawione na ziemi egipskiej, obok dzieł własnych Egiptu będą śpiewem niewieścim obok grzmiących hymnem organów. Więcej niż którakolwiek inna fantazyja, fantazyja egipska doszła się zycia u piersi własnej ziemi, dochowała się i urosła w objęciu ojezystej natury. Nigdzie już więcej nie spotykamy tak spólnego nastroju tych dwóch potęg, tak różnych od siebie, bo spraw ludzkich i przyrody krajowej. Dla tego też w Egipcie sztuka tak do siebie zawsze podobna, tak sobie samej wierna, tak wpływem wieków nie traci właściwego wyrazistego piętna, jak natura Egiptu zachowała wiernie rodzinną cechę swoją. Więc też dość jest przypatrzeć się jednemu z dzieł egipskiej fantazyi artystycznej, aby sobie już wywróżyć ducha spoczywającego na dnie wszystkich tych dzieł i we wszystkich dzielnicach kraju i we wszystkich epokach jego historyi.

Teby atoli są sercem całej sztuki egipskiej, a choć dla łatwiejszego upamiętania się podzielono zamęt ich gruzów aż na dwanaście grup osobnych, dla nas wszakże wystarczy wspomnieć o zburzyskach pałacu Karnak; szczęty jego szczęśliwiej zachowane wystarczą za wszystkie inne. Nie będziem się też wdawali w szczegółowe opisy, bo te już dziś w lada książce znaleźć możesz; chodzi mi jedynie tutaj o to, by odświeżyć w myśli twojej zarysy Egiptu, byśmy się mogli tem snadniej porozumieć z sobą.

Tuż od wschodniego Nilowego brzegu, sześćset kolosalnego wymiaru sfinxów, o głowie niewieściej a lwim kadłubie, staje dwoistym szeregiem po obu stronach szerokiego gościńca. Ten później rozszczepia się na dwie ulice sfinxowe, jedna ma się na lewo i dobiega do świątynicy najdawniejszej w całej Tebaidzie; kolumny jej ciężkie, kształty osiadłe, poważne, zadumane, a światło, po mistrzowsku użyte, nie wpada wprost w przestrzeń przybytku, ale odbijając się i łamiąc rozlewa się z góry mistycznym i tajemniczym urokiem. Lecz to arcydzieło starodawnego Egiptu zmaleje, gdy się weźmiesz na prawo onego gościńca głównego i puścisz się drugą ulicą sfinxową wiodącą ku pałacowi Karnak.

Sam wstęp już do tego dziwnego gmachu jest jakby wspaniałą przedmową do czarodziejskich wielkości, które czekają na wędrowca we wnętrzu starożytności. Bo pylon wehłody i przysionek wstępny jaśnieje i kosztownością materiału i dobraniem artystycznym jego barw; tu świetne marmury i granity różowe, i piaskowce różnofarbne spływają w jedność spólnego akordu; przed bramą dwa olbrzymy, niby dwie warty kamienne, strzegą wejścia do świętego przybytku. Więc z napiętą wyobraźnią a naprężoną bacznością wstępujemy do pierwszego dziedzińca, co ogromnie rozlega się niby rynek miejski. Tu wywróciska na wywróciskach piętrzą się w mogiły, w góry. Obalone kolumny, zgruchotane kolosy, stłuczone obeliski plątają się z sobą i sterczą szalonym nieładem. W koło dziedzińca obiegają podsienia wsparte na długim szeregu kamiennych filarów. Wśrodku, jak znać, dźwigały się dwa rzędy kolumn monolitowych (z jednej sztuki) a wy-

sokich niby dom czteropiętrowy (70 stóp), ale wszystkie trzęsieniem ziemi są strzaskane, prócz jednej; one potłuczone w kręgi mięszają się z sobą niby porozciskane warcaby. Między te słupy przechodziły niegdyś ofierne kapłany i tłumy nabożnego ludu. Na drugiej stronie dziedzińca, wprost wehodu, roztwiera się nowa brama, nowy pylon, nowy przysionek. Taż katastrofa natury, która wywróciła owe dziedzińcowe kolumny, obaliła jedną połowę wstępnej bramy (pilonu) a gruzy legły tak potężnym chaosem żeć się zdaje, jak gdyby się góra urwała z posad swoich i wysypała tu wnętrzności swoje. Tędy to wstęp do najogromniejszej sali jaka jest na świecie. Bo ta sala tak rozłożysta, izby kościół N. Panny w Paryżu w niej pomieścił się z łatwością. Ta sala jest ze cztery razy obszerniejsza niż nasze krakowskie sukiennice (bo 318 stóp dł. 180 szer.), a tak wysoka, że kolumny podpierające strop sięgłyby prawie pod sklepienie tak śmiałe naszego maryjackiego kościoła (88 stóp) — tych kolumn podpierających kamienną powałę jest niby las, bo jest ich 134, a wszystkie z jednego kamienia! a wszystkie tak grube, że na gźemsie, obiegającym ich głowice, sto ludzi wygodnieby stanąć mogło. Z tej sali wyprowadza nowa brama, znów olbrzymi pylon, za nim znów nowy dziedzińiec, a za tym dziedzińcem znowu inny czwarty pylon z bramą; od niego dopiero idzie wstęp do wewnętrznych najbogatszych gmachów. Jeżeli już wszędzie poprzednio lśniały obrazy pozłoty i rzeźby, toć tutaj w tych świetlicach już niewyczerpana błyszczy bujność stroju i ozdób i rzeźb. Processye, bitwy, ofiary, łowy, tryumfy, bogi i ludzie, obcy i swoi przesuwiają się na ścianach niby kamienna epopeja niesłychanego przepychu.

Zważ, to samo trzęsienie ziemi, co poderwało kolumny na dziedzińcu i połowę wstępnego pilonu, nie zdołało przemódz potęgi owej sali. Wałący się pilon dosięgnął i zgruchotał trzy najbliższe kolumny, uderzył i w czwartą, ale ta już nie zadrgała w sobie i do tej chwili dźwiga całe bezmierne brzemie onych chaotycznych gruzów. Natura, wojując swoją ślepią siłą materyalną, nie przemogła tutaj materyalnej potęgi dzieł człowieka. Sala ta dziś w tej samej postaci, w jakiej była przed 3000 lat.

Trudno się upamiętać i uspokoić rozkołysaną imaginacją; dusza tu widza ciągle jakby na skrzypcu, od wrażeń potężnych przechodzi do silniejszych, do potężniejszych jeszcze. Dwadzieścia bram są tutaj wchodem do wewnętrznych komnat, sal, korytarzy, izb, rozdzielonych w sercu samém tego świata stariej architektury. Zrozumiesz najwyższe zachwycenie wędrowca, jeżeli zważysz, iż te ogromy wszystkie, te wszystkie pilony, dziedzińce, bramy, sale, przysionki, zbudowane są na wspólnej osi, na jednej linii ocznej, perspektywą olbrzymią. Zrazu, na przodzie, uderzają gwałtowne wielkością kształty i gwałtowne światła i cienie; te stopniami nikną, gasną, zbliżają się do siebie, aż na końcu w niedościgłej dali mdleją, tonąc w błękitnej srzędze atmosfery, niby tony oddalającej się muzyki. To państwo niesłychanej świetności otoczone było w koło murem, a tak składało się w całość, której już nie sprosta żadne budowanie w nowej Europie. Zbliżał się może do niego Rzym swoją architekturą w czasie najwyższego górowania, gdy trzymał żelazną ręką cały ówczesny znajomy świat. Ale kościół S. Piotra dzisiejszego Rzymu, wraz z kolumnadą dziedzińca swo-

jego, znacznie jest krótszy (bo o 111 stóp), niż długość pałacu Karnak, licząc od sfinxów wschodniej do zachodniej bramy.

Słusznie ktoś z najpoważniejszych wędrowców powiada, iż rozwaliny tego pałacu w Karnak są najwspanialszym i najogromniejszym zabytkiem stariej i nowiej historyi. A Champollion, którego zapewne nikt nie posądzi o przesadę, tak się wyraża: „Egiptycanie „zabierali się do dzieł takich, jak gdyby byli wielko- „ludami sto stóp wysokimi. Taż wyobraźnia nasza, „co snadno myślą wylatuje nad kolumny budowli „europejskich, tutaj pada zemdlona u podnoża kolumn „pałacu Karnak. Ani mnie też zbiera chęć skreślenia „obrazu jego, bobym nie sprostął i w tysiącnej części „przedmiotowi; a nadto, gdybym nawet zdobył się na „jakiś opis jałowy i bezbarwny, toćby mnie jeszcze „w Europie przezwali zapaleńcem, alboby może i po- „wiedzieli, żem na rozumie zaszwanował.“

Jużby ani słów ani miejsca stało, gdyby mi przyszło choć pobieżnie wspomnieć o Luxoru chwale, o grobie Ozymandiasa, co zaludniony mnóstwem kolosalnych figur, o tym stropie kamiennym, który cały z jednej sztuki a świeci złotemi gwiazdami na lazurówem tle, lub o owych gruzach, które się zdają być rozwaliną miasta a które przecież są tylko gruzami strzaskanych posągów o wymiarach ogromnych, lub o onym Hippodromie, miejscu widowisk i igrzysk, ćwierć mili długim a półwierci mili szerokim.

Wpśród zwaliska siwej przeszłości siedzą w spokoju i ciszy głębokiej owe dwa olbrzymie Memnony z głazu wykute, a są tak ogromne, że je w koło o dwie mile obaczysz. Długi i przeciągły ich cień do-

siega ścian oddalonych gór Libijskich, i, niby widziadło starego Egiptu, krocząc mierzy uciekające światu godziny. Niegdyś te Memnony witały każdy wschód słońca głębokim dźwiękiem, niby pieśnią poranną „był to dźwięk,” powiada Strabo, „jakby zerwanej „struny.“ Dziś Memnony nieme, i w tém milczeniu swoim znów przetrwają nowe lat tysiące. Przycho-
dnie z Europy nocują przy ich stopach, by się z pierwszym promieniem słońca dosłuchać tajemniczej ich mowy. W mroku nocy, przy migotach jasnych gwiazd przeczystego Egipskiego nieba, kształty olbrzymów rosną w ogrom straszliwy; w kolo słyhać kwilące szakale, ze szczelin posągów wybiegają ze szmerem gromady jaszczurek, wiatr szepce z cicha około głów Memnonów. Ale one same milczą; światło i promienne ciepło słońca już nie budzi więcej oniemiałych tonów. Już wszystkie struny pękły w piersiach dawnego Egiptu. Bo dla świata inne ciepło, inne światło, inne słońce weszło w sercu człowieka, a powitały je znękane miliony pieśnią radości i dziękczynienia — Mowa tajemnicza Egiptu już jest poniewczasie.

Te przepęchy i wysilenia ludzkie wywróciły już szalone siły natury, już owe, również ślepe i dzikie, z Azji przybyłce; a pierwszym z nich był ów Kambizes Pers, co to brodził we krwi, w winie, w łzach ludzkich, i wyprawiał burdy po świecie; on pijaną pięścią nderzył w tę siwą, zacną cywilizacyą egipską; lecz szalony zawadyaka zgruchotał jedynie głazy; duch Egiptu nie tknięty wznosił się w niepokalanęj zacności i zasiadł na zburzyskach swęj stolicy, niby na tronie a majestacie swoim, i z nich patrzy na rodzące się

oświaty potomnych narodów niby na wnuki swoje; a ów warchoł azyatycki przepadł w swém nicestwie.

Zważ, przez dwieście lat tu plondrowali i gruchotali Persowie, a przecież gruzy, co ich przetrwały, tak są piękności a rzewności pełne, tak wejrzeniem swojem grają w duszy wędrowca, że przejmują czią i dreszczem uszanowania. Pomyśl, coby zostało z tych stolic naszych europejskich, z tych Londynów, Neapolów, Berlinów, gdyby się ziemia pod nimi zatrzęsła, gdyby w nich przez dwa stolecia gospodarowały barbarzyńskie burzyciele, gdyby jeszcze na dobitkę, jak w Tebach, po ich rozsypiskach przeorało się ciężkim pochodem dwa lub trzy tysiące lat? Może późny jaki wiek dokopałby się w ich rumowisku skorup dzwonów potłuczonych, jakich ułomków z oprawy o strołukich bram, lub innych okruców z dzielności średnich wieków; reszta zamieniłaby się w kupę gliny, tynku i błota!

Atoli rozsypiska, pozostałe w Tebach po pomnikach architektury publicznej, po grobowcach, świątyniach, pałacach królewskich, zajmują dziś przestrzeń równą połowie Paryża, a przecież te budowania stanowiły niegdyś samo tylko ognisko miasta. Dodaj więc w myśli obszar okryty domami mieszkalnemi, zabudowaniem prywatnem, rozciągajacém się zaiste w głąb okolicy, a zrozumiesz roztoczystość tej stariej stolicy Egiptu.

Jakoż od samych granic Egiptu do Teb, i znów poniżej tej stolicy, pobrzeże Nilowe wysadzone jest, jakby w klejnoty drogie, pomnikami architektury. Świątnice, groby, pałace stanęły szeregiem nad rzeką, a ich kształty urocze przegładają się spokojnie w jej wspaniałych wodach. Bliżej Memfis rzednieją te budo-

wania, ludność gęsta, przechody wrogich ludów zniweczyły bogate dziedzictwo z dawnych lat. Choć więc i starożytne Memfis zaginęło do śladu, choć wygasła pamięć życia jego, zostały przecież w całej potężności pomniki śmierci po Memfickich władzcach — one Piramidy.

Być może, iż, jak mówią, te grobowce bezmierne dźwignęły obce przychodne króle (Hiksos) i że z obcych krajów na ziemię egipską przeniosła się myśl tych mogił kamiennych; ale to pewna, że lud egipski, przyjąwszy już tę myśl za swoją, wykonał ją po swojemu na stopę niebotyczną. Dumanie nad śmiercią urosło tutaj w widziadło ogromne i skamieniało w Piramidy. Patrząc się na umiejętność pracowników, na ich wytrwałość bez granic, rzekłbyś, że te przybytki śmierci są żyjących sławą. Ciężka opoka, twarda skała — materia głucha tutaj przemożona od człowieka, i zniewolona służyć na cześć jego zwłokom, boć one są przecież nieśmiertelnego ducha szatami. Więc ze szczytu tych piramid nie tylko czterdzieści wieków spogląda na świat; z tego szczytu patrzy jeszcze duch, zwycięzca bezmyślnej natury; ten szczyt jest podnóżem jego chwały i tryumfów jego. Więc tu u stóp piramid, na pograniczu pustyni legł ów potężnych wymiarów sfinx; on symbolicznie broni życiodawczą rolę od piaszczystych zawiei; wszak i one są innym kształtem tejże materii wiecznie zawistnej pracom człowieka. Gdy tak duch w Egipcie przełamał skały i obronił się wiatrom, już i chwycił pod panowanie trzeci żywioł, bo wodę; więc wyżłabia kanały, stawia śluze, jazy, tamy, kopie owe wielomilowój przestrzeni jezioro Meris, a tak zmusza wody by służyły łąkom, polom i ogrodom. Wśród

tych atoli prac zwyciężkich stańło dzieło obłądu, jakaś zagadka kamienna — ów Labirynt! O nim stary Herodot, choć tak przejęty miłością dla swój Grecyi, prawi: „Gdyby Helenowie nasi wszystkie budowy „swojego stawiania razem złożyli, jeszczeby się nie „zebrało na dzieło, jakiem jest Labirynt. Wszak mi „nawet wyrazów nie starczy bym zdołał piramidy „opisać, a cóż dopiero mam powiedzieć o budowaniu „tém, o onych dwunastu ogromnych dachem pokrytych „dziedzińcach, o dwunastu pałacach jego, o 3000 „komnatach! Nadziemną część, mówi dalej, sam „widziałem, jest to dzieło wyższe nad siły człowiecze“ i t. p. (II. 148).

Rzekłbyś, że na Egipt padło powołanie niesłychanej pracy i silenia się z sobą, by położył podwaliny dla przyszłej ducha budowy, lecz że ten świat duchowy był dla niego jeszcze obłądnym labiryntem, nie do rozwiązania zagadką. Wszak sam ten Egipt, niby w chwili jakiegoś somnambulicznego przeczucia, wyrokował o sobie owym, tak pełnym treści, napisem. W Sais wznosiła się świątelnica bogini mądrości Neet, „która niema pochodzenia i sama z siebie idzie;“ nad wstępem głównym wyryte były te słowa: „Ja jestem „wszystkiem, co jest, było, będzie. Nikt ze śmiertelnych nie podniósł mój opony — owocem żywota mojego jest Helios — słońce, wiekuiste światło!“

Ten napis jest testamentem Egiptu, którym zapisał dorobek swój światu; poczem jakby narodów patriarcha położył się, by umarł.

A liczną, tłumną falą mnogie wieki spłynęły do wieczności łona, mnogie pokolenia przeszły swia-

tem, a nikt nie podniósł onej tajemniczěj opony, nikt nie rozwiązał onej zagadki.

Aż gdy cielesność została ukrzyżowana, a Bożem zmartwychwstaniem „sama śmierć umarła,“ już spadły wszystkie opony, a rozerwała się tóż od wierzchu do dołu i owa zasłona jerozolimskiego kościoła, a z za těj opony wystąpił objawiony duch.

My dziś, bogate dziedzice przeszłości całej, wykołysane dzieci Wiary, zbieramy niebiańskie róże, urosłe na cierniach dawno zamęczonych stóleciów. Dla nas w świecie ducha niéma zagadki, bo nam się objawił sam Bóg. Prawda jest naszą najświętszą powinnością i najświętszém prawem naszym. Zdołamy więc zajrzeć w głębie duszy Historyi świata i zrozumieć pulse wieków; zdołamy więc zakląć ducha zmarłego Egiptu, by przemówił o sobie językiem dzieł sztuki swojej.

W Indjach dzikim zamętem mięsza się jeszcze duch i materyalna natura; tam człowiek opojony, oczyniony jeszcze czarodziejską mocą sił przyrody, daremnie się szamoce i miota, by się wydobyć z jej objęcia. Do Egiptu, jakby dawne wspomnienia, dola-
tują odgłosy tego ducha Indów; jakoż i w Egipcie są kasty, i tu podziemne budowania w skale wykute, i tu bogi niekiedy wykręcają się w nadgangesowe dziwadła, i tutaj niekiedy w obrządki religijne mięsza się zmysłowość, i hołd oddany fizyczněj naturze; i w Egipcie dzwigają się ogromne roboty pokoleń całych w budowaniach olbrzymich i t. p. Ale porównywając te dwa ludy i ich sprawy rzekłbyś, że duch i fantazyja

Indyan tak zawrotne, zapustne, uspakajają się nad Nilem, że zwłaszcza owa fantazyja, ciągle ruchawa, rozkołysana, migotna, skamieniała w granitach egipskich. Przecież, za bliższem przypatrzeniem się spostrzeżesz, że jeszcze głębsza różnica rozdziela obie te fantazyje. Jakoż fantazyja indyjska, tak dziwaczna i senna, przeszedłszy na grunt egipski, dostała się udziałem ludowi, który tak rozgarniony, rozsądny i porządny jak ta jego Natura, jak ten jego Nil. Trojaka pora roku, ściśle od siebie odgraniczona, wylewy rzeki nie chybające nigdy w swoim czasie, te niezmiennie nigdy prawa i prawidła natury kraju ujęły też żywot i sprawy ludzkie i zatrudnienia wszelkie w ład i szyk a w pewne i niezmiennie ustawy. Tutaj człowiek od Natury uczy się rozgarnienia, rozsądku i porządku. On rolnikiem, więc bacność zwrócił na rzekę, co mu skrapia zbożne łany, więc prowadzi kanały, wykopuje jeziora jako zapasy wód, więc mierzy i pola i czas swój, a wprawiony w rozsądek nie mieści rzeczy różnych, liczy i waży i rozdziela. I dla tego właśnie zaczyna też już rozróżniać i istotę własną, istotę duchową swoją od mocy materyalnych; a przeczuwając już tę różnicę ogromną, już tem samem przeczuwa i wróży sobie prawdziwe ducha znaczenie. I dla tego właśnie człowiek tu rozpoczyna walkę a walkę zwyciężką z mocami przyrody, z przewagą materyi. Ztąd też to podobieństwo jego do Indyi jest raczej pozorne. Jakoż w Egipcie różnice kast są ułagodzone; a obrządki religijne, ogrom pracy budowniczków, dziwaczność postaci bożyszczy i te wszystkie zjawiska, będące niby odgłosem Indyi, mają inne w Egipcie znaczenie.

Przecież te walki a pasowania się z mocami przyrody są tak ogromne, tak trudne i olbrzymie, że w Egipcie to zwycięstwo duchowe nie mogło być jeszcze w zupełności otrzymane; uznanie istoty ducha nie mogło być tutaj jeszcze ukończony w sobie. Jest to dopiero pierwszy szary świt poranny, zwodny, niepewny i majacny; lud Egiptu przeczuwa, że duch jest osobą, że tedy jest wolnej woli, że wiekuiste jego jest pochodzenie, że przeto jest wyższym niż Natura. Te atoli prawdy głębokie i tak ciężkiej wagi nie rozpromieniły się jeszcze całą pełnością w Egipcie, wystąpiły dopiero na poły ze swojego mroku. Ztąd osobowość człowieka, wolna wola ducha i wiekuistość jego na poły są zrozumiane, a Natura nie jest jeszcze ostatecznie przemożona.

To atoli przeczuwanie, to wróżenie sobie prawdy, obok niemocy wyjaśnienia jej w zupełności, to zatrzymanie się przed samemi progami prawd, stanowi zagadkowość Egiptu. Lud ten sam przeczuwa, że się zderza z zagadką, którą sam tylko na poły rozwiązać zdołał, że on sam sobie jest zagadką, więc nie może znaleźć sobie pokoju. Ta niepewność, to powątpiewanie miota nim i kołysze, chociaż to miotanie się i rzucanie jest przecież inne, niż ów niepokój senny Indyów starych. Życie Egiptu zchodzi na sileniu się nad sobą, by sam siebie zrozumiał, by dla treści, która się w nim burzy, fantazyja znalazła wyrażenie stosowne, odpowiednie. Przecież gdy treść ducha tutaj sama jest jeszcze nierozdzierniona dostatecznie, gdy myśl sama jeszcze umackiem chodzi, więc i fantazyja biedzi się i mocuje i radaby to w tych, to znowu w innych formach znaleźć wyraz odpowiedni dla prawd, które się dopiero wyklu-

wają w duchu. Fantazyja Egiptu, toć młoda dziewica głucho-niema, w której odzywa się pierwsza wróżba rodzącej się w sercu miłości; nieznanie jej uczucie ją ogarnia, miota, ciska tēm sercem; ona sama siebie nie rozumie, więc ogarniona nieskończoną tęsknotą w obliczu, w łezce, w gestach zagadkowych wyjawia potęgę, która ją ovladła. Fantazyja Egiptu, rozebrana miłością ducha wiekuistego, radaby wyrazić przeczucie i wróżbę swoją, ale jej braknie słów jasnych, by się zamodliła do kochania swojego.

Ta zagadkowość, ta na poły ukończona praca, to zatrzymanie się przed samym progiem prawdy, ten niepokój jest całym żywotem Egiptu i piętnem jego fantazyi; jest więc powodem tēj sprzeczności, w której duch Egiptu zostaje sam z sobą, a której przemódz nie zdoła.

Dziś milczą głazy, granity Egiptu, obrobione niewypowiedzianym znojem pradziadownego ludu. On po zgonie swoim nie zostawił nam w dziedzictwie pieśni, w którychby wyśpiewał uczucia swoje; jego poezya, toć są te jego budowania olbrzymie; one to są epepeją, dramatem i skamieniałą lutnią jego. Tēm więc tedy potrzeba nam posłuchać głosów religii Egiptu, bo jak te wyobrażenia jego religijne z jednēj strony są ostatecznym wyjaśnieniem fantazyi tego ludu i jej rodnym gruntem, tak też z drugiēj strony są jej żywym i wyrazistēm odbiciem.

Na początku był Knef, przedświatny Bóg; on Duchem, tchem, on jest czynną potęgą, on jest powiewem, co wiekuiście przenika istnienia wszechnice; on świata tajemną siłą i mleczą; on wodzi gwiazdy po Niebie — a obrazowym znakiem i hieroglifem jego jest

wąż zwinięty w pierścień, niby w wszechświatów koło. Małżonką tego Boga-Ducha jest Materya — bogini Neit, wszech Bogów macierz i wszech jestestw wiekuista osnowa.

I znów jest druga para Bogów pierwotnych: Sewech, czas, co niema granic i z niego się rodzi bytność wszelka, w nim rozplywa bytność wszelka, a jego małżonką jest Paszt, przestrzeń nieskończona, co stała na straży porządku i ładu wszech rzeczom; ona ksienią jestestw stworzonych. (*) Te bogi są prabogami, z nich poczęte wszystkie inne bogi, którym oddane jest władztwo nad światem, z nich pochodzą bóstwa wyrażające naturę egipską, więc Osyrys, Izys, Horus, Tyfon, Anubis, Tot i t. p. A choć te dzieje zrodzeń egipskich bogów właśnie w ostatnich czasach z całą głębią a bystrością ludzi genialnych zbadane zostały, toć przecież dla naszego celu wystarczy, jeżeli nieco bliżej przypatrzymy się tym dwom parom pierwotnych bogów. One są niby jednem bóstwem, przecież rozdzielają się na dwie odrębne pary, z których każda znów o tyle tylko jest jednością, o ile małżeństwo stanowi. Wprawdzie na reju ich jest bóg-duch, ale on sam nie jest jeszcze duchem w znaczeniu prawdziwem, on sam jest niby misterną materyą okryty; ten duch jest dechem, lekkim tchem. Nadto on połączony jest małżeństwem z boginią Neit — z materyą; ten stosunek więc objawia, że materya jest mu równą, że ona podobnie jest pierworodną, jak sam duch. Te cztery bogi są małżeństwem połączone, są tedy niby

(*) Röth, Geschichte unserer abendländischen Philosophie. Tom I. str. 133.

osobami, a przecież one, znacząc materią, czas, przestrzeń, są abstrakcją głuchą, bezosobową, są, że tak rzekę, pojęciem metafizycznem. Tak tutaj w zarodzie już spotykamy ową połowiczność, ową rozpoczętą a nie-dokonaną myśl. Tu jest jedność bóstwa, ale jeszcze niezupełna; duch jest w ciele, on światem władnie, a przecież ma obok siebie materią, równą sobie z prawa i z rodu. Te bóstwa są osobami, ale ich osobowość jeszcze niezupełna, niedostateczna.

Takowy charakter religii i fantazyi Egiptu silniej jeszcze przebija w tych mitach jego, w których mowa o stworzeniu świata i człowieka. Wszak i tutaj samo pojęcie stworzenia nie jest jeszcze zupełne. Świat jest niby sprawą bóstwa, ale nie sprawą samodzielną, samowolną; on jest raczej wpływem, emanacją bóstwa. Bo przyznasz, że kędy niema uznania zupełnej osobowości bóstwa, tam też niema woli samoistnej, niema stworzenia.

Posłuchaj tego mitu. Bóg-czas złorodny (Sep, Kronos) dźwignął się wojną przeciw najwyższemu bogu, a tłumy bogów poszły za wrogim czasem. Przecież bóg-duch powalił je wszystkie zwycięstwem i wrócił światu dawny ład rzeczy, i puścił na ziemię potop, by z niej zmyć grzeszne zakały. Litując się atoli nad duchami, co wojną bezbożną nastąpiły na majestat jego, chciał im wrócić dawne niepokalanie i pogodzić je z wiekuistą potęgą. Ulepił tedy ciała ludzkie, by w kształcie człowieczym demony grzeszne mogły odbyć na ziemi doczesnem życiem pokutę i odkupienie. Dla tego w samej chwili, gdy człowiek ma się zrodzić na ziemi, jeden z demonów winnych opuszcza nadgwiażdzną stolicę, i pielgrzymką przez zwie-

rzyniec niebiański, po srebrnym łuku drogi mlecznej postępuje ku ziemi. Wśród tej wędrówki atoli patrzają na niego i chuchają konstellacye gwiazd — to ich technienie a spojrzenia urok odezwie się później w sercu tego rodzącego się człowieka uczuciem, charakterem, więc pokieruje jego sprawami i całym ziemskim żywotem. Gdy duch połączy się z ciałem, już wtedy rozpoczyna pokutę i odkup swój, a w poniżach ziemskiej pielgrzymki, w trudach i biedach twardych, uwalnia się od onęj winy przed życiem doczesnym popełnionej. Śmierć jest tedy oswobodzicielką człowieka, ona wyzwala duszę z ciemnic doczesnych. Dusza, zwlokłszy z siebie ciało, staje w pałacach sprawiedliwości wiecznej, kędy Ozyrys zasiada na sądzie w duchów swoich gronie; tam, wedle wyroku jego, dusza unosi się do wiecznobłogich nieba przestrzeni i zasiada w bogów stolicy, albo wraca powtórnie na ziemię na nowe pokuty, więc na nowe cierpienia w ciele ludzkim lub zwierzęcym, albo nawet w postaci roślinnej; a te nawroty do żywota doczesnego póty trwają, aż nie spadną ostatnie pyły winy i grzechów skalanie. (*)

Widzisz, ta nauka jest iście kwiatem fantazyi Egiptu, więc nacechowana właśnie temi znamionami, o których ci powyżej wspomniałem.

Otóż duch jest wiekuistym, życie pokutą a śmierć wyswobodzeniem duszy. Ztąd ciała zmarłych odbierają cześć; ztąd po Egipcie całym powiewają tchy niby ogromnej kośnicy, a kraj cały ojcowizną umarłych a światem grobów. Ale i tutaj Egipt zatrzymał się przed progami prawdy, bo zamiast uczyć wiekuistość ducha,

(*) Rōth, l. c. str. 153 i następne.

w którą wierzy, on uczcił śmierć, ciała bezduszne, umarłe.

Ale jest inna jeszcze sprzeczność. Wszak widziałeś sądy nad duszą zmarłego i wyroki sprawiedliwe, tak więc znać, że człowiek jest uważany za osobę, więc za jestestwo o wolnej woli; a z drugiej strony przecież zostaje pod wpływem gwiazd! Konstellacye przyświecają mu w czasie rodzenia się jego, władają nie tylko jego losami, ale uczuciem, charakterem i sprawami jego, a tak i urzekają wolą jego i odbierają jej wolność przyrodzoną. Ztąd dalsza sprzeczność; duch jest wiekuistym, jest jestestwem znającym dobre i złe, więc jestestwem roztumnem, a jednak w razie nieodpokutowanej winy ma mieć przeznaczone za mieszkanie a narzędzie swoje ciało zwierzęce! Jest to wiara w wędrowni duszy, tak potworna, tak przeciwna sobie samej. Wiadomo ci, jak to w upływie wieków sprzeczność tej nauki wyświecił Arystoteles. Mądry Grek, wychowany w uczuciu własnej zacności i w poważaniu siebie, orzekł, że samo przypuszczenie, jakoby dusza mogła w nieodpowiednim sobie przemieszkwać ciele, jest myślą dziką i spaczoną. Tenże powiada dalej, że każda dusza wedle usposobienia swojego ma zastosowane ciało, boć takowe jest jedynie uwidomieniem materyalnym duszy.

Przestaną na wykazanych już sprzecznościach, dowodzących jak to pod każdym względem lud Egiptu, już mając dotknąć się prawdy zatrzymuje się i odwraca się od niej, jak to zawsze, mimo męki i trudy jego, prawda jest dla niego nierozwiązaną zagadką, jak to on na poły tylko poznał istotę swoją; a chociaż wie, że z istoty swojej jest wyższym niż przyroda

materyalna, toć przecież nie zdołał wskroś przemódz tej natury, ani poznać do dna, czem jest duch.

Teraz nie trudno nam będzie zrozumieć, dla czego fantazyja Egiptu jest symboliczną, dla czego symbolika jest główną i przeważającą cechą sztuki egipskiej.

Zważmy dwie ostateczności.

Jeżeli człowiek jest w zupełności jeszcze oddany w ciemność natury materyalnej, wtedy materji służy, a rzecz zmysłowa sama przez się jest dla niego bóstwem; to bożyszcze strugane, które podbiegunowy mieszkanięc niby karmi tłuszczem, tranem, upraszając sobie szczęśliwe łowy, a bije i sromoci, gdy się polowanie nie powiodło, — to bożyszcze jest fetyszem, bałwanem, bo tu ono nie jest obrazem niewidomego bóstwa, ale samo jest bóstwem; to drewno, ten kamień, którego się człowiek dotyka, jest bóstwem. Znać, że tutaj sztuki niema i być jej nie może. Inaczęj się dzieje gdy lud jaki całą treść ducha swojego przelewa w dzieło swoje, gdy w postaci zmysłowej przez niego stworzonej świeci, promieni się duch. Wtedy (a tak było u Greków) postać zmysłowa, z natury wzięta, cała jest nieskończoności ducha wyrazem, jest zwiastunem wiekiistości jego; i dla tego ta postać, choć od przyrody pożyczona, jest przetopioną, przelaną w duchu, przerodzoną w ideał piękności; w niej nie pozostało takiem, jakiem było w naturze; nie tylko z oblicza, nie tylko z postaci całej i postawy posągu przemawia duch, ale on promieni się, świeci w szatach jego marmurowych, z włosów i rzemyków jego sandałów. I toć jest sztuka prawdziwa, toć są panowania i tryumfy prawdziwe fantazyi artystycznej nad światem zmysłowym! Egipt stanął w środku między

temi dwiema ostatecznościami. Bogi egipskie — toć już nie fetysze, aleć nie są jeszcze dziełami sztuki w znaczeniu prawdziwem. Egipt o tyle dopiero przemógł naturę, że postaci jej używa za wyrażenie treści duchowej; ale jeszcze nie jest zdolny przerobić, przetopić w duchu tych jej kształtów na ideały piękności. Egipt, chcąc wyrazić myśl jaką, wybiera z pośród natury przedmiot mający jakąś własność, przypominającą tę myśl, która właśnie ma być wyrażoną; czyni tedy ten przedmiot symbolem tej myśli, biorąc go wprost jakim jest, a nie przerabiając go na dzieło piękności artystycznej. Tak powstaje symboliczność; ona właśnie jest cechą główną i charakterem fantazyi egipskiej: w symbolice tkwi owa połowiczność, zagadkowość, sprzeczność z sobą, a przytęm reflexya, rozsądek w dobieraniu symbolów. (*) Słusznie też mówiono,

(*) Tak np. kwiat Lotus, wół, krowa, skrzydła, krokodyl, kot, ptak Ibis, lew, krogulec i t. d. stają się symbolami. Jak tutaj te przedmioty nie są bóstwami wprost, nie są fetyszami, tak nawzajem nie chodzi tutaj o to, aby te przedmioty i kształty, różne przeistoczyć na dzieła sztuki, ale raczej o to, aby upatrzeć w przedmiocie jakieś podobieństwo z myślą, która ma być wyrażoną. Tak tedy symbol ma rzeczywiście dwa znaczenia: raz własne swoje znaczenie, treść przyrodzoną, rzetelną; drugi raz znaczenie, które mu nadał człowiek jako znakowi zewnętrznemu, np. skrzydło jest organem ptasim, drugi raz znaczy modlitwę do nieba się wznoszącą. Krowa oprócz znaczenia własnego wyraża jeszcze urodzajność życiodawczą natury, i t. d. Widzisz atoli, że to symboliczne wyrażenie się myśli przedmiotem zewnętrznym jest wielce samowolne; bo choć w tym przedmiocie jest zaiste własność, która niby odpowiada myśli, którą masz wyrazić, toć on będzie miał zaiste także inne jeszcze własności, nadające się na oznaczenie innych myśli. Nawzajem i myśl

że lud egipski sam jest tym sfinxem, onem własnem swoim godłem ulubionem. Sfinx jest zagadką tajemniczą; on na poły człowiekiem, osobą, na poły zwierzęciem, bo głowa ludzka na ciele zwierzęcym; w nim więc godło ducha ludzkiego, wydobywającego się z mocy natury.

Lubo cała fantazyja Wschodnia ma pierwiastek symboliczny w sobie, choć już początek jego jest i w Indyach, toć dopiero znajdujemy go w Egipcie w całym kwiecie swoim.

Twoja którąbyś rad wymówić znakiem zewnętrznym, znajdzie nie tylko w tym jednym przedmiocie, obranym przez ciebie, odpowiednie wyrażenie, ale może go dojrzyć i w innych przedmiotach zupełnie różnych od tamtego wybranego przedmiotu. Wynika stąd, że symbol sam przez się zawsze będzie tylko na poły zrozumiały, czyli będzie zagadką. Bo zagadka nie jest wcale niewiadomością zupełną; bo gdy dla kogo jest coś zagadką, ten wie zarazem, że istnieje jakaś tajemnicza prawda dla niego ukryta. Myśl Egipcyan to w jednym kształcie, to znowu w drugim, lub w trzecim szuka wyrazu myśli dla siebie, i stąd ta niepewność tego ludu, ta sprzeczność a niezgoda jego; np. słońce, Nil, rok, sprawiedliwość, rolnictwo, te wszystkie wyobrażenia mają uosobienie w bogu Ozyrysie; i na odwrót znów Ozyrys ma za symbol każdy z tych przedmiotów; dalej wszystkie te przedmioty między sobą są wzajemnym siebie symbolem. Jest to niemoc ducha znalezienia obrazu dla siebie. A to przeczenie, co się kluje, te ciemne, głuche wróżby serca prąduszę Egiptu do wyrażenia siebie, więc do oglądania siebie w zewnętrznym przedmiocie. Widać atoli, że chcąc znaleźć symbol odpowiedni, trzeba rozsądku i zastanowienia, rozbierania.

Tak w samęj rzeczy w symbolu tkwi zagadka na poły wyjaśniona — niepewność i sprzeczność z sobą, a przytém rozsądkowość i rozbieranie, mity, więc nawet powieści, które znów niczém innem nie są, tylko symboliką rozwiniętą.

Wszak i my mamy symbolikę własną. (*) Ale nasza symbolika ma to do siebie, że obok jej ciemnego i zagadkowego tłumaczenia się, mamy inne wyższe tryby wyrażenia treści duchowej, bo wiara chrześcijańska i długowiekowe łamanie się ducha ludzkiego w historii rozjaśniły nam własne wnętrze nasze, i nauczyły wyjawiania tej treści czy to w serca nabożeństwie, czyli w sztuce, czyli w jasnej przezroczystej mowie.

W Egipcie pierwszy raz zderzają się te dwa światy, bo duch i natura, wiekuistość i doczesność; te dwa światy wręcz są sobie odwrótne i sprzeczne z sobą, więc zwycięstwo wiekuistości na polu tylko dokonane; i dla tego symboliczność jest jedynym trybem, którym się zdoła wyrazić treść nieskończona, budząca się w duszy tych zacnych pracowników nadiłowej doliny, ona też przejęła wskroś ich sztukę. Dotknę się tu choćby tylko najważniejszych cech tej fantazyi, stosując do niej wypadki powyższe poglądu naszego.

Fantazyja symboliczna nie jest twórczą, ona nie

(*) Znak krzyża świętego, łódź, baranek i t. p., są symbolami religijnymi; życie zwyczajne pełne jest symboliki: suknie czarne lub wesołej barwy, wianek na trumnie lub na skroniach narzeczonej młodej — lilia, róża, niezapominajka, ruta, rozmaryn, mirt; zdjęcie kapelusza, oddanie kluczy nowemu dziedzicowi, kądziel lub skórka zajęcza posłana niezbyt odważnej młodzieży; czwórka siwa, arbuz, pawie piórko; uderzenie w dłoń przy ugodzie, rozmowa kochanków na kwiaty używana na wschodzie, i t. d., to wszystko jest symboliką. Ale właśnie dla tego że tutaj zachodzi jeszcze zagadka, więc trzeba znać tę symbolikę, by odgadnąć jej znaczenie. I sama natura ma swoją symbolikę, choć wyraźniejszą i mniej zagadkową: leżka rumieniec występujący na licach, ucałowanie, i t. d.

tworzy, jako widziałeś, postaci piękności idealnej; dla tego jestestwo zewnętrzne wzięte jest wprost z natury; dla tego nawet i żywe jestestwa są symbolem, np. żywy wół Apis, żywy Krokodyl i t. d. Jeżeli zaś kształt jaki, o ile go natura przedstawia, nie wystarcza do wyjawienia myśli, wtedy po swojemu go fantazyja egipska uzupełnia; tym trybem znajdziem i tutaj głowy zwierzęce (kocie, ptasie, krogulcze, krowie) na tułowiach ludzkich, a niekiedy nawet kształt jest złożony z wielu różnych zwierzęcych postaci: — prawda, że z tego tworzą się potwory przypominające straszne bożyszcza indyjskie, ale w Indyach duch jeszcze omakeim się rzuca i śni, w Egipcie zaś jest trzeźwym, zastanawiającym się, głębszym; on tworzy z reflexyą rozumną te kształty, by były znakiem dla myśli jego.

Ta połowiczność, to na poły uznawanie się ducha okazuje się jeszcze tutaj tym trybem, że posągi egipskie nie są więcęj tak wiotkie, bezkostne jak indyjskie; owszem odznaczają się siłą, jędrnością twardą, ale za to przechodząc w drugą ostateczność są chude, długie, bez swobody; ręce, nogi sztywne, przylegające do całej postaci nieruchomej; nadto wszystkie dokonane są wedle tego samego prawidła i typu; one nie mają indywidualności odznaczającej je między sobą; twarz ich stępiała, bez wyrazu, abstrakcyjna, uśmiech skamieniały, oczy nie zwrócone w pewne ognisko, one patrzą gdzieś w przepaścistą, niedościgłą dal. Ta abstrakcyjność, ten brak wyrazu jest powodem, że te posągi mogą się powtarzać jak kolumny nieskończenie wiele razy, bez sprawienia przykrego wrażenia. Pomyśl sobie, jak okropny, straszliwy byłby widok, gdyby te figury miały indywidualność pewną, gdyby były

wizerunkiem jednego i tego samego człowieka, a były, niby na ozdobę architektoniczną, ustawione jakby gościńcem długim we dwóch szeregach nieprzejrzanych. To powtarzanie się tój samej twarzy, tych samych wydatnych zarysów a podobnych do siebie, byłoby zaiste nie do zniesienia, byłoby okropnem.

Ale niedokonane wyzwolenie się ducha pojawia się jeszcze w tém, że ciała tych figur doskonałej są wyrobione niż ich oblicze, kędy promieni się dusza, kędy myśl o sobie przemawia, i dla tego też może tutaj kształty zwierzące wyższej są artystyczności niż ludzkie.

Posąg stojący sam o sobie jest wyrazem swobody, która atoli nie rozwinęła się jeszcze w Egipcie; z tego przeto powodu nierównie więcej tu mają wartości płaskorzeźby, które jeszcze niby nie są wyzwoleniem od tła ogólnego przyrody; nadto w płaskorzeźbie nie chodzi o indywidualność i życie duchowe jednego pojedynczego człowieka, ale raczej o wydarzenie jakie, o fakt, np. o bitwy, o uroczystości, obchody religijne, polowania, zatrudnienia codzienne. I płaskorzeźby Egiptu są pełne cech właściwych fantazyi jego, a mianowicie onęj symboliczności. Tak zważmy, że same rozmiary są symbolem: np. w bitwach, król jest ogromnego ciała i trzyma cały pęk nieprzyjaciół za włosy, a figury wyobrażające nieprzyjaciół są drobniuchne; tak podobnie w płaskorzeźbie i malowanych obrazach brakuje perspektywy, która właśnie jest pierwiastkiem duchowym; zamiast perspektywy przedmioty dalsze umieszczone są wprost nad bliższemi; nadto wszystkie figury ujęte z profilu. cieniów niema w malowaniach. — Nawet farby same mają znaczenie

symboliczne, np. Egipcyanie i ich konie czerwonej barwy, niewiasty żółtawe, nieprzyjacioły popielate; a bogi to błękitne, to zielone, to żółte, wedle różnych żywiołów któremi władają.

Przewaga rozsądku, praktyczności, występuje głównie w doskonałym technicznym wykonaniu; jakoż same dawne łomy kamieni do dziś dnia są podziwem wędrowców europejskich; widzimy też wielką udatność w sprowadzeniu ogromnych skalnych bałwanów ze stron dalekich; następnie doskonała technika wyjawia się i w trwałości budowania, co się obroniło tylu tysiącom lat i w tej świeżości barw obrazów, co świecą i błyszczą niby niezwiędłe kwiaty grobowe po onych pokoleniach starych.

W Egipcie spostrzedz już możesz istotnie rozwój wszystkich rodzajów sztuki; ale one tutaj jeszcze nie ściśle odgraniczają się od siebie i przechodzą nawzajem na siebie. Ściany, filary, obeliski, piramidy, od ziemi do wierzchu pokryte taką ciżbą płaskorzeźby, że nie wiedzieć, czyli ta architektura jest dla rzeźby, czyli rzeźba dla architektury. Posągi, płaskorzeźby są malowane, co tutaj było tem potrzebniejsze, że skulptura najczęściej jest wklęsła (*bas-reliefs en creux*).

Lubo atoli te rodzaje sztuki nie są rozdzielone od siebie, chociaż one wszystkie stają się wyrazem fantazy egipskiej, przecież nie trudno nam odgadnąć, że właśnie ten rodzaj sztuki najpotężniej się w Egipcie rozwinął, który ze samej istoty swojej jest symboliczny, który będąc również zagadkowy przemawia do człowieka niby głuchoniemą mową, i niby przecuciem zwiastując o treści człowieka; jest to sztuka, co nie słowami ani postaciami, kształtami wyraźnemi, ale

liniami w przestrzeni staje się tłumaczem duszy; tym rodzajem sztuki jest atoli architektura — ona najdokładniej odpowiada fantazyi powszechnej tego ludu.

Ludu egipski jest ludem budownikiem; co się waży i żyje w sercu, co się kluje i tęskni w duszy, to kamienieje w tym kraju w budowaniach olbrzymich. Bóg osobą będący nie stanął jeszcze wśród ludu tego, ale on w zagadkowym przecuciu wróży sobie o przybyciu jego, więc mu dźwiga mieszkania i święte przybytki, gotowe do przyjęcia nadgwiazdnego gościa. Przecież nie jest zdolnym, aby mu stworzył zacny obraz jego. Rzeźbione posągi bogów nie są tu dziełem sztuki istniejącem samodzielnie, dla siebie, ale służą budowaniu, są li przystrojem architektonicznym, są środkiem a nie celem; co więcej, ten brak indywidualności posągów, to wykonanie ich prawidłowe, geometryczne, to symetryczne ich ustawienie obok budynków, nakoniec same olbrzymie wymiary tych posągów, są dowodem, że tutaj skulptura jest architektoniczną, że architektura jest sztuką przeważającą. Podobnie malowanie jest wprost ozdobą, jest ornamentyką architektury.

Miotanie się i boleści zrodzeń duchowych Egiptu pojawiają się już w samym ogromie budowania, w onej niesłychanej pracy robotników twardych. Jak duch Egiptu nie opatrzył się jeszcze w sobie, jak nie wie jeszcze że jest osobą, jestestwem o sobie stojącym, tak i budowanie jego nie jest całością w sobie ukończoną; pilony wstępne, dziedzińce, przysionki, sale, pałace, idą po sobie i obok siebie mogą być bez końca jeszcze pomnożone, bez nadwężenia całości, bo takowej nie ma jeszcze w architekturze egipskiej. Kędy człowiek nie wie jeszcze o myśli opatrzonej Boga, władającej

światem i do której się odnoszą wszystkie stworzenia, jako do ogniska swojego; póty też i w jego własnych dziełach nie będzie jedności, nie będzie całości, bo nie będzie jednej myśli, do której się odnoszą części wszystkie dzieła tego, jako do ogniska swojego i serca.

W architekturze egipskiej wszystko jest symbolem: symbolem jest i pochyłość ścian zewnętrznych przypominająca piramidy, i piramidy same, i liczba schodów, kolumn, i obeliski, i ta podszadzista powaga, uroczysta, świąteczna, i to zadumanie głębokie, monumentalne, które tu technie po głazach. Do tej architektury formy roślinne są równie prawie żywcem przeniesione, one nie nabrały jeszcze architektonicznego rysunku, ale będąc także symbolem są prawie kopijami pączków, palm, kwiatów — natura w nich nie jest przemożona!

A wszędzie znać ducha porządku i ładu; samo założenie świątnic jest jakoby symbolem uroczystych pochodów świątecznych processyj; same te przysionki, sale, pilony, obeliski, rzędy podwójne kolumn, stojące na dziedzińcu, są także jakoby symbolem uroczystości religijnych; same ich bowiem rozstawienie wskazuje któredy mają ciągnąć obchody świąteczne, oddające hołstwu pokłon i hołd.

Pieśni święte śpiewane, hymny na cześć bogów, ogłuchły, oniemiały wśród tych granitów; nie weale nam nie pozostało z tej poezji starego Egiptu; na miejsce tej umarłej poezji znamy jedynie mity religijne, z których znów najpiękniejszym jest powieść o Ozirysie i Izydzie, i o wrogu ich Tyfonie. Rozumie się, że ten mit jest allegoryą — fakta, kształty w nim występujące odnoszą się wprost do natury Egiptu, do ciał niebieskich, do Nilu, pór roku i t. d.

Te mity atoli zanadto są znajome, bym ci je miał powtarzać; na ich miejsce przytoczę ci obrazek obyczajowy z życia Egipcyan wzięty. Pożyczam go z Herodota; a choć ta powiastka nie jest zmyśloną, bo ten zacny gaduła Herodot nie zmyśla nigdy, przecie gdy ona przechodziła z ust do ust, z pokolenia do pokolenia, więc znać, że przypadła i do fantazyi starego Egiptu. Brak więc światowej poezyi tego ludu niechaj nam zastąpi ta gawęda stara; ona bardzo stara, pewnie jedna z najdawniejszych na świecie, bo Herodot, który sam przecież urodził się bez mała na 500 lat przed Erą naszą, prawi o niej jako o dawniej bardzo rzeczy.

Otóż żył niegdyś w Egipcie król Rampsenit, bardzo bogaty; miał złota, srebra, klejnotów co niemiara. Pragnąc ubezpieczyć sobie jakoś te skarby swoje, rozkazał budowniczemu, by mu wystawił skarbiec niby wieżę z ciosów, któraby jedną ścianą dotykała pałacu. I stało się wedle woli królewskiej. Ale podstępny architekt potajemnie umieścił jeden z ciosów tym trybem, że bez trudności mógł być wyjętym z muru przez dwóch ludzi, albo nawet przez jednego silnego człeka.

Niezadługo on architekt śmiertelnie zachorował; przywołuje tedy przed skonem dwóch synów do siebie, i oświadcza im, że jako dobry ojciec wielce troskliwie pamiętał o ich losie, że dbał o ich przyszłe utrzymanie; powierzył im tedy tajemnicę swoją opisując najdokładniej on cios ruchomy. Wkrótce też umarł ojciec. Synowie zaś, nie odwlekając sprawy, nocą udają się pod skarbiec — poznali kamień, odsunawszy go nie żalowali sobie — nabrali mnóstwo złota i powrócili do domu.

Nie lada było zadziwienie Rampsenita, gdy naza-

jutrz, wszedłszy do skarbcu, postrzegł głębokie szczyrby w złocie, a tu ani zamki, ani drzwi, ani pieczęcie nie były tknięte! Zdziwienie króla codziem się wzmagło, bo co noc bracia odwiedzali skarbiec jego; co ranek tedy brakło to w worze złota, to znów jakichś klejnotów drogich. Zachodził w myśl król Rampsenit, jakby szkodzie zapobiedz. Nakoniec wziął się na sposób; porozstawił w skarbcu sidła misternie, spodziewając się pomyślnych skutków. Gdy następnej nocy bracia znów stanęli w skarbcu, jeden z nich spostrzegając naczynie złociste, wabiące, pokusne, zbliżył się do niego, ale w tём siatka zapadła. — „Ratuj się mój bracie! zawołał, bo co do mnie, jam już zgubiony; utnij mi głowę proszę i zabierz ją sobie, by nas nie poznano!“ — Tego jego słowa zdawały się być drugiemu wielce rozsądne, więc usłuchał i sprawił się wedle życzeń brata.

Z pierwszą chwilą poranku król Rampsenit wchodzi do skarbcu. Podziwienie, strach, zgrozy go porwały widząc wśród złota i klejnotów człowieka w sidłach ale bez głowy! a tu pieczęcie nie tknięte, a w murach nigdzie choćby najmniejszej szczeliny.

Nie wiedział król jakby sobie już miał począc; nakoniec po długich namysłach tak sobie poradził: kazał ciało złodzieja powiesić na murach miasta, postawił przy niem wartę, nakazując jęj aby miała ścisłą bacność na przechodzących i każdego chwytala, coby patrząc na wiszące ciało narzekał i płakał.

Matka onych dwóch braci dowiedziawszy się o tём, nie mogła na sobie przenieść boleści z poniewierania zwłok synowskich, nastawała tedy na żyjącego syna, by, bądź co bądź, uratował ciało brata od sromoty i oddał mu pogrzebną cześć; on perswadował

matce, łagodził, ale napróżno; ona mu bez ogródki oświadczyła, że jeżeli nie dopełni jej żądania, to wprost uda się do króla i wyda rzecz całą. Syn, któremu nigdy nie brakło wybiegów, zebrał osielki swoje, obciążył je łagwiami wina, i pod wieczór zapędził pod mury miasta, kędy było powieszono ciało braterskie; gdy się już zbliżał do straży, rozpról jedną z łagwiew; wino ciekło na ziemię; on udając kłopot, przestraszenie, krzyczał, szamotał się wiele, niby rozpaczając. Co gdy widzieli żołnierze trzymający warty, przyskoczyli i pili żwawo ciekące wino. On niby się gniewa, swarzy, łaje; żołnierze jakoś go namawiają, by się w żalu miarkował, nakoniec rzecz całą obrócili w śmiechy i w żarty; więc też on udając, że się udobruchał, śmieje się i żarty stroi. I tak się niby z niemi zaprzyjaźnił, że ich jeszcze jedną łagwią uraczył, i został z niemi częstując wesoło gości; niezadługo straż na piękne spojona zasnęła. Złodziej wtedy zdjął zwłoki z muru i ostrzygł na hańbę straży brody a to z jednej strony i poszedł.

Gdy się do króla doniosło, że ciało ukradziono, i że ostrzyżono brody jego żołnierzom, unosił się od gniewu Rampsenit, a uwziąwszy się, aby koniecznie odkryć przebiegłego filuta, ogłosił publicznie, że ofiaruje córkę swoją temu, ktoby jej opowiedział sprawę swoją najsromotniejszą, a zarazem najdowcipniejszą. Zmiarkował on broiciel, co się święci. Uciał tedy bratu rękę od samego ramienia, wziął ją pod płaszcz i poszedł do królownej, szepnął jej w uszko: „Czynem moim najsromotniejszym jest ten, zem uciał głowę rodzonemu bratu, a czynem najdowcipniejszym, że mi się udało spoić wartę królewską.“ Królowna w tej chwili

chwytła go za rękę, chcąc przytrzymać, ale jakież jej podziwienie, gdy złodziej uciekł a ręka ucięta pozostała w jej mocy.

Król Rampsenit już teraz wielbił naprawdę rozum onego figlarnego złodzieja, rozesłał uwiadomienie po wszystkich państwach z oświadczeniem że daruje karę zbrodniarzowi i suto go nagrodzi. Zaufał sprawca, stawiał się przed królem. Rampsenit, pełen podziwu, po długim a głębokim zadumaniu się, rzekł: Otoż Egipcyanie najmędrsi ze wszystkich ludów, ale ten mędrzy nad wszystkie Egipcyanie; dajmy mu tedy córkę za żonę. I to się stało. Młoda para żyła długo i szczęśliwie.

LIST XVII.

Assyrya — Babilonia i Persya.

Wstęp. — Nemrod. — Odkrycia uczynione przez PP. Botta i Layard. — Znaczenie tych zabytków w historii sztuki. — Usposobienie umysłowe tych ludów. — Ztąd cecha ich fantazyi wyrażającej się w dziełach sztuki. — Zdaje się, że sztuka tych ludów jest ogniwem pośredniem między sztuką egipską a grecką. — Persya. — Persepolis, grob Cyrusa, groby królewskie. — Cecha téj fantazyi. — Zendawesta.

„**M**ene-tek-el-upharsin! Zliczył Bóg królestwo twoje „i do końca je przywiódł! Zważonyś na wadze, a zna- „lezioneś lekki!“ (Daniel V. 25.)

Te wyroki Historji, napisane palcem bożym na ścianie pałaców Baltazara, uderzyły gromem na one olbrzymie mocarstwa wszystkie, co je powiła Azya, ludzkich rodów macierz. I runęły wszystkie te państwa ludowładne, poczęte jeszcze w szarym zaraniu dziejów świata; runęły wszystkie te państwa już od dawnych lat tysięcy, i rozsypana jest ich moc; jakosen przemieły ich pychy wielomozne, a ich tłumne narody rozwiane są jako liście jesienne.

Puść się myślą od Himalajskich śnieżnych grodów ku Europie, kędy fale śródziemnego morza wygrywają jakby wieści stare o kolejach Historii; przeleć myślą po tych niezmiernych rozłogach, kędy bieżą Tygru i Eufratu wody, a zawieje cię zewsząd wspomnienie najstarszych ludzkich dziejów, zda ci się, że wody potężne tych rzek szepcą sprawy Ninusa, Semiramidy, Sardanapala, Nabuchodonozora, Cyrusa, Alexandra. Posłyszysz, jako echa rozlegające się po pustyni, imiona Babilonu, Assyrii, Medyi, Persydy, Fenicyi. Jakby sen pacholecy zamigocą się gadki o wiszących ogrodach, o wieży babilońskiej, o królownie Mandanie, i one powieści wszystkie, co ci były rokoszą w dziecięcych latach, wysłane z krain dziwów i cudów.

Roztwórz księgi Herodota, zacnego wędrowca, i czytaj co nam prawi o Babilonie: „Miasto to ma 480 stadiów obwodu (15 mil geogr.); jest też ono otoczone w koło murem, a muru tego wysokość na dwieście łokci, a grubość jego na 50 łokci — w nim sto bram ze spiżu ulanych. W Babilonie jest świątynia Belusa a w środku niej ciosowa wieża, na której zbudowali drugą wieżę, na tej trzecią wieżę, na tej czwartą, tak że aż ośm wież piętrzy się na sobie; w najwyższej wieży jest świątynia, w niej łoże a przy niem stół złoty. Niekiedy bożek zstępuje z nieba i sypia na tym łożu; tak twierdzą kapłani Chaldejscy, ale ja temu nie wierzę.“ (*)

Chciój pomyśleć, że ta wieża Belusa wysokością swoją przeniosła najwyższą piramidę egipską o 179 stóp, bo jej było 800 stóp wysokości. (**)

(*) Herodot. I. skrócono 178 do 184.

(**) Wieża Strasburska ma jedynie 443 stóp.

Ogromniejszemu jeszcze niż Babilon było miasto Ninus. W niem Semiramis pochowała małżonka swojego, wysypując mu pomnik na $\frac{1}{3}$ część mili szeroki; w niem szalał rozpustą Sardanapal. Lecz wszelka bliższa wiadomość o tej stolicy Azyi ogłuchła. Nie wiedzieć nawet czyli to miasto Ninus jest oną Niniwą, o której Pismo Ś. wspomina, jako o „Wielkiem Bożem Mieście“ co było tak ogromne „że było na trzy dni drogi obwodu jego“ a do którego wysłany był Jonasz z bożego rozkazania, by nawracał serce króla i ludu do pokuty, a w którym mieście żyło, wedle słów Proroka, więcej niżeli sto dwadzieścia tysięcy ludzi takich, „którzy nie umieli rozeznąć między prawicą swoją a lewicą swoją.“ (*)

Wieki minęły śpiesznym pochodem przez świat, a nikt już nie mógł wskazać, kędy się rozlegało to miasto niby mrowisko milionowe ludzkiego rodu; było zapomniane do imienia, do miejsca, a którym stało.

Dreszcze cię przejdą, gdy pomyślisz, że bajeczne, mityczne zawiązki starożytności klassycznej, bo Grecyi i Rzymu, są prawie świeże, prawie nowoczesne, w porównaniu mrocznych dziejów tych miast Assyryi i Babilonu. Pomyśl, że one wyprzedziły dwoma tysiącami lat zbawienie świata, że od czasu ich najwyższej potęgi przeleciało tysiąc lat, zanim zapadła mityczna wojna Trojańska i zabrzmiały pieśni Homera, a król Salomon dźwignął kościół swój na cześć Panu; a przeszło siedmnaście stuleciów, zanim ów młodzieniec młodzieńczej Europy, ów Macedoński Alexander, przeleciawszy świat umarł w tym Babilonie. Ba, tysiąc trzysta

(*) Jonasz. IV. 1.

lat spłynęło po Ziemi od czasu, gdy te Azyi siedziby były tronami starożytnego świata, aż do chwili, gdy Romulus, ów wilczy wychowaniec, założył pierwsze lepianki na pagórach Rzymu; i znów od tego Romulusa blisko tysiąc lat historii rzymskiej przesunął skrzydłem ocieźałem, krwią splusknięm. zanim skończyła się Roma. Nowy teraz świat poczęty — wykluwały się nowe państwa, nowe narody pod ciepłym miłości Bożej a prawdy chrześcijańskiej. Nastają stolecia średnie, — a jest ich dziesięć z okładem, — czas czarodziejskich mocy, wojen Krzyżowych i pieśni trubadurów; lśniące, migotne fantastyczności, a rycerskiej i butnej awantury; czas miłostek a skruchy rzewnej, serdecznej, — czas szlachetny a pełen barbarzyństwa — nakoniec zadniała na niebie dziejowem historia nowożytna, a otworzył jej drogę Kolumb, Vasko i Magellan, co naokoło objechał Planetę. Cisnęły się odkrycia za odkryciem, wynalazki za wynalazkiem, jak się parły pokolenia po pokoleniach. A wywędrowały ludy Europy w Amerykę kupeczącą, bo już ciasno tej Europie w domu, bo jej ludy w dni kilka parą przejechać ją będą mogły od końca do końca. Europie tak spieszo z życiem i historią; ona ogromne wypadki dziejowe, które niegdyś nie pomieściły się w setku lat, ścisnęła w jednym ich dziesiątku, jak ścisnęła wielomilowe przestrzenie w kilku godzinach czasu; a dzienniki, gazety, fabryki, pisma ulotne, nowe romanse, spekulacje, przedsiębiorstwa, odkrycia, pędzą na wysięgi przez świat: każdy chwilą obecną zajęty, krząta się i biedzi prozą dnia każdego. A Assyrya, Niniwa, Babilon? — to gadki dziecięce! Zaledwie ojciec pozwala, by nauczyciel o tych plotkach prawil pacholąt-

kom jego; bo te powieści wszystkie zmyślane przez gadułów starych, te wierutne bajeczki czynią z młodzieży niepraktycznych marzycieli, a tu czas goni, a tu życie prze, a tu trzeba być czujnym i mieć oczy, a oczy otwarte na rzeczywistość! bo ona tylko sama jest prawdą. Na co się komu zdadzą one obrazki senne, któremi się niegdyś durzył ów dawno zmarły świat — niedoszły w rozumie! Tak myślano lat temu dopiero dziesięć, o ile ktoś o tém jeszcze myślał. Ale naszym czasom, choć tak prozaicznymi, nie braknie nigdy cudotwornych dziwów; one pukają od czasu do czasu do drzwi powszedniego, trzeźwego, rozsądnego życia, przypominając, że są cuda, o których, Hamlet powiada „ani śniło się filozofom naszym.“ Za naszych dni przeszłość stara rozwarła groby swoje, a postać, pośmiertna dawno zapomnianego Wschodu wystąpiła z pod ziemi i pojawiła się Europie, jak ongi ojciec Hamleta, i wystąpiła w całym rynsztunku wojennym z mieczem w rękę, z koroną na głowie.

List p. Longworth z Nimrud nad Tygrem, umieszczony w Morning Post d. 3 Marca 1847 r.

„Będąc w Mosul, wielce pragnąłem odwiedzić wykopaliny w Nimrud. Radbym atoli choć kilku słowami opisać wrażenia, które mnie uderzyły wśród tych gruzów pełnych dziwu. Wszystkie te zwaliska były pogrzebane w ziemi. Aby się do nich dobyć, p. Layard kazał odkopać ziemię do głębokości 12 lub 15 stóp; tak dostał się do wnętrza pałacu zbudowanego z płyt marmurowych. Tu przedstawił się istny zamęt labiryntny przysionków, świetlic, komnat, a ich

ściany wszystkie widziałem pokryte płaskorzeźbą i onem pismem w klin pisaném; a te ozdoby i przystroje były jeszcze wybornie zachowane. Wyższa część murów zbudowana jest z cegieł i pomalowana w kwiaty i t. p. lśniące jeszcze najżywszą barwą. Dachy były zapewne drewniane — tu i ówdzie sterczały jeszcze z nich ułamki rozsypane.

Było to właśnie pod wieczór, gdym zstępował w te świetlice, więc długie cienie potęgowały jeszcze wrażenie, pełne lęku i grozy, tych przedmiotów, które mnie w koło otoczyły. Przyznaję, że był wskroś poruszony, stanąwszy wśród przepysznego mieszkania starych assyryjskich królów, a nie potrzeba było przyłożenia silnego wyobraźni, by tu obaczyć zmartwych-wstające widziadła zapadłej wielkości i potęgi. Wiadoma przeszłości napępiały zewsząd ciżbą ściany, po których, mówiąc słowami Byrona „rozpostarły się mgliste skrzydła trzech tysięcy lat“, one przedstawiały wędrownemu widzowi obraz onych mocarzy, co niegdyś władali tak wielką częścią tej ziemi, którąśmy dziś zamieszkali. Tutaj oni świecą w orientalnym przepychu bogato wyszywanych szat, i w tym dziwnym swoim przystroju na głowach. Tutaj widać ich sprawy i w czasie wojny i pokoju; tu udzielają posłuchania obcym ludom, to walczą w bitwach lub zdobywają twierdze, to na łowach ścigają lwy i t. d. Widok takiej mnogości przedmiotów obcych, cudzych; przeniknął mnie do dna duszy. A postaci królów i ich namiestników były tak prawdy i życia pełne, i wyrobione tak piękną płaskorzeźbą, że się zdawało, iż w lada chwilę wystąpią i gniewnie powstaną na zachwalców natrętnych, ośmielających się nachodzić ich

samotność cichą. Tu i ówdzie znów pojawiały się potworne kształty starych bóstw assyryjskich; ciała ich ludzkie, ale z obwisłemi długimi skrzydłami a głowy o dziobach orlich. Tam znów u bramy przysionków opustoszałych wiernie trzymają straż kolosalne postaci skrzydlatych lwów i wołów o twarzach ludzkich o brzymiej wielkości. Zdawało się, że w chwili mrocznej wieczora wszystkie te figury, te wszystkie bożyszcza dawno umarłej religii, podniosły głowę swoją ze snu długich wieków. Zaiste uczucie uszanowania, które mnie przejmowało, było podobne do uczucia hołdu, które dla nich mieli niegdyś pogańskie ich czciciele. (*)

Otóż jest list pisany sześć lat temu, a niezadługo po chwili, gdy pogrzebione pomniki tego dawno umarłego świata zmartwychwstały występując przed oczyma żyjących.

Zacznijmy atoli od początku.

Chwała odkrycia pomników assyryjskich należy się zaiste Francuzowi panu Botta. P. Botta dopiero 1843 r. na wiosnę opuścił Francją, przeznaczony będąc na Konsula do Mosul, miasta położonego nad Tygrysem. Pod Mosul sterczy kilka potężnych pagórków; zarysy ich są tak nadzwyczajne, że zrazu widać, iż one nie są dziełem natury, ale raczej rozsypiskiem ogromnego budowania; a gdy między ludem tamtejszym chodzi

(*) Ob. Austin, Henry Layard. *Niniwa i jej zwałiska*, oraz drugie dzieło: *Niniwa i Persepolis*, pr. p. Vaux asystenta przy Muzeum Brytańskim. Historia odkrycia pomników tych, które podam czytelnikom moim w skróceniu, czerpana jest po największej części z dwóch tych ważnych dzieł.

wieść, że jeden z tych pagórów jest grobowcem Jonasza Proroka, więc też te rozsypiska wszystkie uchodziły za gruzy dawniej Niniwy „onego miasta trzech dni obwołu“ kędy kazał Jonasz, Boży wysłaniec.

P. Botta przeto, jako człek o szerokiem sercu a bystrzej głowie, zajął się kopaniem w tych pagórach, ile mu tylko stawało czasu wolnego od spraw konsularnych; — aleć krom napisów w klin pisanych (klinopismo), nie odniósł żadnej ważniejszej nagrody za trudy swoje. Atoli samo to miejsce nie było wielce korzystne do tego celu, bo te pagóry tak blisko znajdują się Mosulu, że zapewne ważniejsze zabytki, a mianowicie ciosy o płaskorzeźbach, dawno już były znalezione przez mieszkańców i obrócone za materyał do ich domów.

Mimo to wszelako P. Botta nie przykrzył sobie i starannie zbierał okruchy cegieł i alabastru, na których były ślady wyrzeźbionego pisma. W rychle włościanie przyległych wiosek znosili mu ułamki podobne, aż się też zdarzyło, że jeden z nich, widząc jaką cenę P. Botta przywiązuje do tych zabytków, a słysząc, że radby przedewszystkiem znaleźć rzeźby, poradził mu żeby czynił poszukiwania w jego rodzinnej wsi Korsabad, i zapewnił, że tam przy stawianiu nowych domów, mnóstwo podobnych rzeczy wykopują.

Poszedł za tą radą P. Botta, udał się do onego Korsabad odległego od Mosulu na pięć godzin Karawanowej drogi. W Korsabad obaczył pagórek, który na końcu wschodnim wznosił się wysokim ostrokreśm, zachodni zaś koniec pagórka rozdzielił się na dwa ramiona. Otoż w tém miejscu P. Botta zabrał się z całej duszy do pracy, która też najpiękniejszym skutkiem

uwieczoną została. W rychle dogrzebał się pałaców; w nich po ścianach napisy i płaskorzeźby, później posągi kolosalne, na nich ślady farb, mury ścian powiązane z wielką techniczością, rysunek rzeźb pełen prawdy i natury. List pierwszy P. Botta d. 5. Kwietnia 1843 r., donoszący światu o tak ważnych odkryciach, sprawił też we Francyi ogromne wrażenie. Rząd ówczesny postanowił nie szczędzić dla P. Botta środków, by mógł rozpocząć poszukiwania na wielką stopę. Ówczesny minister spraw wewnętrznych P. Duchatel przekazał mu znaczne summy, a P. Villemain minister Oświecenia przysłużył mu się znakomicie, wysyłając do niego P. Flandin, który sobie już był sławę zjednał w Persyi, jako znakomity rysownik; — on miał przerozsować te wszystkie zabytki rzeźb, których bez skruszenia nie można wyprawić do Europy. Przeznaczono też fregatę osobną, by popłynęła do morza perskiego, dokąd miały być spławiane Tygrem te olbrzymie zabytki starych lat, a ztamtąd zawiezione do paryzkiego Louwru. P. Botta okryty był zaszczytami od rządu swojego i narodu; kosztem publicznym wydane zostało dzieło pełne przepychu, obznajmujące świat cywilizowany z ważnością jego prac i mozołów. Żwawo i ochoczo postępowała teraz robota, a co chwila z ziemi wydobywano to napisy, to płaskorzeźby, to posągi ogromne, to małe figurki miedziane, to naczynia, to wyrabiania misterne na kości słoniowej, a mianowicie uderzały wyobraźnią owe gigantyczne lwy i woły skrzydlate o głowach ludzkich. Znaleziono też znaczną ilość stopionej miedzi i ułamki drzewa spalonego na węgiel; ztąd wnosil P. Botta, że dach był drewniany,

że był spojony gwoździami miedzianemi, a wreszcie że budynek cały zapewne zniszczony został przez pożar.

Nie też nie zdołało złamać odwagi P. Botta; żary dopiekające letnie, nieznośne nawet dla tamecznych mieszkańców, szerzyły morderczą cholere między robotnikami jego, i samego przyprawiły o niemoc długą i niebezpieczną. Przecież nieznekana, twardo kuta wola tego zacnego człowieka, przemogła wszystkie zapory zawistne, a rychło Francya i Europa ujrzała się dziedziczką wielkiej części spadku po królach Assyryjskich, zmarłych przed tysiącami lat.

Nie mniej atoli, jak te wszystkie odkrycia, jak ta hartowna, niezem nieprzełamana, wytrwałość i głęboka znajomość rzeczy, idzie panu Botta na cześć jego gorąca miłość do umiejętności, obok której nie podniosła już głosu żadna drobna zazdrostka i niechęćka narodowa. On to Anglikowi Layard, bawiącemu właśnie podówczas w tamtych stronach, podał rady szczere, z całym wylaniem udzielając mu swego doświadczenia. Poszedł na radę i przykładem P. Botta, P. Layard i zabrał się do poszukiwań; ale mniej znalazł spółczucia w swoim kraju i w rządzie swoim, i wszystkie pomysły jego, tak pełne bogatych nadziei, byłyby poszły w niwecz, gdyby jeden człowiek nie był się ujął za nim. Tym był Sir Straffort Canning; on mu wyjednał środki, które, choć nie były wcale obfite, wystarczały wszakże, aby rozpocząć robotę. Lubo później te poszukiwania odbywały się kosztem i na rzecz Muzeum Brytańskiego, przecież nigdy siły, któremi mógł rozrządzać, nie wyrównały zasobom Pana Botta. Zajmujące są słowa, któremi P. Layard opisuje stan duszy w onęj nocy, gdy nazajutrz miał rozpocząć pierwsze

prace około odkopania pomników zapadłych; była to noc gorączki trawiącej, stan, który był na poły jawem, marzeniem febralném. Rozwijały mu się widziadła podziemnych pałaców olbrzymich, potworów kamiennych i znowu przesuwwały się przed oczami duszy figury dziwne; na kamieniu rżnięte napisy bez liku majaczyły go czarodziejskiém widmem. Zdawało mu się że już wymyślił sposoby wydobywania tych światów odkrytych z podziemnej ciemnicy na świat jasny, widny; i znów marzyło mu się, że niby błędzi po labiryntnym zamęcie świetlic i izb, korytarzy, dziedzińców, z których szukał daremnie wychodu; gdy znów nagle całe to królestwo marzeń zapadło, zniknęło bez śladu, a pracownik biedny ujrzał się samotny na mogile gruzów chwastem zarosłej. Te widzenia gorączkowe nękały go noc całą, aż złamany na siłach zasnął; nad ranem usłyszał głos sługi, zerwał się z kobierca, wystąpił z chaty i zabrał się do dzieła. (*Layard, I. część Rozd. 2.*)

Rozpoczął pracę, a jak zaś szczęśliwe były jej skutki, jak one nawet przewyższyły owe obrazy marzeniem gorączkowym zrodzone, widzieć możemy już z wyżej przytoczonego listu P. Longworth, który odwiedził w r. 1847 podziemne pałace w Nimrud, dopiero co odgrzebane przez Layarda. Nie podobna już wypowiedzieć tych zawad i trudności, z którymi pasowali się ci zacni ludzie, pracując nad odkryciem tajemnic dawno umarłych ludów. Klimat niegospinny, niedostatek, bezdroża na pustkowiach natury, zła wiara robotników, brak wszelkich, choćby najdrobniejszych, wygod życia i inne wrogie potęgi broniły, jakby zawistne demony, wstępu do podziemnego świata; a już

najzaciętszym nieprzyjacielem usiłowania był fanatyzm ciemny mieszkańców, popierany przez ciasnogłowych rządzców onych prowincyi. Przytoczę ci tu tylko jeden wypadek. Pewnego ranku Layard wracał konno do wykopaliska swojego — w tém ku niemu jak konie wyskoczyć mogły pędzi dwóch Arabów. „Śpiesz się! śpiesz się, Beju! znaleźli Nemroda! Ałlach! To istny cud! widziałem go na własne oczy moje. Jeden tylko jest Bóg!“ A już nie mówiąc ani słowa, polecili wiatrem ku namiotom swoim. Wstąpił Layard w głębie do szybu. Sługa jego Awad zaszedł mu drogę prosząc o podarunek na uczczenie dnia tak ważnego. Spójrział L. w koło siebie, ale widział tylko stós ogromny koszów i płaszczów, a nigdzie Nemroda. Arabscy robotnicy w oka mgnieniu rozebrali osłonę, na pędce z płaszczów i z koszów ułożoną, i w tej chwili przed L. zjawia się ogromna głowa, gigantycznych rozmiarów. I niema się czemu dziwić, powiada L., że widok jęj przerażający zmroził strachem Arabów; nie trzeba było zbyt gorącej fantazyi, by w tém zjawisku obaczyć one okropne jestestwa, które, wedle starych podań chodzących wśród tego ludu, zwolna występują z podziemnego państwa, pojawiając się śmiertelnym. A przecież ta głowa była tak okazała, tak pełna pokoju! ona, przebywszy 2500 lat pod ziemią, teraz stanęła znów na jawie dziennym!

Niezadługo słyhać było tentent koni, a Szeik-Abder-Raman z połową szczepu swojego ukazał się na brzegach wykopanego szybu. Sprowadzili ten tłumowi dwaj Arabowie, których L. spotkał w drodze. Bo zaledwie stanęli u namiotów, a już z wielkim krzykiem rozpowiadali dziwy niesłychane; wtedy kto mógł dopa-

dał swojej klaczy, wołając: „Niema Boga krom Boga, a Mahomet jest prorokiem jego!“ i wszyscy cwałem pospieszyli, by oglądać cud. Nie łatwo było Layardowi namówić Szeika, by zestąpił w głębie wykopalisk, dla przekonania się, że przecież głowa, którą widzi, jest istotnie z kamienia. Szeik, przypatrzwszy się jej długo ze wszech stron, zamyślił się głęboko. Nakoniec zawołał: „To nie dzieło ludzkich rąk, to jest sprawą owych niewiernych olbrzymów, o których prorok — pokój z nim — wspomina, że byli ogromniejszego ciała niż najwyższe drzewa daktyłowe, a ta głowa, to jeden z tych bałwanów, które Noc — pokój niechaj będzie z nim — przeklął przed samym potopem!“ Na to zdanie pełne crudycyi zgodzili się wszyscy Arabowie.

P. L., chcąc ułagodzić umysły, wyprawił tego wieczora zabawę, racząc Arabów skopowiną; a muzyka wędrownych grajków, którzy właśnie tamtędy ciągnęli, nie mało dodawała ochoty; ze wszystkich też stron zbiegano się przypatrzeć się onemu dziwowisku, a zarazem by podzielać wesołą ochotę.

Lecz na tém nie skończyły się kłopoty; zaledwie owa głowa w nieobecności pana Layarda była odkopana, gdy jeden z Arabów, obaczywszy ją, dosiadł był czempredziej konia i popędził do Mosul; bez tchu przelatywał Bazary wołając, ile miał głosu, że Nemrod zmartwychwstał! — Ogromny rozgłos po mieście. Kadi, niechętny oddawna panu L., zwołuje Muftego i Ulemów, by tę rzecz spólnie rozważyć ze strony teologicznój. Narada skończyła się na processyi uroczystej do gubernatora prowincyi Ismaila Baszy. Protestowano przeciw pracom P. L. jako obrażającym ustawy koranu.

Ale Kadi sam jakoś nie był pewnym, czyli odkryto obraz, czyli też kości Nemroda, co był „możnym myśliwcem przed obliczem Pańskim“ a Jego Excellencya Ismail Basza znów nie mógł sobie przypomnieć, czyli ten Nemrod był prawowiernym Prorokiem czyli też ohydny niewiernym. W tój niepewności kazał polecić P. L., aby się ze szczątkami Nemroda obchodził z uszanowaniem, a zakazał wszelkich dalszych prac około nich. Po długich korowodach stanęło przecież na tём, aby na czas zawiesić roboty, póki się miasto jakoś nie ukołysze. (*)

Zaiste wystarczy już com powiedział o historyi pojawienia się tych zabytków na widok jasny cywilizowanej Europy. Nie rozwodzę się też nad poszukiwaniem komissyi francuzkiój, zajętej w tój chwili odkopaniem gruzów Babilonu. Ogromne pagóry odległe na milę ob Birs-Nimrud okazują miejsce, kędy niegdyś wznosiły się budowania olbrzymie olbrzymiego miasta, a choć doszły nas najświeższe sprawozdania komissyi, przecież z nich jako i z dawniejszych znać, że praca około tych babilońskich rozwalisk dość jest niewdzięczną. Do tych czas nieznaleziono żadnej rzeźby; a kawałki cegieł malowanych, składających niegdyś jakiś obraz, są po dziś dzień całym owocem trudów i wielce znacznych kosztów. Brakuje też napisów o sprawach wojennych w gruzach Babilonu, a przecież napisy tak są gęste w ruinach Niniwy; również jest rzeczą wielce uderzającą, że nigdzie w Babilońskich rozsypiskach nie widać śladu sklepień, gdy tym czasem w Niniwie znaleziono sklezione bramy, sale,

(*) Layard, Rozdz. IV.

kórytarze, a na rzeźbach widać nawet mosty o łukach ciosowych.

Przepuścisz mi zaiste i bliższe opisy owych rzeźb wykopanych, i pałaców odkrytych w Niniwie, a zapytasz raczej o wartość tych dzieł sztuki, o ich znaczenie w dziejach rozwijającej się fantazyi artystycznej. Na to właśnie pytanie trudno mi wielce odpowiedzieć. Dzieła sztuki ludów starzej Azji są dla nas zupełnie nową dzielnicą, bo dopiero od lat dziesięciu istniejącą; nie było jeszcze dość czasu, by się w nich dostatecznie rozpatrzeć, a one też uderzyły Europę zniemka takim podziwieniem, że brakło jeszcze chłodnej rozwagi, swobodnej, niezamąconej myśli do trzeźwego badania a bezstronnego sądu.

Gdy mowa o Grecyi lub Rzymie, o Egipcie lub Indjach, zdołamy prawie już, jakby na figurach jeometrycznych, wykazać na ich dziełach istotę fantazyi tych wszystkich ludów; lecz gdy patrzymy na zabytki assyryjskie, jakiś tajemniczy duch, jakieś oczy nieznanego nam świata patrzą na nas z tych postaci dziwnych, a tak pełnych majestatu a okazałości olbrzymiej. Przeczujemy, że wiele jeszcze okrętów obciążonych skulpturą i napisami popłynie do Europy, że wiele wyjdzie jeszcze na świat rycin, dzieł i opisów, że wiele głębokich znawców i badaczy złoży prace całego życia swojego na ofiarę umiejętności, zanim zdołamy sobie zdać sprawę jasną o tej fantazyi otwierającej nam nowe królestwa w dziejach ludzkiego ducha.

Wszak filozofia ze swoją szkodą przekonała się nowemi czasy, a mianowicie we filozofii Natury, jak to niebezpiecznie wyrokować zawczasie w jakim-

kolwiek przedmiocie, gdy jeszcze nie dostaje pewnych faktów.

Mam wprawdzie w tej chwili przed sobą rozłożone mapy, rysunki, ryciny, plany i t. d. assyryjskich pomników; ale wyznaję, iżbym nierad wysunąć się za rozumiałe z jakimś zdaniem zbyt zuchwałém, gdy inni lepsi odemnie, a którzy nawet widzieli na oczy i dotykali się tych pomników, tak nieśmiało odzywają się ze zdaniem swoim. Przyznaję ci się iżbym był nawet całą tę rzecz chętnie pominął, gdyby się godziło nie wspomnieć o zabytkach tak ważnych, które w tej chwili poruszyły całą myślącą Europę; gdyby się godziło przemilcząć o tym ludzie historycznym, w tych listach moich, w których sobie założyłem choć zlekka dotknąć usposobienia artystycznego wszystkich narodów i epok, które w olbrzymich historycznych postaciach kroczyły po scenie dziejowej ludzkiego rodu. Pomijając tedy nawet różnice niniwskiej i babilońskiej sztuki, o ile ją znamy czy z rzeczywistych dzieł, czyli z podań historyków, wypowiem kilka nieśmiałych wyrazów o spólnym charakterze obu tych sztuk. Wyrazy moje tém mniej będą śmiałe, że, jako rzekłem, zdania przez znakomitych znawców rzucone są jeszcze zbyt ułomkowe, aby mogły wesprzeć mnie dostatecznie powagą. Nie chciałbym tedy rozprawy mojej oważyć za twierdzenia, któreby sobie rościły prawo do jakiegoś stanowczego wyrokowania o rzeczy.

Naprzód jest rzeczą niewątpliwą, że te zabytki stanowią ważne a dotychczas nieznanne ogniwo w dziejach fantazy artystycznej; one zaiste uzupełniły przerwę w historyi rozwoju sztuki pięknej.

Jakiż atoli jest charakter tej fantazy przebijającej

się w tej puściźnie po tych starych pokoleniach Azyi? Patrzmy na kierunek i dążność ich duchową. Assyrya równie jak Babilon długą i przeważną potęgą panowały licznym narodom Azyi — władztwo ich było olbrzymie. Zdobyć sobie atoli takowej potęgi i panowania było tem trudniejsze, jeżeli zważymy samo usposobienie tych wszystkich szczepów, które trzeba było przemódz i trzymać w karchach azyatyckiego posłuszeństwa. Nie rozprawiając obszerniej pod tym względem, zwrócę tylko jeszcze uwagę twoją na samą naturę tych krajów, na których stanęły Babilon i Niniwa. Cała ta przestrzeń niema bynajmniej granic od natury samej tak ściśle zakreślonych, aby one zarazem służyć mogły za obronę państw jednolitej istoty. Z tego wypływa, że tem więcej potrzeba było siły i wewnętrznej potęgi, aby sobie wywalczyć przewagę i utrzymać się, choćby przez czas niejaki, na panowaniu tak olbrzymiej przestrzeni Azyi. I dla tego słusznie policzono te państwa do ludów czynu z okiem i duchem na zewnątrz zwróconém. Indye, usypiające w miękkich czarodziejskich marzeniach, nie złożyły nigdy litego państwa, one się jedynie zdobyć mogły na zbiór państw drobniejszych; ich właściwa historia nie wystąpiła nigdy po za obręby rodzimego kraju. A Egipcyanom, zadumanym, tonącym w sobie, łatwiej było przyjść do całości politycznej odrębnej, bo sama natura uczyniła z ich ojczyzny całość w sobie zamkniętą, a nie tylko odgradzoną ze wszech stron od świata, ale mającą nawet piętno tak osobne, tak właściwe, jak już zaden inny kraj na świecie.

Niniwa i Babilon nie kołysały się w marzeniach jak Indye, nie dumwały nad zagadką nadświatną czło-

wieka i natury, jak Egipt; one były powołane do twardej sprawy, do butnego działania, i, stojąc jakby na strażnicy dziejów Wschodu, czujnym zmysłem patrzyły około siebie, dostrzegając pilnie wszystkich zjawisk zewnętrznego świata.

Z tego, co rzekłem, wypływają następujące wnioski:

Te ludy właśnie dla tego, że działały, że się pasowały ze światem rzeczywistym, że dokonały spraw ogromnych, których odgłos rozlegał się po dziejach ludzkich — podawały innym narodom osnowę do dzieł fantazyi, mogły się stać przedmiotem sztuki dla obcych; ale za to same nie były ludem bogatej fantazyi. (*) Świat zewnętrzny, rzeczywisty, tak zajmował Babilon i Assyryę, tak potężnie ich wiązał, że im nie stało czasu, by ten świat ustroić, upoetyzować w ułudne kształty.

Gdy atoli do tego świata zewnętrznego, rzeczywistego, który tak ciężko ważył w duchu tych ludów, należy również i natura w koło otaczająca człowieka, a nawet jego własna cielesność, więc już z tego ich usposobienia nowe możemy wysnuć wnioski.

Jakoż brak rozwiniętej fantazyi a przytém znacznie wielkie rzeczywistości i tej istnej natury, musiało być koniecznym powodem, że te ludy mniej idealizowały, a trzymały się raczej tego, co im rzetelna podawała natura. Wniosek ten sprawdza się też wedle mojego zdania na ich rzeźbach. Kto tylko widział te skulptury, przyznał im nielada znajomość anatomii i znakomite studia natury. Widać wszędzie że tym mistrzom chodziło o naśladowanie rzeczywistej przy-

(*) Vicher w Estetyce.

rody, że mieli zmysły rozwarte na kształty, które im przedstawiał świat materyalny; oni nauczyli się natury, nauczyli się rysować. Muszkuły w tych rzeźbach, mianowicie ramion, rąk i nóg, są tak wydatne i tak ściśle wyrażone, a twarze tak pełne indywidualności, iż wyraźnie znać, że mistrze ich patrzali na rzeczywistość dla tej rzeczywistości samej. Przekonywamy się przeto, że te figury w niczem już nie są podobne do tych twardech, architektonicznych, sztywnych posągów egipskich, co to bez muszkułów, bez wyrazu na twarzy, a robione niby na pamięć, wedle raz na zawsze przyjętych proporcji i rozmiarów. Wszak te oblicza królów, bohaterów assyryjskich są tak nacechowane charakterem właściwym, iż znać, że są wizerunkami osób żyjących. Dziwny to widok tych głów o włosach, brodach utrefionych, wyloczkowanych z najwyższą starannością, i strojnych w czapki wysokie, a suto i dziwacznie ozdobione. Ten naturalizm sztuki pojawia się i w tém jeszcze, że, jak nam prawią wędrowcy, fizyonomie mają piętno dzisiejszych mieszkańców w owych krajach, że nawet draperye posągów przypominają sposób noszenia sukni dziś jeszcze tam używane.

Cheiej atoli baczyć, że gdy rozprawiając o tych rzeźbach mówimy o trafnym, poprawnym rysunku, o studyach natury, o umiejętności anatomii, trzeba mieć wzgląd na to, że i ta sztuka assyryjska, jak każda inna, miała epoki swojego rozwoju, najwyższego kwitnienia, a późniejszego upadku. A sztuka assyryjska w tém więcej zaiste ulegała tym epokom różnym, że trwała życiem tak długim i przeciągłym. Uważają atoli że stała na szczycie swoim mniej więcej na 1000

do 2000 lat przed J. Chr. Zważ, że gdy dziś robotnicy odrywali od ścian pałacowych płyty marmurowe z płaskorzeźbami, spostrzegali że te płyty były i z drugiej strony rzeźbione we figury, więc ze strony do ścian wmurowanej; przecież rzeźby te wewnętrzne były innego już stylu. Widzimy tedy, że te płyty należały niegdyś do starszych jeszcze pałaców, które rozebrano do nowszych budowli. Znaczący domyślają się, że takowe starsze rzeźby sięgają zapewne czasów Ninusa i Semiramidy!

Ale i tutaj to jest cechą wielce charakterystyczną, że ciało jest lepiej rysowane niż oblicze, które właśnie jest ducha promienną stolicą, a znów kształty zwierzęce dokładniej są wykonane niż postać ludzka.

Prawda, że na tych rzeźbach i w kształtach ludzkich i zwierzęcych widać niekiedy gwałtowne odstępstwo od natury; ale w takich razach to odstępstwo jest tak potężne, tak uderzające, że właśnie widać, że się stało z namysłu, że ma cel nadania tej postaci pewnego piętna i symbolicznego znaczenia.

Atoli i tutaj, jak na całym Wschodzie, rzeźba nie jest jeszcze sztuką usamowolnioną, ona nie istnieje jeszcze sama dla siebie, jest niby służebnicą i ornamentką architektury; albowiem i człowiek, będący główną ośnową dla rzeźby, nie jest wyswobodzony w zupełności z pod mocy natury. Przecież płaskorzeźby są, jak już powżej widzieliśmy, dzielnie występujące; one bynajmniej nie są tak płaskie a tém mniej wklęsłe, jak to widać w Egipcie.

To zwrócenie się tych ludów do natury, do życia zewnętrznego, jak jest powodem, że ich sztuka wiernie naśladowuje naturę nie idealizując jej wcale, tak też to

usposobienie objawia się jeszcze i pod innym względem. Jakoż te ludy bitne, praktyczne, żyjące życiem zewnętrznem, wysoko sobie ważyły siłę przyrodzoną, fizyczną; i dla tego właśnie nogi, ręce i ramiona są muszkularne i mocne w porównaniu z tułowiem. Podobnież blask zewnętrzny, przepych hardy, butny, widomy dla świata, jest tu wielkiego znaczenia. Rzeźbione postaci tych królów pełne są okazałości i majestatu. One tak swiętecznie, uroczysto patrzą na świat, że znać jako one i władały mnogimi ludami, i składały wspaniałe ofiary bóstwu na cześć. Szaty wyszywane, bogato strojne, są pełne powagi i grozy. Patrząc na te postaci widzimy w nich jakby uosobione dzieje starego Wschodu.

Ta chęć okazałości, wypływająca z uczucia własnej potęgi i z żądzy okazania jej na zewnątrz, wyjawia się i w architekturze; ogrom pałaców, niesłychana wysokość, do której sięgają budowania Assyrii i Babilonu, i ta butność harda, głosząca ludom świata dzielność i siłę mocarzy, jest tutaj zupełnie właściwym wpływem nastroju całego ludu.

Zważ jeszcze, że gdy nad Eufratem i Tygrem człowiek żył raczej życiem rzeczywistym, zewnętrznym, a niżeli duchowym, zatem też działo się tu inaczej jak w ciężko zamyślonym Egipcie. Tam bowiem większą część rzeźby i architektury ma religijne znaczenie, a najczęściej jest hołdem śmierci oddanym; w Assyrii zaś fantazja jest niby świecką, światową, stąd rzeźbi najczęściej fakta historyczne, wielbiąc swoich mocarzy i bohaterów. Budowania ogromne, okazałości i przepychu pełne, są właśnie pałacami, mieszkaniem tych królów i władców. Co więc, te figury religijne są

potworne, dziwaczne, bo są symboliczne; a przecież wedle sądu tych, co je widzieli — w nich znać jakiś zdrowy, rozsądny pogląd; ośmieliłbym się powiedzieć, że tutaj nawet symbolika jest harda i zuchwała, pochodząca z uznania swojej wartości. W Egipcie krokodyl, kocie, krowie, krogulecze głowy, owady rzeźbione są ważnym pierwiastkiem symbolów; w Niniwie zaś orzeł, lew, skrzydła, wół w całej potędze swojej, ciągle i ciągle wracając się na rzeźbach, świadczą jaki to ten lud hardy i bitny i butny!

Te atoli figury religijne i bożyszcza są jeszcze jawnym dowodem, że i tutaj bóstwo nie jest pojęte ściśle jako osoba; i tutaj w duchu niema jeszcze jasnego wyobrażenia o tej jedności ducha, do której jak do ogniska odnoszą się wszystkie promienie jego.

Tę jedności doskonałej nie widać też w architekturze pałaców stariej Niniwy. Wpatrując się w jej plany a rozporządzenie wewnętrzne, znać, iż przy zakładaniu ich nie przyświecała jedna myśl przewodnia; te pałace nie są organiczną całością. Prawda, że to już nie są owe senne labiryntne marzenia w skale wykutych pieczar indyjskich; owszem jest niekiedy pewna symetria w całym rozkładzie; izby i sale często odpowiadają sobie i co do wielkości, kształtu i wzajemnego położenia swojego; ale często także możnaby ująć lub dodać mnóstwo światła i sal, a całośćby na tem nie traciła bynajmniej. Słowem, i tutaj, jak na całym Wschodzie, nie pojawia się jeszcze owa architektura, którą dopiero mogła Hellada stworzyć — architektura, w której każdy, choćby najmniejszy szczegół, odnosi się do całości swojej, w której każdy szczegół jest zarazem przyczyną i skutkiem wszystkich

innych, w której wszystkie części, choćby najdrobniejsze, nawzajem się tworzą i są wzajemnym warunkiem swoim.

Odważyłbym się orzec, że z powyższych faktów wynika, iż ta sztuka Assyryi stariej jest jakby ogniwem pośredniem między Egiptem a Grecyą. I w Niniwie symboliczność jest jeszcze pierwiastkiem ciężkiej wagi, ale przecież obok niego przeważa sztuka świecka, która służy ku uczczeniu ludzi i bohaterских spraw; figury nie są jeszcze ideałami w greckiem znaczeniu, ale nawzajem nie są też tylko znakiem niemy, jałowym myśli; ona mają znaczenie same przez się, one w samej rzeczy jako postaci mają wartość swoją, nie potrzebując pożyczonej symbolicznej treści.

Prawda, że ten naturalizm wyrażający się w całym kierunku tych ludów, jak z jednej strony czynił je zdolnemi i do wielkich dzieł w życiu praktycznym, tak też z drugiej strony wplótł w ich obrzędy religijne sprośność zmysłową, a co więcej, stał się przyczyną upadku tych olbrzymich państw. Po pogromach, po przemożeniu ludów w koło, zwycięzcy chętnie oddawali się rozkoszy bezmiernej, miękkości niesłychanej, zapadali w gnuśność sardanapalską, usypiając w objęciu czarodziejskich mocy zmysłowości, a tak znów stali się łupem drugiego podobnego do siebie ludu. Nie darmo też na cały świat rozeszły się wieści i do późnych pokoleń dostały się podania o rozpuszcie bezmiary, o zniewieściałości bez granic życia w Babilonie. Aleć ta zmysłowość rozkołysana, to oddanie się, te zapadania się w uciechach rozkoszy materialnych są wielce różne od gnuśności zniewieściałej owych Indyan. Bo tam człowiek jeszcze jest oczyniony bezwolnie ma-

giczną mocą natury, która nim miota i włada, odbierając mu przytomność siebie; nad Tygrysem, nad Eufratem zaś zwycięzcy świata w rozkoszach zmysłowych zewnętrznych pragną nagrodzić sobie ciężkie trudy wojenne, pełne krwawego znoju. Oni teraz panami wszechludów w około, więc z pełną wiedzą rzucają się w objęcie, w morze odurzającej rozkoszy.

Możnaby zaiste wysnuć ci cały jeszcze szereg wniosków podobnych, które prawie same się nam rodzą, gdy się rozpatrzymy w rycinach tych zabytków, które nam się dziś wydobywają z końnicy ciemnej przeszłości; lecz myślę, że do naszego celu wystarczy, cośmy dotychczas o nich rzekli, a trudno też nam puścić się na hazard, oddając się zbyt zuchwale niepewnym a zarozumiałym przypuszczeniom.

Nie mogę atoli odwrócić się od tego dawnego wschodu ludzkich dziejów, nie uczciwszy choć słówkiem starożytniej Persyi, owego rodzinnego kraju Cyrusa, Daryuszów i Xerxesów, choć on o wiele, wiele stóleciów młodszy od owych grodów Babilonu i Niniwy.

I Persowie, choć innego szczepu i pochodzenia, byli również ludzie dzielni, ludzie czynu i mężkich spraw; i oni w swoim czasie zasiedli na tronie złocistym całego wschodu; oni nie ustąpili żadnemu z władców zrodzonych w Azji, ich powalił duch Europy, duch nowój historii, który się nosił w Macedońskim Aleksandrze. Persya padła w oném olbrzymiem pasowaniu się potęg przeszłości z przyszłością nową, do której miał należeć ludzki ród.

Dziś cicho i samotnie na rozwaliskach świętego Persepolis — milcząc zasiadła historia wśród tego grobowego miasta następców Cyrusowych. W koło

opuszczenie i głuchota; w szerz i w dal nie dojrzysz żadnego innego dzieła ludzkich rąk. Niekiedy tylko słyhać krzyk szakala, lub przesunie się lis, albo lew ryknie; niekiedy słyhać rzenie koni; — to jeździec na pół dziki, lub wędrowcy z Europy, co karawanę ciągną, by złożyć hołdy podziwu swojego gruzom, które, choć w poniewierce, tak jeszcze przepychną i cudów pełne.

Na wysokim terasie marmurowym wznoszą się jeszcze licznemi gronami kolumny wysmukłe, swobodne; brusy niegdyś je łączące spadły i rozsypały się w okruchy, zostały tylko prawie zachowane one wschody prowadzące na teras, wschody najwspanialsze na świecie; takich wschodów już żaden naród w historii, żaden wiek zbudować nie zdołał! A obok wschodów lśnią płaskorzeźby bogate, świadki dawniej wielkości. Widzisz bez liku postaci tłumne, co się cisną w czterech szeregach, nad sobą umieszczonych; te figury ciągną uroczyste, to rozmawiając z sobą, to niosąc puhary, laski, berła, ozdobne naczynia i sprzęty, a są uzbrojone w pugiwały, lub łuki i miecze. Jedne z tych postaci zwyczajem Medów odziane są szerokim płaszczem, inne w obcisłych z perska sukniach a z wysoką tyarą na głowach; jedne ustrojone w łańcuchy na piersiach zwieszane, inne w koleczki i w naramienniki. Na drugiej stronie wschodów ciągną pochody świąteczne, — to uroczyste poselstwa, co od dalekich narodów niosą hołdy i cześć „królowi królów.“ A pochód ich podzielony na grona osobne, z których każdemu przewodniczy mąż poważny odziany płaszczem, w rękę trzymający laskę wysoką, u boku jego miecz. A każde z tych gron inaczej przybrane. W jednym widzisz

posłów odzianych żupanem o krótkich rękawach, na nich założony pas (w sposób polski), końce krótkie pasa spadają we frenzle. Inne grono składa się z figur, których włosy ujęte siatką, broda ich krótka, nogi gołe, z płaszczykiem zarzuconym. Nagie części ciała dobrze modelowane, anatomia zachowana ściśle. A wszystkie te posły niosą bogate dary „Wielkiemu Królowi,” to klejnoty, to futra, to kosztowne materye, lub prowadzą konie pyszne, wielbłądy, woły, wozy i t. d. — i kroczą wszyscy poważnie, uroczysto.

Persepolis, choć w gruzach i rozsypaniu, jest jeszcze pełne piękności, a te piękności, pełne dziwu i cudu, stały się ofiarą nieopatrznej, słabej chwili wielkiego człowieka.

Państwo Persów już zgruchotane w bitwie pod Arbelą; Persepolis wzięte. Tysiące a tysiące mułów i wielbłądów, naładowanych skarbami pałaców królewskich, ciągnie do Europy. Wojsko zwyciężkie Macedonów hula w Persepolis, nuży się w zbytkach bezdennych. Im czas bawić się i szumieć. Sam Alexander tarza się w życiu Sybarity, odurzony szalem i dziką ochotą. — W Persepolis szumi wojsko wraz z królem swoim w wyuzdanem weselu — A szlachetny Daryusz, nieszczęśliwy król Perski, ze życiem uchodzi przez pustynie głucho, bezludne; rzucił się za nim w pogoń oddział jeźdźców macedońskich — i oni go dopadną w okropnej chwili, gdy we krwi swojej konać będzie odebrawszy cios morderczy od Bessusa, powiernika swojego, który ze wszystkich sług i przyjaciół przy nim sam jeden pozostał; tak go znajdują jeźdźcy Alexandra; jeden z nich pokrzepi umierającego wodą przyniesioną w szyszaku a Daryusz pobłogo-

sławi i poda mu prawicę omdlałą — a wrogie twarde wojownicy zapłaczą nad królem królów a panem Azji. — Tymczasem hucznie, szumnie, ochotno w Persepolis! Grzmi biesiada w późną noc; pieśni i żarty, kwiaty i kobiety cudnego uroku i puhary dodają ochoty weselnej — Alexander opity pychą i winem — W tem powstaje od uczy Thais zalotnica i wyzywa go, by pożogą Persepolisa pomścił spalone niegdyś przez Xerxesa świątynie w Grecyi. I wszyscy rozgrzani puharem przyklasnęli. Sam król Alexander powstaje i zataczając się woła: „Zemsta za Grecyą“ i porywa głównią zapaloną, i rzuca ją w precudne Xerxesowe pałace; za nim poszli wszyscy biesiadnicy, i wnet Persepolis morzem płomieni. Nazajutrz, po wyspaniu się Alexander zarumienił się, rozkazał ratować — ale zapóźno. Macedonów wstyd było za króla. A był to przecież ten sam Alexander, który przez Hyrkaniją aż pod Kaukaz i morze Kaspijskie posyła pogoń za Bessussem, a ujętego mordercę każe tracić straszną śmiercią: był to ten sam Alexander, który tak zacnie i szlachetnie obszedł się z matką i małżonką i dziećmi Daryusza. Wszakto Daryusz umierający, podając rękę owemu żołnierzowi co go wodą orzeźwił, rzekł: „najwyższą moją boleścią jest, że ci nie mogę wynagrodzić dobrodziejstwa twojego — ale Alexander za mnie ci wynagrodzi, a bogowie Alexandra wynagrodzą za wspaniałomyślność wyświadczoną rodzinie mojej; ja przez ciebie podaję mu prawicę moją.“ Ten sam Alexander, co odurzony złą chwilą, w popioły, w gruzy obrócił święte Persepolis, starą królów perskich siedzibę, śmiercią karze rządzcę kraju Persidy, który

w nieobecności zrabował grób i zbezcześcił zwłoki Cyrusa.

Ten grób Cyrusa arcy zajmujący jest pod względem architektury. Całość jest niby piramidą, na której szczycie stoi domek ciosowy o dachu szczytowym, także ciosowym. Piramida jest w ten sposób zbudowana, iż ze wszystkich czterech stron prowadzi sześć stopni do szczytu, z których najniższy będący podwaliną całości jest prostokątem 44 stóp długości a 40 szerokości, a wysokości 5 stóp 6 cali. Najwyższy zaś 25' 8" dług. a 21' 8" szer. Domek na wierzchu, czyli grobowiec, obejmował niegdyś ciało Cyrusa złożone w złotej trumnie; dalej krzesło złote, dalej kosztowne klejnoty, kobierce, łańcuchy, szable, drogie kamienie i t. d., słowem nieocenione skarby.

Napis był taki:

O człowieku! Jam Cyrus, perskiego państwa założyciel i władzca Azyi. Nie pozazdrość mi pokoju w grobie!

Następnie (wedle Strabona).

Ja Cyrus, król królów, tu leżę pogrzebiony;

Ja byłem przyjacielem przyjaciół moich,

Byłem najlepszym jeźdźcem i łucznikiem najlepszym,

Byłem najpiérwszym myśliwcem,

I byłem wszechmożny w działaniu!

Ten grobowiec wielkiego pogromcy, choć bez napisów, bez skarbów, dziś jeszcze się wznosi w sąsiedztwie Persepolis. W tej samej okolicy widać jeszcze inne groby królewskie wykute w ścianach skalnych. Na 300 stóp od ziemi widać wystawę (facyatę) architektoniczną, ona jest podzielona na dwa piętra; w dolnym cztery kolumny pół okrągłe, które miasto kapitelu zdobne w podwójne głowy jednorożca, dźwigające bo-

gate brusy i gzymse. Między kolumnami środkowemi są drzwi z gzymsem bogatym a przypominającym architekturę Egipską. Wyższe piętro przedstawia jakieś murowanie, wielce zdobne w rzeźby; na niem trójnóg mały, na którym pali się ogień święty, obok trójnoga figura brodata, otulona płaszczem, u góry słońce, a między płomieniem i figurą u góry unosi się jeszcze jakaś inna postać dziwna, promienista.

Nie będę ci wspominał o innych zwaliskach pomników starych Persów. To co mamy przed oczyma, zarazem z tém, co nam ich księgi religijne prawią dostatecznie już tłumaczy nam istotę perskiej fantazyi.

I Persowie byli ludźmi czynu i oni, w świat rzeczywisty duszą zwrócenii, mniej błyszczeli własną fantazyą a raczej byli bogatą osnową dla obcej fantazyi. Com rzekł powyżej o Assyryi i Babilonie stosuje się po większej części i do Persów, z tém atoli ograniczeniem, że Persowie nierównie mniej jeszcze byli ludem — artystą, niż one stare ludy siedzące nad Eufratem i Tygrem. Ich figury wypracowane pilnie; ale nie są bynajmniej dziełem artystycznego natchnienia. A ich figury religijne o dziwacznych kształtach są to raczej rozsądkowe Allegorye. Wielkość i przepych zwycięzców świata i tutaj występuje z całym okazałym, hardym majestatem.

Krótkie dzieje państwa Cyrusowego nie wystarczyły do rozwoju dzielnego ich narodowej sztuki. Widzimy tedy jakieś wspomnienie z architektury Egipskiej, często nam się też przypomina i Babilon i Niniwa. Bo też inaczej być nie mogło. Persowie, możni pogromcy świata, przyswoili sobie formy zwyciężonych ludów. Mimo to przecież, narodowa ich fantazyja czyli

raczej właściwy smak przebija dość silnie w ich dziełach, mianowicie w architekturze. Te kolumny lekkie, cienkie w niczym nie są podobne do egipskich tak ponurych i zadumanych. A forma tych kolumn, ich kapitelów jest zupełnie perska. (*)

Więcej atoli, niż te wszystkie kamienne zabytki, wypowiedziały księgi religijne starych Persów, zwłaszcza Zend-Avesta przez Zoroastra spisana. Zdaje się wedle najnowszych badań, że nauka Zoroastra powstała po upadku Niniwy z ułamków religii assyryjskiej. Co w Assyryi było zarodem, toć rozwinął Zoroaster, czyniąc z dawnych wyobrażeń zmysłowych myśli oderwane.

Nauka Zoroastra jak sama, oparta będąc na ab-

(*) Zaiste te kolumny perskie, a szczególnie ich kapitale odznaczają się najwyższą, prawie dziwaczną oryginalnością. Mianowicie są tu dwa kształty głowic wielce uderzające, a które się najczęściej spotykają; — jeden z tych kształtów przedstawia essownice (ślimacznice) jouskie, ale umieszczone w ten sposób, że one nie są położone poziomo, tylko przy-czepione pionowo, więc do bocznych krawędzi kapitelu; a na każdej krawędzi są dwie takowe ślimacznice. Ta część z essownicami wyrasta niby w kielichu kwiatu, mającym tedy liście do góry zwrócone; ten kielich od spodu styka się z drugim kwiatem, którego atoli liście są ku ziemi zwieszzone — a pod tym drugim kielichem dopiero rozpoczyna się trzon kolumny okrągły, żłobkowany. Drugi rodzaj głowic składa się z dwóch koni, jednorożców lub wołów zrosniętych niby grzbietem z sobą; nogi przednie zwinięte pod ciałem występują poza obwód kolumny; między karkami jest ustęp, w którym umieszczano belkę. Niechaj to będzie przykładem tych osobliwych form architektonicznych. Nie opisuję już podnożów tych kolumn; one prawie również nadzwyczajne — i dla tego trudno je zrozumieć nie mając zarazem i rysunku przed sobą.

strakcyach, na pojęciach ogólnych, okazuje brak fantazyi natchnionej, umiejącej obrazować treść duchową; tak równie, będąc podstawą religijną, jest niechętna wszelkiemu obrazowaniu przez sztuki piękne. Tutaj dwie potęgi występują jako władające światem: Ormuzd, pierwiastek dobrego, światłości, użytku, — i Aryman, pierwiastek złego, ciemności. Oba pasują się z sobą walką — jest to sprzeczność, dualizm, który spotykamy na wschodzie a którego ludy jego przemódz nie zdołają. Zważ równie, że tak pojęcie światłości, dobrego, użytku, jak pojęcie złego, ciemności i t. d. nie są bynajmniej osoby rzeczywiste, postaci indywidualne; ale są to abstrakcye, pojęcia metafizyczne, słabo, rozlotnie uosobione w Ormuzdzie i w Arymanie — i dla tego też właśnie obie te potęgi nie mają rozwoju w żywocie swoim; do nich nie przywiązane są prawie żadne mity, opowiadające ich losy i czyny. One, jako myśli oderwane, są w sobie próżne i głuche. Ale takowe zapatrywanie się jak zrodziło światło-bożeństwo, cześć światła nie będącego osobą, tak też dowodzi, że prozaiczność rozsądkowa studziła fantazyą tego ludu, to jest fantazyą powszechną; a tém samem, widać że Persów sztuka głównie też z tego powodu nie mogła się rozwinąć.

Kładę ci tu drobny wyjątek ze Zend-Avesty; będzie on dostatecznym dla nas przykładem tej poezyi, bo cała Zend-Avesta brzmi prawie tym samym tonem. (*)

Ormuzd przemawia do Zoroastra:

(*) Obacz jeszcze wyimki w wykładzie filozofii T. I. str. 345 i T. II. str. 87.

„Ja wyrzeknę ci ono słowo! — słowo przeczyste, przenajświętsze, słowo nieskończonej tęsknoty, bo było wtedy, gdy nie było Nieba ani wód! ani ziemi ani drzew! słowo co było przed ogniem i przed człowiekiem czystości pełnym, przed światem i wszech narodami, co z Ormuzda poczęte są!

O Zoroastrze! wymów przeczyste słowo moje, wymów je, choć cię opuści mowa, i nadzieja cię opuści na skonania łożu. Kto w państwie światów moich wymówi słowo moje i wyśpiewa je pełnym wdzięków tonem, tego dusza uniesiona będzie w górne niebiańskie przybytki. Ja Ormuzd, ja sam uczynię mu mosty szerokie ku światłościom niebiańskim — on będzie czystym, jako niebiosa czystym! i będzie świecił niebiańską światłością. Ja sam — Ja Ormuzd majestatem odziany, wymówiłem to słowo z wysokości mojej — a słowem tém wszechjestestwo czyste dostąpi Ormuzdowych światów. I teraz — i na wieczność całą, usta moje wymawiają to słowo — a błogosławieństwo ze słowa rodzi się światu.

..... Ja Niebios Pan stałem się czynnym a zniknął władzca złego. Z pośród złych, z głębi przepaści zawołał głosem: Ja nie chcę mieć myśli o dobrém, nie będę mówił o dobrém — odrzucam precz mądrość i nienawidzę zakonu wszechrzeczy!“

LIST XVIII.

Ludy Mahometańskie.

Wstęp. — Fantazyja Arabów, Persów i Turków. — Fantazyja perska jest głównym wyrazem fantazyi tych ludów. — Niektóre pieśni. Mistycyzm wschodni przechodzi w panteizm i przybiera dwojaką formę w poezyi. — Sprzeczność zamknięta w każdym panteizmie. — Nauka Mahometa i panteizm. — Różnica panteizmu indyjskiego od panteizmu islamskiego. — Rodzące się stąd ostateczności w duchu ludów mahometańskich. — Fantazyja czarodziejska. — Powieści Tysiąca Nocy i Jednej i ich znaczenie estetyczne. — Arabowie, ich życie, poezya i język. — Ułomek z Koranu.

Ktoś z geologów, chąc podać obraz owych przemian, które nasza ziemską kulica przecierpiała, zanim zrodziła tę dzisiejszą naturę swoją, tłómaczy się, o ile pamiętam, mniej więcej w ten sposób: wystawmy sobie w myśli Archaniola, co od czasu do czasu, opuszczając stopnie Bożego tronu, zwiedzał naszego planetę. ^{Za} pierwszym razem spostrzegł jedynie lotne tchy, pary płynące lekkim chuchem po wiekuistej światów przestrzeni; ale już te tchy i pary poczęły się ścinać, tężeć w gęstsza materya. I znów po długim, długim

czasie wysłannik Pański obaczył planetę naszego, i widział jego lądy lśniące naturą bogatą, potężną; góry, doliny, płaszczyny poszyte w puszcze palmowe, w lasy gęste drzew szyszkowych, a ziemie i wody pełne olbrzymich płazów: węże potworne, krokodyle i inne jaszczury ogromnego ciała pluskały się po zatokach i grzały się na słońcu, a po powietrzu latały straszliwe pterodaktyle o głowach krokodylich i nietoperzowych skrzydłach niby smocze potwory. I przepłynęły nowe a długie wieki, niby jeden Boży dzień, gdy znowu stanął Archanioł na Ziemi naszej i widział jako pod równikiem i pod biegunowem kołem, co teraz państwem wiecznych mrozów, wszystka kula ubrana była w tę roślinność przepyszną, dziś znaną zaledwie na skwar-nym zwrótnikowym pasie. A po puszczech, kniejach, gajach, pasły się, goniły tłumy jeleni i stada słoniów, nosorożców; rozlegały się zewsząd ryki, wycie lwów, tygrysów, niedźwiedzi; a te kształty zwierzęce były tak przesadnego ogromu, o jakim nam dziś i zamarzyć trudno. Przecież wśród tej natury, potężnej, przemożnej, Anioł nigdzie nie widział jeszcze śladu ludzkiej stopy. A tak wiele, wiele jeszcze razy po długich wstępach czasu, Anioł stawał na ziemi naszej, a coraz inną widział scenę, coraz na niej nowe odgrywały się dramaty Boże. A gdy już ostatni raz odwiedził wysłannic niebiański naszego planetę, obaczył wielką jego dzielnicę wysadzaną, niby w klejnoty, w bogate, zamozne miasta; obaczył szerokie zbożne lany, ludzkich rąk błogosławną pracę, a na lądach, na rzekach, na morzach szerokich, parą przelatywały statki i wozy, i widział Anioł po miastach wspaniałe pałace, w nich rozłożone umiejętnie kości, odciski zwierząt, skamieniałe tropy je-

stestw olbrzymich, ślady roślin, które należały niegdys do pierwotnej natury, i widział ludzi, co w inie nauki zakławszy te zabytki stare, pytali je o koleje i losy dawne těj naszej ziemskiej ojcowizny. (*)

Zdarzyło ci się zapewnie, a nieraz w życiu, że po długich latach znów wstąpiwszy do domu, do mieszkania, kędyś bywał często niegdys za lat dziecięcych, zastałeś innych ludzi, inną mowę i obyczaj, inne otaczały ciebie sprzęty, i obrazy na ścianach inne, tylko jedne mury te same pozostały; wszystkow przeminęło, gdzieś umarło; znikły też dawne marzenia i uczucia twoje. A gdy znowu, po długim lat szeregu, powtórnie staniesz w tych samych izbach, smętne dziwy ci na duszę padną gdy się rozpatrzysz w tych czasach, które znowu przeminęły; wtedy już i sam siebie nie poznasz, i już się nie doliczysz ani tych wypadków, co to nie głośnie, nie widne dla świata, a przecież tak ciężko ważą w życiu rodzin i losach pojedynczych ludzi; nie policzysz się nawet z treścią własnych piersi twoich, bo i w nich inne mieszkańce, inne głosy, inne obrazy, inne dzieje. Te same izby pozostały, ale ludzie i ich sprawy, ich serca historia, ich koleje losu posępne i świetne przeminęły jako te cienie różnobarwne, przemykające się na ścianie, dla zabawy pacholąt małych.

Podobnie, jak z historią onych zrodzeń naszego planety i natury jego, podobnie jak z historią każdego z nas w tym powszednim żywocie, ma się rzecz z dziejami ludzkiego rodu a z obszarami świata, kędy odgrywają ludy i narody dramat swój. W liście przeszłym patrzyliśmy się na wstającą z martwych Assyryą, oną pra-

(*) Porówn. Wykład Filozofii, T. II. str. 137.

macierz cywilizacji Wschodu; złożyliśmy też cześć rozwaliskom w Persepolis świętym. Teraz proszę, byś się w duchu przeniósł w inne stolecia, w inne ludy i w inną historiją, zachowując atoli ten sam dom i ściany stare. Dramat odmienny — nowe aktory — sam jeden teatr pozostał z dawnych lat. Chciiej tedy od oniej pijanej nocy, gdy macedońskie podpalacze, ze swoim królem na czele, płomieniem niweczają Persepolis, przelecieć w myśli z jakie kilkanaście wieków i rozpatrzeć się znowu w tych samych przestworach, co zaległy świat od lodowatych pałaców himalajskich aż do po-brzeżów, kędy kipią wody Śródziemnego i Czarnego morza. Patrz, jak tu gospodarzyła Historia! ona rozorała stare zagony rzucając na tę rolę swoją nową siejbę, nowe ziarno duchowe, co też zeszło bujnym kłosem a bujniejszym jeszcze kwiatem — kwiatem, co lśni we wszystkie wschodniej fantazyi barwy, jakby od klejnotów i drogich kamieni pożyczone. Dziwnym tłumem cisną się tu wprawdzie różnojęzyczne rody i szczepy, ale już najświetniej wazą na tych przestrzeniach islamiczne ludy. O ich fantazyi wypada mi dziś pomówić, a tak już skończymy rzecz o tej zachodniej Azji, więc i o Wschodzie całym; bo o świętych pieśniach, co brzmiały na Syonie, i o budowaniu Jerolimskiego kościoła zamawiam sobie rozprawę w innym miejscu, co zaciej odpowie treści takowej.

Fantazyja mahometańskiego Wschodu zajaśniała troistym promieniem, bo fantazyją arabską, perską i turecką; a choć każda z nich świeci właściwą barwą, to przeciej spólna jest ich istota. Tej istoty spólnej nie zbyt trudno się nam dopatrzeć; bo gdy fantazyja Persów przewyższa ogniem swoim fantazyją Arabów i

Turków, więc też ona jest pod wielu względami najdobitniejszym wyrazem fantazyi islamickiej; a gdy znowu ze wszystkich rodzajów poezyi perskiej sufizm czyli poezya mityczna stała się najwyższym jej szczytem, zatem też w tym rodzaju znajdziemy właśnie najwyraźniej ducha, który jest spólnym tłem fantazyi tych ludów. Co w innych rodzajach poezyi Persów, co w pieśniach Arabów i Turków jest dopiero lekkim potrąceniem i przepowiednią, — stanie się rozwiniętym w zupełności pojawem w poezyi śpiewaków Sufi. Posłuchajmy więc naprzód ich głosów, niechaj nam wyśpiewają pieśnią rzewną najgłębsze serca swojego tajemnice.

Znacie wieść o żeglarzu siwym, oną starą wieść?
O żeglarzu, co wiele setek mil i żywot cały przepłynął na Oceanu wodach?

Miał żeglarz ten pacholę drogie, urocze jak słońce w południe, lubę jak księżycę spojrzenie, gdy kołysząc się na wieczornym obłoku patrzy na świat; pachole było z różami na licach i z nareczem w oku: postać jego niby powiewny cyprys młody.

Pobożnym był ojciec — był i z pozorów i z treści pobożnym. Niewinności rajskiej był syn, a czysty jako wiosny poranny dech!

I znów miał na oceany dalekie puścić się ojciec siwy; a gorącą miłością wiedziony, kochanie swoje, syna pragnął z sobą zabrać na oceany dalekie.

U brzegów nadmorskich ciżbą tłoczy się lud, i płacze żegnając się kupców grono; płacze, bo im tak boleśne, braci, rodziców, przyjaciół, kochanki, uściśnienie ostatnie.

I zawiął wiatr od Wschodu i na okręt ciżbą śpie-

szą tłumy wędrownie, a tłumy zestrachane drogą, bo droga tak daleka! Siadł na okręt i żeglarz stary a przy nim pacholę młode. Strzałą ścigał okręt wiatry, strzelał w świat daleki!

I rzekł młodzieniec: o Ojczy drogi mój, dla czegoś poświęcił morskiej fali, pokój cichy, luby żywota? Na wodach nie stanie nigdy miły dom, nie zakwitną nigdy na morzach ogrody!

Na to Ojciec: Patrz jak rzeško, jak śmiało za zyskiem biegnie świat! Jak unosi człeka na wsze strony zarobku żwawa ochota! Wszak po trudach, po morskich trwogach czeka nas rokosz, czeka nas cześć, i wszystko życia wesele.

O ojczy mój! nie będzie z tego trudu ani czi, ani wesela. Sława i radość rodzą się z mary, rozpływają się marą! Biada, biada nam! Nie dobra mowa twoja, ojczy mój. Puść mnie na lądy! puść mnie na brzegi!

Duszy mojej kochanie, woła żeglarz siwy, wszak droższym mi jesteś niż wszech światów skarby! Złoto i srebro obok ciebie marnym dla mnie prochem. Wszędzie i wszędzie widzę tylko ciebie. Dla mnie Księżyc i Ziemia, słońce i Niebo są jedynie oblicza twojego zwierciadłem. Gdy ty mnie porzucisz, porzuci mnie z tobą żywota dech! Wszak to jedynie z miłości ku tobie pędzę po falach i ścigam burze wichrowe!

Na to młodzieniec: Ojczy mój drogi, nie znasz, ach! nie znasz tajemnic przepaści. Ja ci objawię światło prawdy bezwzględnej. Jestem Simurg — Tronem moim nieskończoności szczyt. Z tych morskich topieli bije dla mnie objawienia zdroj! W morskich otchłaniach ujrzałem bezwzględnej prawdy oblicze!

Duszo duszy mojej, zawołał ojciec, wstrzymaj te mowy. Czyliż pragniesz niedoświadczone moje pachole mądrością górować nad starce! Bezwzględna prawda! Ona zaiste nie igraszką pacholąt młodych. Niechaj ci starczy przykazania i zakonu powaga!

I znów młodzieniec: Ojcze! nie odwiedzisz mnie, nie odwiedzisz z drogi mojej! Oczu moich już nie odwrócę od ojczywego domu! Te morskie igry są dla mnie wzorem, jak się zniweczyć mam. Ja na własnym jestestwie mojem kładę depcąc stopę! Miłości płomienne ognie, to przewodniki moje! Precz rozumie — ty nie jesteś mi potrzebą! Ja idę za miłości ścieżką, za miłością wiekuistą! Bo Jeden — Jeden tylko jest żądzą moją — wszystko inne strącam z siebie, śpiesznie rzucam po za siebie. Jednego tylko widzę, śledzę żarów jego spójżenia.

Wtedy ojciec uniesiony gniewem: — Młodzieńcze! gdy nie umilkną bezbożne mowy, wtrącę cię w morskie bezdenie! Choć jesteś najdroższym żywota mojego klejnotem, przecież brak ci rozsądku, tobie nie przystoi bezwzględność, tobie niechaj starczy wiary powaga.

Miłością opojony młodzieniec, tak mu odpowie: wiedz, iż we wszelkim duchu ukryty drżenie wiekuisty kochanek. Wiedz, że ja sam sobie pojawiłem się jako wszechżywota Ocean. Ciebie i istnienie wszystkie widzę w duchu moim. Dla czegożbym nie miał głosić widzenia! Wszak to nie moje jestestwo przemawia przezemnie. Ja sam znikam w obec siebie i mojemu słowami przemawia Bóg. Tyś mię chciał strącić w morskie topiele — nie odwlekaj ojcze! Gdy sam już rozpląnąłem nieskończoności falą, fala będzie mi żywotem. Ojcze, ja sam jestem kochankiem, ze serca

tryska mi prawdy zdroj. Prawda mi się pojawiła. Słuchaj, co prawda przemawia! „Zachód twój jest „wschodem twoim. W okresie Przestrzeni i Czasu jeń- „cem jest duch. Rzuć się w nurty Boże, a rozwiązane „będą węzły wszech zagadek ducha.“ Więc istnienie moje tonie w Bogu, jak tonie w morzu wody kropelka.

Tak woła i rzuca się z krzykiem radości w Oceanu bezdenie! — Cisną się tłumne majtki, załamując ręce i płacząc z boleści, i widzą że młodzieniec luby zniknął w wodach, jako znika śniegu płat w słońca promieniu. Stał ojciec i patrzy, utopiwszy oczy w wodne prądy — i stanął i patrzy. W tém z głębin piersi jęknął westchnieniem, milczy i duma i myśli, i nagle się zrywa, potoczył wzrokiem do koła, zbliżył się na brzeg statku, — rzuca się sam w morskie topiele i przepada w kipiących bałwanach. Ogłuchnął strachem okrętowy lud i stanął nieporuszony — stanął zakłęty, jak osadzony w muszli morskiej nieruchomy pereł rząd.

I znów inny głos zabrzmiał w zachwycie gorącym:

„Jam świata duchów sokołem! Jam opuścił wy- „sokości niebiańskiego tronu. Chwycony łowów pra- „gnieniem, wpadłem w sieci ziemskiej bytności — ujęty „ziemską postacią! Jam uleciał z gniazda mego na Niebo!

I znów trzeci głos tęsknoty śpiewa:

„Sledziłem wizerunku duszy mojej, a nikt nie podał „mi duszy mojej obrazu. Wtedy zawołałem, o duszo „moja! Znajdź wszech-stworzeń zwierciadło, a zaiste „w zwierciadle tém znajdziesz i obraz twój!“ (*)

(*) Inne jeszcze podobne przykłady: Wykład Filozofii. T. I. str. 110, 376, 377.

Tam znowu inny wieszcz odurzony życia roskoszą,
„winem“ ziemskiej uciechy, śpiewa:

Śpieszno róży, śpieszno, by się z nicestwa narodziła
wszechistnienia cudem!

Fiołek kornie róży bije czołem, i modli się do róży
hołdem rzewnym:

Pójdź ze mną przyjacielu mój; spełnij wesoło po-
ranny wina puhar!

Nie odkładaj do jutra radości uciech, nie zwlekaj
ich do żywota końca.

Znajdź sobie lubę kochanie, reszta nie warta i pu-
stěj łupiny!

Nawróć do ogniochwalstwa wiary, bo tym ogniem
jest miłość wrząca, a płomieniem życie.

Dech grobowy, dreszcze mroźne ziębią pokutnika
dom.

Słuchaj, czego uczy wiosna luba; ona od wieków
jedynym świata prorokiem młodym!

Czujesz świeże jēj powiewy? Roztwórz im piersi
twoje, one same jedne są wszech prawdy tchem!

Ten powiew, to miłości duch, to zbawienia dech;
on miłości roskoszą, co płynie od woni milionowych
kwiatów!

Powiedz, jaki to duch, co żyje w tych pieśniach
dziwnych, tak rzewnych i gorących, tak tęsknych a niby
przepaścistěj głębi. Te głosy wszystkie, choć tak różne,
są dziećmi jednego, spólnego im wszystkim ducha, bo
jak pieśń ostatnia żąda, aby człowiek zapomniał siebie
w roskoszy ziemskiej i w weselach tutecznego świata.
i radzi ulotnienia duszy w woniach kwiatów, w miło-
ści i w powiewach wiosny młodej; tak tamte pierwsze

są spotęgowanym, tęsknym mistycyzmem, którego najwyższą mądrością jest rozpląnienie w onej bezdeni abstrakcyjnej, którą nazywa Bóstwem.

Jakoż w tym mistycyzmie wschodnim człowiek, tęskniąc do Boga, traci siebie, zapomina, że jest istotą w sobie osobną; a gdy się ten mistycyzm spotęguje, już wtedy istota ludzka miesza się z istotą Stwórcy, w niej ginie niby tchem lekkim, niby kroplą w topielach oceanu, w którym się rozplywa istnienie wszelkie.

Czyli zaś to stracenie siebie nastąpi z ulotnienia istoty człowieka w rozkoszy ziemskiej (w materializmie), czyli to znikanie własnej jednostki wyniknie z utopienia siebie w istności najwyższej, zawsze i w każdym razie takowe usposobienie ducha, o ile będzie spotęgowane do najwyższego stopnia, stanie się panteizmem. W każdym bowiem razie człowiek traci wiedzę jasną o różnicy jestestw duchowych a materialnych, w każdym razie spłyną dla niego jestestwa wszystkie w jeden ogół, w jedno istnienie, kędy już nie będzie rozdzielenia jednostkowych jestestw od siebie; w każdym razie zniknie jasna wiedza o Bogu-stworzycielu wszech rzeczy, będącym przytomną opatrnością we wszech jestestwach a istniejącym przeciw samoistnie, jako osoba, za światem; i po nad światem jestestw stworzonych.

Zaiste, z tych powyższych pieśni wieszczów perskich patrzy na nas panteizm z całą straszliwością, który, już to uwieńczony różami, oddycha słodką ich wonią i brzmi w pieśni zakochanego słowika, kipiącym puharem natchnienia upaja myśl człowieka, wabi i nęci do weselnych życia godów; już to znowu strąca z siebie co tuteczne i ziemskie a prze do okropności

samobójstwa. Tu wszystko się mąci i miesza; gwiazdka i robaczek, listek i duch, przyszłość i przeszłość, nędza i potęga ludowładna; tu wszystko spływa w jeden ogół, w jedno istnienie, tu wszystko obraca się hasem kołowrotnym. Panteizm, jakby wir na oceanie wszechistnienia, każdą bytność do siebie ciągnie, porywa, zatacza ją kołem szalonym, a na bezdeniach tego wiru czatuje, jako topielec wrogi — nicestwo, i patrzy oczyma na człowieka, co, jak ów żeglarz młody, płynie na okręcie doczesności, na morzu żywota, a panteizm wabi i nęci człowieka, by się rzucił w morze wszechistnienia, co bije wiekuistą falą. Tu cały świat kręci się dzikim, bezprzytomnym szałem, jakby owym tanem zapamiętałym derwiszów mahometańskich.

Mówiąc o Indyach wspomniałem, że jedynie prawdziwa filozofia, umiejętność rzetelna, zdoła powalić panteistyczne stanowisko, wykazując nielogiczność jego. Zrozumiesz, że nie tutaj miejsce do głębszych a gruntownych rozwojów, co by wykazały kłamstwo takowego zapatrywania się w samem założeniu, w samych węglach jego. Dla naszego celu wystarczy, jeżeli wytkniemy wypadki niedorzeczne, do których prowadzi panteistyczność wszelka, i sprzeczności, w jakich ona staje sama z sobą we własnym swoim rozwoju, i jak te sprzeczności przechodzą w obyczaj, życie i odzywają się potężnie we fantazyi tych ludów. Jakoż ta panteistyczność, nie odróżniając dostatecznie jestestw duchowych od materyalnych, a tём samem nie odróżniając ściśle Stwórcy od rzeczy stworzonych, raz uważa jestestwa li jako nie mające znaczenia, patrzy się na nie jako na bańki wodne, które przez chwilkę błyszczały przepychem barw tęczy, i świecą i promieniają, a wnet

prysną, strzelą kropelką i rozplyną w nicestwie; drugi raz ta panteistyczność przypisuje tymże jestestwom ogromną wagę, bo ściera różnice rozdzielające je od wiekuistego jestestwa, będącego zdrojem wszech rzeczy.

Stąd wynikają z kolei wręcz sobie przeciwne odwrótności, bo raz hołdowanie rzeczom ziemskim, więc rozsądek prozaiczny; drugi raz pogardliwe odwrócenie się od rzeczy tuteecznych, więc owa miłość panteistyczna do istnienia ogólnego, bezdennego — miłość, co jest podobna do „skonania motylka w płomieniu świecy z tęsknoty za światłem.“

W tej miłości panteistycznej człowiek, jak ów młodzieniec w powieści, kładzie stopę, „na własnem istnieniu swoim.“ A tak człowiek, nie uznając żadnej bytności jednostkowej, mając je wszystkie i siebie samego za czcze mary, może, zawołać: „Precz rozumie! ty nie jesteś mi potrzebnym.“

Zaiste rozum nie jest potrzebny panteizmowi, bo rozum ma właśnie to przeznaczenie aby nie mącił rzeczy różnych, by je rozdzielił a potem dopiero wskazał, jak one nawzajem mają się do siebie, jak one, choć tak różne, i właśnie dla tego, że są różne, wiążą się cudną harmonią z sobą i podlegają wiekuistym prawom, niezmiennym i pełnym mądrości ustawom. Tego wszystkiego nie czyni panteizm, a nie wiedząc o Panu wszech światów, co jest ogniskiem wszelkich stworzeń swoich, nie pojmuje tej harmonii jestestw, co choć różne od siebie, wiekuistemi prawami nastrojone są jakby do jednego głównego tonu, co brzmi w nieskończoności. Panteista mąci wszech rzeczy ład i szyk; on uznaje różnice jestestw, ich stopnie jako przechodnie, rozplynnne pojawy, znosi więc wszelkie różnice, wszy-

stkie szczeble, mąci wszystko z sobą, a tak nawet zacierą różnicę zachodzącą między nim samym a owym ogółem wszech rzeczy, i w tym ogóle przepada zawrotną, pijaną miłością. Ale ta miłość sama jest kłamstwem i sprzecznością sama z sobą, więc sprzecznością z rozsądkiem. Bo miłość jest znalezienie, widzenie siebie w innem jestestwie, jest tedy jednością dwóch jestestw udzielnych, jest jednością różnic, a różnicą w jedności. Dla tego miłość siebie samego jest tak obrzydliwa, tak wstrętna, bo jest nielogiczna, bo tu jestestwo samo siebie kocha, bo w tej miłości niema różnic dwóch lub więcej jestestw, co jest warunkiem miłości wszelkiej. Miłość więc a tęsknota onego młodzieńca do wiekuistości, ta miłość, w której przepada i ginie jednostka jego, w której ginie wszelka różnica, nie jest miłością, ale właśnie grobem wszelkiej miłości, jest miłością skłamaną! jest to „pochodnia, co świecąc sama się trawi.“

Rozumiem, że dostatecznie ci wykazałem sprzeczności, w których sama się gmatwa i sidła panteistyczność wszelka. Nie może też być inaczej, bo gdzie założenie błędne, tam kłamstwo, niby grzech pierworodny, zdradza ciągle nowe kłamstwa i sprzeczności. Niechaj sobie wrzekomi uczycciele co chcą bają, to pewna, że żadne rozumowanie nie trafi samo z sobą do końca, nie rozdziernie zagadek świata, jeżeli za węgiel swój nie położy wiedzy o Bogu, który jest jednem ogniskiem mądrości wiekuistej, osobą, do której się wszystko odnosi, jak to uczy wiara Chrześcijańska, a podaje każda filozofia prawdziwie umiejętna, wypiastowana na jej łonie.

Niechaj człowiek wie, że w głębi ducha jego

przemieszkuje wiekiistość, ale niechaj oraz wie, że ten nieskończony pierwiastek w nim jest ziarnem bożem, które Pan Niebios włożył w serce jego, by je rozwinął zacnością, by poznał siebie, by wiedział o Bogu. i swoim stosunku prawdziwym do Ojca na Niebie, o prawdziwej miłości. Mistycyzm panteistyczny wschodu patrzy się w siebie, patrzy w głębie piersi swoich; lecz w nich widzi jedynie otchłań jasności, co go oślepia; w tych światłach on nie widzi treści, nie przeczuwa. że ta światłość bije od skrzydeł Anioła, co się z miłości zamknął w sercu człowieka, nie wie, że ten anioł jest tylko wysłannikiem Pańskim, zwiastunem miłości nieskończonej, której nie zdołają ogarnąć gwiazdziste przestrzenie. Na tych ogromnych rozłogach starego wschodu człowiek nie wie jeszcze że na miejsce doczesności zstąpiła owa niebiańska miłość bez granic, że ona w cierpieniach i skonie ziemskim nie utraciła wiekiustej istoty swojej.

Zrozumiesz zaiste, że byłoby pewnie wymuszonemu naciąganiem rzeczy, gdybym, przechodząc dzieła tej wschodniej fantazyi, chciał wszędzie w nich wytykać panteistyczność, boć ona zaiste znaleźć się tylko może w ostatecznym wyskoku fantazyi tych ludów wschodnich; ale za to proszę cię, byś nie wypuszczał z pamięci tych sprzeczności dotkniętych powyżej, które właśnie wyrosły z tego samego gruntu, z którego rozwinęła się owa panteistyczna dążność, — te właśnie sprzeczności posłużą nam, jakem już rzekł, do zrozumienia i żywota tych ludów i dziejów ich państw i obyczajów ich, a mianowicie ich fantazyi. Zanim atoli zabiorę się do roztoczenia takowego, uważmy jeszcze, skąd się mógł zrodzić ten panteizm wśród nauki Ma-

hometa, która przecież tak twardo i potężnie stanęła przy wierze w jednego, w jedyne Boga?

Mahomet! to poeta-prorok i zakonodawca! on zachwytem proroczym teńnął na naród dopiero co pasterzski żądzą podbojów; on Wschód uczynił zdobywcą połowy cywilizowanego świata; moce płomienne jego nauki stopiły duszę różnorodnych ludów jakby w jedną całość. Mahomet zwołał je wszystkie pod spólny sztandar wiary, on wyswobodził te ludy od guseł i zabobonu. Tego wszystkiego zaiste dokazać zdołał Mahomet, ale nie zdołał przecież sięgnąć do najgłębszego gruntu serca ludzkiego!

Mahomet głosi, że Bóg jest Bogiem, że tylko Allah jest Bogiem, że on sam jednym prawdziwym Bogiem, który sam na sobie przestaje; on wspomina nawet o Aniołach, i maluje barwą gorącą, palącą i zgroźną ostatecznego sądu i rozkosze rajskie; a przecież te nauki jego nie mogły wystarczyć, one nie napełniły treści ducha ludzkiego, one nie zamieszkały wszystkich tonów serca, więc mimo tej jego nauki ogromna próżnia pozostała w sercu. Dla czego? Bo Bóg Mahometa jest abstrakcją, bo wyobrażenie o Bogu nie jest u niego rozwinięte, bo Allah jest tylko bóstwem (numen) bez dziejów bożych, jest pojęciem oderwanem bez dalszej, roztoczonej treści. Więc też to pojęcie tak ubogie nie mogło już przeniknąć, przejąć wskrós człowieka i ogarnąć wszystkich stron uczuć i serca jego.

Patrz, my, cośmy wypiaastowani wiarą Chrześcijańską, my od kolebki do grobu żyjemy jakoby w atmosferze wiekuistości, nią oddychamy, nią żyjemy, nią czujemy. Ona przeniknęła wskrós całe jestestwo nasze, nasza wiara ma treść nieskończoną, ma dzieje; każdy

czyn nasz, każde uczucie, każda myśl znajdzie odpowiednią prawdę w zasadach wiary, które łączą ogniem świętym Niebo i ziemię, wiekiistość i doczesność. Inaczej w islamizmie: w nim nie ma bożych dziejów, on w istocie swojej zupełnie jest podobny do wiary tych, którym się zdaje, jakoby już ogromnie wiele wyrzekli, gdy przystają na byt „istności najwyższej“ (être suprême!), i rozumieją że taką abstrakcją zdołają zastąpić bożą Historyą na Niebie i Ziemi. Ale, kto jedynie wie i jedynie wierzy, że jest „istność najwyższa,“ ten rzeczywiście mało bardzo wierzy i mało bardzo wie, i sam mimowolnie wyznaje, że u niego niegłęboko w rozumie, ani głęboko w sercu. Ubogi ten na duchu, kto, jakoby na jałmużnie, przestaje na wiedzy, na wierze o „istności najwyższej,“ na tej biednej i jałowej abstrakcyi. Ta nędza umysłowa tём więcéj litosci godna, że on żyje przecieź w świecie chrześcijańskim, w świecie wiary i wiedzy i umiejętnościé głębokiéj, a nie korzysta z tych ogromnych zasobów duchowych, których się dosłużyła cywilizacya świata łamaniem się i pracą tylu wieków.

Podobnie oderwaném pojęciem jest Allach isłamicki, i właśnie ta abstrakcyjność jego, jakem dopiero rzekł, jest powodem, że ta wiara nie zapełnia wszystkich tęsknot serca ludzkiego, że nie przenika wskroś uczuć, które tak są bogate, tak nieprzebranéj treści. Dla tych uczuć i tęsknot nieskończonych nie wystarczy bynajmnieéj ono wieczne, ekliwe powtarzanie: Bóg jest jeden! Bóg jest wielki! A Mahomet jego prorokiem!

Weź koran do ręki. Mimo ognia a wrzących barw, mimo tego, że z każdéj Sury (Oddziału) patrzą na ciebie niby żarem chłonaące oczy proroka, że czujesz z nich

bijący na cię oddech skwarnej pustyni; przecież nie lada trudem jest to czytanie w tej grubej księdze, w której powtarzają się te same ogólniki, te same wyobrażenia bez dalszego rozwoju a powtarzają się bez końca. Do znękania czytasz a czytasz treść tę samą, rdzeń książki zawsze jeden i ta sama, bo abstrakcyjna i głucha, choć ustrojona w przybory obce, bo w ułamki poetów arabskich, bo w upoetyzowane powieści biblijne. Prawda, że cała osnowa koranu jak żarzewie działa na palną, chwytną fantazyą tych wschodnich ludów, ale nie przenika ich serca, nie zagrzewa ciepłem życiodawczém, jednostajném od kolebki do śmierci.

Trzeba innéj jeszcze treści, aby zaspokoić wszystkie te ciche wróždy w duszy, aby nie zostawić w niej głuchoty a ciemnie nierozświeconych, a tęsknot nieukojonnych.

Z tego abstrakcyjnego a jałowego pojmowania Bóstwa wynika, że człowiek w tej wierze czuje się luznym, że wyobrażnia jego, nie trzymana na wodzy, buja bez miary, miota się, ciska, że duch człowieka przerzuca się z jednéj ostateczności w drugą a w tej burzy serca nie ratuje go wiara jego, która tak pusta i bez treści w sobie.

Następnie baczmy, że Bóstwo Koranu tak abstrakcyjne, ogólne a nierozwinięte ani w myśli, ani w uczuciu człowieka, z istoty swojej już zbliża się do głuchego, beztreściwego, abstrakcyjnego ogółu, który jest duem wszelkiego panteizmu, i który, jak widzieliśmy powyżej, równie z siebie rodzi to rzucanie się bez końca, to miotanie się po sprzecznościach wręcz sobie odwrótnych. Zrozumiesz jeszcze bliżej to wyrodzenie się wiary Mahometa w mistycyzm panteistyczny, gdy zwązysz, że wyobrażenie tak beztreściwe bóstwa, tak

słabo rysujące osobowość jego, wnet się musiało rozpląnąć, ulotnić w pojęcie bezosobowe, rozpląnąć w ogół bezdenny. Albowiem dążność panteistyczna wszędzie tam się rodzi, gdzie się ulatnia wiara w Boga będącego osobą.

Zważ, jak z jednej strony islamizm nie był mocen wstrzymać bujania fantazyi, jak, podając jedynie słabe zarysy osobowości Bożej, sam stał się potuchą mistyczności, wyradzającej się w panteizm; tak z drugiej strony ta mistyczność była oddziaływaniem (opozycją) tych szczepów, które się opierały idei Mahometa. A kto wie, azali przypomnienia z dawniej perskiej wiary, z onęj nauki oderwanęj o dwóch pierwiastkach; światłości, więc dobrego, a ciemności, więc złego, które także są abstrakcją głuchą, nie przyczyniły się do całego stanowiska duchowego? Wyznaję atoli, że, o ile sądzić mogę, ten wpływ nie jest jeszcze dziś dostatecznie wyjaśniony.

Tak ten mistycyzm panteistyczny zapowiada, że tu spotkamy powawy, przypominające dzieje człowieka w Indyach; ale znowu trudno nie postrzedz zrazu ogromnej różnicy zachodzącej między światem nadgangesowym a życiem islamičkih ludów. Wszak inny jest panteizm indyjski a inny ten, który się rozwinął u mistyków mahometańskich: tamten jest jakby marą pierwotnej niemocy ducha, oczynionego magią demonów natury, ten zaś zrodził się z zapadania ducha w siebie i z nieskończonej tęsknoty jego, pojawił się na łonie nauki, kładącej przeciw za węgiel a podwalinę wiarę w jedyne Boga; tamten jest niby złem marzeniem, cisnącém piersi ludu, którego całe życie samo jest ciężkiem, kłamliwym suem, ten zaś jest filozofią, zachwy-

tem narodów, które żyją na jawie i żyją w czynach i dzielności rycerskiej, w uczuciach gorących, namiętnych. Lecz jak w Indyach, tak i na wschodzie Mahometańskim miotają się ostateczności wręcz sobie przeciwne — bo duch i materya, świat oderwany a rzeczywisty, głuchy ogół a świat jednostek pojedynczych, rozkosze ziemskie a nadświatne dzielnice, fantastyczność bezmierna, nie mająca ładu ni praw, a rozsądek prozaiczny, powszedni, codzienny. W Indyach atoli te ostateczności są wskrós pomączone z sobą, są dziką mieszaniną jakby dwóch różnorodnych płynów w naczyniu zamkniętych, które, gdy je gwałtownie zakłócisz, rozbijają się na cząstki osobne, chaotycznie ze sobą pomączone, a które przecież połączyć się z sobą nie zdołają. W mahometańskim świecie obie te ostateczności podobne są do tych dwóch płynów, gdy się już ustoją, a każdy, zlewając cząstki swoje, do czysta się od drugiego odgraniczy.

Zaprawdę, przypatrując się, choć pobieżnie, życiu, obyczajom mośleminów, wszędzie znajdziesz one ostateczności wręcz sobie przeciwne obok siebie i po sobie istniejące, i ściśle od siebie odłączone. Człowiek w islamizmie zapada w abstrakcyą głuchą, dumając a nie myśląc tonie w bezdeni, co nie świeci, nie grzeje. Stąd ta cisza duchowa tak głęboka, ten pokój uroczysty duszy, ta święteczna mężka powaga, owo zadumanie, co tak lekce sobie waży troski i zabiegi światowe i pogardza tą grą ulotną żywota, zdając się na fatalizm wszechmożny. Znienacka atoli w tę ciszę bezwietrzną, w ten wrzekomy chłód duszy, w tę objętność wpadnie iskra, a już, jakby błyskawicą, zajmą się palne uczucia człowieka; on się zrywa gnany za-

rem wewnętrznych płomieni, pędzi wichrem uraganów na pogrom świata, i gromi świat. Ale w rychle gaśnie w sobie, usypia, i znów tonie w miękkiej bezczynności pieszczotliwego życia.

Islamita to przestaje na małym, miarkuje i kielzna swoje ochoty i przemaga zacięciem mężstwem niedostatek i głód, to rozplywa się w rozkoszach zmysłowych, pieści się i kołysze ziemską uciechą, stwarzając około siebie uroczę świąty; chętnie nawet wzywa sztucznych sposobów (opium), zapada w marzenia, przenosząc się w krainy czarodziejskie ułudnych fantastycznych widziadeł, kędy, jakby we śnie, giną wszelkie prawa rozsądku, wszelki ład i rozumowy związek wszech rzeczy, a kaleidoskopem tu przesuwają się świat, hasając dziwnym zamętem.

Islamita hardy, niekiedy okrutny, dumnie spogląda na cały ludzki ród, poniewiera nim; bo ludzie, to jednostki marne, nie mające znaczenia. A często znów z milczącym sercem sam zstępuje z wysokości władzy na poniżej biedy, obojętnie nawet nakazanej śmierci się oddając i samego siebie za nic waząc.

Moślemin, to wśród rzeczywistego życia mierzy, liczy i wazy rzeczy najprozaiczniejszym rozsądkiem; to znów się szarpnie, zerwie nitki, co go ze światem powszednim wiążą, a wolny i swobodny jak ptak, cały świat czyni ojczyzną swoją, i na „latawcu wiatronogim ściga sępy“ i skwary piaszczyste, ale ściga i goni bez celu.

Tak tutaj wieczne kołysanie się ducha między dwiema ostatecznościami, tu niema praw stałych, pewnych, tu niema trwania, tu wszystko migoce się, błyska i gaśnie. Wszak nawet dzieje same, te żywoty

samych państw, są tak migotne i majaczne, jak dzieje duchowe pojedynczych ludzi. Wspomnij te kalifaty w średnich wiekach, co jakby brylantem błyszcząły w ciemnej nocy, a świeciły od Bagdadu przez Azyję, Afrykę, aż w głęboką Hiszpanią, a w rychle znów niespodzianie rozprysnęły się w iskierki płomieniste i zgasły. Dzieje ich to istne bajki arabskie w których nie ma trwania, stałości. Te dzieje tęp dziwniejsze, że przecież te państwa arabskie były piastunami umiejętności europejskiej w średnich wiekach; wszak to ówczesne arabskie kalifaty słusznie patrzyły się na ludy zachodu, jako na nieobłąskawionych, grubych barbarzyńców. Przecież ci Arabowie byli wielkimi lekarzami; oni to rozwinęli matematykę, fizykę, astronomią, oni nauczyli się starych Greków, oni pisali komentarze na filozofią Arystotelesa. Wiesz, jedni z ich mędrców zabrali się do koranu, filozofią go rozświecając; co więcej, byli i tacy między nimi filozofowie, co w uniesieniu najwyższego zachwytu pragnęli spłynienia z Bogiem, a tak głosili światu naukę panteizmu i rozwarli bezdenne jego przepaści. Nastaje też między Arabami filozofia zaprzeczająca wszelkie prawidła, wszelkie ustawy świata; wedle nich wszystko, co się dzieje w świecie, tak fizycznym jak duchowym, dzieje się z chwilowego, Bożego dopuszczenia. Człowiek, wedle tej nauki mógłby być tyli, co góra; a owad tyli, co słoń; ptak mógłby być zwierzęciem ssącym; że się nie tak dzieje, to jedynie dla tego, że taki niby zwyczaj przyjęty w stworzeniu, ale przyczyną rozumowej niema żadnej, niema żadnych praw rozumnych, stałych, trwałych.

A tak sama nawet filozofia mahometañska roztwo-

rzyła furtkę do państwa czarodziejskich dziwów, do fantastycznych widziadeł.

Znasz Babią Górę, Tatrów sąsiadę, co się szarzy i garbi na rąbku Krakowskiego nieba; ta góra — to od czasu do czasu gospoda onęj staręj czarownicy, co ją zimą zowią, co tak nienawistna wszystkiemu co młode i piękne, skoczne i radośne, kochające i kochane. Ona tam milczkiem siedzi przyczajona i czyha na chwilę sposobną; więc znienacka, zanim się spodziejesz, okryje się płachtą z brudnej ciężkiej mgły, zjedzie na doliny nasze i w jednę noc pozabija wonie i kwiatki, poszarpie liście i zioła, pogasi światła i barwy. Darownie broni natura te swoje dzieci lube, wnet i ona, urzeczona od staręj złościcy, zaśnie ciężką śpiączką. I śpi i marzy natura; śni o swoich kwiatkach i barwach, woniach i światłach, a śpi póki jej nie przebudzi powiew wiosny młodęj.

Teraz zima broi na dworze i ziębi; słuchaj jak szumi i jęczy i straszy! A tęskno ci w izbie i samotno i ekliwo, bo nam podobno gorzej jeszcze, niż naturze, drogi bracie mój; przecież do niej wróć światła i kwiaty, wróć i barwy i wonie, ale duszę naszą urzekła inna jeszcze czarownica i uniosła światła i kwiaty, co nam świeciły i kwitły niegdyś na wiosnę żywota naszego, a te światła i kwiaty podobno zwiędły i zgasły już niepowrótnie, na zawsze. Lecz nie dajmy się czarom złowrogim! brońmy się urzeczeniom, nie myśląc o nich; bo wiesz, choć ci czasem samotno i ekliwo, zaprosz w gościnę inną czarodziejkę dobroczynną, co ci pokaże sztuczki magiczne, gry dziwne, wymyślne,

i tak cię zajmie, zabawi, że ani się spostrzeżesz, a już wieczór zimowy, co tak długi i tęskny, przeminął, i zapomnisz na chwilę o światłach, o kwiatach, co zgasły, co zwiędły niepowrotnie. — Ta wróżka, to wymyślna, kapryśna poetów i mistrzów pani; te biedaki są jej oddane w jęctwo i w służby potulne; a dla nas zaś ludzi powszednich ta ich pani jest nadworną zabaw naszych mistrzynią! Ale pozwólno jej stroić sztuczki, pozwól gadać, bajać, i zmyślać, a wnet się tak spoufali, że tych jej figlów nie będzie ni końca ni miary; ona drwinkami za gościnę i twoje dobroduszne przyjęcie zapłaci. Ona, jak prawią, umie i zadac niekiedy kropli na odmłodnienie, z fabryki onego hrabicza francuzkiego hulaszczej pamięci, a jeśli zagra na skrzypkach, to ci poruszy w sercu skoczne lekkoduche figurki z dawnych lat. Więc nie gniewaj się, pofolguj tej bałamutnej psotnicy, pozwól broić tej wróżce figlarnej; boć to ona jest *fantazyą*, a ona zaiste ważne piastuje dygnitarstwo w świecie duchowym — ona nam barwi, co szare, spleśniałe, a złoci, co tak biedne i ubogie w życiu. Wszak ta fantazyja podobna do swieczka w kominie: póki ona się odżywa, toć znać żeś nie przemarzył do szczeretu, że tam w sercu jeszcze ciepło, że tam choć jeszcze iskra w popiele. Nie broń tej psotnicy lubej progów twoich, owszem niekiedy pomóż jej dokazywać i broić! A jeżeliby ci brakło weny, a jejmość fantazyja się miała zdrzemać na piękne, toć zrzuc pychę z serca i siadaj między dziatwę, poigraj z pacholećmi, a fantazyja znów się rozbudzi w tobie, a odświeżysz się na sercu, na myśli, i uspokoisz nie jedne bolejące serca rany. Bo dziatwa, toście pany na zamkach czarnoksiężkich; ona to w kró-

lestwie cudów i dziwów, jakby w domu swoim. Dla nich nie istnieje porządnym w świecie ład, w ich duszy złoćisto, skoczno, chichotno, a tak dziwnie, jak na tym ich sadzie godowym krakowskim, co u nas w każdą wilią Bożego Narodzenia, niby bajeczka czarodziejska, z okrzykiem radości od pacholąt witany. Patrz, co się dzieje w ich duszy, gdy sosenka przyniesiona z bieleńskiego boru, zabłyśnie w jabłuszka, orzechy złocone, gdy na gałązkach jęj, zamiast szyszek, zahustają się wiarusy wąsate, warkoczne Marynki krakowskie z cukru, i skaczą uwiązane dzieciątka i rybki ich z Wisły sąsiadki, i świecą barwiste stoczki, a w pudłach i pudełkach pełno dziarskich ułanów i groźnych piechórow. Posłuchaj, co się tam migoce, mieni, w tych główkach małych. W oczach, w myśli przesuwa się światek, co sobie drwi z rozsądku, drwi z powszedniego ładu świata; więc też one tak cheiwe gadek o niestworzonych rzeczach. I dla tego właśnie, gdyś sam znudzony drobną, wymokłą prozą życia, siadaj między dziatwą i praw im historyjkę, naprzykład tym trybem: —

„Otóż tedy, jak wam powiedziałem dzieci, Sindbad biedny zostawiony był samiuteńki na owej wyspie odлюдnej. Chodził biedak a chodził gorzko płacząc a desperując, a tu w koło ani śladu żywej duszy; wdrapał się nawet na drzewo wysokie i patrzył na morze, ale tu ani śladu statku, tylko fale bezmierne a niebo głębokie. Już go ostatnie strachy przejęły, gdy zobaczył tuż nad brzegiem jakąś kulę ogromną; zbliżył się, patrzy, obszedł ją w koło i zmierzył krokami, a było jęj ze sześćdziesiąt kroków, a była ona biała, miękka i gładka. Stanął tedy, dumal i myślał, coby to być

mogło? Wtedy zniemacka jakby zmierzch nocny padł na świat; zdało mu się że jakaś chmura gęsta słońce zaćmiła, ona z szumem i hukiem przylatuje bliżej a bliżej; wtedy ze strachem poznał Sindbad, że ta chmura to nie chmura, ale ów olbrzymi ptak Rokk, (Skała) o którym tyle nagadali mu niegdyś podróżni, i domyślił się że ta kula, to pewnie jaje Rokkowe! I zgadł — Ptak spuścił się na jaje, by je wysiedzieć, a jak siadł toć i Sindbada przykrył sobą. Wpadł tedy biedak na myśl śmiałą a szczęśliwą, bo rozwinąwszy z głowy zawój, co tchu przywiązał się do ptasiego uda, co było tak ogromne jakby pień najstarszego dębu. Ledwie to zrobił a jużci tu zrywa się Rokk i unosi z sobą Sindbada tak wysoko, że i świata już nie widać; więc leci przez wiele lądów, i leci, leci przez morza, a spuszcza się tak szybko, tak nagle, że Sindbadowi tchu nie stało. Otóż przecież Rokk już na ziemi. Sindbad czémprędzj odwiązuje się od nogi, w tém widzi, że, i t. d.

Dalszy ciąg téj historyi znajdziesz w zbiorze gadek, co je zowią „Tysiąc Nocy i Jedna.“

Te powieści słusznie uważane są za najcudniejszy a najwięcej charakterystyczny kwiat arabskiej fantazyi. Dla téj fantazyi fraszką, bajką, konieczny rzeczy szyk, w niej przypadkowość rozigrana założyła władztwo swoje. Ta fantazyja samowolnie sobie gospodarzy w świecie a uśmiechająca się kuglarskim figlem wywraca, mąci jestestw porządek; to wywoła węże skrzydlate co się przemieniają w cudnej piękności panie, strojne w złoto i klejnoty drogie, to czarem w kamienie przemieni ludność wesołego miasta, to stworzy komnaty sypialne oświecone, jakby lampą,

blaskiem ogromnego brylantu, to wyprowadzi z morza olbrzyma zazdrośnego; on w szkatułce, którą trzyma pod pachą, chowa najulubieńszą kochankę swoją i t. d. A jak ta fantazyja drwi sobie ze znaczenia istotnego każdej pojedynczej rzeczy, które wplata w powieści swoje, tak też i „całość takowej powieści niema znaczenia głębszego; darmobyś w niej śledził jakiejs „głównęj myśli a dążności moralnej, obyczajowej, nie „spodziewaj się tutaj nawet ani satyry, ani allegoryi „na dnie tych powieści“ (Göthe); rozumiałbyś, że one są jako ptaszki, co śpiewają bezświadomie z całą duszy swobodą, bo im tak miło i lubo świewać na nic się nie oglądając; są to wdzięczne drwiny ze świata i z ludzi, za które gniewać się nie można.

Choć te powieści arabskie nie mają rozumowego gruntu pod sobą, choć pisane są jakby dla pacholąt małych, przecież w nich żyje ukryty głęboki a samorodny fantazyi prawdziwej pierwiastek, i dla tego właśnie one i starszych tak czarują niewypowiedzianym urokiem.

Chcesz-li podpatrzeć ich zrodzenia, to pamiętaj, że i tutaj gospodarzą owe dwie powyższe ostateczności wręcz sobie przeciwne. Tutaj naprzód wylatuje na scenę fantazyja jakby upojona zachwyceniem tanecznica, i w szale, drwiącym z rozsądku, wywraca zamęt jestestw naturę, a w zapustnej wesołej ochocie hula i buja i stwarza sobie światek cudów i dziwów i awantur, i rozsypuje, jakby do strojnego sadu, złociste owoce, dziewczęta, rybki i wojaki na gałęziach rosnące. Gdy atoli swojego dokona, już znika jak przysła, i ulatuje, aby znów gdzieindziej puszczać się na figle i sztuczki, i drwinki. Wtedy występuje z kolei

na scenę rozsądek rozważny, prozaiczny, i zbiera skrzętnie one złociste, dziwaczne dary lekkoskrzydłej psotnicy, i wiąże je w sad, co równie jest bez korzeni i nie ma gruntu pod sobą, i przyczepia na nitce do gałązek jego te dziwy świeciste, obstawi świeczkami, a tak i powieść gotowa. Jednak, ten sam rozsądek, co tak chłodny i trzeźwy i rozważny, gdy obaczy własną swoją robotę gotową, pełną dziwów błyskotnych, mieniących, sam odurzeje widokiem swojej sprawy, sam się opoi, i puści się tanem zawrotnym w koło dzieła własnego, tanem ochotnym, fantastycznym, oczyniony czarodziejstwem, które sam wywołał. Tak tutaj one dwie ostateczności nigdy nie wiążą się w organiczną całość, one nie przenikają się z sobą; i jakby w somnambulizmie to rozsądek czuwa na jawie, to jakieś jasnowiedzenia z kolei panują nad człowiekiem; a oba te stany są ściśle od siebie oddzielone.

Otóż i żywot i kraj Arabów jest taką powieścią cudowną; i tutaj nie ma nic stałego, trwałego; wszystko jest dziwem lśniącym, mieniącym. Człowieka w kapryśnej, samowolnej swobodzie przez życie całe podrzuca fantazya; całe życie jego jest awanturą, przypadłością, hasem zapustnym. Dziewica arabska zaślubia się swojemu kochaniu, a gdzieś daleko, daleko staje się matką, a gdzieś indziej znów wychowuje dzieci swoje, i znów gdzieś daleko umiera. Jakby w powieści czarodziejskiej nikt nie zgaduje, co się zdarzy, zanim słońce nazajutrz spadnie na widnokręgu pustyni.

Ta pustynia zaległa w koło świat, ona niema, cicha, niekiedy tylko po pagórach jałowych, po pias-

czystych równinach przelatują głosy; jęką — konają gdzieś w niedosłyszanej dali. Niekiedy znowu przez emę kurzawy patrzy się na świat, słońce obumarłą, żółkłą twarzą, a po ziemi hulają wzniesione w słup i palą się chmury piasezyste, ciemną purpurą, niby pożarem natury, a pędzą szalejąc, kręcą się i wirują, i szukają wędrowców, by w ich krwi i skonie znalazły ugaszenie pragnienia! Dygoce strachem zdjęty tygrys, przycisnęła się do ziemi hyena z cicha szlochając, ryknął zgrozą lew a płazy jadowite zwinęły się w skalnych szczelinach; natura odegrywa straszliwy a fantastyczny dramat. Ale patrz, wśród pustyni skwarnej, jakby wyspa na oceanie głuchym, zieleni się i uśmiecha szczęściem błogiem oaza, ojcowizna czarodziejskiej rokoszy. Palmy rozkochane lekkim wspaniałych liści szeptem powierzają sobie miłości swoje. Gaje migdałowe poszyły pagóry technące rosą świeżą, a figi gęstolistnych gałęzi splotem rozpięły namioty, kędy brzmia wdzięczne ptasie pieśni. Tam znów daktyle związały się w strojne bukiety, a wśród murawy łąk kwiecistych płynie strumyk, i cieszy się i raduje, że on tego wszystkiego szczęścia i wesela sprawcą cudownym. Gdy w koło na pustyni głucho i pusto a skwary duszne życie wyssały, gdy tam ciąży niemota cicha jakby na natury cmentarzu, w oazie tak lubo, wdzięczno, rokoszno, żeć się już zdaje, że ona błogiem, sennem widziadłem wędrowca, mdlejącego wśród piasków skwarnych nieużytej pustyni.

Przecież choć na oazie lubo i błogo, choć tu przyroda ustrojona jakby do ślubu ze szczęściem, a choć na pustyni cicho i skwarno, Arab kocha sercem gorącym tę pustynię żarzącą. Wszak on jęć dziecięciem,

ona jego światem, on w niej jakby w domu swoim; tu mu zdrowo odetchnąć, i puścić się za słońcem, za gwiazdami na rumaku lotnonogim. I tygrysy i węże, lwy i chmury piaszczyste, i wszystkie strachy pustyni są dla niego fantastyczną poezją, a walka ze śmiercią to rycerskie dla niego igry i turnieje, jakby lekka gimnastyka, gdy pójdzie o płatne z innymi wrogim szczepem, co również synem pustyni, z którym jeszcze od pradziadów, toczy się bój zemsty śmiertelnej, krwawej. Bo na pustyni zemsta nie umiera nigdy; ona wołaniem tajemniczym rozplywa po pustyni głuchej, umarłej „nią dygoce grot żelazny łaknący krwi, ona błyszczy i żarzy się w oku rumaka, zemstą tehną kości poległych, zbielałe na piasku żółtym.“ Tu nie prawo, nie sądy rozstrzygają spór, ale męztwo, ale rycerskie zuchwalstwo; tutaj człowiek jest jednostką niczem nie krępowaną, nie uznającą praw ogólnych; więc pędzi i biegnie, kędy go ściąga serce kipiące a fantazyja w duszy żarem paląca.

Gdy boje na chwilę ucichną, gdy i pustynia zaśnie w koło, a gwiazd nocnych tłumy, jakby pochodnie, jasnością przeczystą zapłoną na niebie; wtedy, około ogniska Araba, rosną powieści i gadki i pieśni; wtedy, miłość i śmierć, przeszłość i przyszłość, i natury dziwne, i męztwa zuchwałe cuda, odziane w szaty urocze poezyi, jakby wdzięczne geniuszki rozchodzą się od ognisk we wsze strony pustyni, siejąc kwiaty duchowe po jej piaskach jałowych. Kwiaty te, niedojrzane wzrokiem doczesności, mieniają się cudem, stają się widome, żyją niezwiędłym życiem; gdy na nie spojrzysz okiem fantazyi, wtedy te puste, umarłe, nieme arabskie rozłogi,

te cmentarze głuchęj natury, stają się czarodziejskim ogrodem.

Nie trudno tedy już zrozumieć, że fantazyja Arabów wypada z piersi wieszczów najradziej poezją liryczną. Bo w samej poezji lirycznej żyje cała swoboda uczuć człowieka, w niej jednostkowe piętno jego znajduje wyrażenie swoje, w niej wieszcz jedynie sam od siebie zawisł, nie zna co względy i więzy zewnętrzne. Dla tego też, gdy się Arab zabierze, by wyspiewać grzmiącą epopeję czyny pełne chwały szczepu swojego, już obrazy tej epopei stają się liryzmem, stają się raczej odbiciem osobistych uczuć śpiewaka, niż opisem zewnętrznych wydarzeń. Bo ta fantazyja, luźna i wolna, nie rada się stosować do zewnętrznego świata. Albo też, jeżeli opowiada i kreśli zewnętrzne wypadki, toć znowu z taką swawolą, z takim żartem z ustaw wiążących naturę, iż to opowiadanie staje się właśnie ową cudotworną arabską powieścią z Tysiąca Nocy i Jedna.

Równie z tego, co rzekłem, wyraźnie znać, że tutaj nie ma nawet mowy o dramacie, bo figura dramatyczna jest sobą samą, działa wedle siebie; wypada tedy aby poeta dla tych figur rzekł się sam siebie, aby treść wewnętrzną swoją uosobił na zewnątrz, nadał jej ciało i uczynił ją niby niezawisłą od siebie; lecz te wszystkie warunki dramatu są wbrew przeciwne tej lotnej, gorącej, niczem nieumiarkowanej fantazyji, która, li na własnej osobistości oparta, wylewa się gwałtem, niby dzikie wody wśród burzy i grzmotów. Z tych powodów też nie tylko Arabowie, ale żaden lud maho-metański nie ma dramatu, ani go mieć nie może. Daremnie tedy niedawno rozumiano, że odkryto dramat

między ludami temi; te słabe kompozycje są może nawet o wiele niższe, niż dyalogi średniowiekowej Europy. Obaczmy też później, mówiąc o fantazyi romantycznej średnich wieków, że tam podobne zjawiska wystąpią, bo i tam liryczność przeważa, i tam człowiek nie ma oczu rozwartych na świat zewnątrz, i tam duch tonie w sobie, stwarzając sobie własną rzeczywistość fantastyczną. Obaczmy atoli również, że wielka zachodzi różnica między romantycznością ludów mahometańskich a chrześcijańskich, której przeoczyć się nie godzi.

I uważ, ta bujająca, szalejąca fantazyja Wschodu, znienacka znów rzuca się w drugą odwrótność, i staje się prozaiczną, rozsądkową, czasem nawet pedancką uczycielką. Obok liry kipiącej warem, palącej się jasnym płomieniem, obok czarodziejskiego świata powieści, stają zbiory ogromne przysłów, maxym, rad, sentencji, a są tłumy nieprzejrzone tej dydaktycznej poezyi; jakoż jeden z tych zbiorów zawiera ich siedm tysięcy. To przerzucanie się z jednej ostateczności w drugą tłómaczy się już samo przez się z powyższych ogólnych zarysów ducha islamičkih ludów.

Nie trudno też wywróżyć kształt tych poezyi, a mianowicie tej ognistej liry. Myśli, uczucia wylatują słowami niby błyskawice; wyrazów nie wiele, ale też za to biją jakby gromem. (*) Te pieśni podobne szkicom wielkich malarzy — kilka rysów śmiałych, bu-

(*) Hammer Purgstall, *Literaturgeschichte der Araber*. Wiedeń, 1853. To dzieło jest podobno najważniejszém ze wszystkich prac nowszych, a odnoszących się do literatury arabskiej. Tej też książki radziłem się głównie wspominając tu tak zlekka o poezyi i języku Arabów.

tnych, farby zuchwale niby na hazard rzucone, co palą się, goreją, promienia — wystarczą do zupełnego obrazu. Zrozumiesz tedy również, że w ludzie rozsypanym na szczepy, hulającym w pierwotnej swobodzie po nieprzejrzanój przestrzeni ojczyzny, poezya jest prawie cała poezyą gminną, fantazyą powszechną, wszechbytną; ona rośnie jak dzikie kwiaty w całym przepychu swojej siły świeżej, rodzimój. Arabia późno dopiero, a to tylko przelotnie i niedostatecznie, znalazła wpływów świetnych dworów, co iściły przepych, czarodziejstwo, o którym gwarzyły powieści cudotworne; ta świetność przemijających ognisk nie uczyniła nigdy doprawdy poezyi w Arabii dworską poezyą; ona z istoty nigdy nie przestała być sprawą narodu całego, sprawą ogólną, spólną wszystkim. Poeci tedy walczą z sobą o prym wśród nieprzeliczonój ciżby ludu; chwała poetyckiego zwycięstwa jest chwałą ich szczepu, w obec wszystkich szczepów. Na wstępie do bożnicy Kaaba w Mekce zawieszane były siedm pieśni wyszytych złotemi głoskami na perskich makatach; one niegdyś odniosły nagrodę w obec nieprzejrzaných tłumów ludu, które rok rocznie gromadzą się na targach w mieście Okkadh. Przy tój fantazyi poetycznej ludu, co jest jego powietrzem, którym oddycha — krwią, która mu w sercu tętni — czyliż dziwno, że spory prawne, tak między pojedynczemi osobami, jak między szczepami odbywały się mocą wszechwładnej u nich poezyi. Rzecznikami stron bywali poeci; oni pieśnią wysławiali zacność, chwałę, męstwo i dzielność i słusność swoich klientów; i sędziami sprawy byli wieszczowie szerokiej chwały, a wygrana stała się tryumfem poety-rzecznika i nagrodą jego wieszczego natchnienia.

Tak tedy poezya arabska jest kopalnią bogatą, nieprzebraną drogich kamieni i złota dla Europy, znachodzącej coraz nowe a nowe cuda i dziwy. Pomyśl sobie, że w szczupłym przeciągu czasu sto czterdziestu lat, licząc ich sto przed Hedżyrą a czterdzieści lat później, śpiewało 300 poetów, między którymi było 16 królów, a 45 poetek; a tak i w następnych stuleciach mienia się i rodzą i bujają coraz to nowi wieszczowie, i rosna jakby gęstym gajem czarodziejskiej poezyi. (*)

Pytasz atoli, jakże się miała ta bujność poezyi, ten świat śpiewów i pieśni do nauki i wiary proroka?

Mahomet, zakonodawca-prorok, zanurzył ten czysty precudny język arabskiej pustyni w krynicy wiary, a nadając mu formę stałą, uświęcił go, natchnął szlachetnością pełną wzniosłego uroku. I trafnie i bystro rzekł temi dniami jeden z najcelniejszych badaczy i znawców arabskiej literatury: (**) „język starego Egiptu i Persów i Medów, Sanskryt i święta mowa Hebreów, dawno przebrzmiały w rzeczywistości. Cienie jednych z tych języków zakłęte są w napisach rzeźbionych, po grobach, w budowaniach zapadłych, i zaledwie wskrzeszone być mogą szczęśliwym trafem i mocą czarodziejską badaczy; inne z tych języków żyją tylko w księgach uczonych i plątają się marą po szkołach. Ale język arabski żyje życiem niezwałtonem, żyje wieczną, nigdy nie zgasłą młodością w dziełach poetów i w ustach ludów; on rozwinął panowanie swoje po ogromnych przestrzeniach trzech części świata, a był nawet czas, gdy ta mowa arabska była panującą

(*) Hammer l. c.

(**) Hammer l. c. przedmowa str. XVIII. Wien. 1853, in 4to.

w świecie duchowym, bo w dzielnicy nauk i umiejętności, i zajęła tron wszechwładny, opuszczony wtedy przez język rzymski, ów język pogromców starych ludzkich dziejów.“ Patrz, jakto geniusz Mahometa ciężko zaważył w duszy tych ludów! on do szczętu wytepił mity stare z pogańskich lat, a przecież, jak wspomniałem, nie zdołał wytepić z serca swoich ludów miłości gorącej do gadek i powieści cudotwornych. Bo on, choć się gniewa że go nazwano poetą, jest sam wielkim poetą.

W Al-Koranie, jak rzekłem powyżej, obok rdzeni prozaicznej jego zasad głównych, obok jałowego rozsądkowego pojmowania, widzimy powieści biblijne, ale cudnie ubrane w pałace, żarzące barwy fantazyi arabskiej; te powieści są upoetyzowane, wystrojone do niepoznania. A tak i tutaj widać owe ostateczności świata islamskiego oboc siebie istniejące: bo rozwagę, namysł, obok namiętności płonącej, bo chłód rozsądkowy obok porywającej, zataczającej się wyobraźni. Mógłbym ci przytoczyć wyjątki z nie jednej Sury (oddziału) Koranu na poparcie mojego orzeczenia, ale trudno mi wystąpić po za obręby listu tego. Nie mogę się atoli oprzeć chęci uczęstowania cię choć ułomkiem drobnym owych dziejów miłosnych Jussufa i Sulejki, osnutych na treści Koranu przez Czami, jednego z poetów Perskich. A wyrosnie nam z tego korzyść dwójaka, bo obaczysz jak Koran obchodzi się z powieścią biblijną, a przytęm będziesz miał przykład poezyi perskiej, o którejbym ci jeszcze choć w krótkości pragnął wspomnieć. Zrozumiesz przecież, że jedynie mam na myśli, aby ci podać ogólne kontury ducha i fantazyi tego ludu, a dla tego chęć te wyjątki uważać jedy-

nie za okrucy okruców tego prześlicznego poematu. Zrozumiesz równie, że nawet nie mogę rościć sobie prawa, aby te ułamki uchodziły za tłómaczenie, bo do tego trzebaby umieć języki wschodnie, a zarazem być poetą; a ja ani do jednej, ani do drugiej z tych zalet nie mam pretensyi.

Jussuf, o którym to mowa, jest to Józef biblijny, syn Jakóba Patryarchy; a Sulejką nie kto inny, tylko pani Putyfarowa. Mahomet poświęca całą dwunastą Surę Koranu historii Józefa, którą po swojemu amplifikuje, zdobi i stroi, a tak zaciera pierwotne, pełne prostoty i rzewności, opowiadanie Pisma Ś. Zaczyna od chwili, gdy niby Józef powiada do Jakóba: O ojczy mój! Jam widział we śnie jedenaście gwiazd oddających mi pokłon! I widziałem, jako mi się kłaniał księżyc i kłaniało się słońce! — Synu mój! odpowiada Jakób, nie wspominaj o widziadle tém braciom twoim, bo szatan jest ludzkich serc zaprzysięgłym wrogiem! Tobie zaś te widziadła senne niechaj będą wróżbą, że Pan ukocha cię miłością najwyższą i udzieli ci wiadomości wyjaśnienia ciemnych wyroków. Pan łaskę swoją uczyni świetną na tobie i na pokoleniu Jakóbowem i t. p. Kończy zaś Koran na chwili, gdy rodzice, przybywszy do Egiptu i stanawszy w obec Józefa, chcą upaść do stóp jego, by okazać mu uwielbienie swoje, ale Józef wstrzymuje ich, w rozczuleniu oddaje zgrzybiałym starcom cześć, na tronie ich sadzając.

Poeta perski Czami trzyma się wprawdzie Koranu w opowiadaniu swoim, ale obiera sobie za ogni-sko pieśni nieszczęśliwą miłość Sulejki do Jussufa, chcąc wyświecić jaskrawemi barwy, jako Jussuf pole-

gając na ufności w Bogu jest niepokonanęj siły duchowej; ale słaba niewiasta, nie mająca oparcia w sobie, miota się bez ratunku na falach namiętności swojej, aż i jej serce zostaje ukojone wiarą prawdziwą. Taką dążność bowiem prawie powszechnie przypisują tej powieści.

Ale widzę, że list ten jakoś zbytby mi urosł, wolę tedy zachować sobie do przyszłego listu historią o Jusufie i Sulejce i wszystko co mi jeszcze o fantazyi ludów islamicznych mówić wypadnie.

LIST XIX.

Ludy Mahometańskie.

(Dalszy ciąg.)

Powieść Jussuf i Sulejka. — Fantazyja Perska. — Schachname. —

Dwojakie pieśni wieszczów perskich, a mające spólne tło. —

Ułamki z obu tych rodzajów. — Malarstwa, rzeźby, dramatu nie ma u tych ludów. — Cechy ich budowania.

Dopisek. Rzut oka na listy i stanowisko całego tego dziełka.

„**N**oc była, noc cudna jak żywota jasny dzień; noc szczęściorodna jak młodości błogi wiek. I ptaszek śnił, i rybka w wodzie spała snem a umilkły nawet sprawcowane wieściienne. W świecie całym, w tej przdziwnej altance bożego ogrodu, same gwiazdy, same jedne z oczkiem otwartém chodziły po niebie! Noc ukradkiem uniosła wartom baczną, i milczący dzwonych zawiązane usta. Nocny ptak roztoczył lotów śmiałe miecze, a maki zasypały grodowej strażnicy. Jeszcze nie wzywają minaretów głosy na modlitwę Panu!“

„W tój nocy wdzięcznej spoczywała na łożu Sulejka mioudusta, snu słodycze pokryły jój oczu nareczy. Dziewica używała węzłowi włośów wonnych fale, a łoże ustroiła postacią, jakby zwojem wdzięcznych róż. Zmysłowe jój oczy tonęły w śnie lubym, lecz jaśniały drugie niewidome serca oczy! Zdawało się jój, że widzi przed sobą młodzieńca obraz. — Młodzieńca? O nie! to widziadło przeczystego ducha! Oblicze jego, jaśniejące promienną światłością, niebiańskim hurysom odebrało rajskie uroki i czarownych wdzięków moce. Cyprysu wzrost, tak wolnością swobodny, zdaje się być niewolnikiem obok postaci młodzieńczej. Kędziory spływają po ramionach cudnych, jako więzy, co krępują rozumu potęgę! Przed blaskiem czoła jego skłania się kornie twarz słońca świecista. Łuki oczów jego to ołtarz modlitw świętych, to namiot ambry, co cieniem mroczy zasypianie łube, pełne roskoszy cichój. Oblicze jego, to Bożych Edenów księżycowa poświata; od rżesów biją w serca strzały!

„Gdy jój oczy ujrzały to z nieba zjawienie, już jakby gromem zapłonęło serce miłością. Światłość jego lica i wdzięki nadziemskiej postaci związały ją serc tyśiącem. Ona już w świetcie nie widzi innego istnienia, krom jego uroków. Bujnie rozkwita miłości gałązka w jój sercu osadzona. Oblicze jego ogarnia jój duszę ogniami, co chłoną i cierpliwość i ufność wiary.“

„Już noc, owo ciemne pachole, uleciała światu, już kur na poranie zawołał radośnie, a słowik pieśnią

rzewną podniósł z róży pączka obłonkę, już fijołek i jażmin w rosy kropelce omyły główki swoje; a jeszcze Sulejka spoczywała na łożu snem słodkim złożona. To nie sen! To błogie zmysłów odurzenie, to radość i podziw lubój, błogiój, przemarzonej nocy.“

„Zbliżają się niewolnice urodne i całują rączkę śnieżną; ocknęła się — jój ocząt para szczęściem upojona, szaty spadły z jój oblicza, jako obłoki wschodu przed słońca promienistą twarzą. Ona patrzy w koło, bez śladu rozplynęła postać pięknoica! Sulejka w sobie stula uczucia, niby w pączku młodym; boleścią chwycona, jak róża liście, tak ona chce podrzeć szaty swoje, ale rękę wstrzymuje, wstyd ludzi utrzymuje jój stopę na umiarkowaniu progach. W sercu kryje tajemnice swoje, jak szyb górski kryje rubiny płonące. Ona tak słodko przemawia do niewolnic grona, dusza jój żali się cierpką boleścią; gdy łagodnie i lubo płyną z ust jój mowy, jój uczucie bucha iskier tysiącem. Daremnie widzi inne młodzieńcze postaci, daremnie, — na wieki jój serce przykute do sennego obrazu. Wszak w tych miejscach, kędy ona bawi, stało widziadło lubę, co jój serce uniosło. W niém jedynie spoczęło ukojenie jój duszy, w niém utopiła wszystkie pragnienia serca; a gdy to serce przemówi uczuciem, toć do drogiego przemawia widziadła!“

„Do nocy, do tój oblubienców przyjaciółki, do nocy, co stróżą tajemnic kochanków, zwracały się najdroższe jój duszy tęsknoty. Bo gdy dzień podnosił oponę rzeczywistego świata, już noc spuszczała zasłonę na niebiańskie zjawienia. I nadeszła noc! — Sulejka podobna arfie, zgięta w sobie, oparta o cierpień mury, zamiast w struny, nawiązana w strugi łez,

co, do dźwięku duszy nastrojone, brzmiały żalem serce przenikając, i wygrywały całą gamę tonów boleści tęsknej. Obraz kochanka unosi się przed duszą jej, perłami wysypują się z ust boleści słowa, perłami ciekną łzy z oczu cudnych. „Powiedz, o powiedz, któreż głębie górskie zrodziły cię o klejnocie drogi mój! Dla ciebie to, dla ciebie oczy moje perełki leją; ty wzięłaś mi serce a nie wyrzekłaś nawet twojego imienia, ani kędy twój dom. Któż mi powie imie twoje, któż mi wskaże ojczyzny twojej ślady! Jeżeli królem jesteś, powiedz, jakże zowią stolicę twoją. Jeżeliś promieniem księżyca, powiedz, kędyż twoich wdzięków tron! O! niechaj nie cierpi nikt, com przecierpiała biedna! Serce straciłam, i straciłam kochanka serca mego. Widziałam obraz twój, on mi zabrał sen, wycisnął z serca krew, i krew z oczu wycisnął! Jam bezsenną, uczucia moje zostały w pożarach gorejącej miłości. Ja byłam różyczką na kwieciściej młodości niwie, byłam świeżą, cichą, jak strumień błogiego żywota; nigdy mnie nie zawiął wichur, ani ciernie nie zraniły stopki mojej. Ty jednem spójrzeniem oddałeś mnie burzom, a cierniami boleści usłałeś łożę moje! a przecież ja tkliwsza jestem na ciernie, niż róży listek!“

„Tak wzdycha nieboże aż do światu zarania, i oskarża wizerunek kochanka fantazyą zrodzony. I uleciała noc.“

Tym trybem cudna ta powieść roztacza się w swoim uroku; poeta opisuje teraz, jako niewolnice spostrzegając odmianę w Sulejce, radzą a radzą między sobą: jedna mówi, że to oczynienie; druga, że ją urzekł

Diw (niby jeden z czeladzi wrogięgo Arymana), trzecia, że zapewne czarnoksiężnik jaki umatnił ją w sidła; czwarta zgaduje, że to miłości brzemie. Mamka Sulejki, trapiąc się zbiednieniem drogięj dziewicy, nalega na nią i zaklina, by jęj prawdę wyznała. Sulejka wtedy opowiada jęj sen swój. Mamka potajemnie udaje się do ojca; ten zdziwiony jęj słowami, nie wiedząc jednak jak temu radzić, rzecz całą zdaje na Bożą wolę. I drugi raz zjawia się jęj we śnie Jussuf. Wtedy miłość gwałtowna tak wstrząsa jęj duszą, że Sulejka oddana okropności obłąkania. Ojciec zwołuje radę, ta uchwała, aby nałożyć biednej miłośnicy kajdany — kajdany złote wysadzane rubinami, perłami i t. d. Jussuf zjawia się po raz trzeci, lecz teraz już widziadło czarowne, poruszone rzewném, tkliwém błaganiem, oświadcza że mieszka w Egipcie, gdzie piastuje godność Wielkiego Wezyra. Sulejka wyzdrowia, zdejmują z nięj kajdanki złote.

Nie zadługo rzeczywiście przybywają posłowie z Egiptu, prosząc o rękę królowny dla egipskiego wezyra. Z rozkoszą w sercu wybiera się Sulejka do narzeczonego. Przepyszny wjazd jęj do Egiptu. Ale jakż jęj boleść i rozpacz, gdy, wiedziona tęsknotą miłosną, przez szparę namiotu obaczyła wezyra. To szpetny Putyfar! to nie obraz czarujących wdzięków we śnie trzykrotnie widziany!

Tymczasem Jussuf, od braci zaprzędany, przybywa do Egiptu; puszczoney na sprzedaż publiczną, kupiony od Sulejki. Przecież jęj wdzięki nie poruszają serca jego. Oskarża go przed małżonkiem. Lecz niemowię przemawia, zaświadcząc niewinność młodzieńca. Ztąd plotki i bajki po mieście. Panie, znajome Sulejki,

wzięły jej sławę na złe języki, stąd złośliwe komeraże, docinki i dowcipy. Sulejka pragnie ukarać obmównice. Zaprasza więc te panie do siebie na ucztę pełną przepychu. Po obiedzie dano wety. Sulejka zaś każdą z dam uraczyła pomarańczą; bo jej barwa ciemnożółta jest lekiem na zazdrościwą niechęć. Potém Sulejka tak przemówiła do dam: „O wy panie, wdzięków pełne! Wy, co jesteście najwyższej piękności wieniec! dla czego zaprawiacie goryczą usta moje, za tożem ujęta gorącą miłością ku słudze mojemu! Gdyby on spójrznie wasze zapełnił światłością uroków swoich, zaiste wina moja byłaby mi przebaczona!“

Panie wszystkie proszą i nalegają, by im przecież ukazała Jussufa, zapewniając, że go już kochają, choć go jeszcze nigdy nie widziały. Sulejka wyprawia po niego niankę. Ale Jussuf głuchy na prośbę. Wtedy Sulejka śpieszy sama do niego, błaga i błaga rzewnemi łzami i zaklina rzewnemi, by nie rzucił na nią hańby i sromu ostatniego w obec wszystkich niewiast całego Memphis. Nakoniec Jussuf, litością poruszony, zezwala by go ustroiła w szaty przepyszne, co wzmogły jeszcze uroki jego i wzniosły je do piękności, „dla której już niema wyrazu.“

„Z ukrycia występuje piękności najwyższy skarb, rozkwitniony we wdzięki jako pole róż kwitnących. Gdy niewiasty ujrzały to pole róż kwitnących, już każda z nich uszczknęła spójrznie różę, a to spójrznie zabrało szczęście jej żywota; każdej wypadła z ręki uzda krępująca wołą. Wszystkie, uchwycone podziwem tych uroków, oniemiały i skrzepły mrozem, jak gdyby już umarły!“

Panie w tém osłupieniu i zapomnieniu siebie, za-

miast rozkroić pomarańcze, kaleczą sobie paluszki. Teraz wszystkie ujmują się za Sulejką, radzą by Jussufa skruszyła więzieniem. Zaledwie to uczyniła, gdy ciężki żal przejmując jej duszę. To posyła do niego niankę swoją, to sama wychodzi na wzniesły szczyt swojego pałacu, by choć ujrzyć dach więzienia Jussufa — Wyratowanie* jego z kaźni — Putyfar umiera — Sulejka buduje dom za miastem obok drogi, którą codzień przybywa Jussuf, i rozkosz jej gdy słyszy choć tęteć konia jego. — Ale Jussuf ciągle nieczuły — Wtedy Sulejka odstępuje pogaństwa i nawraca się do wiary prawdziwego Boga, tak staje przed Jussufem, on przyjmuje ją tkliwie; za pośrednictwem prośby jego Pan wraca jej pierwszą młodość i dawne wdzięki. Nakoniec z bożego rozkazania Jussuf pojmuje ją za małżonkę — zobopólne szczęście, — Jussuf umiera — z żalu po nim umiera i Sulejka — Uwagi moralne poety, — koniec.

Otóż jest treść jednej z tych nowszych powieści perskich, które nas od czasu do czasu dochodzą, jakby woń z wieńca wschodniej poezji.

Ta fantazyja perska jest córą arabskiej; ona też ognista, o krwi płomienniej, lecz o sercu lekkim, radośnym; znać, że ona nie wyrosła na pustyni dzikiej, głuchej, że ją wychował dwór, niby dziecię lube, pieszczone. Jej upłynęło życie wśród różanych ogrodów, wśród pałaców, najświetniejszych przepychów Szacha, kędy rycerskość i wdzięk niewieści są przystrojem najwyższym. Nie dziw tedy, że ta fantazyja, co tak z natury gorąca, namiętna, przecież umie miarkować gwałtowność swoich uczuć i nie ubliży nigdy dobremu wychnowaniu i wytwornemu smakowi; a mimo tego

nie jest wymuskaną, czczą formą, ale pełną świeżości i życia. Com tedy powyżej rzekł o arabskiej fantazyi, znajdziesz i pierwiastkiem w Persyi; ale ten pierwiastek przybiera się tu w kształty nowe niesłychanego uroku i rozwija się w formy poetyczne, różnobarwne. Poezya perska jest teraz jakby ogrodem cudownym, w którym duch roztula się różnobarwnym, czarownym kwiatem i w krzewy wonne, w których brzmią chórem pieśni słowicze. Ogród takowy raz tylko zjawił się wieczną wiosną w dziejach świata, bo w Persyi.

Przecież już najcudowniejszego władztwa dostąpiła poezya, gdy szlachetna postać Mahmuda zasiadła na stolicy Persyi. Po kraju, między ludem płątała się jeszcze tłuszcza zabobonów i guseł pogańskich, gdzie niegdzie nawet straszycie jeszcze widmo czczęj bezwiary. Mahmud znał potęgi drżące w głębi duszy swojego narodu, znał jego tajemnicze tchy; więc czarnoksięztwem poezyi pragnął rozpłoszyć upiory pogańszczyzny, i wskrzesić one moce śpiące w piersiach ludu. W rychle przeto królewski gród otacza się zastępem czterystu wieszczów; oni pieśnią mają zdobyć serce człowieka i zawładnąć duchami. Wiara otula się w złoto-tkany poezyi płaszcz, wieńczy się różami i zaśpiewała ludowi cześć Bożą i chwałę Proroka. A gdy tak zeszły mgły ciemne z duszy, gdy serca zapłonęły wiarą koranu, Szach tej samej wszechmocnej potęgi chciał użyć, by te serca zapukały jeszcze uczuciem perskiej ziemi i miłością do perskiej sławy.

Od pradiadowych stóleciów lud przechowywał księgę starą w tysiącnych odpisach. Była to zbutwiała kronika — Bastanname; w niej od porannych dziejów

przechowane były wieści mglistych starych lat i święte podania o bohaterach wielkiej przeszłości zmarłej; w niej złożony był cały żywot Persyi, niby zasuszony kwiat. Mahmud, zagrzany chęcią wskrzeszenia z grobu stariej historyi, zamierzył przetopić ją w poezyą, a wszystkie koleje Persyi, jej wielkie czyny i wielkie imiona rozwinać przed ludem, jakoby obrazem, w jednej ogromnej epopei, — w Szachnamie. Wybiera tedy siedmiu ze swoich wieszczów, każdemu wyznacza jakiś ustęp z onej kroniki; pragnął bowiem doświadczyć ich geniuszu, zanimby któremu z nich powierzył dzieło całe.

Nadszedł oznaczony dzień. Jeden ze siedmiu wieszczów, Ansari, czyta pracę swoją; pieśń zachwyca potęgą fantazyi, wdziękiem niewysłowionym harmonii. Pieśń ta, to grzmi niby gromów łomot, to znów z cicha kwili i płacze, albo też świeci cudownej piękności obrazem. Szach zachwycony mianuje wielkiego poetę księciem wieszczów, oddaje mu berło duchowe, by panował w państwie duchowem, otacza go dworem pełnym świetnego przepychu, czyni wielkim kapłanem poezyi i najwyższym sędzią w piękności krainie. Nie jestże to dziwne, jedyne zjawisko w dziejach ludzkich, to dostojeństwo wieszczów! Jakoż utrzymuje się ono i w późnych pokoleniach; obok Szacha, panującego nad wolą ku ziemi zwróconą, władnie poeta-król nad myślą i uczuciem, które z wiekuistości ród swój wiodą i do niej tęsknią.

Wieszcz-zwycięzca Ansari, choć otoczony chwałą i najwyższym zaszczytem odziany, daremnie się broni smętkom i żalom, co mu na duszę padły. Czyliż on podejmia się dokonania olbrzymiego dzieła? czyliż

nlegnie pragnieniu przeistoczenia całych dziejów perskich na epopeję, a tak może na szanie wystawi sławę promienną, już tak szczęśliwie zdobytą. I lękliwo mu i trwożno na duszy, i tonie w zadumaniu, myśląc, któremuby z wieszczów miał oddać lutnią złotą. I duma i marzy, a z ciężkiem brzemieniem na sereu pewnego wieczora usiadł z dwoma poetami, przyjaciołmi swoimi, wśród cieniów wdzięcznego ogrodu. W koło ptaszki stroją zalecanki różom, i kwiaty tęskne patrzą się miłością ku sobie, i brzmią po krzewach ciemnych pieśni, i szmerzą wieczorne powiewy i prawią strumieniom gadki swoje, i dech kochania i poezyi powodzą zalewa świat, a co żywo cieszy się życiem lubem. Wtedy grono troiste poetów spostrzega młodego wieśniaka, który butnym krokiem ku nim się zbliża. Ansari, zwracając się ku niemu z uśmiechem, rzecze: Braciszku mój! do wieszczów jedynie wieszczom wolny wstęp! — I ja poetą jestem, zawołał gość. Wtedy Ansari wprost z natchnienia zaczyna pieśń wierszem, jeden z przyjaciół jego dodaje wiersz następny, a drugi z poetów tworzy wiersz trzeci; lecz wtedy, jak błyskawiczną improwizacją, wpada nieznajomy, i z ust jego wylewa się ciąg dalszy rozpoczętej pieśni. I jak cza-rem uderzył w dusze słuchaczy oniemiałych, bo i wiersz przedziwnej harmonii, i treść jego wyjawia głęboką znajomość ojczystych dziejów. Tym wieśniakiem-poetą jest ów *Ferdusi*, najcudniejsza gwiazda na niebie perskiej poezyi. On był synem ogrodnika w mieście Tus, który służył u zamożnego człowieka; tak sama młodość jego wypiastrwana była w ogrodach, wśród kwiatów.

Wnet młody poeta deklamuje przed Sułtanem

ułomek z dziejów perskich. Sultana słucha i milczy i znów słucha; te wiersze zdały się być wołaniem z nadludzkich światów. Taka była ich moc czarodziejska i urok czyniący, że Sultana w końcu, podziwieniem i rozkoszą natchniony, rozkazuje płacić za wiersz każdy pieniądz złoty i poleca Ferdusemu napisanie całej epopei Szachname.

Byłoby co prawić, gdybym ci zecheiał roztoczyć koleje, które przebył Ferdusi w życiu; słowem, było to życie poety. To uwieńczony chwałą mieszkał w złocistych pałacach, piastowany będąc od szczęścia, to na wygnaniu błąka się o głodzie, ścigany wrogą nienawiścią.

Przytoczę tylko ostatni akt tej rzewnej i pełnej smętku komedyi. Ferdusi, po wielu biedach, żyje przecież cicho, skromnie, ale w pokoju, w mieście Tus, kędy niegdyś kolebka jego stała, a żył ze swoim zgrzybiałym nauczycielem Essedi. Nie długo przed śmiercią rzekł do starego przyjaciela swojego: „Nie mnie już tak nie trapi i nie ciąży na duszy, jak myśl, że nie zdołał ukończyć Szachnamy, brakuje tylko jeszcze czterech tysięcy wierszy, ale ich nikt nie dorobi w duchu moim i w myśli całości!“

Essedi. Uspokój się, podejmę się ukończenia dzieła, byle mi żywot starczył.

Ferdusi. Choć żywota może nie zabraknie, ale sił ci nie stanie.

Essedi. Ukończę, jeżeli się to zgodzi z wolą Bożą!

I poszedł Essedi i nie było go widać przez dobę całą; poczem przyszedł. — Dokonałem dzieła! zawoła, i doprawdy w dwudziestu czterech godzinach

napisał 4000 wierszy precednych. Ferdusi umarł spokojnie.

Tymczasem Sultán wypuścił już od dawnych lat z pamięci osiwiałego wieszczą. Raz atoli w przytrudnej sprawie zapytał Wezyra o radę. Wezyr odpowiada wymkiem stosownym ze Szachnamy. Sultán pyta o wieszczą. Wezyr wymownie i z ciepłem za nim przemówił, dodając że Ferdusi żyje starcem samotnym w Tus. Wtedy Sultán rozkazuje obładować dwunastu koni indygiem, perłami i klejnotami, i posyła je w darze opuszczonemu poecie. Karawana, wchodząc do bramy miasta Tus, spotyka orszak pogrzebowy, niosący ciało wieszczą. (r. 1030).

Siostra jego odmówiła przyjęcia przysłanych skarbów.

Zaiste, ten bładny obrazek z życia poety jest prawdziwym przyczynkiem charakterystycznym do dziejów fantazyi na Wschodzie. Zda się, że w tej Persyi same powiewy roznoszą nasiona poezyi; że rosa, że słońca spojrzenie, że ptaszków szczebioty wywołują pieśni. Tutaj ziemia i niebo, wody i lądy grają i nucą, a epopeja olbrzymia, wspaniała, ogarniająca życie całego narodu i szereg długich wieków, rodzi się w chwilce jak żarcik poetyczny, lekki niby motylek lub sen poranny.

Widziałeś, jak się poemat Szachnamy zawiązał, jak wyrósł w pieśń niepodobną już do żadnej innej na świecie; w niej wszystko, com tylko rzekł powyżej o fantazyi Wschodu, znalazło wcielenie swoje. Powiedziałbym, że może mimo wiedzy, mimo woli samego wieszczą ten dech panteizmu tchnie niewiedomie w tym dziwnym, fantastycznym świecie tego poematu. Szachname nie objęła sobą ani szczegółowego history-

cznego zdarzenia ani też nie ma za ognisko jednej figury głównej, ale sięga zrodzeń pierwszego człowieka i ogarnia całe epoki dziejowe i lat tysiące; a choć tu wpływają na jaw figury heroiczne jak np. Rustana i Alexandra Macedońskiego, choć Sułtan zdaje się być ogniskiem Persyi i pieśni samój, to przecież prawdziwym bohaterem i tłem jest tutaj potęga dziejów, co choć niewidoma, niespostrzeżona, włada ludzką historią, ale włada nią jako abstrakcyja bezosobowa, niby idea bezświadoma sobie, a nawet złamana w sobie na dwa pierwiastki: jednym z nich jest światłość, moc wyrażająca się Persyą, Iranem; drugim ciemność, to jest ludy wrogie Turanu; jest to jakby odgłos daleki owej walki Ormuzda i Arymana — światła i ciemności.

I tutaj moc wyobraźni zapustnej wzywa na rozkazy swoje gryfy i węże skrzydlate, ptaki cudowne, smoki i czarodzieje, twierdze i grody z miedzi kute; tutaj tłumem cisną się przez scenę postaci mieniające się, co błysną, zaświecą nadprzyrodzoną potęgą i znowu ulatniają się bez śladu, jakby pochłonięte w dziejowych bezdeniach. I nawzajem, właśnie znów dla tego, że te figury i bohaterzy mają tylko przelotne znaczenie, że nie mają ogólnych prawd w sobie, coby je podtrzymały, któreby je wiązały, więc też one na sobie wyłącznie się opierają, oddając się osobistemu natchnieniu. Stąd te figury tak samowolne, butne, tak zuchwałe, rycerskie, śmiałe; słowem, zradza się postać romantyczna a fantastyczna perskiego Pelwana. Pelwan toć prawie awanturniczy europejski rycerz średnich wieków; i jego najwyższym skarbem rumak i broń dzielna, lśniaca; jego żywiołem łowy i bitwy, igry rycerskie i pieśni. Niedostaje mu atoli wiary chrze-

scijańskiej i brakuje mu jeszcze drugiego potężnego pierwiastku, który tak wszechwładnie odzywa się w rycerzu chrześcijańskim, nie dostaje mu bowiem miłości, bo ta nie zdradza się nigdy bez czci dla niewiast. Obaczymy, jak już rzekłem, później różnice między światem romantycznym średnich chrześcijańskich wieków, a romantycznością ludów muzułmańskich.

Jak figury atoli pojedyncze, jak natura cała nie uznaje w Szachname prawideł, tak też i wypadki płynące po sobie, jakby senne fantasmagorye, nie łączą się z sobą w organizm ścisły. Nad temi dziejami nie czuwa opatrność! Jeszcze w pierwszej swojej części Szachname, wyśpiewując mity i mgliste podania, jednoczy je choć z lekka tchem geniuszu; ale gdy zapuści się następnie w czasy historyczne, gdy Iskander (Alexander Macedoński) zjawia się na scenie, już mimo magii poetycznej barwiącej, złocącej dziejowe wypadki, obrazy coraz luźniejsze wypadają z za kulis fantazyi. Epopeja płynie ciągle wspianiałym nurtem geniuszu, lecz podobna do nabrzmiałej dzikiemi wozami rzeki, zalewa powodzią w koło świat i unosi bezładu i szyku łupy, co znajdzie na wywrotnej swojej drodze. Tu wszystko się ciśnie dzikim pędem; uderzają o siebie wypadki, jedne z nich przepadają w toni, drugie puszczają się falą w dal, aż nakoniec wszystko znika — i Epopeja dobiegła ujścia swojego!

Znać przeto, że i sama ta Epopeja nie stanęła na gruncie prawd ogólnych, estetycznych. Słusznie może czynią ci, którzy porównali Ferdusego z Homerem; lecz pamiętajmy, że on jest Homerem, ale dla Persów tylko. Nie spodziewaj się w Szachname mistrzowskiego zestrojania szczegółowych części w jedną ca-

łość niby w posąg cudny, jak to widzisz w każdej z osobna pieśni greckiego wieszczu, którego natchnienie poetyckie było też najwyższą mądrością, tworzącą od razu jakby gromem plan, na którym osnuł każdą z nieśmiertelnych pieśni swoich, niby całość dla niebie istniejącą.

Zważ, to panteistyczne tło, które dopiero nieśmiało przegląda po przez obrazy Szachname, występuje już niezadługo później wprost w postaci samodzielnej i wyjawia się nawet w postaci dwoistej, a wręcz sobie odwrótniej. (*)

Dawno już powiedzieli estetycy, że śpiewacy perscy rozdzielili się jakby na dwa chóry, mające wręcz sprzeczne sobie dążności, tętnące nawet niechęcią ku sobie, a przecież ich poezye mają wspólne panteistyczne źródło. Z jednej strony stoją wieszczu, oddający się całą duszą tutecznym roskoszom; oni pływają po morzu ziemskich radości, nucą i kochają się, bawią się i śpiewają miłość i wino, i róże i wszelkie światowe wesele. Z drugiej strony słyhać chór mistyków, owe głębokie

(*) Odsyłam czytelnika do wyjątków Szachnamy, tłómaczonych przez P. Lucyana Siemieńskiego, tak świetnym talentem, a umieszczonych w Bibl. Warsz. w Zeszytach Wrześniowym r. 1853 i następnych. Zdaje mi się, że nie można dość podziękować p. Siemieńskiemu, że nam podał choć w ułamkach ten cudowny poemat, a oddał w tak mistrzowskiem tłómaczeniu, jak gdyby było pisane pierwotnie po polsku. P. S. niema atoli powodu uniewiniania się iż nie znając pieśni w oryginalnym języku zabrał się do tłómaczenia tego, bo nam nie chodzi bynajmniej o dosłowny przekład pieśni, ale o uchwycenie ducha całości, a nadto długoby wypadało czekać za nim by się znał orientalista, będący zarazem poetą równym P. Siemieńskiemu.

tony i poważne, onych uroczystych Sufi, co ujawszy Islamizm w najgłębszém znaczeniu swoim, wynieśli z topieli jego miłość dla nieskończoności, pragnienie wrzące, kipiące zlania własnej istoty z bożą istotą w jedność nierozdzielną; co tuteczne, co ziemskie, nie ma dla nich wagi i znaczenia, bo w nich prze i woła owa miłość nieogarniona, a nie daje im spoczynku i folgi w życiu. Mnieby się zaś zdawało, że te dwa chóry rzeczywiście śpiewają jedną i tę samą pieśń, choć ją śpiewają z innego tonu! Bo powiedz, czyliż oba te grona mistrzów nie są zwiastunami jednej i tej samej myśli? Oba pragną zapomnienia siebie, utopienia swojej jaźni; jedni atoli nurzą ją w powodzi szczęśliwości doczesnej, w bezkłopotnej, bezchmurnej wesołości ziemskiej, drudzy zaś pogrążają ją w otchłaniach wiekuistej bezdeni, w której, jakby w oceanie głuchym, jaźń rozplywa kochaniem rzewném, rozplywa kropelką, bańką znikomą. Gdy tamci w urokach niewiasty, w kochaniu się, w puharze wina znajdują błogie zapomnienie troski i żywota, i rozplywanie własnej istoty, przeciwnie u wieszczów mistycyzmu, kochanką, w której znajdują siebie, jest abstrakcyja wiekuista, a winem jest odurzenie ducha, opojenie się ducha stworzonego na myśl jedności swojej ze wszechistnieniem.

Przecież zważ, że i mistycyzm, choć tak rzewny i zamętny, nie jest przecież ponurym, jest on radością zachwytną, weselem serca, godzący się z sobą i z istnieniem wszech rzeczy, wyśpiewując sercem lekkim tęsknoty swoje. Tu nie ma tych tonów smętnych, grobowych, które tak mrozą i straszą w Indyach; tu panuje jakieś ochocze, wesołe oddanie się przeznaczeniu i pogodzenie się z losami.

Mimo tego, zwykle estetycy i badacze literatury choć uznają fakta, nie uznają spólnego tła obu tych dążeń; mniemam atoli, że kilka przykładów usprawiedliwi i wyjaśni do syta powyższe rozumowanie.

Chciój tylko jeszcze zważyć, że ten mistycyzm ma różne stopnie swoje, i że, rozwijając się stopniowo coraz silniej, na szczycie swoim staje się dopiero mistycyzmem panteistycznym. Przykłady, które ci teraz przytoczę, będą uzupełnieniem tych pieśni, które położyłem ci na początku listu tego.

Słuchaj, co śpiewa Hafis, naczelnik Samtego, pierwszego orszaku wieszczów.

„Płyną z nieba słodkie wonie, tulą duszę lube rajskie tchy! Gdy w jaśni górnej tonę okiem, ekliwo mi na świecie tym! Duszo moja! roztocz skrzydła twoje. Uleć, uleć na rajskie jasne szczyty! Biada, biada ci! W koło ciebie kraty, w koło ziemskiego jęctwa szranki!

Ale nie — nie chcę skarżyć się, nie chcę żalić się. Nie chcę lecieć na rajskie jasne szczyty; niechcę, choćby pękły kraty, choćby padły ziemskie szranki!

Bo co piękne, co kochane, co drogie sercu, jedynie kwitnie na samej ziemi tej! Owe rajskie, jasne szczyty, zwierciedlą tylko cienie blade ziemskich rozkoszy, i dla tego ci tak tęskno do jasnych niebios szczytów! Choć cię wabi próżnia głucha, choć cię łudzi bezden cicha, ona niegodna i zmiętego listka róży!

Po grodzie nieskończonych światów gospodarzy myśl, nieznająca granic, nieznająca więzów myśl! Ona wysokości zawrótne i przepaści bezdenne zwiedziła skrzydłem lotném, a puszcza się na wyścigi z wichrami wszystkich burz.

Lecz biada jej! Harda myśl jęktła niepokojem cier-

pień pełnym; ona walczy sama z sobą — ona chora!
 Biedna myśl! Ona czuje, że dla niej tak głuchy, tak
 próżny ten wielki świat! ona też nie zdoła znaleźć spo-
 czynku! biedna myśl! A miłości tak lubo, tak miło
 w komnatce małej!“

Jednak podobno więcej, niż te wszystkie próbki,
 świadczy za naszém zdaniem co następuje:

Niechaj pierzchnie jaźń i siła jej,
 Miłość włada — precz jaźni samolubna!
 Ulatuj ze mnie, gdy błysnie miłości oko!
 Najcudniejszą pięknością jest istota twoja, gdy rozplynie
 w uczuciu bez granic!
 Jakże smętny, jak i ponury jest przepych jaźni hardy!
 Niechaj się w popioły spali serce miłością ujęte!
 Niechaj je wiatry rozwieją!
 Zwiastując w obec świata, jak wielką jest miłości potęgą!

Gdy na wstępie do ostatniego listu położyłem ci
 pieśń Altara należącego do drugiego grona wieszczów,
 zatem wystarczy, jeżeli uzupełnię ci rzecz krótkimi
 wyimkami z Czeladin Rumi, gdyż on najwyższym poetą
 mistycyzmu panteistycznego, co rozwiany jest od brze-
 gów świętego Gangesu aż do Bosforu. Pieśni Czeladina
 nastrojone do dźwięku wszechświata, do tonu, którym
 gwiazdy obiegają słońce i grzmią mórz bałwany, a
 szepce owadek błyszczący w porze miłości swojej. Roz-
 piąwszy gorące loty fantazyi, wieszcz uderza niemi jakby
 akordem pełnym, unosi się do wysokości wiekuistych, a
 pędzi go a wiedzie przez nieskończoność burza uczuć i
 pożar gorącej duszy. Przecież i na wysokościach nad-
 gwiazdnych, kędy mu znika świat i doczesności życie,
 kędy tylko wieszcz widzi nieskończoność bezdeni —
 pieśń jego pełna majestatu i dziwnego uroku.

Nie pytaj co miłość, co być kochanym, nie pytaj;
 Nie poznasz tajemnicy, gdy nie przemówi do ciebie miłość sama.

Gdy słońce błysnie w ziemskie ciemnice,
 Powiedz — czem kagańca płomyk biedny?
 Gdy w obec ciebie stanie przyjaciel Bóg, coś go kochał ser-
 cem rzewném,
 Powiedz, na co tobie posłańca od niego!

O duszo moja zamieszkuj w duszy Bożej,
 Duszo moja, czyliż bez ojcowizny nie tęskno, nie ekliwo ci?

W nurtach trosk dopija się miłość szczęśliwości wina!

Znasz ty powód świata stworzenia?
 Z miłości pojawił się w nicestwie Bóg!

Gdy dusza cofnie się z duszy;
 Dusza będzie martwą jak bez duszy ciało!

Tajemnic tysiące pojawiają się w duchu,
 Których nie dowidzi oko, nie dosłyszysz ucho.

Był gęslarz wiekiem znękany, troską zbiedzony.
 Nie stało zarobku — chleba zabrakło biednemu. I
 wziął lutnię, a sercem modlitwą wezbraném westchnął.
 Szedł i szedł na cichy, święty cmentarz Medyny. Prze-
 mówił ze łzami: „Tu usłyszysz moje granie Bóg! Ałłach!
 niechaj ci będzie dźwięczne moje brzdąkanie biedne!”
 Długo, długo brzmią struny jego — on płacze — pada
 na lutnię — i, zasnął; boleść przyniosła mu sen. W tej
 chwili zapomniał, że go jeszcze więzi ziemskie jęctwo.
 Wyszwoodził na wolność grajka sen — wyswobodził
 na wolność śpiewaka, wyswobodził i lutnię jego.

Wyzwolony był od ciała, wyzwolony od pełnego bólesci świata! W duchów krainie wyrosły skrzydła duszy jego. Więc z radością zaśpiewał: „O! na tych niwach rozkoszy, pozwólcie bym został, o przyjaciele moi! bym pozostał na wieki — na wieki! Jakże byłbym szczęśliw na tym nieskończonej wiosny świecie, upojony weselem, na róż i tulipanów łonie! Wędrowcem byłbym bez stóp, bez skrzydeł; tu bez ust spełniałbym najwyższych uciech kielich! z myślą wolną od trosk, z sercem wolnym od mąk bawiłbym się z niebian jasnym gronem. Okiem zamkniętym widziałbym światy! Bez rąk zbierałbym róż i tulipanów zwoje, jako wodny ptak nurzałbym się w słodyczy morzu; w zdroju Hiobowym spłókałbym duszy skazy!

TANIEC DERWISZÓW.

(*Tamburyny bębnią.*)

Ja m bóstwa ptak! — *Bakrabaku!* (tamburyny.)

Odurzony jedności winem! — *Bakrabaku!*

Ja drogą zbawienia i modlitwą i psalterzem, *Bakrabaku!*

Ja tajemnic głębie znam, *Bakrabaku!*

Ja jestem wiekuistym losem, i upojonym słowikiem — bębnię

Bakrabaku!

Choć od ludzi zrodzony, od wieków treścią modłów jestem,

Bakrabaku!

Ja jestem chorobą i lekiem!

Ja jestem wszechświatów zdrojem! jam mędrce na drodze i

szałeństw wątkiem, *Bakrabaku!*

Ja proszkciem w słońcu jestem! *Bakrabaku!*

Ja nie jestem mną, ja we własnym ciele nie jestem mną,

Bakrabaku!

Ja jestem Szachem i żebrakiem, księżycem i niebem, ja środ-

kiem i celem, *Bakrabaku!*

Ja jestem płomieniem i lampą, jestem i kołującym niebem,
 światłem i błyskiem; ja i porankiem i wieczorem jestem,
Bakrabaku!

Ja słońcem wiary, ja jestem pewnością zaprawdę! Jam nie-
 wiarą i wiarą, a bębnię, *Bakrabaku!*

Dość tych przykładów — Mniemam, że nikt tej poezji mistycznej nie odmówi ogromnej, przepaścistej głębi, a formy cudownej. O ile zaś treść jej ma w sobie śmiertelny zaród błędu, toć z lekka już wykazałem na inném miejscu, mówiąc o panteizmie mistycznym islamskiego Wschodu, którego właśnie ta poezja jest wykwitem najwyższym. Jakoż gdyśmy rozprawiali o poezji arabskiej, widzieliśmy, że ta fantazyja islamskich ludów, rodząc się z wyłącznej, osobistej treści człowieka, lekce sobie waży prawa obowiązujące świat zewnętrzny i prawdy opierające się na samej istocie przedmiotów, i dla tego nigdy nie była zdolną do stworzenia dramatu. Dramatu nie miała poezja arabska, i perska także mieć go nie mogła, bo ta, choć rozwinięta we formy tak różne a czarodziejskiej piękności, wybujała przecież tak silnie panteizmem, który właśnie wszelką osobowość ulatnia, który wszystko zlewa w jedność nieskończoną, a tém samem jest wręcz przeciwny figurom dramatycznym, opartym na sobie i na własnej treści wewnętrznej, osobowej.

Z téjże przyczyny znać, że i malarstwo i rzeźba nie mogły być sztuką odpowiednią tej fantazyi mahometan-
 skich ludów. Widząc obraz malowany, islamista odwraca się od niego ze wstrętem, wyrzucając malarzowi, że uczynił ciało nie mogąc mu nadać życia.

Inaczej z architekturą. Tutaj nie występuje już osobowość na sobie oparta, tutaj najcichsze duszy dźwięki

i głosy grzmiące we wnętrzu człowieka występują na zewnątrz tężąc w budowaniu, szepecząc linią lekką, misterną, swawoląc arabeskiem, uderzając potęgą swoich kolumn i wznosząc się łukiem śmiałym, misternym. W architekturze też islamici a mianowicie Arabowie wyrobili sobie styl osobny, właściwy.

Rozumiem teraz, że pojmwowanie nasze fantazyi mahometanńskich ludów dostatecznie się już wyjaśniło przykładami z poezyi Persów i Arabów; dla tego poezyą Turecką pominąć mogę, a to tćm wićcej, że ona jest ich córą a naśladownicą wdzićczną; trudno mi atoli opuścić świat fantazyi islamickiej, by choć okiem nie rzucić na tę jego architekturę tak fantastyczną, bućną, igrającą tak swawolnie, a przecieź tak lubo i wdzićcznie.

Wiesz już, jak w duchu Mahometanina dwa światy wręcz sobie przeciwnie, dwie sprzeczności odwrotne graniczą z sobą, nie przejmując się atoli nigdy organicznćm życiem; tutaj proza rozsądkowa myśli, liczy i mierzy obok tanów szałem opojonej fantazyi; tu zrzenie się mistyków, tęskniące do światów nadgwiadnych, obok wesołości hulającej z lekkim sercem po ogrodach ziemskiej rozkoszy; tutaj gnusność leniwa, tonąca w beczynnych marzeniach obok gwałtownych mocy, co porywają wojownika w dał nieznaną nad podbój świata. Tutaj, mimo ścisłych przepisów wiary, dusza człowieka z całym tłumem swoich uczuć, żądź, pragnień i marzeń znajduje nieskończone dla siebie pole; tutaj Koran sięga po tradycyę do Pisma Świętego, a to podanie, tak prostoty pełne, tak poważne, ubiera w błyszczące szaty rozpalonej fantazyi; tu wieszcz Ferdusi kronikę, historyą swojego ludu i macedońskich bohaterów oświeca

płomieniem bengalskim swojej poezji, a tak puszcza je niby widziadła fantastyczne latarni magicznej przed zdumione oczy czytelnika. Podobna też jest cecha mahometañskiej architektury. A widzimy tę cechę nawet w meczetach, więc w architekturze religijnej, a przeto w tym rodzaju budownictwa, który, będąc najwyższym ze wszystkich, jest właśnie najdzielniejszym środkiem do rozwoju właściwego stylu w każdym narodzie. Wszak i tutaj duch islamizmu nie mógł się wyrzec swojej istoty bujnej, lśniącej czarodziejstwem. I tutaj znajdujemy te dwie sprzeczności, te dwie ostateczności, które, jakby niewidoma nić, przechodzą przez żywot mahometañskich ludów. Pierwiastkiem prozaicznym, rozsądkowym są w budowaniu meczetu różne jego części przeznaczone do różnych obrządków religijnych; te części objęte też są wyraźnemi prawidłami. Podobnie atoli jak obowiązki przepisane przez Koran, owe modlitwy, posty i jałmużny nie tamują swobody nieskończonej, która podżega płomienne namiętności wyznawców jego, tak też owe zimne przepisy i prawidła do budowania meczetów są jedynie ogniskiem prozaiczném, około którego puszcza się lekko-
 ducha, wolnoskrzydła fantazyja, stwarzając bajeczne, czarnoksiężkie budowania swoje. I zważ, te przepisy tém mniej tamują polot zuchwałej, twórczej wyobraźni, że lubo one oznaczają części meczetu, nie podają jednak prawideł, wedle których te części winny być obok siebie umieszczone. Stąd też kształt tych bożnic to przypomina stare bazyliki chrześcijańskie, to znów zakrawa na bizantyńskie budowanie, to wręście mieni się w inne formy; i dla tego też właśnie mahometanizm, podbiwszy świat z taką łatwością, przyswoił sobie świątynice ludów zu-

pełnie różnej wiary, (*) i dla tego także właśnie w meczetach, z umysłu stawianych, daremniebyś nawet śledził środka, ogniska architektonicznego, do któregoby się odnosiły wszystkie te części budynku, któreby imiało i zbierało je wszystkie w jedność i całość; tego silnego wskrós przenikającego ogniska nie ma meczet, jak go nie ma wiara Mahometa, jak go nie ma Szachname. Tutaj kopuły, nawy, nisze, dziedzińce, wodotryski, kolumny, arkady, przysionki zbiegły się z sobą bez koniecznego związku. Przechadzając się po meczecie nie spostrzegłbyś braku, gdyby znienacka jedną z tych części unioś czarodziej, który je postawił. A gdy właśnie fantazyja architektoniczna nie czuje tu prawideł wiążących, przeto cała wylewa się powodzią ornamentów, ona cała staje się dekoracją. Ta architektura jest strojnicą wykwintną, pełną ozdób, krygów i fioszków zalotnych, ale strojnicą wyborowego smaku, gracji lekkiej, cudnej.

Jako atoli zadanie i przepisy nie kępują fantazyi, tej pięknej, ognistej i płochęj córy pustyni arabskiej, tak też nie ściskają jej względy na statykę i prawidła mechaniki. Ciężkość, bezwładność materji, jej nieużytość a uporne dążenie ku ziemi — to żarty, to fraszki dla tej fantazyi; i słusznie powiedziano, że onaby rada budować się na obłokach, stawiać minarety swoje w powietrzu a z promieni słonecznych splatać sobie kopuły.

Gdy w architekturze starego Egiptu znać ciężkie brzemie granitów cisnące tak poważnie i uroczyście na podpory swoje; gdy w Grecji, jak obaczymy później, ciężące masy a siły dźwigające najcudniejszą są na-

(*) Porówn, np. dzieła Ramée, Kunglera *Historją sztuki*, mianowicie Schnaasego *Historją sztuki* T. III, do str. 328.

wzajem do siebie zastosowane i zestrojone pełną wdzięków harmoniją, a ten zestrój wyraża się jawnie we formach architektonicznych; w islamickiém budowaniu na to właśnie sady się sztuka, aby ukryć, schować prawa materyi, aby odjąć jój ciężkość, brzemie, i tak omajaczyć widza czarodziejstwem. Słowem, jak bajeczka czarno-księżka, arabska, drwi sobie i żarciki stroi z praw ogólnych przyrody, tak architektura, jój odpowiednia, drwi sobie ze wszelkich ustaw statyki i mechaniki. Gdy w starój Grecyi wiele zależy na tém, aby części, członki architektoniczne, zrodzone samą już przez się potrzebą techniczną, wystąpiły wyraźnie na zewnątrz i stały się zarazem strojem i ozdobą budynku; islamicka fantazyja, jakby ją wstyd było słuchać prawideł technicznych, maskuje architektoniczne części i swawoli sobie z niemi, drażni się z techniką, udając, że ją sobie lekce waży. O przykłady nie trudno.

Przypatrz się łukowi maurytańskiemu, co wznosząc się w kształcie „podkowy“ wyraźnie sobie drwi z ciężenia materyi. Narysuj sobie koło, odetnij z niego małą część, co zostanie, niby ta większa część, jest maurytańskim łukiem. Widzisz jak tutaj oba końce łuku, spoczywające na podporach swoich, zamiast od razu, jak to zwykle bywa, dążyć do połączenia się u góry, wbrew temu naturalnemu prawu z początku wznosząc się, oddalają się od siebie, rozchodzą się, a tak swawolą sobie i żartują z brzemienia, które dźwigają, a dopiero później, jakby sprężyna wygięta, strzelają ku sobie, znienacka się imając i wiążąc. Te arabeski, to są figle genialne, których nazwa sama przypomina ich pochodzenie od tej fantazyi, co igra pracując, a pracuje igrając. Patrz, jak te linie biegną wstęgami, jak się łamią, rzucają, splatają

z sobą, potem się nawzajem puszczając zradzają figury geometryczne, jakby przez maga kreślone. Tu utworzyły wielokąt, odleciały od siebie, niby gniewają się na siebie; ale zalotnice znów się dopadły, i, obiegłszy gwiazdkę, znów od siebie uciekają; w tym zaś szale zamętym swoich tanów mają przecież tyle przytomności, że unikają kąta prostego i przekątnei, a w tym niby nieładzie swoim przypadkowym mają wyrachowanie misterne, więc też rysują wzorki niesłychanego wdzięku. Te linie swawolne, figlarne, strojące sztuczki i psotki, one iście są łamigłówką dla myśli, coby je chciała odgadnąć; i słusznie też twierdzą estetycy, że te arabeski czy to prostokreślne, czyli kolistą drogą bieżące, mogły się tylko zrodzić w dowcipie misternym, wyćwiczonym na algebrze, a subtelnej filozofii grecko-arabskiej. A dodaj do tej gry linii znowu kombinacye ich barwy, gdy zabłyszczą to purpurą, to błękitem, śnieżną bielą lub złotem, czy fioletem, a przyznasz, że tutaj na jaw wypływa ona dwoistość duchowa, jako obok brojącej, bezuzdnej, kapryśnej fantazyi, stanął rachunek matematyki, co różne myśli wiąże i kombinuje. (*)

Rozumie się, im wyżej stanęło chwałą życie islamu, tem pełniej rozwinęła się ta cecha jego fantazyi w architekturze; tak odbywszy to budowanie jakby młodsze epoki swoje w Azji i Afryce, nakoniec roztuliło się całym przepychem w Hiszpanii, a mianowicie w Grenadzie. Tutaj ta fantazyja dosięgła własnego szczytu swojego i jako czarnoksiężnica zbudowała Alhambrę, to złociste gniazdo swoje. Jak powieść z tysiąca nocy i jedna, świecą tutaj te pałace maurytańskich królów i zagrze-

(*) Schnaase I. c. 331.

wają serce sprozaiczniałej Europy, jakby śpiewką rusałek z dawnych lat. Wśród krzewów mirtowych i róż, wśród tehu cytrynowych i pomarańczowych drzew, wśród ziemskiego raju natury stanęła Alhambra, jakby poezyi klejnot, a ciągle, ciągle żyje ta jej poezya w podaniach, w powieściach gminnych, co, jako kwiaty przeszłości, świecą i wonią niby mirtów krzewy, niby cytryn i laurów gaje; te podania pną się, jako stubarwny powój, po ścianach, po kolumnach, po stropach złocistych, i płyną, i mówią i szepcą, niby śpiewy ukrytej miłośnicy, cudnej, uroczej. Boć tutaj i życie było niegdyś poezją rokoszną, tu brzmiały maurytańskich i chrześcijańskich rycerzy turnieje, w obec ogniookich piękności wschodnich; tu marzeniem rozpływała myśl rycerzy po wojennej chwale i czynach wielkich. Teraz wszystko ucichło; niekiedy tylko słyhać skrzydełko jaskółki, co pilnuje pałaców starych, jakby czekając dawnych gospodarzy, słyhać strugę srebrną wodotrysku, co szepce z cicha, tęsknie jak przed starami laty. Przewodnik w sukniach żebraczych a z powagą granda pokazuje na posadzce ślady krwi; to krew wymordowanych Abenceragów, a było ich trzydziestu sześciu, a wymordował ich Boabdil okrutnik, co i zazdrość srogą zwrócił przeciw Sułtance o urokach cudownych; więc też pokazują ci tchnące rokoszą mieszkanie niegdyś Zoraidy i prawią ci jako rycerze chrześcijańscy walczyli na ostre, świadectwo dając o niewinności Sułtanki; jak oszczercy krzywdę opłacili krwią i życiem, jak ona sama rozpaczą zdjeta utopiła puginał w piersiach śnieżnych. (*) I pięknie też

(*) Alhambrę a przedewszystkiem legendy do niej przywiązane opisał pięknie W. Irving.

i do twarzy tój architekturze w tym uroku powieści dawnych, co ją niby powiewy wieczorne, niby rumieńce zachodu otulają w koło. Tonąc myślą w tym świecie dziś umarłym, znajdziesz jakby komentarz do niego w kształtach tój architektury. Tu biegną kolumny jaspisowe, cienkie, lekkie, eteryczne, niby kwiatu łądyga — tu wyrosła jedna kolumna, tam łączy się z drugą, a one podtrzymują ściany jakby dekoracya, jakby kobierce haftowane w prześliczne wzory. Tam znów fantastyczne sklepienie łamie się we formy dziwne, a u sklepienia niby stalaktyty wieszają się sople dziwnie wyrabiane, rzeźbione; ondzie znów ściana na wylot dziergana w koronkę, a przez koronkę z kamienia świeci jasny nieba błękit. Zewsząd grają z czarodziejska barwy jasne, świeciste i zestrzają się z pozłotą bogatą; kopuły wiążą się dziwną tkanką i awanturują się w niewidzialne nigdy kształty; miejsce gzymsów zajęły napisy poetyczne, a litery ich splatają się wdzięcznie z arabeską kapryśną, jak obrazki w powieści zmieniają się kolumn kapitele, a kórytarze, a świetlice, a sale zalane wiecznie mieniącém się światłem, a przecież tak lubém i harmonii pełném. Zaiste, tutaj niby uleciały wszelkie względy na konstrukcyą, na moc, na istotę ziemską materyi; tu niema ogniska spólnego, całości organicznej, tu pierzchły pedantyczne reguły rozsądkowe, tu fantazyja igra, bawi się i figluje, a przecież tu harmonia uczuć wszędzie rozlana; fantastyczność rozmaitości pełna nie razi, nie jaskrawi się, jest to taniec swawolny, figlarny geniuzzków lubych.

Jeżeli się znajdziesz w jakiejś świetnej europejskiej stolicy na operze czarnoksiężkiej, patrzysz w koło siebie i w górę i w dal: stupłomienne świeczniki potopem jasno-

ści zalewają salę; u góry i u dołu, z prawej i z lewej, zasiadły grona strojnych pięknych dam, i cały elegancki świat, co zostawił na chwilę te kwaski żywota i szczypliwe kłopotki w domu, a tu jak może pojawia się z twarzą bezchmurną i postawą świąteczną. A gdy muzyki zdroje wytrysną potokiem, gdy uwertura mistrzowskiej kompozycji zaleje budynek, gdy jej fale spłyną z falami światła i ozdób świecistych, malowanych bogatej sali, gdy skąpią tłumy widzów nurtem eterycznym; wtedy do reszty z nich zabiorą biedki, spłóczą kurzawy domowe; a dopiero gdy z nagła podleci kórtyna i postawi cię wśród czarodziejskiego świata, to zabłyśnie budowanie przez duchów stawiane, a w koło ogrody cudowne, w kwiatach kołyszą się śpiące, zaklęte królowny; spuszcza się z obłoków całe niebo zaludnione hurysk wdzięcznych ludkiem, a rycerze i cuda, tańce i śpiewy, i barwy i stroje i muzyka tak otumanią duszę, tak napojem zawrotnym zmysły odurzają, że nie możesz dać rady sobie, że się trudno upamiętać i pochwycić w nawale tych wrażeń; dopiero gdy znajdziesz się znowu w czterech ścianach domu twojego, kędy szaro a prozaicznie, gdy tłum rzeczy powszednich drwi, wydrzeźnia i żartuje sobie z ułudy twojej, wtedy się zdaje snem ta opera i te widziadła skoczne, te śmiechy i barwy i cuda i dziwy! Takież uczucie nas przejmuje, gdy złożwszy plany, rysunki, wizerunki Alhambry, kończymy rzecz z tym światem Wschodnim, i z tym tłumem dziwnych jego gadek, a nawracamy do powszednich, codziennych zatrudnień.

D o p i s e k.

Czasem i dobrze gdy wędrowiec, przebywszy jakąś część drogi swojej, zatrzyma się, spocznie i spójrzy myślą wstecz za siebie, by sam przed sobą zdał sprawę, o ile w tej podróży swojej zdołał odpowiedzieć celowi, który sobie zamierzał wybierając się z domu w świat. Takowe bowiem policzenie się z sobą zradza mu dwojakie a nie lada korzyści; bo jeżeli się poczuwa do popełnionych błędów, już łatwiej na przyszłość uchronić się ich zdoła; jeżeli zaś spostrzeże że zamierzonej pracy, ile sił swoich, sumiennie a uczciwie dokonywał, toć już uspokoiwszy się w sobie ze łżejszém sercem i z Bogiem ruszy w dalszą wędrowkę. Tak i mnie podobno przydać się może, jeżeli teraz porachuję się z treścią tych listów moich, dotychczas napisanych, i sam siebie zapytam, czylim się też uścił z zadania wziętego na siebie? Bo widzisz, bracie mój, ja myślę że w ocenieniu słuszném każdej pracy mniej chodzi o oznaczenie bezwzględnej jej wartości, jak raczej o to, aby ją porównać z nią samą, więc z myślą główną, z której wzięła związek swój, a zatem z celem, który swój książce położył sam piszący.

Tak tedy nasuwa się przedewszystkiém pytanie, czylim rzeczywiście w tych powyższych listach moich wywiązał się z zamiaru wyrażonego w owym piéwszym, wstępnym liście moim? a mianowicie czyli ta praca rzeczywiście odpowiada dzisiejszemu stanowisku nauki, czyli na prawdę jest choć nie obrazem, tedy przynajmniej odbiciem się pojęć filozoficznych o estetyce, ustalonych

już w świecie umiejętnym? Powtóre, czyli sposób wykładu jest właśnie zastosowany do czytelnika, który, lubo rad zapoznać się z tém wszystkiém co rośnie i kwitnie w dziedzinie społecznej nam umiejętności, zajęty atoli będąc odrębném powołaniem, niema ani swobody, ani sposobności po temu aby się sam pracowicie rozpatrywał we wszystkich pojawach umysłowych? Słowem, czy te listy moje są zastosowane do ciebie, jako do czytelnika, który, wykształciwszy się wielostronnie, niemasz atoli, jak powiadasz, pretensyi liczenia się do ludzi uczonych z powołania — i pragniesz, czytając książkę, znaleźć nie mozoł dla siebie, ale folgę i rozerwanie umysłu po zatrudnieniach powszednich?

Czyliż zaś zadosyć uczynił obydwóm tym warunkom, nie mam żadnej pewności, wiem tylko, że ile mnie stać było, pragnąłem dokonać tego dwoistego mego zadania.

Nie litowałem pracy, ani trudu aby te listy były iście odgłosem społecznej nam literatury; obeznałem się z pracami najcelniejszych pisarzy o sztuce, ze wszystkimi nowszymi dobytками w różnych gałęziach wiedzy, będącemi w jakimś stosunku do treści tych listów; korzystałem tedy ze wszystkich zasobów literatury powszechniej, o ile takowe były mi przystępne; nadto, obróciłem na użytek własny wszystko co mi nastęrczyły ustne rozmowy z artystami i znawcami sztuki, lub własne zapatrywanie się na arcydzieła piękności.

Zrozumiesz atoli, że lubo mam we czci należnej znakomite powagi, przecież wypadało je o tyle jedynie uwzględnić, o ile się zgadzały z własną myślą moją zasadniczą, więc ze stanowiskiem mojem filozoficznym, z którego się zapatruję na sprawę sztuki pięknej. A

mając ciągle na baczności, że listy moje nie są bynajmniej przeznaczone dla czytelnika, będącego z powołania uczonym przywodzę głównie tylko te dzieła, które wedle mnie najwięcej się nadają do oznajomienia młodych lubowników z ogólnym rysem sztuki i jej Historii. (*) A jak pewien jestem, że człowiek uczony, który się dorobił głębszej znajomości Estetyki, niewiele dowie się z tych listów moich, tak znowu mam nadzieję że czytelnik, za jakiego ty siebie uważasz, nie bez użytku przebiegnie tę pracę moją. Bo rozumiem że forma jej nie jest przytrudną, ani też nieprzystępną dla głowy, mającej ogólne wykształcenie. Ztąd pozwalałem sobie nieograniczonej swobody pod względem formy i trybu całego wykładu, dając tokowi rzeczy własne indywidualne piętno i barwę swoją, a to tém bardziej, żem się i pod względem treści tych listów nie czynił bezwarunkowym naśladowcą obcych prac i myśli, żem nie tracił zgoła swojej niezawisłości, żem wcale nie był przerabiaczem cudzych zdań i poglądów. Może więc czytając te listy znajdziesz rzeczywiście jakieś rozerwanie i odpochnienie umysłowe. Spodziewam się zaś tego tém śmielej, że sam kręśląc je doznaję w tém zajęciu folgi i ochłody po codziennem poważniejszem zatrudnieniu. Niech ciebie tedy nie dziwi że tu i ówdzie dotykam się może za lekko przedmiotów ogromnej treści, i że tak

(*) Niekiedy zniewolony jestem przywozić własną książkę „Wykład Filozofii“; powodem tego naturalnym jest właśnie to, iż książka ta równie jak i listy niniejsze są wpływem jednego i tegoż samego stanowiska filozoficznego, że cały mój pogląd na sztukę piękną jest wprost wypadkiem tych zasad ogólnych, które wyłożyłem w owém dziele systematyczném i ściśle umiętném.

często puszczał pióro dokąd je usposobienie chwilowe poniesie. Jeżeli to nie dobrze, mniejsza moja w tém winna, bo korzystam z dozwolonej mi formy listów, tak wielce w tym względzie dla mnie dogodnej, a nadto życzliwe przyjęcie pierwszego ich tomu dodało mi otuchy, bym i w dalszym ciągu tej pracy nie krępował się ściśle przedmiotem, ale kreslił niekiedy co mi doba na serce lub na myśl przyniesie.

Co do drugiego wydania pierwszego tomu, mało tam miejsc odmiennych, mniej jeszcze wyrzuconych, ale za to wiele dodanych. Pomnożyłem bowiem ów tom niektórymi ustępami, które wedle pierwotnego założenia mojego miały być dopiero objęte w następnym ciągu rzeczy, a które po późniejszym rozmyśle stosowniejsze znalazły miejsce w pierwszym tomie. Co się zaś tyczy ustępów odmienionych lub opuszczonych, wyznaję, że te są głównie takowe, które się do polemiki literackiej odnosiły. A lubo mam przekonanie, że w tych naukowych sporach nie ubliżył nikomu, bom sobie samemu nie chciał ubliżyć, przecież myślę, że od tych ostatnich lat dwunastu wiele się w piśmiennictwie polskim rodzące się z miłością przytulić wypada, w którym każdy człowiek poczciwy ducha na to wszystko co się kluje i rozwija, cieszy się każdym kielkiem, z którego się kwiatu lub owocu spodziewać może; a co więcej, dziś małoby się kto znalazł, coby go można godnie na krześle sędziowskim literatury posadzić, choć jest natłok takich co sami się na nim radzi sadowią, lecz ja ani do pierwszych, ani do drugich nie należę. A z resztą, cóż przyszło literaturze z owych krytyk jakie najczęściej pojawiają się u nas? one jeszcze nikogo nic nie

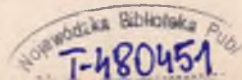
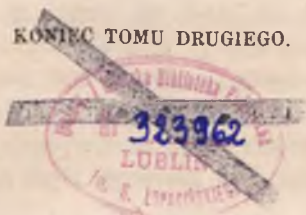
nauczyły, nikt im się poddać nie chce. Kwasy, gniewy, zawiści zjadliwe, a często bardzo kłótnie i niegrzeczności wzajemne są najczęściej całą korzyścią, całym ich owocem. Na widok tych boksów smucą się ludzie poczciwi, śmieje się gawiedz, źli się cieszą, a diabeł swoje broi. Dla tego też zamiast ujmować zasługi moim współpracownikom w tój winnicy pańskiej, wolę witać serdecznie i życzliwie każde usiłowanie i radować się tём co dobre i piękne, gdzie tylko je znajdę, przebacząc już słabostkom, które przecież w każdym ludzkim usiłowaniu pojawić się muszą. Niechaj kto chce zajmuje się chwastkami i osetem, jeżeli mu ta strawa tak po sercu, niechby nam tylko nie włązili w szkodę, jak to często bywa, i nie tratowali uczciwego zasiewu na tój roli, tak boleśnym a krwawym skropionęj znojem.

Żal mi tylko żem w ciągu tych listów nie miał dość sposobności wspomnienia jeszcze o tych wszystkich pisarzach i artystach naszych, co urosli na radość nam i chwałę, a zaprawdę niemała jest ich liczba. Żal mi tego, ale to dla mnie, nie dla nich; bo mnie pominęła pora tak miła dogodzenia uczuciom moim, dla nich zaś te wspominki moje może byłyby obojętne. Bo jak najhataśliwsze wychwałki nie zdołają ochronić od zapomnienia dzieła, co się już umarłe na świat zrodziło, tak też nagany niesprawiedliwe, kłamliwe i czernidła, zwykle z lichęj głowy lub krzywego serca się lęgnące, nie dokażą swojego, i, jak każde złe, rozbijają się o mękę Bożą.

Nie mniemaj atoli że ja o tём wszystkiём dla tego tak prawie, że myślę jakoby w tych listach moich nie było licznych uchybień a ważnych pomyłek. Każdy pisarz najlepiej podobno zna co niedostaje pracy jego, a zwykle już bardzo jasno postrzega błędy i usterki w nie-

jakim czasie po wydaniu jej na świat. Więc ja jeden nie mogę być wyjątkiem, i źleby już ze mną było, gdyby mi przyszło na takie zuchwałe a śmieszne zarozumienie. Bo mam to przekonanie, że autor uważający swe dzieło za doskonałe ma słusność, ale co do siebie tylko, bo dowodzi, że on sam już nic doskonalszego stworzyć nie zdoła, że się już zatrzymał na równi z książką swoją; ale nie ma słusności co do przedmiotu samego, bo on będzie rość i rość jak wszystko co ludzkie, jak wszystko co duchowe. Jeżeli taki pisarz zarozumiały jest jeszcze młodym, tedy z niego nie będzie pociechy, bo już nie urośnie; jeżeli starszym, wtedy znać że już z pola zchodzi. Zważ tedy jakieby to było strapienie dla mnie, gdybym już nie mógł spostrzedz niedostatków w pracy mojej! Lecz gdy ich się sam już dopatruję, jakże tu wymagać po innych, aby takowych nie widzieli! Prawda! ale każdy autor ma prawo do sprawiedliwego sądu, ma prawo aby go przedewszystkiem ocenił i zważył „sąd parów“ czyli sąd ludzi, którzy, na podobném pracującym polu, znają już wszystkie tej pracy kolce. Nadto jeszcze każdy autor ma prawo tuszyć sobie, że trud jego życzliwie, serdecznie przyjęty będzie, i dla tego wdzięczem ci jestem, jeżeliś sobie nie przykrzył czytając dotychczas napisane listy moje, a zarazem proszę, abys się z równie życzliwém sercem zabrał do następnego tomu.

KONIEC TOMU DRUGIEGO.



TREŚĆ LISTÓW.

ZAWARTYCH W DRUGIM TOMIE.

DZIEJE ARTYSTYCZNEJ FANTAZJI.

LIST XI., str. 5.

Fantazyja i bliższy jój rozbiór.

Wstęp, stronica 5. — Wspomnienia przeszłości nie są samém przypomnieniem, 9. — Fantazyja posagiem ducha ludzkiego, 10. — Fantazyja, mądrość, cnota, 13. — Fantazyja i rzeczywistość, 14. — Fantazyja, jako czynność duchowa, wszystkim ludziom spólna, 17. — Fantazyja strojąca rzeczywistość, 19; ale takowa fantazyja nie jest jeszcze fantazyją artystyczną, 23. — Warunki, aby być mistrzem i powołanie mistrza, 26. — Walka mistrza z trudnością techniczną, 37. — Henryk Statler, 39. — Jeżeli treść dzieła będzie pierwěj w myśli poczęta niż forma, wtedy nie zrodzi się dzieło sztuki, 40. — Rzeczywistość mogąca być treścią dla sztuki, 41. — Allegoryja nie jest dziełem prawdziwěj fantazyji, 45. — Chwila natchnienia jest chwilą rodzenia ideału, 49. — Zdanie Platona, 54.

LIST XII., str. 56.

Fantazyja i bliższy jój rozbiór.

(Ciąg dalszy.)

Kompozycyja, 56. — Natchnienie i kompozycyja i w innych dziełach duchowych człowieka 59. — Ogólne zasady estetycznej kompozycyi, 65. — Kompozycyja charakterów, 70; przykłady z Korzeniowskiego, Rzewuskiego, Kraszewskiego i

Chodźki, 72. — Dalsze uwagi nad kompozycją, 77. — Pówód częstych wad w kompozycji i przykłady z malarstwa i muzyki, 81. — Improwizacya — Deotyma. 83.

Talent i gieniusz, 95. — Powołanie gieniuszu, 99. — Stosunek jego do świata, 101. — Rozmaitość fantazyi artystycznej, 102. — Stąd podział jój. — Treść listów następnych 103.

LIST XIII., str. 104.

Historja Powszechna i Historja Fantazji.

Wstęp, 104. — Opatrzność i dzieje ludzkie, 108. — Znaczenie ludów, państw i okresów w historii, 111. — Ludzie historyczni, 115. — Historja fantazyi i rozwój dziejów ludzkich, 117. — Fantazyja każdego ludu jest wyrazem jego treści wewnętrznej, 119. — Szczyt historii i panowanie fantazyi w każdym ludu, 120. — Różność ludów pod tym względem, 123. — Stosunek natury materyjalnej do fantazyi ludów, 127. — Wypływające stąd różne epoki w historii fantazyi, 130—143. — O zadaniu listów następnych, 143.

LIST XIV., str. 146.

Historja Fantazji u różnych ludów.

LUDY WSCHODU.

Chiny.

Wstęp, 146. — Ulica Kantonu, 151. — Malarz chiński, 152. — Teatr, 158. — Muzyka, 159. — Komedya, 161. — Nauki u Chińczyków — Astronomia, 162. — Wojskowość, 162. — Brama tryumfalna, 163. — Zabawy, 164. — Budowa świątynic, 166. — Obrazy religijne, 168. — Ogrody, 172. — Brak treści wewnętrznej w człowieku, 177. — Moralność, 178. — Rodzina i Państwo, 180. — Formy zewnętrzne, 183. — Dramat chiński, 184. — Lira i Powieść chińska. 189.

LIST XV., str. 195.

Indye.

Wstęp, 195. — Natura Indyi, 203. — Jój przewaga nad człowiekiem, 208. — Kasty, 210. — Pokutniki i pielgrzymki, 212. — Gminna i artystyczna fantazyja u Indów, 218. — Bagawidgita, 219. — Wnioski wypływające z tej pieśni, 223. — Poję

cia religijne tłumaczą zjawiska zewnętrzne, 224. — Panteizm Indyjski, 225. — Mitologia, 227. — Wypadkiem tego usposobienia jest fantazyja odpowiednia, 228. — Cecha tej fantazyi w rzeźbie, w architekturze, w poezyi i muzyce, 233. — Sakontala, 247.

LIST XVI., str. 254.

Egipt.

Wstęp, 254. — Natura Egiptu i Historia, 258. — Teby — groby (nypogee) Tebańskie, 262. — Zwaliska Teb, 266. — Memnony, 272. — Piramidy, 275. — Labirynt, 276. — Usposobienie duchowe Starego Egiptu i wynikająca stąd symboliczność jego fantazyi, 277. — Cecha rzeźby i architektury Egipskiej, 284. — Gadka stara, 295.

LIST XVII., str. 298.

Assyrya — Babilonia i Persya.

Wstęp, 298. — Nemrod, 302. — Odkrycia uczynione przez PP. Botta i Layard, 304. — Znaczenie tych zabytków w historii sztuki, 312. — Usposobienie umysłowe tych ludów, 314. — Ztąd cecha ich fantazyi wyrażającej się w dziełach sztuki, 315. — Zdaje się że sztuka tych ludów jest ogniwem pośrednim między sztuką egipską a grecką, 320. — Persya, 321. — Persepolis, grob Cyrusa, groby królewskie, 323. — Cecha tej fantazyi, 326. — Zendawesta, 327.

LIST XVIII., str. 330.

Ludy Mahometańskie.

Wstęp, 330. — Fantazyja Arabów, Persów i Turków, 333. — Fantazyja perska jest głównym wyrazem fantazyi tych ludów, 339. — Niektóre pieśni, 334. — Mistycyzm wschodni przechodzi w panteizm i przybiera dwojaką formę w poezyi, 339. — Sprzeczność zamknięta w każdym panteizmie, 340. — Nauka Mahometa i panteizm, 344. — Różnica panteizmu indyjskiego od panteizmu islamskiego 347. — Rodzące się stąd ostateczności w duchu ludów mahometańskich, 348. — Fantazyja czarodziejska, 351. — Powieści Tysiąca Nocy i Jednej i ich znaczenie estetyczne, 354. — Arabowie, ich życie, poezya i język, 356. — Ułomek z Koranu, 364.

LIST XIX., str. 366.

Ludy Mahometańskie.

(Ciąg dalszy.)

Powieść Jussuf i Sulejka, 366. — Fantazyja Perska, 372. —
 Schachname, 374. — Dwojakię pieśni wieszczów perskich,
 mające spólne tło, 380. — Ułomki z obu tych rodzajów, 382. —
 Malarstwa, rzeźby, dramatu nie ma u tych ludów, 386. —
 Cechy ich budowania, 388.

Dopisek. Rzut oka na listy i stanowisko całego tego
 dziełka, 395.

Sprostowania.

Stron.	Wiersz.	Zamiast:	Czytaj:
46	23	niesobliwy	nieosobliwy
259	11	somotną	samotną
372	32	wychnowaniu	wychowaniu.

1000904575

